PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIWERSUM METRO 2033

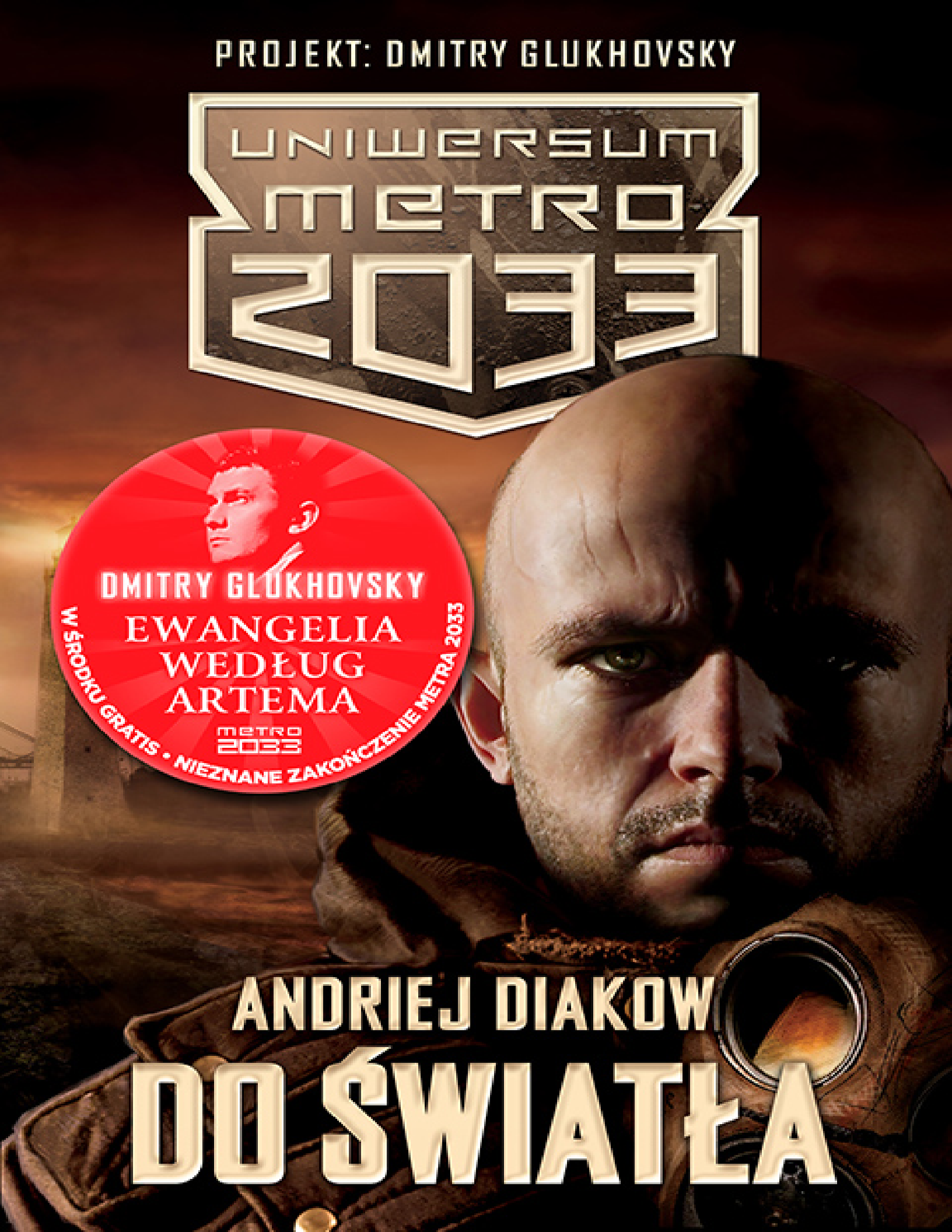

DMITRY GLUKHOVSKY

EWANGELIA WEDŁUG ARTEMA

METRO 2033

W ŚRODKU GRATIS • NIEZNANE ZAKOŃCZENIE METRA 2033

ANDRIEJ DIAKOW

DO ŚWIATŁA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANDRIEJ DIAKOW

DO ŚWIATŁA

Przekład Paweł Podmiotko

Tytuł oryginału
Метро 2034: К свету
Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2010 Copyright © Andriej Diakow, 2010 All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted.
Pomysł serii „Uniwersum Metro 2033” Dmitry Glukhovsky, 2009
Przekład z języka rosyjskiego Paweł Podmiotko
Projekt okładki Ilja Jackiewicz
Plan metra Krzysztof Kibart, www.designpartners.pl
Projekt logotypu serii Jacek Doroszenko, www.doroszenko.com
Redaktor prowadzący Piotr Mocniak
Redakcja i korekta Danuta Porębska, Tomasz Porębski, Lidia Kowalczyk
Skład i przygotowanie do druku Tomasz Brzozowski
Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2012
Wszelkie prawa zastrzeżone.
ISBN-13: 978-83-61428-81-7

Insignis Media
ul. Sereno Fenna 6/10, 31-143 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

Spis treści

Część I: DOROSŁY MIMO WOLI
Rozdział 1: TRANSAKCJA
Rozdział 2: EKSTERNISTA
Rozdział 3: ZOO NA KÓŁKACH
Rozdział 4: NA POSTOJU
Rozdział 5: SZYBKI MARSZ
Rozdział 6: SYMBIONT
Część II: STRATY
Rozdział 7: DŻUNGLE
Rozdział 8: GROM
Rozdział 9: NA JEDNEGO SIĘ NIE CZEKA
Rozdział 10: PRZEPRAWA
Rozdział 11: RUBIKON
Rozdział 12: ARKA
Rozdział 13: NEKROPOLIA
Rozdział 14: PIEKŁO
Rozdział 15: DECYZJĄ WIĘKSZOŚCI
Część III: OLŚNIENIA
Rozdział 16: DO ŚWIATŁA
Rozdział 17: GŁOS Z PRZESZŁOŚCI
Rozdział 18: SPOWIEDŹ
Rozdział 19: POŚCIG
Rozdział 20: PO TAMTEJ STRONIE ŚWIATŁA
EPILOG
Dmitry Glukhovsky EWANGELIA WEDŁUG ARTEMA

Część I: DOROSŁY MIMO WOLI

Rozdział 1: TRANSAKCJA

Czarny cień żywo przemknął po ponurym pochmurnym niebie. Przecinając powietrze trzymetrowymi błoniastymi skrzydłami, pteranodon majestatycznie przeleciał nad ruinami obwodnicy Petersburga. Żylaste ciało co chwila przeszywał dreszcz w oczekiwaniu na poranny posiłek, a potworna głowa kręciła się niespokojnie, wypatrując na powierzchni ziemi oznak życia. Pteranodon złapał sprzyjający podmuch przenikliwego jesiennego wiatru i poszybował nad wyschłe koryto Newy. Pod czujnym spojrzeniem gada z ogromną prędkością przesuwały się wraki samochodów, zwały śmieci, fragmenty zbrojeń budynków, wyszczerbione filary dawno zburzonych mostów – żelbetowe dżungle, pozostawione w spadku przez dawnych „panów życia”…

Jeszcze kilka machnięć skrzydłami… i w dole zamigotały żyłki torów kolejowych, tu i ówdzie wyzierających spod brunatnego mchu. Nad stacją Sortirowoczna drapieżnik z przyzwyczajenia zatoczył kilka kręgów w nadziei, że dojrzy dwunogą zdobycz. Wcześniej te dziwne stworzenia często pojawiały się na dworcu kolejowym, kopiąc w zamarzniętej ziemi. Teraz o ich wizytach przypominały tylko wyłamane szyny i równe rzędy poprzecznych dziur – wszystkie podkłady kolejowe już dawno zabrano.

Pteranodon rzucił ostatnie spojrzenie na rzędy przeżartych rdzą wagonów i poleciał dalej, nad ruiny Prospektu Sławy. Na wpół zburzone domy, niczym zbocza kanionu, wskazywały drapieżnikowi drogę. Porywy wiatru na próżno starały się zepchnąć latającego jaszczura z kursu. Ten pewnie sunął swoją trasą. Gad obniżył lot nad popękanym asfaltem i przyspieszył. Droga przed nim nurkowała pod Mostem Nowowołkowskim. Prostokątny prześwit mostu gęsto wypełniały lepkie nici gigantycznej pajęczyny rozpiętej przez

nieznanego drapieżnika. Pteranodon, jakby się naśmiewając, jeszcze przyspieszył, złożył skrzydła i wydając ostry krzyk, z ogromnym impetem staranował przeszkodę. Postrzępione brzegi powstałej wyrwy zatrzepotały na silnym wietrze, a z głębi pajęczyny na oddalającego się skrzydlatego jaszczura spojrzało jedenaście wściekłych oczu pechowego myśliwego. W szarym przedświcie obłąkanego nowego świata wciąż trwało szalone nowe życie…

Tymczasem bestia dotarła nad plac Moskiewski, zniżyła się nad masywny pomnik i miękko osiadła na wyciągniętej ręce „wodza światowego proletariatu". Pteranodon podreptał w miejscu, po czym usadowił się wygodnie i zamarł w oczekiwaniu, uważnie obserwując wyjście z „nory" – zawalonego przejścia podziemnego prowadzącego na stację Moskiewską. Właśnie tu skrzydlaty jaszczur niejednokrotnie widział wyłażących spod ziemi dwunogów. Całkiem niedawno udało mu się nawet uraczyć jednym z nich. I teraz postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia. Na wspomnienie zapachu słodkiego, ciepłego mięsa ciało gada znów przeszył dreszcz…

W następnej chwili coś huknęło ogłuszająco. Niespodziewany dźwięk, dudniąc, poniósł się po placu, odbijając się wielokrotnie od wyszczerbionych ścian domów. Drapieżnik już tego jednak nie słyszał – głowa pteranodona rozpadła się na drobne kawałki, a z wyprężonej w śmiertelnej agonii szyi bryznęła potężna struga krwi, ochlapując oszronioną powierzchnię cokołu.

W oknie szóstego piętra stalinowskiego budynku naprzeciwko placu można było dostrzec ruch. Mignęła sylwetka rosłego człowieka w masce przeciwgazowej i w workowatym skafandrze ochrony chemicznej, pracowicie rozkręcającego karabin snajperski z długą lufą. Po paru minutach mężczyzna, rozglądając się na boki, wyszedł głównym wyjściem i omijając zwały śmieci, niespiesznie skierował się w stronę placu. Trup pteranodona jak bezkształtna góra mięsa leżał u podnóża pomnika. Z pokrowca na pasku myśliwy wyjął przerażających rozmiarów nóż, przymierzył i jednym celnym ciosem odciął od skrzydła mutanta kostny wyrostek. Schował trofeum do

kieszeni kamizelki, zdjął z ramienia kałacha i przyjął wyczekującą pozycję. Z przejścia już wychynęła grupa okutanych szarymi szmatami ludzi z sankami i bosakami. Stalker przyjrzał się, jak jego współplemieńcy pospiesznie zaciągnęli masywną tuszę potwora do westybulu stacji, po raz ostatni obrzucił okolicę uważnym spojrzeniem i zszedł pod ziemię. Nieliczne promienie słońca przecisnęły się przez szczeliny w zasłonie ponurych chmur i nieśmiało oświetliły ruiny Moskiewskiego Prospektu. Nad Piterem wstawał dzień…

•••

– Ej, sierota, nie idziesz zobaczyć stalkerów?

Cherlawy około dwunastoletni chłopak z jeżykiem nierówno ostrzyżonych włosów popatrzył w ślad za biegnącymi dziećmi i ocknąwszy się nagle, rzucił się za nimi. Nie, nie obrażał się za to określenie. Sierota to ten, kto nie ma rodziców. A on miał. I to jakich! Po prostu są teraz w raju. Kiedyś tata przed snem często opowiadał mu o raju. Tam jest świeże powietrze, dużo zieleni i czystej wody, błękitne niebo… Gleb zwykle tak wyobrażał sobie rodzimą Moskiewską, całą pokrytą sadzonkami ziemniaków i baliami z wodą, a zamiast smoliście czarnej sadzy na suficie – mnóstwo, mnóstwo niebieskiej farby…

Gleb podbiegł do gromady dzieci, przecisnął się do przodu i stanął obok kulawej Naty, dziewczynki z sąsiedniego trzeciego namiotu.

– Patrz, Gleb, idą! – Dziewczynka jak zwykle oparła się o troskliwie nadstawione ramię towarzysza zabaw, rozluźniając niedorozwiniętą nóżkę.

Przed nimi działo się coś niezmiernie interesującego i strasznego zarazem. Spod blach byle jak skleconego pudła, pełniącego funkcję komory śluzy, wydostawały się obłoczki pary. Nazywało się to, pięknie i tajemniczo zarazem, dezynfekcją. Wreszcie drzwi z okropnym zgrzytem rozwarły się na oścież. Wszedł wujek Sawielij, usunął z przejścia szlauch dostarczający środek czyszczący i odsunął

się na bok… W drzwiach ukazała się masywna postać stalkera. Ogromne buty, imponujących rozmiarów ładownica opasająca tułów, równie ogromne ręce i kaptur, w którego cieniu nie dało się rozpoznać twarzy…

Gleb przyglądał się chciwie całej postaci nieznajomego. Kiedy ten odrzucił kaptur, dzieciarnia chóralnie westchnęła. Gość wcale nie był szkaradny, na jego z gruba ciosanej, pokrytej szczeciną twarzy nie było blizn, ale we wzroku stalkera dało się odczytać coś nieuchwytnego, od czego człowiekowi robiło się nieswojo. Coś pokrewnego uczuciu, które powstaje, gdy macasz na oślep w poszukiwaniu latarki, a trafiasz na coś śliskiego, wijącego się i gotowego wgryźć się w wyciągniętą rękę. Od stalkera biła nieujarzmiona siła… A jednocześnie w jego ciężkich krokach kryła się jakaś rezygnacja. Jakby nadchodził zmęczony życiem starzec.

Tłum rozstąpił się, przepuszczając gościa. Gleba przeszył dreszcz, kiedy stalker przechodził koło niego. Budził strach… a jednocześnie straszną ciekawość. Chłopiec bokiem ominął tłoczących się na peronie gapiów i usadowił się nieopodal głównego ogniska, żeby słyszeć całą rozmowę.

– Cześć, Taran. Chodź do nas, usiądź przy ognisku. – Siwowłosy, energiczny staruszek zakrzątnął się przy kociołku, nalewając do miski porcję polewki. – Zupa dziś wyjątkowo dobra! Proszę, dobry człowieku, spróbuj. Czym chata bogata…

Ponury mężczyzna położył ukryty w pokrowcu karabin obok siebie, usiadł na ocynkowanej skrzyni i przyjął z rąk staruszka miskę z dymiącym posiłkiem. Rozpiął jedną z kieszeni kamizelki, wyjął z niej kompaktowy dozymetr i zbliżył do zupy.

Staruszka jakbyś ktoś potraktował brzytwą, jednak zmilczał i z wysiłkiem przywołał na twarz życzliwy uśmiech.

– Jedz, Taran, nie bój się. To wszystko nasze, naturalne… Grzybki, kartofelki… Dopiero co z grządki wykopane!

Z półmroku stacji wychynął jeszcze jeden jej mieszkaniec, w zdartych walonkach i wytartym waciaku, który wiele już widział.

– Zachar ze swoją drużyną właśnie patroszą ptaszka – zaczął dziarsko, przysiadając się do kręgu. – No, potrafisz strzelać, brachu! Za jednym razem żeś bydlaka położył!

Pod ciężkim spojrzeniem stalkera chłopina zaciął się i szybko zmienił temat.

– Żółć zhandlujemy „ogryzkom" – powiedział już spokojniej Karpat. – A skóra będzie na buty. I mięsa się z kwintal uzbiera. Stary, bo stary, ale jednak skończył już latać nasz messerschmitt!

– Taranowi podziękuj… I starczy językiem mleć po próżnicy! – Stary dołożył do ognia kolejne polano i obrócił się do stalkera. – Dziękujemy za pomoc, dobry człowieku! Bo my to, sam rozumiesz, bez wypadów na powierzchnię nie damy rady. Drew się teraz nie kupi, więc musimy wyściubiać nos na zewnątrz…

Stalker, powoli przeżuwając jedzenie, patrzył w ogień.

– Wienię Jefimiczuka straciliśmy przez tę gadzinę… A taki dobry człowiek z niego był! – Stary Pałycz wyraźnie był w nastroju do wspomnień, ale przytulna atmosfera szybko uleciała, kiedy do ogniska podszedł chudy przywódca stacji, Nikanor.

– Tak jak się umówiliśmy – powiedział sucho, stawiając u stóp stalkera pokaźnych rozmiarów worek.

Taran niespiesznie rozwiązał mocny węzeł i niedbale wysypał zawartość na ziemię. Tabletki, pudełeczka, zwoje bandaży utworzyły bezkształtną stertę, z której stalker zaczął pedantycznie wybierać niektóre przedmioty i odrzucać je na bok. Pogrzebał z minutę, zgarnął większość medykamentów z powrotem do worka, wstał i zarzucił go sobie na plecy.

– Posłuchaj, Taran… – Stary, unikając wzroku stalkera, przestępował z nogi na nogę i ciężko wzdychał. – To są przecież prawie wszystkie lekarstwa, jakie nam zostały. Może… przyjmiesz zapłatę w jedzeniu… albo jeszcze jakoś inaczej?

Nikanor stał nieruchomo. Tylko mięśnie na jego twarzy mocniej się uwydatniły.

– Nakupicie więcej u „ogryzków" – uciął twardo Taran.

Wrzucił do opróżnionej miski parę naboi – za nocleg i kolację – podniósł karabin i poszedł.

Pałycz klasnął z zakłopotaniem w dłonie, a Nikanor splunął ze złością pod nogi. Jego gniewne spojrzenie natrafiło na Gleba.

– A ty, czego się gapisz, próżniaku! Czy może już dziś przepracowałeś swoje? Skoro tak, to zaraz ci dołożę!

Gleb rzucił się do składziku, marząc o tym, by jak najszybciej zniknąć z oczu wściekłego naczelnika. Przecisnął się przez wąski korytarz, złapał za stojącą pod ścianą łopatę, wskoczył w uniwersalnego rozmiaru buciory pokryte zaschłą skorupą błota i jak zwykle polazł w stronę dołu na nieczystości. Po emocjonującym spotkaniu z przerażającym stalkerem chłopiec był roztrzęsiony.

Wybieranie cudzych odchodów było znacznie spokojniejsze i zwyczajne.

•••

– Halo! Halo! – Nikanor wrzeszczał na całe gardło do słuchawki telefonicznej. Łączność z Technolożką była jak zwykle beznadziejna. Poprzez chrypiące zakłócenia przebijał się daleki głos, lecz naczelnik stacji nie mógł zrozumieć nawet połowy słów.

– Powtarzam! Będziecie musieli z nim rozmawiać tutaj, na Moskiewskiej! Jest uparty jak osioł! – Nikanor wsłuchał się w skupieniu, potem energicznie pokiwał głową. – Tak, tak! Wysyłajcie! Uprzedzę patrole! Będziemy na was czekać!

Nikanor odłożył słuchawkę i padł w wysłużony fotel, zapalając skręta. Telefon… To chyba jedyna oznaka cywilizacji, która ostała się na Moskiewskiej. A i tu kabel był przeciągnięty przez mazutów. Przecież to oni dostarczali prąd do kilku żałosnych żarówek, podtrzymujących na stacji skąpe oświetlenie. Bajońskie kwoty, jakich żądali za światło, nie zjednywały mazutom miłości ludu. Nikanor nie znosił tych chytrych drani, jednak nie mógł nic na to poradzić.

Zgasił niedopałek i wstał od stołu. Trzeba było wydać dyspozycje odnośnie do oczekiwanych gości.

…

Klik… klik… klik… Odgłos zatrzaskującej się pokrywki zippo był magiczny. Na wypolerowanej do połysku powierzchni zapalniczki wyraźnie odcinał się relief dwugłowego orła.

Czasem – co prawda, niezwykle rzadko – Gleb pozwalał sobie nawet potrzeć kółkiem o krzesiwo i w upojeniu obserwować, jak kołysze się mały języczek ognia. Ojciec mówił, że z zapalniczki należy korzystać oszczędnie, i Gleb dobrze to zapamiętał.

W ciągu tych kilku lat, które minęły od śmierci rodziców, chłopiec ani na chwilę nie rozstawał się z tym pięknym metalicznym świecidełkiem – jedyną rzeczą przypominającą mu utraconą rodzinę. I zippo do tej pory działała. Choć za każdym razem słabiej. Dlatego Gleb coraz rzadziej ją zapalał. „Ognisko domowe”… Chłopiec pamiętał jak przez mgłę, co znaczy to wyrażenie, ale święcie wierzył, że teraz to on jest strażnikiem tego właśnie ogniska domowego i póki ognik będzie się tlił w zapalniczce, jego rodzice zawsze będą gdzieś blisko…

Gleb nie spostrzegł, jak ogarnął go sen.

Czarodziejska zapalniczka zadziałała: w ciemności ukazała się twarz… Tak bliska… Nieco zmrużone oczy i nieposłuszne loki ładnie pachnących włosów. Mama…

Z półdrzemki wyrwało chłopca gwałtowne szarpnięcie za rękę. Gleb podniósł wzrok i zobaczył opasłego Prochę – miejscowego chuligana i lizusa. Ten obracał zapalniczkę w swoich grubych palcach, przyglądając się zdobyczy. Nieco dalej rozmieściła się jego świta – troje brudnych smarkaczy z szyderczymi uśmieszkami obserwowało, co robił wódz.

– Dobra rzecz! – oznajmił tłuścioch z aprobatą, pokazując trofeum kolegom.

– Oddawaj! – Gleb skoczył na równe nogi i wpatrywał się ze złością w swego prześladowcę. – To moje!

– To sobie weź. – Grubas uśmiechnął się złośliwie, trzymając zapalniczkę nad głową.

Gleb podskoczył, próbując jej dosięgnąć. Dzieci zarechotały. Grubas był wyższy od Gleba o głowę i nieomal dwa razy szerszy. Gleb nie miał szans. Procha szczerzył z zadowoleniem swoje podgniłe zęby.

– No, oddawaj! – Gleb zaszlochał, poddając się. – To prezent od taty! Dawaj natychmiast!

Grubas, ubawiwszy się setnie, pchnął go mocno w nos pulchną pięścią. Gleb wywrócił się na ziemię, boleśnie uderzając o beton. Z nosa poszła mu krew. Chłopiec gotów był się rozbeczeć. Rozpacz i żal wezbrały z taką siłą, że miał ochotę czym prędzej zniknąć… przepaść… uciec z tego okropnego miejsca… żeby być razem z rodzicami.

– Wstań i otrzyj twarz!

Twarde słowa zabrzmiały tak nieoczekiwanie, że Gleb aż się wzdrygnął. A w następnym ułamku sekundy uświadomił sobie, że słyszał już ten gruby męski głos. Całkiem niedawno.

Odwrócił się z przestrachem.

Przed nim stał ten sam stalker, ogromny, obcy. Jak się okazało, przez cały czas był obok, obserwując scenę poniżenia. Gleb nie ośmielił się nie usłuchać stalkera i dlatego podskoczył jak oparzony.

Nazywali go chyba Taran.

– Czego się boisz bardziej, chłopcze? Że cię pobiją czy że zostaniesz bez swojej zabawki? – Taran świdrował Gleba złym, nieustępliwym spojrzeniem, tak że ten nie śmiał odwrócić wzroku. – To TWOJA rzecz. Należy TYLKO DO CIEBIE. I DO NIKOGO INNEGO.

Stalker cedził ciężkie frazy, jakby uderzał siekierą, i z każdym wymówionym słowem w chłopcu, zamiast dopiero co odczuwanej rozpaczy i strachu, budziła się determinacja. Palce same zacisnęły się w pięści i Gleb, szczerząc drapieżnie kły, rzucił się nagle na tłuściocha. Jego ciało zadziałało instynktownie. Wczepiwszy się obiema rękami w tłuste włosy prześladowcy, chłopiec z całej siły

uderzył go czołem w twarz. Grubas odsunął się, zasłonił rozbite usta rękami i przeraźliwie wrzasnął. Zapalniczka upadła na beton peronu. Gleb podniósł ją i nienawistnie spojrzał na świtę: który jeszcze połasi się na jego skarb? Jednak koledzy Grubasa nie odważyli się z nim zadzierać. Chwilę później nie było po nich nawet śladu.

Taran obserwował obojętnie, jak Gleb klapnął na ziemię, przyciskając do piersi cenny drobiazg. Coś dziwnego było w tym dziecku. Na pierwszy rzut oka był to zwykły nastolatek, jakich dziesiątki biegają po stacji. Brudne, rozczochrane włosy, zapadłe policzki. Podkrążone oczy. Umorusany od stóp do głów. Nieco zadarty nos. Jednym słowem, nic nie wyróżniało go spośród rówieśników. Nic… oprócz sprytu w nad wiek dojrzałym spojrzeniu. I jeszcze coś – w jego brązowych oczach nie było zmęczenia i rezygnacji, które przebijały w spojrzeniu większości mieszkańców kolejki podziemnej.

Stalker niechętnie się odwrócił i podszedł do ogniska. Rozbłyski płomieni nierównym blaskiem oświetlały siedzących w kręgu ludzi. Wśród rzeszy znajomych Gleb zauważył nowe twarze. Ciekawość pomogła mu zapomnieć o niedawnym wzburzeniu i, z zapalniczką schowaną w kieszeni poszarpanych spodni, zbliżył się do ognia.

Przybysze wyróżniali się porządnymi ubraniami i dziwnymi szerokimi pasami, z których zamiast broni zwisały wszelkie możliwe narzędzia – młotki, obcążki, śrubokręty… Ta osobliwa para najwyraźniej przybyła z Technołożki.

O tej stacji Gleb słyszał wiele zadziwiających historii. Mówią, że wszędzie tam jest jasne światło i mnóstwo najrozmaitszych urządzeń i maszyn. A świńskich farm i poletek prawie wcale. Całą żywność mazuty kupują od innych stacji w zamian za broń i różne potrzebne w gospodarstwie maszyny.

Gleb od razu rozpoznał dowódcę. To ten… z bródką i surową twarzą.

Zakasłał i wymieniwszy przelotne spojrzenia z siedzącym obok Nestorem, zwrócił się do stalkera:

– A więc to ty jesteś Taran?

Stalker zignorował pytanie, wyciągając dłonie do przyjemnego ciepła ogniska.

– Nie przyjąłeś naszego zaproszenia. Dlatego przyszliśmy tutaj. Jeśli góra nie chce do…

– Po co jestem potrzebny Aliansowi? – szorstko przerwał Taran.

Mazut, zaskoczony, urwał w pół słowa, ale szybko się zorientował i ciągnął dalej:

– Domyślny jesteś, stalkerze… Tak, reprezentujemy Alians Primorski i mamy dla ciebie zlecenie.

– Nie potrzebuję zleceń.

– Dobrze. – Brodacz zasępił się. – To nie praca… Potrzebna nam twoja pomoc, Taranie. To bardzo ważne dla Aliansu… Dla wszystkich.

– Czego konkretnie chcecie? – Stalker popatrzył na mazuta jak na wyjątkowo natrętną muchę.

– Tu nie możemy powiedzieć wszystkiego… Ale dotyczy to pewnej ekspedycji… Uznaliśmy, że jesteś najlepszym kandydatem i zdołasz przeprowadzić oddział…

– Dokąd? – Taran znów przerwał.

– Eee… – Brodacz zrobił głębszy wdech. – Do Kronsztadu.

Stalker wstał i w milczeniu ruszył w stronę wyjścia ze stacji. Delegaci poruszyli się nerwowo.

– Naboje, stalkerze! Tyle, ile zdołasz unieść!

Mieszkańcy z zainteresowaniem przysłuchiwali się daremnym namowom gości.

– Jedzenie! Lekarstwa! Broń!

– Ochłoń, mazucie – rzucił przez ramię Taran.

– To twoje ostatnie słowo?

– Spadaj na drzewo. – Taran odwrócił się, rzuciwszy mazutowi gniewne spojrzenie.

– To raczej jego ostatnie słowo – skomentował, uśmiechając się półgębkiem Pałycz.

Brodacz przygasł… Zamyślił się, a po kilku sekundach nagle się ożywił.

– Alians potrafi okazać wdzięczność. – Dowódca gorączkowo dobierał słowa. – Dowolna cena, Taranie! Wszystko, czego zechcesz!

Stalker zatrzymał się.

– Wszystko?

– Wszystko, co jest w mocy Aliansu!

Powoli, niczym w strasznym śnie, stalker podniósł rękę…

– O, tego dzieciaka.

Palec zatrzymał się, pokazując wprost na Gleba…

Chłopiec osłupiał. Przerażenie przebiegło mu po ciele kłującym dreszczem. W ustach mu zaschło. Gleb usłyszał jakby przez warstwę waty, jak mazuty szepczą z naczelnikiem stacji. Nikanor wymachiwał rękami, a jego okrzyki stawały się coraz głośniejsze, aż chłopiec usłyszał wyraźnie:

– Jak wam w ogóle przez gardło przechodzi taka propozycja! Dziesięć kilo świniny za dzieciaka! Kto to widział?! – Nikanor popatrzył w kierunku zamarłego Gleba i pospiesznie odwrócił wzrok. – Tyle, ile sam waży. I basta!

Gleb jak przez mgłę pamiętał to, co się działo później. Łzy piekły oczy… łzy żalu i strachu. Niczym w niemym kinie, przed wzrokiem chłopca przesuwały się sceny, jedna bardziej niedorzeczna od drugiej… Staruszek Pałycz rzuca się z oburzeniem po peronie między Nikanorem a mazutem, groźnie wygarniając to jednemu, to drugiemu. Chroma dziewczynka beczy u matki na rękach, patrząc z przestrachem na Gleba. Nikanor ze spuszczonym wzrokiem omawia z mazutami szczegóły transakcji… A potem nad chłopcem zawisa postać stalkera:

– Wszystko słyszałeś, chłopcze. Twoi współmieszkańcy to szajs, powietrze to szajs, a i twoja praca, jak słyszałem, to kompletny szajs. Nie masz tu czego szukać. Idziemy.

Gleb otarł łzy postrzępionym rękawem, ostatni raz obrzucił spojrzeniem sklepienia rodzimej Moskiewskiej i powlókł się za

Taranem, całym sercem czując, że nie będzie już powrotu do dawnego życia.

Rozdział 2: EKSTERNISTA

Po minięciu patrolu wędrowcy wkroczyli w czarną gardziel tunelu. Przytulny półmrok stacji został za nimi. Taran włączył latarkę i ciemność przecięła jasna smuga światła. Gleb mimowolnie zmrużył oczy – światło było znacznie bardziej jaskrawe niż to, które dawały żaróweczki na Moskiewskiej. Stalker pewnym krokiem ruszył torowiskiem. Gleb podreptał za nim, obserwując z obawą wpadające w krąg światła detale wystroju tunelu: spływające wilgocią tubingi, sparciałe sploty kabli i zardzewiałe zbrojenia w popękanych ścianach. Wędrowcy szli w całkowitym milczeniu, jednak cisza była pozorna. Poprzez miarowe kapanie kropel i ledwie słyszalne zawodzenie tunelowego przeciągu czasem dochodziły ich dalekie dźwięki, których natury Gleb nie umiał rozpoznać. Poczuł lęk. Chłopiec po raz pierwszy znalazł się w tunelu i to uczucie nie należało do przyjemnych.

Przed nimi ukazał się niski, boczny chodnik ze stopniami niknącymi gdzieś w mroku. Gleb miał ochotę jak najszybciej przemknąć przez to miejsce, ale stalker, jak na złość, prowadził go właśnie tam. Stopnie skończyły się niespodziewanie szybko. Po kilku metrach w wąskim korytarzu wędrowcy weszli do ciasnej klitki zawalonej rozmaitymi rupieciami. Taran rozgarnął stare przedmioty i plątaninę kabli na boki, wyciągnął z piachu masywny skobel i pociągnął do siebie. Zgrzytnęły zawiasy otwierającego się luku. Krótkie zejście pionowym szybem zakończyło się jeszcze jednym korytarzem, którego dalsza część ginęła gdzieś przed nimi.

– Szybciej… – Stalker ruszył energicznym krokiem, jego oddech przyspieszył.

Przemknąwszy przez rozwidlenie dróg, Taran zaczął biec. Przed nimi ukazał się jeszcze jeden szyb, tym razem prowadzący w górę.

– Szybciej!

Chłopiec, oglądając się i wpatrując w ciemność chodnika, wpadł w panikę. Przed kim uciekają? Dlaczego uzbrojony stalker zwiewa przed kimś – albo przed czymś – niczym diabeł przed święconą wodą? Jeszcze kilka metrów brakowało do drabiny, kiedy Taran nagle zachwiał się i runął na ziemię. Twarz mu się wykrzywiła, ciałem wstrząsnęły straszne konwulsje.

Gleb znieruchomiał zakłopotany. A to dopiero… Groźny komandos zwinął się u jego stóp w pozycji embrionalnej i cicho skomlał, drżąc na całym ciele. Zagryzając wargi, Taran z trudem otworzył ładownicę. Na beton wypadło i rozwinęło się niepozorne zawiniątko… kilka strzykawek napełnionych mętną cieczą. Chłopiec chwycił jedną z nich i w gotowości przyskoczył do stalkera. Ten, trzęsącymi się rękami, wyrwał mu strzykawkę i kopnął automat. Broń, ślizgając się po ziemi, uderzyła w but Gleba.

– Trzymaj… przejście… – wydusił z siebie stalker, nieposłusznymi palcami wbijając sobie strzykawkę w ramię.

Gleb ostrożnie podniósł automat i wycelował w głąb korytarza. Ech, ciężki… Palec namacał język spustu. Z bronią w ręku poczuł się nieco spokojniejszy.

Stalker ucichł… Chłopiec obejrzał się za siebie.

Oddech Tarana wyrównywał się, a ściągnięte skurczem mięśnie stopniowo się rozluźniały. Po pięciu minutach pełnego napięcia oczekiwania stalker wstał, odebrał chłopcu automat i popchnął go w kierunku drabiny.

Wspiąwszy się po zardzewiałych szczeblach pionowego szybu, wędrowcy pokonali jeszcze jeden luk. Gleb nie zdecydował się zapytać stalkera o nagły atak choroby, a potem były ciekawsze rzeczy… Szczęknął przełącznik i dookoła zapłonęły lampy, odkrywając przed ich wzrokiem pokaźnych rozmiarów pomieszczenie. Czego tu nie było!

Jedną ze ścian w całości zastawiono dwupiętrowymi łóżkami pełnymi rozmaitych rupieci. Pod drugą ścianą – beczki, kanistry, para

masywnych obrabiarek, długi warsztat z górą narzędzi. Idąc dalej wzdłuż korytarza, Gleb zauważył równe rzędy rozmaitych puszek z konserwami. Dotąd sądził, że słowo „konserwa” znaczy to samo co „tuszonka”, czytając nazwy na etykietach, zrozumiał jednak, że jest inaczej.

– Wybierz sobie… coś do żarcia – rzucił Taran, przechodząc w głąb mieszkania. – I dla mnie też.

– Brzo-skwi-nie… – powoli przeczytał Gleb. Na wyblakłej etykiecie żółciło się coś dziwnego. Chłopiec dołączył do tego dziwoląga parę znajomych puszek z krowią głową i poszedł do kolejnego pomieszczenia. Tu stalker urządził kuchnię.

Wkrótce w piecyku wesoło trzaskały polana, a w garnku bulgotała woda.

Gleb ostrożnie przysiadł na koślawym taborecie w kącie i z ulgą oparł się o chropowatą ścianę. Napięcie minionego dnia dało o sobie znać. Chłopiec się zdrzemnął.

Tym razem śnił mu się ojciec. Wysoki, dobrze zbudowany i zawsze gładko ogolony. Nawet kiedy wracał z nocnej zmiany, to najpierw brał odłamek lustra, brzytwę i szedł do umywalek. Takim właśnie Gleb go zapamiętał.

Kiedy ojciec z matką wyruszali z taborem na Sienną, chłopiec nie przypuszczał, że widzi rodziców po raz ostatni. Tego pamiętnego dnia na Moskiewską nie wrócił nikt. Dopiero po kilku dniach do stacji dotarła straszna wieść o najeździe zbirów z imperium Wegan na stragany Siennej. Jedynym ocalałym był Pałycz, który kilka dni później pojawił się na Moskiewskiej i opowiedział o strasznej rzezi, jakiej dokonali Weganie.

Ostry, metaliczny dźwięk wyrwał Gleba z krainy snu. Taran, biegle operując nożem desantowym, otworzył jedną po drugiej obie puszki z tuszonką i wrzucił zawartość do garnka z parującą kaszą. Starannie wymieszał proste danie wciąż tym samym ogromnym nożem, wrzucił do środka dwie aluminiowe łyżki i przesunął naczynie w stronę chłopca.

– Wcinaj… Pewno nie jadłeś jeszcze nigdy kaszy gryczanej? Przed Katastrofą wszystkie sklepy były tego pełne.

Chłopiec zerknął z obawą na stalkera. Taran wziął jedną z łyżek, nabrał trochę kaszy i spokojnie zaczął przeżuwać. Drażniący zapach prostego, ale pożywnego jedzenia sprawił, że Gleb niezwłocznie przyłączył się do uczty. Zdarzało mu się już wcześniej próbować kaszy, jednak ziaren, które „ogryzki" przywoziły na wymianę za drwa, nie sposób było porównać z tą cudowną potrawą.

Potem przyszła kolej na tajemnicze „brzo-skwi-nie". I tu Gleb zrozumiał, że jedzenie może nie tylko zaspokajać głód, ale też przynosić nieopisaną rozkosz. Mrużąc oczy z zadowolenia, chłopiec pochłonął zawartość puszki za jednym posiedzeniem. Tak, wszystkie przeżycia minionego dnia były warte tych nieopisanych doznań!

– Dziękuję… – wydusił z siebie Gleb, pokonując strach.

– Posprzątaj tu… I niczego nie ruszaj. – Stalker podniósł automat. – Muszę na chwilę wyjść.

Syty Gleb rozluźnił się i odważył zapytać:

– Już panu lepiej?

Taran zatrzymał się w przejściu i popatrzył spode łba na chłopca.

– Nie zadawaj zbędnych pytań, młody. Po prostu wstrzyknij mi to cholerstwo, kiedy znów mnie złapie. Uważaj to za swój główny obowiązek, od którego zależy twoje bezużyteczne życie.

Stalker skrył się za ścianą. Trzasnęła pokrywa włazu.

Gleb został sam na sam ze swoimi pytaniami i przeżyciami.

•••

Następna doba minęła niepostrzeżenie. Gleb błąkał się po „apartamentach" Tarana, z ciekawością oglądając osobliwą maszynerię, nagromadzenia rur i regały wypełnione bronią na każdy gust i dowolnego kalibru. To tu, to tam wzrok napotykał tabliczki z tajemniczymi napisami: „SYSTEM RECYRKULACJI", „MASZYNOWNIA", „ZAWÓR SYSTEMU GRZEWCZEGO". Kiedy

zaczynało mu burczeć w brzuchu, badał zawartość spiżarni, niezmiennie kończąc posiłek kolejną porcją boskich „brzo-skwiń".

Znalazł też główne wyjście z tego „sezamu" – na końcu schodków prowadzących w górę dostrzegł masywne hermetyczne drzwi. Sądząc po zardzewiałej dźwigni mechanizmu zamykającego, stalker z tego wyjścia nie korzystał. Natomiast w dalszym końcu spiżarki, zaraz za beczkami z paliwem, Gleb odkrył mniejsze drzwi. Za mętnym szkłem zakratowanego okienka panowała absolutna ciemność. Obok drzwi, na podłodze, walała się metalowa tabliczka z tekstem wypisanym starannymi, odbitymi z szablonu literami. Wodząc palcami po łuszczącej się farbie, chłopiec przeczytał: „SCHRON NR…". Numeru nie dało się odczytać. Niżej widniało: „Odp. Sazonow W.P. Klucze znajdują się u dyżurnego lekarza lecznicy nr 20. Tel. 371…". Dalej znów nieczytelnie.

Po przestudiowaniu tabliczki chłopiec popadł w zadumę. To dlatego Taran nie mieszka na stacji. W schronie przeciwlotniczym jest znacznie bardziej komfortowo niż w jakimkolwiek namiocie. A za drzwiami, sądząc ze wszystkich oznak, jest przejście łączące schron z podziemiami szpitala… No tak, bo jak inaczej przenosić tu rannych i chorych?

Chłopiec znów wyjrzał przez okienko i skulił się. Ciemność za drzwiami była prawie nierealna. Absolutna. „A w szpitalu pewnie zostały lekarstwa!" – przemknęła mu przez głowę niespodziewana myśl. Gleb wyobraził sobie, jak wraca na Moskiewską z tobołem pełnym tabletek i bandaży. „A to się nasi ucieszą! A wujek Nikanor może zmięknie, no i zabierze mnie z powrotem!"

Pomysł tak bardzo się chłopcu spodobał, że zaczął się krzątać po bunkrze w podnieceniu, zbierając potrzebne rzeczy. Założył byle jak maskę przeciwgazową, wyciągnął zatyczkę z „puszki" filtra, chwycił leżącą na warsztacie ciężką latarkę i zdecydowanym ruchem pociągnął masywne drzwi. Starannie naoliwione zawiasy nie skrzypnęły. Czyli stalker rzeczywiście używa tego wyjścia. Chłopiec zamarł w drzwiach i zaczął nasłuchiwać. Oprócz jego własnego

sapania spod maski nic nie było słychać. „Nie ma się czego bać” – uspokoił sam siebie Gleb, włączając latarkę. Ta mrugnęła parę razy i oświetliła korytarz przyćmionym światłem. „To nic, ujdzie! Ja tu szybciutko. Tam i z powrotem…”

Tyle że nijak nie udawało się przekroczyć granicy światła i ciemności. Nogi drżały zdradziecko, nie chcąc się podporządkować. „Dam radę… Myślałby kto, wielka rzecz! Dojdę do końca korytarza i popatrzę, co jest dalej…”

Gleb w końcu odważył się i ruszył naprzód. Blada strużka ledwo rozpraszała mrok na dystansie paru metrów. Chłopiec prawie fizycznie czuł, jak ciemne „nic” opiera się nikłemu światłu w jego dłoni. Ledwie powłócząc nogami, Gleb co chwila oglądał się za siebie, na coraz odleglejszy jasny kontur drzwi. A korytarz prowadził go dalej w ciemność. Po ciele pełzł mu lepki strach. Pojawiał się w końcach palców u stóp, falą przetaczał po całym ciele i osiadał w tyle głowy.

Gdzieś przed nim rozległ się wyraźny szmer. Na czoło Gleba wystąpił pot. Jak zaczarowany szedł powoli naprzód, próbując dostrzec źródło tego dźwięku. Paraliżujący strach nie pozwalał mu się odwrócić i co sił pobiec w stronę zbawczego światła bunkra. Chłopiec nie był w stanie odwrócić się plecami do nieznanego. Chciał tylko jednego – jak najszybciej zobaczyć, co jest przed nim. Upewnić się, że to przeciąg szura liśćmi po podłodze albo szczur grzebie w poszukiwaniu jedzenia. Niczego innego po prostu nie może tam być! NIE MOŻE!

Z ciemności wyłonił się zarys zakrętu. Chłopiec poświecił za róg. Kolejny korytarz prowadzący donikąd. I puste otwory drzwi po bokach. Ostatni raz zerknąwszy na dalekie drzwi schronu, Gleb zniknął za rogiem. Sądząc z wyglądu, zaczynały się tu już podziemne pomieszczenia szpitala. Niskie betonowe sufity, sterty potłuczonego szkła na podłodze i porozrzucane tu i tam rdzawe szkielety szpitalnych łóżek… Gdzieś powinny być schody na górę, na parter…

Po zbadaniu paru komórek Gleb stanął na progu dużego pomieszczenia, którego dalsza ściana ginęła w mroku.

Znowu coś zaszeleściło… Teraz już znacznie bliżej. Chłopiec zaczął gorączkowo świecić latarką po bokach, próbując pochwycić ruch. Krąg bladego światła na mgnienie wyłapał z ciemności niewyraźną wysoką postać i przesunął się dalej w bok. Chłopiec kątem oka zdążył dostrzec ten obrazek i natychmiast skierował latarkę na odległy kąt piwnicy. Nierówne, przyćmione światło deformowało zarysy przedmiotów, rzucając na ściany dziwaczne cienie. Gleb nijak nie mógł dokładnie obejrzeć tej rozmytej postaci przed sobą… Tak jakby ktoś zawinięty od stóp do głów w bezkształtne szmaty stał w kącie za karę. Pokraczny garb na plecach… Chłopiec zrobił krok naprzód. Jeszcze jeden… Przez ułamek sekundy wydało mu się, że postać się poruszyła. Albo to latarka podskoczyła mu w drżącej ręce…

Jeszcze jeden krok… Postać przed nim nabierała coraz wyraźniejszych kształtów. Jeszcze trochę, zapewniał sam siebie Gleb, i wytwór wyobraźni zniknie, ustępując miejsca banalnej stercie rupieci, których pełno w piwnicy. No tak… Bo co to może być innego!

Potem latarka zgasła. Stało się to tak nagle, że chłopiec zastygł, bojąc się nawet oddychać. I w tej absolutnej ciszy coś przed nim zaszeleściło… Oczami wyobraźni Gleb ujrzał przerażający obrazek: masywna postać powoli prostuje ramiona, odwraca się i zrzucając na ziemię na wpół zbutwiałe rupiecie, wyciąga przed siebie długie, węzłowate ręce z ostrymi jak brzytwa pazurami…

Chłopiec zarzęził z przerażenia i cofnął się. W absolutnych ciemnościach wydało mu się, że tuż przed jego twarzą coś gwałtownie przecięło powietrze. Gleb padł na plecy i przebierając nogami po pokrytej pyłem podłodze, zaczął się gorączkowo wyczołgiwać.

Niezmierzoną przestrzeń piwnicy wypełniło ogłuszające, przeciągłe wycie. Włosy na głowie stanęły mu dęba. Przerażenie lodowatą falą zalało świadomość. Nie zdając sobie sprawy z tego, że to on sam

krzyczy ze strachu, Gleb rzucił się do ucieczki, natykając się w ciemności na niekończące się ściany podziemia. Rozumiejąc, że bez światła nie odszuka drogi powrotnej, rozpaczliwie zaczął się miotać, potknął się o coś i runął na stertę połamanych mebli. Poczuł ból w stłuczonym boku, stracił oddech. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że maska przeciwgazowa się zepsuła – tak ciężko było wdychać powietrze, w którym czuć było gumą.

Charcząc i dusząc się, chłopiec zaczął obmacywać podłogę w poszukiwaniu jakiejś broni. Jego ręka sama powędrowała do kieszeni. Czując w dłoni gładki metal zapalniczki, nieco się uspokoił. Odetchnął głęboko. Potem wyciągnął ją i potarł kółkiem o krzesiwo. Ciemność rozstąpiła się, ustępując miejsca mikremu ognikowi w podniesionej ręce. Oświetlając sobie drogę drżącym płomykiem, Gleb przekradł się po zakamarkach kompleksu piwnicznego i wreszcie zobaczył właściwy korytarz. Przed nim majaczyły znajome drzwi schronu. Chłopiec pognał korytarzem, dał nura do środka i zatrzasnąwszy ciężkie drzwi, osunął się bezsilnie na podłogę. Drżał cały z emocji. Zsunął z twarzy wilgotną maskę przeciwgazową, zacisnął w dłoni drogocenną zapalniczkę i się rozpłakał.

•••

Stalker pojawił się na drugi dzień. Ubłocony i ponury. Pedantycznie obejrzał swoje legowisko, chciwie wlał w siebie pół czajnika wody i przywołał Gleba.

– Rozbieraj się.

Chłopak przestępował z nogi na nogę, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Mówię, zdejmuj te swoje łachmany! – ryknął Taran, rozsznurowując pokaźnych rozmiarów plecak.

Kiedy chłopiec niezdarnie ściągał znoszoną koszulę, stalker wyjmował z przepastnego plecaka rozmaite zawiniątka. Ubrania… I to zdaje się – nowiutkie!

Gleb ze zdziwieniem wytrzeszczał oczy na stertę rozmaitych skarpetek, koszulek, spodni. Jako uzupełnienie tych skarbów Taran wyciągnął na światło ładne buty z bieżnikowaną podeszwą i sznurowaniami aż po kolana.

– Dla ciebie, dla ciebie – odpowiedział stalker na niewyartykułowane pytanie chłopca. – Tylko najpierw się umyj. Cała chałupa mi zaśmierdła…

Okazało się, że w tym schronie jest nawet miejsce na umywalnię. Gleb poczłapał boso po zimnych kafelkach, długo szukał miednicy, aż w końcu stalker, słysząc jego miotanie się, przyszedł i pokazał mu, jak korzystać z prysznica.

Po chlapaniu się w baliach z mętną zimną wodą w węźle sanitarnym na Moskiewskiej, w gorących strugach tryskających z sufitu chłopiec poczuł się jak w raju. Jednak nie mógł się tym długo nacieszyć. Stalker szorstkim okrzykiem wezwał go do siebie. Bojąc się rozsierdzić Tarana, Gleb wytarł się naprędce frotowym ręcznikiem i wybiegł spod prysznica.

– Ubieraj się i ugotuj coś do żarcia… – Stalker krytycznie obejrzał szary kombinezon ochrony chemicznej, ciężko westchnął i oddalił się z nim do pracowni.

Tam spędził większość następnej nocy, stukając narzędziami i pracując na warsztatach. Z rzadka, niczym niedźwiedź z barłogu, wychodził do kuchni, żeby przekąsić cokolwiek jadalnego. Chłopiec bez końca przymierzał nowe ubrania i zaczął się już prawdziwie nudzić, gdy wreszcie stalker wyszedł z ustronnego warsztatu ze sporym zawiniątkiem w rękach.

– Przymierz.

I oczom Gleba ukazało się najprawdziwsze cudo – ogumowany kombinezon! Opancerzony płytkami, wmontowanymi w elastyczny materiał w miejscach życiowo ważnych organów… Prawdziwy stalkerski kombinezon – ale w jego, Gleba, rozmiarze!

Na całej powierzchni niezwykłego skafandra mieściły się kieszonki i tajemnicze przyrządy. Dwie rurki, wychodząc z kielicha przy

podbródku i otaczając szyję, prowadziły na plecy kombinezonu, gdzie umieszczony był płaski, żłobkowany tornister. Na lewym przedramieniu pysznił się skórzany pokrowiec, z którego wystawała rękojeść noża.

Przerobiony strój był w sam raz na Gleba. Jako zwieńczenie stalker nasunął mu na głowę masywny hełm z trąbą aparatu oddechowego. Przypiął rurkę podającą tlen i odsunął się od chłopca, obserwując rezultaty swojej pracy.

– Darth Vader, kurna… – Taran uśmiechnął się ponuro i przeciągle ziewnął. – Koniec. Zdejmuj ekwipunek, kosmonauto. Rano wychodzimy. Ja idę spać…

Namęczywszy się z wymyślnymi zapięciami, Gleb troskliwie powiesił skafander na krześle i starając się nie hałasować, na palcach poszedł do swojej koi. Przewracał się z boku na bok, bo nijak nie mógł zasnąć. Poddał się nagłemu porywowi i uniósł na łokciu. Taran leżał na dalszym łóżku, odwrócony do ściany. „Dlaczego ja?" – myślał z przejęciem. Ciągle go korciło, żeby zadać to proste, lecz tak ważne pytanie.

– Nie pękaj, młody. – Stalker jakby go usłyszał. – Jest w tobie siła. Po prostu trzymaj się mnie blisko i się ucz. Może i nie zdechniesz…

Po wygłoszeniu tego niewymyślnego błogosławieństwa na drogę, Taran smacznie ziewnął, błyskawicznie zasnął i zaczął chrapać.

• • •

Woda była wszędzie.

Gdziekolwiek nie spojrzeć, dookoła tylko woda. Fale lodowatej paraliżującej wody napływały jedna za drugą, zalewając go całego. Prawie nie czuł nóg. Całe jego ciało ogarnęła straszna ociężałość, a usta rozwierały się bezdźwięcznie jak u ryby, zamiast zbawczego powietrza połykając kolejną porcję wody. Ciężkie ze zmęczenia ręce ostatni raz wypchnęły jego ciało na powierzchnię, ale nowa fala zdradziecko spadła na niego zza pleców i przebijające się przez warstwę wody światło zaczęło przygasać…

Gleb się obudził, zanosząc się od kaszlu. Serce waliło mu jak szalone, a płuca konwulsyjnie wciągały zatęchłe powietrze schronu. Sen… To tylko straszny sen. Gleb nigdy nie miał okazji widzieć tyle wody. Szczerze mówiąc, nawet teraz był przekonany, że coś takiego nie może istnieć. Oczywiście chłopiec słyszał o zatopionej Gorkowskiej, ale we śnie wody było znacznie więcej, niż może pomieścić stacja.

Starając się zapomnieć o koszmarze, Gleb przetarł oczy, wypełzł spod kołdry i szybko się ubrał. Taran już pełną parą dzwonił w kuchni naczyniami. Na stole dymiła miska ze smakowicie pachnącą zupą.

Kiedy Gleb rozprawiał się ze swoją porcją, Taran pakował rzeczy. Potem pomógł chłopcu założyć kuloodporny skafander. Gleb poczuł, jak ciężki stał się kombinezon, zaopatrzony w automatyczny pistolet Piernacz, mnóstwo zapasowych magazynków i wszelkiego rodzaju wyposażenie.

– Wiesz, jak się z tym obchodzić? – zapytał stalker, wyciągając ciężki pistolet z kabury na kombinezonie Gleba.

Napotykając zakłopotane spojrzenie chłopca, Taran załadował pistolet, dając krótki instruktarz.

– Dwa tryby ognia: pojedynczy i automatyczny. Tu jest przełącznik. Przedłużone magazynki – na dwadzieścia siedem wystrzałów. Ciężkawe cholerstwo, ale nic to, przywykniesz. A tego czegoś będziesz strzegł jak źrenicy oka. – Stalker podał Glebowi zwiniętą w rulon ładownicę-pokrowiec z przypominającymi cygara metalowymi iniektorami. – Jakby co, to ja mam takie samo opakowanie.

– Pan jest… narkomanem? – Gleb nabrał śmiałości.

Stalker uśmiechnął się półgębkiem, podszedł do stołu, usiadł na taborecie.

– Słyszałeś kiedykolwiek o „diable błotnym”?

Gleb pamiętał, że Pałycz coś kiedyś o tym opowiadał, ale co to było konkretnie…

– Taki owad. Zmutowany moskit. – We wzroku stalkera dojrzał złość. – Ukąszenie nie zabija od razu, ale psuje krew gorzej od piwa warzonego przez Chodników… Mam febrę. Wirus. I tej zarazy nie da się niczym wytępić. Stąd „diabeł". Ilu ja lekarzy odwiedziłem… Jedyni Weganie mi pomogli.

– Przecież to wrogowie! – zawołał Gleb. Pięści mu się zacisnęły. – Oni moich rodziców…

Chłopiec się zaciął. Język nie potrafił wymówić tego strasznego słowa. Powiedzieć to, to jakby wydać ostateczny wyrok i stracić wszelką nadzieję…

– Oczywiście, Weganie to banda wampirów. Ale nawet skończony parszywiec może stać się doskonałym partnerem do transakcji, jeśli odpowiednio się dogadać i ubezpieczyć. Tym bardziej w naszym śmierdzącym mrowisku o dumnej nazwie „petersburskie metro". Zapamiętaj to, chłopcze. – Stalker wyciągnął z pokrowca walec iniektora z brązową cieczą. – Nie wiem, czego tu wlali, ale ten ekstrakt likwiduje napady choroby. I lepiej, młody, żebyś nie przysnął, kiedy znów mnie złapie.

Gleb schował lekarstwo do ładownicy na pasie. Szczęknął bezpiecznikiem, schował pistolet do kabury i ruszył za stalkerem do znajomych z wczorajszego wypadu drzwi.

Po ich zamknięciu stalker poprowadził chłopca długim korytarzem. W towarzystwie Tarana, a do tego jeszcze z bronią, Gleb nie odczuwał wczorajszego strachu. W jasnym świetle czołówki piwnica szpitala nie wydawała się już tak mroczna. A w potwornym kącie pomieszczenia, jak się okazało, stał jedynie przekrzywiony zwinięty dywan. Chłopcu zrobiło się trochę wstyd z powodu wczorajszych przeżyć. Weszli po schodach i minęli jeszcze parę zakrętów. Spod nóg wyskoczył im tłusty szczur. Przed nimi, zza przymkniętych drzwi, sączyło się światło dnia.

– Jesteśmy na powierzchni? – Gleb nagle poczuł się nieswojo.

Taran otworzył odrapane drzwi i rozglądając się dookoła, wyszedł na podwórko szpitala. Chłopiec, tak jak wczoraj, stał na granicy

światła i ciemności. Tylko że tym razem nijak nie mógł się zdecydować, żeby przestąpić próg, żeby porzucić świat półmroku, do którego przywykł.

– Dawaj, młody. Mamy mało czasu. Będziesz musiał nauczyć się wszystkiego w biegu.

Gleb zrobił kilka niezdarnych kroków, mrużąc oczy pod wpływem ostrego światła. Oczy obficie mu łzawiły. Podniósł głowę… i jęknął, padając na kolana. Nie było sufitu. Nie to, że był gdzieś wysoko, jak podszeptywała mu wyobraźnia, jego nie było z zasady. Bezkresne niebo z żyłkami szarych chmur wprawiło chłopca w osłupienie. Miał ochotę wczepić się w ziemię obiema rękami, wtulić się w nią, żeby nie zginąć w tym szarobłękitnym „nic".

– Wstawaj! – Stalker z jakiegoś powodu stał się nadzwyczaj rozdrażniony i napięty. – Jeszcze się przyzwyczaisz. A teraz idziemy!

Gleb, chwiejąc się, pospieszył za masywną postacią Tarana. Okropnie kręciło mu się w głowie. Czuł wzbierające nudności. Chłopiec potknął się i upadł, rozrzucając zbutwiałe jesienne liście. Ale stalker odwrócił się ledwie na sekundę i potruchtał dalej. Gleb poprawił rurę aparatu oddechowego i ruszył w ślad za nim. Raz, dwa, raz, dwa… Skupiwszy się na ruchach nóg, zaczął się uspokajać, ziemia przestała pod nim falować i nie dwoiło mu się już w oczach.

– Rozglądaj się na boki! Nie przysypiaj! – Taran przyspieszył kroku.

Nienawykły Gleb ledwo nadążał za stalkerem. Biegli wzdłuż ogromnych budynków z szarymi wyszczerbionymi ścianami. Po prawej stronie ciągnął się szeroki pusty teren przekopany wzdłuż i wszerz, przypominający gigantyczną brytfannę pełną kaszy. Po drugiej stronie pustego pasa znów zaczynały się domy.

– Co to za miejsce?

– Otwórz oczy, chłopcze. Przecież umiesz czytać.

I rzeczywiście, na ścianie domu po lewej widniała zakurzona tabliczka głosząca: „Prospekt J. Gagarina".

– A co z ziemią?

– O to już się krety postarały. Przed Katastrofą były takie miłe stworzonka. Tylko potem wyrosły, że hej, a i apetyt mają niczego sobie. Ten bulwar to ich terytorium. Dobrze, że choć nory kopią niezbyt głębokie, inaczej całe metro dawno by pożarły.

Gleb zerknął z lękiem na zwały ziemi i na wszelki wypadek podszedł bliżej domów – jak najdalej od ogromnych nor.

Kilka kwartałów zostało z tyłu. Po drugiej stronie ulicy, za ogrodzeniem z siatki, zaczynały się bujne kępy dziwacznych drzew, splecionych w jeden gęsty kłąb. Bardziej po prawej, na ukos od nich, widniały ruiny ogromnej okrągłej budowli.

Gleb przypomniał sobie rysunek w pewnej starej książce z obrazkami i powiedział z zachwytem:

– Koloseum…

– Jakie, u licha, Koloseum? – Stalker uśmiechnął się krzywo. – To KSK im. Lenina. No… kompleks sportowo-koncertowy. Odbywały się tam różne zawody sportowe.

– Jak w Koloseum?

– No tak. Jak w Koloseum… Nie zostawaj w tyle!

Skręcili w lewo i trzymając się bliżej domów, ruszyli wzdłuż ściany lasu. Porywy wiatru przynosiły od strony dawnego parku przeciągłe zwierzęce nawoływania i klekot nieznanych ptaków. Gleb, rozglądając się na boki, zawołał do stalkera:

– Dokąd idziemy?

– Do Parku Pobiedy w metrze.

– A dlaczego po powierzchni? Z Moskiewskiej tunel zawsze był czysty…

– Na spacer cię, głupolu, wyprowadzam. Lepiej przyzwyczajaj się szybciej. Podczas wyprawy nie będę miał czasu się z tobą cackać.

W końcu ściana zarośli po ich prawej gwałtownie się urwała. Za drzewami majaczył budynek metra przypominający krążek hokejowy. Narożnemu budynkowi brakowało wielkiego fragmentu, jakby odgryzł go nieznany olbrzym. O dawnej „uczcie” przypominały teraz tylko zwały betonu pokrywające skrzyżowanie Moskiewskiego

Prospektu i Bassejnej. Po przedostaniu się przez rumowisko, wędrowcy ruszyli do metra.

Z tyłu dobiegł ich głuchy ryk…

Stalker, odwracając się, poderwał kałacha.

Zza bloku betonu powoli wyszedł wilk. Metr w kłębie. Płonące oczy. Nieproporcjonalne, nienaturalnie długie łapy, podpalane umaszczenie. Gleb skrył się za plecami Tarana, lecz szelest dobiegający z tyłu sprawił, że się odwrócił. Z zarośli wychynęło kilku pobratymców drapieżnika i rozbiegło się na boki, okrążając wędrowców. A z pierwszego piętra na wpół zburzonego budynku mignął im cień jeszcze jednej, największej bestii. Lekko przeskoczywszy zawalisko, gigantyczny wilk – w kłębie był wysokości człowieka – wylądował miękko obok pierwszego drapieżcy. „Przywódca stada" – pomyślał Gleb.

– To wilczyca i jej miot. Sprytne stworzenia. – Stalker odciągnął zamek automatu. – Nie ruszaj się.

Taran wystrzelił w powietrze i demonstracyjnie wycelował lufę automatu w wilczycę. Ta obnażyła w strasznym uśmiechu żółte kły, ale nie spieszyła się z atakiem. Potem krótko warknęła. Młode, obchodząc z daleka wędrowców, zebrały się wokół matki. Zapanowała pełna napięcia cisza.

Nagle Gleb poczuł na plecach dotyk. Nim zdążył oprzytomnieć, stalker złapał go za kołnierz i szarpnął do przodu. Chłopiec upadł na asfalt niedaleko sfory drapieżników. Obejrzał się i popatrzył zaszczutym wzrokiem na Tarana. Ten stał z opuszczonym automatem i nieruchomym spojrzeniem obserwował wilki. Żal i strach napłynęły z nową siłą, ale potem nie było już czasu na emocje. Z miotu oddzielił się młody wilk i matka swoim długim pyskiem popchnęła go do przodu.

Lekcja polowania.

Przerażony Gleb podpełzł do stóp stalkera, ale ten zatrzymał go ostrym krzykiem:

– Albo on cię załatwi, albo ja. Wybieraj!

Chłopiec odwrócił się w rozpaczy w stronę drapieżnika i wyciągnął pistolet. Rozległy się wystrzały. W ręku poczuł niespodziewanie silny odrzut broni. Lufę szarpnęło w bok. Wilk błyskawicznie ruszył z miejsca i w dwóch skokach dopadł ofiary.

Twarde uderzenie masywnego cielska wypchnęło mu powietrze z płuc. Gleb potoczył się po jezdni. Pistolet poleciał na bok. Przed oczami zamajaczył zaśliniony pysk pełen długich kłów, lecz hełm przeszkadzał drapieżnikowi dobrać mu się do gardła. Gleb przewrócił się na brzuch i wrzasnął coś nieartykułowanego, wyciągając rękę do stalkera. Ten spokojnie obserwował walkę, nie mieszając się do niej. Zęby drapieżnika zamknęły się na nodze chłopca. Kevlarowa płytka ochroniła mięśnie, ale szarpnięcia silnej bestii miotały ciałem chłopca na wszystkie strony.

Ziemia i niebo migały mu przed oczami, drapieżnik potrząsał Glebem jak szmacianą lalką. Wreszcie ból w nodze stał się nie do zniesienia i chłopiec zawył. Zwierzę na krótko zatrzymało się i od razu oberwało obcasem po oczach. Zęby się rozwarły i Gleb poczuł chwilową ulgę. Wilk odskoczył i przywarł do ziemi, gotując się do nowego ataku.

– Zabij go! – ryknął nagle Taran.

Gleb nie był już teraz pewny, czy wezwanie stalkera było skierowane właśnie do niego. I to była kropla, która przebrała czarę. Złość, na podobieństwo zerwanej tamy, zalała mu świadomość. Złość na stalkera, który rzucił go niczym gnat na pożarcie mutantom.

W dłoni Gleba zalśnił nóż desantowy. Skoczył na równe nogi, w dobrym momencie, by przyjąć kolejny cios rozszalałego zwierzęcia. Od strasznego uderzenia szczęknęły mu zęby, a na ręce jakby zacisnęły się obcęgi, jednak Gleb ustał na nogach. Przyjął wilka na lewą rękę, dziko krzyknął i wbił szerokie ostrze w brzuch zwierzęcia. Mutant drgnął i nieco zwolnił uścisk. Gleb uderzył jeszcze raz… i jeszcze… Bestia zaczęła osuwać się na ziemię niczym kawał skomlącego mięsa. Chłopiec zwalił się na nią od góry, zadając chaotyczne ciosy. Wilk zaczął bić łapami w przedśmiertnych

konwulsjach, a Gleb, ślizgając się w kałuży parującej krwi, podniósł się i z oszalałym wzrokiem ruszył na stalkera. Z czubka noża spadały purpurowe krople, rysując na asfalcie krzywą ścieżkę. Chłopiec zbliżył się do stalkera i zrobił wściekły wypad, ale Taran nieuchwytnym ruchem założył mu dźwignię. Nóż upadł na ziemię. Stalker, przytrzymując wierzgającego chłopca, podniósł nóż, spokojnie wytarł ostrze o rękaw kombinezonu i wsadził go do pochwy w skafandrze Gleba.

Wilczyca obwąchała trupa, odwróciła się i potruchtała w drugą stronę. Młode ruszyły za nią. Po chwili wędrowcy zostali sami. Taran ruszył w kierunku wejścia do metra. Chłopiec z trudem łapał powietrze, wciąż świdrując plecy stalkera pełnym napięcia wzrokiem. Złość stopniowo ustępowała miejsca tępej obojętności i ogromnemu zmęczeniu.

– Może i nie zdechnie… – Gleb usłyszał cichy głos Tarana i przytomniejąc, podniósł walający się nieopodal pistolet i pospieszył za swoim opiekunem.

Znajomość ze światem zewnętrznym została nawiązana.

Rozdział 3: ZOO NA KÓŁKACH

Stacja Park Pobiedy powitała wędrowców czujnym milczeniem. Zaraz za hermetyczną grodzią ich oczom ukazał się skąpy wystrój pogrążonego w półmroku peronu. Sklecone z byle czego chatynki mieściły się w tyle stacji. Paliło się kilka ognisk, przy których gromadzili się nieliczni mieszkańcy. Stacja była typu zamkniętego, ale po prawej stronie brakowało wszystkich drzwi. Obok każdego przejścia jak na straganie ze starzyzną rozłożone były proste towary – suszone tuszki szczurów, prymitywnie uszyte ubrania, motki sznurków, noże…

Z tunelu od strony Elektrosiły doszedł ich odgłos niespiesznych kroków. Do stacji zbliżali się ludzie. Mieszkańcy porzucili swoje sprawy, pobiegli do stanowisk handlowych i zaczęli zapraszać mijających stację podróżnych.

Taran zaprowadził Gleba na środek stacji, gdzie znajdowało się zejście do pomieszczeń technicznych. Przy schodkach stał zasępiony wartownik z gładkolufową strzelbą. Widząc stalkera, przechylił się przez poręcz i przenikliwie gwizdnął. Z głębi peronu wyskoczył chłopaczek nieco starszy od Gleba.

– Prowadź do Batii – szepnął mu wartownik, patrząc spode łba na Tarana.

Gleb chciał już iść śladem stalkera, ale strażnik zatrzymał go ręką.

– Ten poczeka tutaj.

Taran skinął głową swojemu uczniowi i zniknął w dole. Gleb został przy schodach. Rozglądając się wokół, mimowolnie porównywał to miejsce z Moskiewską i im dłużej patrzył, tym bardziej rzucała się w oczy różnica między tymi dwiema stacjami. Warunki życia były tu bardzo prymitywne. Nawet elektrycznych żarówek nigdzie nie było

widać. Z dołu dochodził rwetes, krzyki dzieci, przekleństwa kobiet. Pachniało przesmażonym mięsem.

– A ty skąd jesteś? – Chłopina ze strzelbą wyraźnie umierał z nudów i postanowił zagaić rozmowę.

– Z Moskiewskiej.

– Ładną macie stację… – westchnął wartownik. – I baby podobno niczego sobie. Myślę, że też się tam przeniosę. Akurat Batia znów zmniejszył racje żywnościowe. Okrutnik…

– A gdzie wszyscy mieszkają? Na dole?

– Jasne, że na dole! To stacja przechodnia. Nie przypilnujesz – masz, wszystkie drzwi otwarte na oścież… Bo jak inaczej? Na górze jest park. Zwierzaki tam łażą. Tak więc wycieczki są u nas niemożliwe. Żyjemy jakoś z handlu…

Do Gleba podszedł pięcioletni brzdąc. Z zachwytem obejrzał jego ekwipunek. Przypatrzył się rękojeści pistoletu w kaburze.

– Wujku stalkerze, daj kulkę!

Gleb nie od razu zdał sobie sprawę, że chłopczyk zwraca się do niego. Dosłownie kilka dni wcześniej prawie tak jak ten malec gapił się na Tarana. Teraz to wspomnienie zdawało mu się już odległe. Jakby chodziło o życie kogoś innego. Gleb otworzył ładownicę, wyjął nabój i wręczył go chłopaczkowi. Zastanowił się przez chwilę, sięgnął do plecaka i wyjął kawałek cukru. Oczy brzdąca zalśniły z radości. Ścisnął prezenty w drobnych piąstkach i w te pędy pognał w stronę straganów.

– Mamusiu, mamusiu, patrz, co dostałem!

Wartownik odprowadził malucha wzrokiem i cicho powiedział:

– Ty jednak nie przypominasz Tarana… Mam dla ciebie radę, uciekaj od niego. Uciekaj tak szybko, jak tylko możesz. Ten wyrodek pójdzie po trupach i nawet się nie skrzywi. On już nie ma w sobie nic ludzkie…

Mocny kuksaniec w plecy przerwał ten strumień wyznań. Wartownik odsunął się.

– Mówisz o sobie, kundlu. – Stalker spojrzał złowrogo na strażnika. – Dzieciarnia wam puchnie z głodu, a ty tu siedzisz na tyłku. Okopał się, szczur jeden…

Gleb pospieszył za odchodzącym Taranem. Zeszli na tory, przeszli wzdłuż straganów i skryli się w tunelu. Gleb jeszcze długo miał przed oczami wdzięczne spojrzenie matki ciekawskiego dzieciaka.

Stacja została w tyle…

•••

Do Elektrosiły doszli bez przygód. Wtem minęła ich dziwna procesja – ponurzy ludzie z kilofami i łopatami. Przechodząc obok nich, rozstępowali się nerwowo, schodząc Taranowi z drogi.

– A ci to dokąd?

– Do Kupczina. Kopią tam tunel… do Moskwy.

– Ale przecież Moskwa jest daleko…

– Daleko. Tylko że te świry mają to gdzieś. Szukają zbawienia… Nadzieja, młody, to niebezpieczna rzecz. Straszniejsza niż ludzka głupota.

Przed nimi pojawiło się światło ogniska. Ktoś do nich zawołał. Wartownicy poznali Tarana i przepuścili gościa na stację. Tutaj było już o wiele jaśniej. Paliły się lampy, oświetlając równe rzędy namiotów. Wzdłuż jednego boku peronu ciągnął się skład pociągu. Zasłonięte okna kolejki emanowały przytulnym światłem. Mieszkańcy wagonów, ci zamożniejsi, urządzali swoje malutkie światy. Na peronie panowało poruszenie niczym w rozkopanym mrowisku. Po stacji kręcili się wszelkiej maści straganiarze, tu i tam odbywał się ożywiony handel. Z odległego zakątka stacji, ogrodzonego arkuszami blachy falistej, dochodziły pijackie krzyki i śmiechy.

– Pentagon. – Gleb przeczytał wywieszkę nad wejściem i z niemym pytaniem spojrzał na opiekuna.

– Na górze była taka fabryka. „Elektrosiła”. Kiedy ogłoszono alarm, ludzie popędzili do metra. No i do zakładowego schronu. Tutaj, niedaleko. A swój budynek administracyjny nazwali akurat

Pentagonem. No, że niby takie centrum dowodzenia jak w Stanach. I nazwa się przyjęła. Wokół tego baru kręci się całe lokalne życie. My też tu znajdziemy odpowiedzi na nasze pytania. – Taran zrzucił plecak i poszedł w kierunku szynkwasu. – Poczekaj tu. Pilnuj rzeczy.

Gleb rozejrzał się i zauważył dziwnego typa w długiej jasnej szacie. Nieznajomy wymachiwał grubą księgą i śpiewnie przemawiał do tłumu.

– Nadchodzi dzień i otworzą się bramy raju! Nastanie godzina i przybędą posłańcy nowego świata! Do brzegów przybije Arka Niebieska i zabierze męczenników do ziemi obiecanej! Uwierzcie, dzieci boże! Nadchodzi czas Wielkiego Exodusu! Nadchodzi zbawienie! Przyłączcie się do Exodusu, bracia, a poznacie prawdę! Exodus jest tutaj! Exodus z każdym z was!

Dalej Gleb już nie słuchał.

Nieznajomy z gorączkowo błyszczącymi oczami skrył się w tłumie.

Cokolwiek by chłopiec nie robił, by być niewidocznym, osobliwy kombinezon przyciągał spojrzenia przechodniów. Stopniowo wokół niego zbierali się gapie. Dwóch osiłków w panterkach, niezadowolonych z zatoru, przeszło, klnąc, nieomal po głowach zebranych.

– Ej, młody, zabieraj szmaty z przejścia! – warknął jeden z nich.

Chłopiec wcisnął głowę w ramiona, ale pozostał na miejscu. Nieposłuszeństwo wobec Tarana było straszniejsze.

Nieznajomi chciwie popatrywali na ekwipunek.

– Ktoś ci nadepnął na ucho, co? – Mężczyzna popchnął plecak ubłoconym traperem. – To nie miejsce do żebrania! Znikaj stąd!

Osiłek pochylił się nad pokrowcem, w którym leżał karabin snajperski Tarana i nagle znieruchomiał. Jego skroni dotknęła zimna lufa pistoletu.

– Sam znikaj – cicho odpowiedział Gleb, odbezpieczając swojego piernacza.

– No to pojechałeś, młody. – Mężczyzna powoli się wyprostował, przewiercając Gleba surowym spojrzeniem. – Na stacji gnatem kłuć

po oczach…

Brutalny cios w rękę sprawił, że Gleb upuścił broń. I jeszcze jeden – tym razem w brzuch. Gleb runął na ziemię, próbując złapać oddech. Przed oczami mignął mu but. Chłopca odrzuciło. Prawa strona twarzy zapłonęła bólem. Gleb wyciągnął rękę po pistolet, ale traper przygniótł mu ją do podłogi. Chłopiec zawył, zaciskając zęby.

Ale wtem osiłek w traperach padł na ziemię. Stało się to tak nagle, że jego wspólnik tylko wytrzeszczył oczy na stalkera, kiedy ten druzgocącym kopniakiem złożył go wpół.

– A ty co, sukinsynu, zazdrościsz innym dobytku? – Taran przycisnął pierwszego złoczyńcę do popękanego filaru; od ostatniego uderzenia jego głowa bezwolnie odchyliła się na bok. – Na swój nie zarobiłeś?!

Jeszcze parę mocnych ciosów w szczękę i pechowiec pokuśtykał w tłum, ocierając zakrwawioną gębę.

– Wstawaj! – Taran patrzył, jak Gleb powoli podniósł się z ziemi, potem włożył mu do ręki nóż. – Próbował nas okraść, a ze złodziejami w metrze rozmowa jest krótka.

Stalker kopnął leżące bezwładnie ciało, wykręcił bandycie rękę, przycisnął do szorstkiego betonu.

– Tnij palce!

Biedak zawył, szarpnął się. Ale Taran trzymał go w żelaznym uścisku.

– Tnij, mówię!

Gleb, ciężko dysząc, patrzył z przerażeniem na stalkera. Ręce mu się trzęsły.

– Nie…

– Tnij!

– Nie będę!

– Tnij, szczeniaku, albo samego cię porżnę na kawałki!

Gleb wytrzymał ciężkie spojrzenie swojego opiekuna, potem powoli podał mu nóż rękojeścią do przodu.

– Rżnij… To ci wychodzi najlepiej… A jego wypuść.

Dookoła zebrała się już ciżba widzów. W ciasnym kręgu zapanowała grobowa cisza. Gapie łowili każde słowo. Taran wyprostował się, puszczając złodzieja. Przez chwilę Glebowi wydało się, że w oczach opiekuna mignęło zadowolenie.

– Wynocha stąd, śmieciu! – Stalker popchnął potężnego faceta nogą. – Dziś ci się udało…

Gleb wypuścił powietrze, jednocześnie się garbiąc. W nogach znów pojawiło się zdradzieckie drżenie. Zarzucili plecaki na ramiona, w milczeniu chwycili broń i ruszyli w kierunku wejścia do technicznej strefy stacji.

Tu czekał już na nich ruchliwy, mniej więcej dwudziestoletni chłopak. Jego oczy żyły jakby swoim własnym życiem: rzucał nerwowe spojrzenia to w jedną, to w drugą stronę. Przeprowadził podróżnych przez kotłownię, przez wilgotną spiżarnię, w której oprawiano świńskie tusze. Odprowadzani bacznymi spojrzeniami mieszkańców Elektrosiły, minęli magazyn z żywnością i przez wąski chodnik przedostali się do kolektora. Poczłapali w śmierdzącej cieczy jakieś sto metrów i wdrapali się po zardzewiałych szczeblach wmurowanych w ścianę. Znaleźli się w jednym z okrężnych korytarzy fabrycznego schronu. Gleb nie próbował już zapamiętać trasy. Bez przewodnika nie mieliby tu czego szukać. Minąwszy otwarte na oścież hermetyczne drzwi, nerwowy chłopaczek przeszedł z wędrowcami krótki labirynt korytarzy i wreszcie wyprowadził ich na teren fabryki.

– Macie iść tam. – Chłopak pokazał ręką w kierunku nasypu. – Czekajcie przy torach, niedługo przyjedzie…

Zasłaniając usta rękawem koszuli, pospiesznie skrył się za drzwiami. Gleb poprawił maskę i skulił się. Nie zaryzykowałby wyjścia na zewnątrz bez sprzętu.

Taran z podniesionym automatem ruszył już w stronę linii kolejowej. W oddali rozległ się grzmot. Zaczął padać drobny deszcz. Po minięciu rozgrabionego hipermarketu, wędrowcy doszli do torów kolejowych. Po prawej widniały ruiny mostu. W powstałej wyrwie

spoczywały szczątki kilku wagonów, zagradzając Moskiewski Prospekt. Za to tory prowadzące na zachód wydawały się całe. W kilku miejscach Gleb dojrzał w deskach podkładów świeże sworznie. Torowisko wyraźnie utrzymywane było w gotowości do użytku.

Nagle Taran zepchnął chłopca z nasypu. Sturlali się ze zbocza i zalegli w rowie. Nad ziemią przemknął wielki cień. Stalker obserwował lot drapieżnika i po kilku minutach pozwolił Glebowi wstać.

– Kochacie się tam, panowie?

Chłopiec odwrócił się, słysząc okrzyk, i ze zdziwieniem patrzył na zbliżającą się konstrukcję. Po szynach jechała drezyna, obudowana ze wszystkich stron kratą z grubych żelaznych prętów. W dachu tej klatki na kołach umieszczony był kwadratowy właz, zespawany z tego samego żelastwa.

– Czołem, Taran! – Poprzez pręty klatki, rozpływając się w bezzębnym uśmiechu, na wędrowców spoglądał dziwaczny osobnik z długimi, tłustymi kudłami. Całą jego twarz pokrywały strupy i wyglądała tak, jakby wykrzywiał ją grymas. Nad prawym okiem sterczała szyszkowata narośl. – Ekspres odjeżdża według rozkładu! Odprowadzających prosimy o opuszczenie wagonów!

– Założyłbyś, Charon, maskę przeciwgazową albo co… – Stalker podsadził Gleba na drezynę. – Spłoszyłeś tą swoją mordą już chyba wszystkie mutanty.

– Mnie te wszystkie wasze triki są niepotrzebne! – Szkaradny człowiek stanął przy dźwigni, wciąż się uśmiechając. – Mnie promieniowanie nie rusza.

Taran spojrzał na wyświetlacz dozymetru i skrzywił się. Drezyna miękko ruszyła i potoczyła się po torze.

– A dlaczego Charon? – Gleb przysiadł obok opiekuna, patrząc przez kraty na ponury pejzaż zniszczonego miasta.

– Przezwisko. Była taka postać znana starożytnym Grekom. Przeprawiał dusze umarłych przez rzekę Styks.

– A ten Charon… – Gleb skinął głową w stronę sapiącego brzydala. – On też przewozi martwych?

– Nie inaczej! – Ciężko westchnął stalker. – My już od dwudziestu lat jesteśmy martwi. Zakopaliśmy się w ziemi i włóczymy się bez celu. Czegoś szukamy. Życie sobie urządzamy… Ale to wszystko na próżno. Jesteśmy martwi. Nie ma nas…

Od strony garaży dobiegło ich przeciągłe wycie. Dało się dostrzec skaczące z dachu na dach niewyraźne szare sylwetki. Ni to psy, ni to ludzie… Wyciągnięte pyski, stojące uszy. Skołtuniona sierść. Zamiast przednich łap – ludzkie ręce. Chociaż z pazurami. I nienaturalnie szerokie plecy. Stalker zdjął z ramienia kałacha.

– Cholerne zoo… Mają nas jak na patelni. – Taran puścił krótką serię.

Automat ogłuszająco zaterkotał. Jedna z kreatur, zgiąwszy krzywe, muskularne łapy, koziołkując, sturlała się do rowu. Pozostałe, szczerząc kły i rycząc, kontynuowały pogoń. Gleb wyciągnął ciężkiego piernacza, wycelował i starannie nacisnął spust. Bach… Bach… Jeszcze jeden stwór zaczął kuleć i zniknął w krzakach.

– No, brachu, przyciśnijmy! – Taran stanął po drugiej stronie dźwigni.

Drezyna przyspieszyła. Kreatury przeciwnie, zostały w tyle. Tylko jeden mutant, niezwykle duży, z uporem ścigał drezynę wzdłuż nasypu. Rozpędził się i skoczył na dach klatki. Zaskoczony Gleb przewrócił się na plecy.

Prosto na niego spomiędzy prętów patrzyło dwoje pałających oczu.

– Na co czekasz, niech cię dunder! Wal w niego!

Chłopiec potrzebował trochę czasu, żeby wyjść z otępienia.

Odbezpieczywszy pistolet, podniósł go i zaczął strzelać. Potężna seria przeszyła kudłate cielsko. Kilka kul, trafiając w pręty klatki, skrzesało iskry. Mutant szarpnął raz… drugi… Spróbował go dosięgnąć czteropalczastą szponiastą ręką, lecz kolejna kula trafiła prosto w czaszkę, rozpryskując gęstą, ciemną krew po całej drezynie. Kreatura ucichła. Charon śmiał się na cały głos, ścierając

krew ze szpetnej gęby. Taran klął przez zęby. Gleb zaś leżał na plecach z rozładowaną bronią wycelowaną przed siebie i cały się trząsł, nie mogąc oderwać wzroku od pozbawionego głowy cielska na górze.

Pistolet w jego zdrętwiałych rękach nie wydawał się już elegancką zabawką. Śledząc wzrokiem ściekające po prętach krople gęstej jak smoła krwi, chłopiec poczuł w końcu, że trzyma w ręku broń. Prawdziwą, śmiertelnie niebezpieczną. Broń, która dopiero co z taką łatwością pozbawiła życia inne stworzenie. Gleba zemdliło.

– Wesoły masz ekspres, Charonie. – Stalker odmierzył garść nabojów. – Nie przejadło ci się jeszcze tak jeździć?

– Ty, Taranie, masz swój biznes, a ja swój – odparł Charon, przestając głupio się uśmiechać. – Jesteśmy na miejscu. Wysiadajcie.

Przed nimi rozpościerał się Prospekt Strajków.

Po uregulowaniu rachunku wędrowcy zeszli z nasypu. Krótkimi przebieżkami ruszyli wzdłuż ulicy. Na ogromnym budynku z pustymi oczodołami okien Gleb dojrzał masywne litery: „FAB KA KIR WA".

– To Fabryka Kirowa?

– Przecież widzisz. Jeszcze jeden kwartał i będziemy w metrze.

Gleb często przeglądał plany metra i dlatego spytał:

– A dlaczego nie poszliśmy przez Technolożkę? Na dole jest przecież spokojniej…

– Powiedzmy, że poszliśmy skrótem. I nie wszędzie jest łatwo przejść z bronią. A my jesteśmy nią obwieszeni jak świąteczne choinki. – Stalker zwolnił kroku, okrążając głęboki lej. Dozymetr zaterkotał. – Promieniuje tu… Trzymaj się mnie. I nikomu nie paplaj o tej kolejce. To sekretna przeprawa. Z Kirowa inaczej nie da się dostać do centrum – mazuty wyjętych spod prawa nie lubią. A z Frunzeńskiej się ich nie spodziewają. I tamtędy się tacy ludzie przedostają.

Gdy tak rozmawiali, Gleb nawet nie zauważył, jak dotarli do metra. Kilka filarów budynku było powalonych, częściowo blokując przejście. Wędrowcy przecisnęli się między kawałami betonu i weszli do

westybulu. Dookoła panował chaos i spustoszenie. Jak gdyby przeszło tędy rozwścieczone stado mutantów. Z budki kontrolera zwisał oskalpowany trup.

– Kto mu to zrobił? – cicho zapytał Gleb.

– Jest tylko jedno zwierzę, które zabija dla rozrywki…

– Człowiek?

– Powiedzmy, że wyrodki. Przyzwyczajaj się. Tutaj jest takich cała stacja.

Taran przeszedł po betonowym gruzie i stanął na chybotliwych schodach ruchomych. Konstrukcja podejrzanie zadrżała, ale stalker pewnie ruszył w dół, starannie omijając dziury w stopniach. Gleb szedł po jego śladach. Schodząc coraz niżej, włączyli latarki. Ze wszystkich stron wędrowców ogarniał zwyczajny mrok podziemi… Ale z jakiegoś powodu chłopiec nie czuł się tu już jak u siebie. W krótkim czasie światło i niebo nad głową stały mu się potrzebne do życia…

Po dotarciu do hermetycznej grodzi, Taran zapukał. Głośny odgłos kroków przetoczył się echem po pochyłym tunelu. Glebowi wydało się przez chwilę, że spływające z góry światło przesłonił dziwaczny cień. Podniósł pistolet… Nie, zdawało mu się. „A odruch łapania za broń już jest” – pomyślał.

Tymczasem zazgrzytały drzwi wejścia technicznego. Na progu pojawił się brodaty dryblas w waciaku. W rękach trzymał dwulufowego obrzyna.

– Czego chcecie?

– Przenocować. I pogadać z kontrolerem.

Dryblas obrzucił gości badawczym spojrzeniem, przyjął opłatę za wejście i przesunął się w bok, przepuszczając ich na stację.

Zadymione powietrze, w którym w szaloną mieszankę zlały się odory kwaśnego tytoniu, moczu i spalin diesla, natychmiast wypełniło im płuca. Gleb zaczął kaszleć. Oczy okropnie mu łzawiły. Wzdłuż filarów kopciły pochodnie, przemieszane ze słabymi żarówkami. Na peronie panował chaos. Spod grubej warstwy śmieci,

zbitego szkła i nieczystości nie było widać posadzki. Ludzie, którzy się tam znajdowali, pili mętne piwo domowej roboty, rozwaleni pośród gór śmieci, rżnęli w karty i załatwiali swoje potrzeby.

Gleb rozglądał się zaszczutym wzrokiem. Jednak Taran wyraźnie już nieraz bywał w tym „cesarstwie". Złapał chłopca za rękaw i zaciągnął go na środek peronu. Przez tory, do samej ściany ciągnęły się drewniane mostki, ginąc w ogromnym prostokątnym tunelu. Dekoracyjne panele, które wcześniej zasłaniały wejście, walały się teraz niepotrzebne na torach. Wędrowcy weszli do środka. Wzdłuż ścian przestronnego pomieszczenia ciągnęły się wielopiętrowe regały.

– Dawny magazyn spożywczy – wyjaśnił Taran.

Teraz jednak na półkach, niczym w wagonie z miejscówkami, spali samotni mieszkańcy kryminalnej stacji. Przekraczając pijane ciała i kałuże nieczystości, stalker prowadził chłopca coraz dalej ciasnymi przejściami, dopóki nie stanęli przy okutych żelazem drzwiach z dumnym napisem „KIROV PLAZA HOTEL" nabazgranym przez nieznanego żartownisia. W okienku pojawiła się pomarszczona twarz. Staruszek poznał Tarana, a potem podejrzliwie spojrzał na Gleba.

– On jest z tobą?

– Tak.

– A więc opłata będzie podwójna! – Stary chytrze się wyszczerzył.

– Otwieraj, bydlaku!

Ohydnie zazgrzytał zardzewiały zamek. Wędrowcy wcisnęli się do środka. Zaraz za wejściem, częściowo zagradzając ciemny korytarz z ciągiem drzwi, stał nie pierwszej młodości stół. Na stole – lampa naftowa i fornirowe pudełko z plikiem karteczek. Staruszek rzeczowo założył okulary z pękniętym szkłem, usiadł przy stole, wyjął ogryzek ołówka.

– Imię, nazwisko, rok urodzenia. – Ręka zawisła mu nad żółtą kartką papieru.

– Stary, ty już całkiem zbzikowałeś! – Stalker zaczął się żołądkować.

Dziadunio z niezmąconym spokojem kaszlnął i popatrzył na gości znad okularów.

– Cel wizyty? Na ile nocy będziecie brać pokój?

Taran rzucił na stół paczkę aspiryny.

– Apartament do rana. I daruj sobie te swoje maskarady.

Starowina skrzywił się z niezadowoleniem, oderwał kawałek papierka, naskrobał coś na nim i podał Taranowi.

– Talony na śniadanie. Jadalnia jest w końcu ko…

– Wsadź sobie te talony… sam wiesz gdzie. – Stalker podniósł z ziemi plecak. – Prowadź, biurokrato…

Pokój okazał się zimnym betonowym boksem, trzy na pięć, z parą wygniecionych łóżek, zmurszałym stołem i dwoma taboretami. W kącie stała popękana emaliowana miednica i garnek z mętną wodą. Stół był rozsądnie oparty o ścianę, gdyż jednej z nóżek z jakiegoś powodu brakowało. Słaba żarówka chaotycznie migotała, ledwie rozpraszając mrok – wyraźny znak, że agregat był u kresu wytrzymałości.

– Rozgość się… – Taran rzucił plecak w kąt, oparł kałacha i karabin o ścianę. – Siedź cicho. Tutaj będziesz bezpieczny. Na wszelki wypadek cię zamknę. Klucz mam tylko ja.

Taran zniknął za drzwiami. Zazgrzytał zamek. Gleb zrzucił kombinezon ochronny, ściągnął zawilgocone buty. Zmęczenie zwaliło się na niego wielkim ciężarem. Myśli mu się plątały. Padł na łóżko i zagrzebał się w starej kołdrze. W przytulnej ciszy ledwie słyszalnie pobrzękiwała migocząca żarówka. Chłopiec patrzył na światło i rozkoszował się poczuciem bezpieczeństwa. Wreszcie ten dzień się skończył. Ściskając w ręku bezcenną zapalniczkę, Gleb zasnął.

Rozdział 4: NA POSTOJU

Światło pochodni nierównymi odblaskami tańczyło na twarzach ludzi. Pod wysokim sklepieniem pomieszczenia przetaczały się echa wielu głosów, zlewających się w jeden monotonny szum. Oczy wiernych były zamknięte, a ręce we wspólnym porywie skierowane w górę, tam gdzie na pokrytym czarnym aksamitem postumencie stał chudy mężczyzna w jasnym chałacie. Jego cienkie włosy rozwiewały się od ledwie wyczuwalnego tunelowego przeciągu, ręce trzymały czarę z wodą, a wzrok był skierowany w dal… poza ściany prymitywnej kaplicy, poza głuche tubingi wilgotnych tuneli, poza warstwę radioaktywnej ziemi… Ku powierzchni…

– Słuchajcie, bracia! Bliski już jest dzień, kiedy grzeszne dusze nasze osiągną zbawienie. Bliski jest dzień, kiedy rodziny nasze zostaną wyzwolone z więzienia podziemnego świata! – Głos mesjasza stawał się coraz twardszy, spowijając i hipnotyzując tłum. – Dziś sługa Exodusu znów widział znak! Tam, nad Wielką Wodą, stał niepomny niebezpieczeństw zatrutego świata, aż jego oczom ukazało się jaśniejące światło! Światło Arki, która obwieściła już o swoim pojawieniu się! Wybawienie jest blisko! Exodus przeprowadzi na Arkę wszystkich cierpiących, i otworzą się przed nami brzegi ziemi obiecanej! Exodus wierzy w zbawienie! Exodus modli się za was! Módlcie się i wy, bracia i siostry! Nadchodzi czas Wielkiego Exodusu! Nadchodzi wybawienie!

– Nadchodzi czas Wielkiego Exodusu! – Wierni podchwycili. – Nadchodzi wybawienie!

Mesjasz w chałacie ostrożnie opuścił czarę na postument. Oczom tłumu ukazał się stateczek zabawka kołyszący się na wodzie. Światło cienkiej świecy umieszczonej pośrodku łódeczki przykuwało liczne spojrzenia. Gwar się nasilił.

– Nadchodzi wybawienie! Nadchodzi Exodus!

•••

Gleb nie słyszał, kiedy Taran wrócił. Gdy się obudził nad ranem, zastał swojego opiekuna błogo chrapiącego na sąsiednim łóżku. W brzuchu ściskało go z głodu, ale postanowił nie ruszać się z miejsca, by niechcący nie obudzić stalkera. Sytuacja rozwiązała się sama, kiedy do drzwi zapukał wczorajszy „recepcjonista". Chytry dziadyga był nieugięty i zamierzał albo eksmitować lokatorów, albo wziąć zapłatę za dalszy pobyt. Taran sklął dziada, wstał i przecisnął mu pod drzwiami kolejne opakowanie tabletek.

Niespodziewanie ich pobyt na stacji nie ograniczył się do noclegu. Taran wyraźnie na coś albo na kogoś czekał, ale po dawnemu nie wtajemniczał Gleba w swoje plany. Po śpiesznym śniadaniu stalker zabrał się za musztrowanie ucznia, zmuszając go do robienia przysiadów i pompek aż do siódmych potów, do tego z plecakiem na ramionach. W krótkich chwilach odpoczynku uczył go obchodzić się z bronią. Przed południem Gleb już całkiem nieźle radził sobie z piernaczem, przeładowując ciężki pistolet w mgnieniu oka. Potem Taran zaprezentował chłopcu abecadło posługiwania się nożem. W doświadczonych rękach stalkera nóż desantowy tańczył jak zaczarowany, ale od swojego ucznia, naturalnie, Taran nie wymagał podobnych umiejętności, ograniczając się do instruktażu najskuteczniejszych sposobów uśmiercenia i unieruchomienia przeciwnika. Po opowieściach o ścięgnach i tętnicach Glebowi zrobiło się niedobrze, ale słuchał opiekuna z najwyższą uwagą, gdyż za każdy niedokładnie wykonany ruch natychmiast dostawał potężnego klapsa.

Kiedy zbliżał się wieczór, chłopiec w duchu zaczął przeklinać stalkera. Zdrętwiałe mięśnie bolały, a głowa puchła od nadmiaru otrzymanych informacji. Taran coraz częściej zerkał na zegarek, z niepokojem nasłuchując hałasów na korytarzu.

Bliżej północy znów ktoś zapukał. Tyle że tym razem drzwi zatrzęsły się i zaskrzypiały żałośnie pod potężnymi uderzeniami, które na nie spadły. Taran otworzył… a Gleb jęknął ze zdziwienia, sturlał się z łóżka i wywrócił przed sobą stary stół. W wejściu stał potwór… Dobrze ponad dwa metry wzrostu, barczysty gigant ze szkaradną, mięsistą twarzą i krzywym uśmieszkiem, niezgrabnie pochylony, zaglądał do środka, jakby czekał na zaproszenie. Jego skóra miała niezdrowy, zielonkawy odcień… Mutant.

Zginając się jak scyzoryk, cudak przecisnął się do środka i zajął pół pokoju.

– Giennadij – oznajmił zachrypłym basem i wyciągnął ogromną łapę do stalkera. – Dla znajomych Dym. A pan to, jak sądzę, Taran.

– Miło mi. – Stalker uścisnął olbrzymowi rękę i wskazał na chłopca. – To jest Gleb.

Chłopiec znów się zdziwił. Tym razem słowami opiekuna. Okazuje się, że ten wiedział, jak ma na imię. Coś takiego…

– Bardzo mi miło – zadudnił Giennadij.

Chłopiec niepewnie skinął głową i wygramolił się zza stołu. Zrobiło mu się żenująco niezręcznie. Żeby jakoś naprawić sytuację, wypalił:

– A dlaczego Dym?

W zębach mutanta pojawił się papieros.

– Dużo palę… – odparł gość.

Przesunął papierosa z jednego kąta olbrzymich ust w drugi i kontynuował:

– Drzwi w końcu korytarza. Czekamy na was. Przyjdźcie do nas.

Mutant ostrożnie wyszedł na zewnątrz i dwoma palcami pociągnął klamkę do siebie. Łupnęło. Brzęknęło. Na korytarzu zabrzmiało stłumione przekleństwo i mutant znów otworzył drzwi.

– Przepraszam… – Giennadij położył oderwaną klamkę na progu i sobie poszedł.

Gleb patrzył tępo w ślad za nim.

W głowie nijak nie mógł połączyć łagodnego sposobu mówienia i przerażającej powierzchowności zagadkowego gościa. Chłopiec

spojrzał ukradkiem na Tarana. Teraz stalker nie wydawał mu się już taki straszny i obcy.

– Czego tak siedzisz? Idziemy.

Sznurując buty, Gleb przypomniał sobie pewną starą książkę z obrazkami, którą kiedyś oglądał razem z Natą. Nazywało się to „komiksy". I właśnie w tych komiksach była postać – identyczna, wykapany Giennadij. Tak samo zielony i kanciasty. Tyle że ciut-ciut mniejszy. I zęby miał krzywe…

Po zamknięciu drzwi Taran i Gleb skierowali się pod wskazany adres. W przestronnej sali – nazwanie tych luksusów pokojem nie przechodziło człowiekowi przez gardło – roiło się od mnóstwa wojskowych strojów ufarbowanych w maskujące plamy. Oprócz olbrzymiego Dyma chłopiec naliczył siedmiu rosłych mężczyzn, którzy rozsiedli się, gdzie kto mógł. Jeszcze jedna osoba, otulona w nagumowany polowy płaszcz, siedziała w kucki pod ścianą, w dalszym kącie pomieszczenia.

Wśród obecnych Taran bezbłędnie rozpoznał dowódcę – surowego, rosłego młodego mężczyznę w podkoszulku i wojskowych spodniach, który siedział za zbitym z desek stołem, studiując pożółkłą od starości płachtę mapy. Gleb ukradkiem przyglądał się żołnierzowi. Brunet o uważnym, wnikliwym spojrzeniu. Wydatne kości policzkowe, proste, ostre rysy twarzy. Na prawym ramieniu regularny tatuaż – emblemat Aliansu Primorskiego. Stalker jak z obrazka.

Taran zajął miejsce przy stole naprzeciw niego, rozsiadając się w żałośnie skrzypiącym krześle.

– Kondor?

– Ten sam. A więc to ty jesteś Taran? – Komandos patrzył czujnie, wręcz nieprzyjaźnie, jak się zdawało Glebowi. – Dużo o tobie słyszałem, stalkerze. Jeśli chociaż połowa z tego jest prawdą, znajdzie się dla ciebie miejsce w mojej drużynie.

– Pracuję sam.

– A to co za szczeniak? – Kondor zajrzał za plecy Tarana i spojrzał sceptycznie na chłopaka.

– Gleb. Jest ze mną. – Głos stalkera pozostawał tak samo spokojny, całkowicie pozbawiony emocji jak zwykle, ale mięśnie na jego policzkach niemal niezauważalnie poruszyły się.

Siedzący przy stole komandos obejrzał pomieszczenie, kolejno kiwając głową w stronę swoich podwładnych:

– Szaman. Legitka. Belg. Okoń. Farid. Nata.

Słysząc znajome imię, Gleb drgnął i wyciągnął szyję. Dopiero teraz w jednym ze stalkerów rozpoznał dziewczynę. Ta, ściągnąwszy kaptur wiatrówki, zaczęła masować sobie zdrętwiałą szyję, obserwując spode łba przybyszy. Krótka fryzura, nabijane ćwiekami rękawiczki… Dumne zachowanie, kłujące spojrzenie spod długich rzęs… W skąpych, ale płynnych ruchach dziewczyny widoczne były gracja i siła dzikiego drapieżnika, na razie odpoczywającego, ale gotowego w ułamku sekundy sprężyć się i rzucić na każdego, nawet najgroźniejszego przeciwnika.

– Dyma już poznaliście. – Kondor obrócił się w stronę samotnej postaci okutanej w płaszcz. – A tego „towarzysza” narzucili nam sekciarze… Ani chybi słyszeliście o Exodusie? Przy okazji, jak cię zwą, kochanieńki?

– Iszkarij. – Nieznajomy wstał i podszedł do stołu. – Brat Iszkarij, sługa nowej religii. Pozwolę sobie zauważyć, że Exodus nie jest sektą, lecz zwiastunem wybawienia, i jedynie ci, którzy uwierzą…

– No, dość tego! – przerwał Kondor. – Jesteś w oddziale ledwo dobę, a już wszystkim nakładłeś w uszy te twoje kazania.

Młody sekciarz natychmiast zgasł i wrócił do swojego kąta.

– Co was zatrzymało? – spytał Taran.

– Na Bałtach* zapadł się tunel. Trzeba było ciut odczekać, aż zrobią przejście. Szaman, zarysuj gościom sytuację. – Kondor przesunął się ku krańcowi stołu i zaczął rozbierać na części ciężkiego pieczeniega.

Do stołu przysiadł się niewysoki, mocno nabity facet w średnim wieku – jedyny z obecnych, który wyglądał na starszego od Tarana. Długie siwiejące włosy stalkera były zebrane w porządny koński

ogon. Na głowie miał pomysłową opaskę z wyborem soczewek na lewe oko. Szaman skinął głową Taranowi, złączył żylaste ręce i przysunął mapę.

– Kilka dni temu stalkerzy z Wasilieostrowskiej wybrali się do portu. Weszli do jednego z nabrzeżnych wieżowców, żeby odpocząć. – Szaman stuknął palcem w plan Pitera. – O, tutaj, za Primorską. I zauważyli światło. Orientacyjnie od strony Kronsztadu. Sądząc z wszelkich oznak – reflektor sygnałowy. Sygnały były chaotyczne, nie udało się ich rozszyfrować. Dziwaki z Exodusu uważają, że do Zatoki Fińskiej wpłynął okręt. Coś à la wybawiciele z Władywostoku.

– Tak, tak! – Sekciarz znów skoczył na równe nogi. – Wybawiciele z ziemi obiecanej!

– Zamilknij, wielebny! – Szaman odwrócił się do Tarana: – Krótko mówiąc, nie wiem, skąd Exodus ma taką informację, ale uważają, że Władywostok uniknął uderzenia rakietowego i teraz zbiera z całego kraju ocalałych niedobitków.

W sali zapadła długa cisza. Każdy myślał o swoich sprawach.

– Brzmi naiwnie – ciągnął Szaman – ale na bezrybiu, jak to się mówi… Inną wersję mają tylko chłopaki z Technołożki. W KMOLZ-ie** był schron. Podobno pojemny. A jeśli pamiętać, że zakład pracował dla zbrojeniówki… Ogromny zapas zasobów i technologii… Krótko mówiąc, mazuty są przekonane, że to ocaleli wysyłają sygnały. I mówią, że trzeba koniecznie nawiązać z nimi kontakt. Nie znaleźli takiego reflektora, żeby sięgnął do Kronsztadu. Włączyli w sprawę Alians. No i kierownictwo postanowiło wysłać ekspedycję, żeby postawić wszystkie kropki nad i. Tylko, taki niefart, tak daleko od miasta nikt z naszych jeszcze nie dotarł.

– Będziesz pomagać na trasie, stalkerze – wszedł mu w słowo Kondor. – Tylko z góry uprzedzam, nie wchodzić mi w drogę i wykonywać rozkazy bez słowa sprzeciwu.

Taran po raz pierwszy od dłuższego czasu się poruszył, podniósł oczy na dowódcę i popatrzył na niego swoim firmowym ciężkim spojrzeniem, od którego Gleb zawsze dostawał gęsiej skórki.

– Nie da rady…

Wszyscy jak jeden mąż obrócili głowy w kierunku stołu, zbliżyli się. Jeszcze jedna długa pauza.

– Wyjaśnij.

– Na popasach możesz ganiać swoich żołnierzyków, ile wlezie, ale podczas marszu dowodził będę ja. – Taran oparł się łokciami o stół. – I nawet oddychać będziecie tylko na moją komendę… Jeśli oczywiście w ogóle zamierzacie dalej oddychać.

Gra w „kto odwróci wzrok” trwała jeszcze przez jakiś czas. Z każdą sekundą w powietrzu rosło napięcie, zapowiadając dziką awanturę.

– Zapominasz się, stalkerze! Twoja rola w misji zaproponowanej przez Alians…

– Ja się waszemu Aliansowi nie napraszałem! I ryzykować własnym tyłkiem w imię pijackich bredni starych tetryków…

Kondor nie dosłuchał do końca. Ogromna, niczym młot, pięść wystrzeliła w powietrze. Taran, odsuwając się na bok, przesadził chybotliwy stół. Wywiązała się bójka. Gleb z otwartymi ustami śledził błyskawiczne ruchy dwóch wyćwiczonych do zabijania ciał. Wypady następowały na przemian z blokami. Zaczepione nogą krzesło poleciało w ścianę i rozbiło się. Potworne uderzenie pięścią odbiło ze ściany solidny kawał tynku. Starcie dwóch mistrzów walki wręcz okazało się równie zaciekłe, jak krótkie. Taran niezauważalnym ruchem złapał rękę przeciwnika i wykonał potężny rzut. Kondor wypuścił powietrze i uderzył o podłogę. Ciężki bucior przycisnął mu głowę do szorstkiego betonu. W wykręconej ręce poczuł ostry ból. Kondor znieruchomiał, przyznając się do porażki. Stalkerzy patrzyli w oszołomieniu na pokonanego dowódcę.

– Agresja jest udziałem słabych. Słabych duchem. – Brat Iszkarij znów wyszedł ze swojego kąta. – Tylko pokora wskaże drogę do wybawienia, bracia moi! Pokora i cnotli…

– Zamilknij, wielebny. Gleb, wychodzimy. – Taran puścił komandosa i ruszył w stronę drzwi.

– Zaczekaj… – odezwała się dziewczyna. – Kondor się uniósł. Prawda, Kondorze?

Komandos, krzywiąc się, podniósł się z ziemi. Splunął krwią. Popatrzył na stalkera spode łba. Skinął głową.

– Wychodzimy rano. – Taran złapał za klamkę i tu go chwyciło.

Jak ścięty, runął na ziemię, a po jego ciele przebiegło lekkie drżenie. Nogi szurały o beton, oczy mu się zapadły.

– Co z nim?! – Kondor chciał się pochylić nad stalkerem, ale Gleb zdążył zasłonić sobą drżące ciało. Prosto w czoło komandosa patrzyła lufa pistoletu.

– Do tyłu! – warknął nagle chłopiec nieswoim głosem. – Odsuńcie się od niego wszyscy!

Stalkerzy zerwali się z miejsc, sięgając po broń. Nie spuszczając z oczu pozostałych, Gleb przysiadł obok Tarana i wolną ręką wyciągnął iniektor. Z głuchym syknięciem igła weszła w ramię.

– Nie wygłupiaj się, mały! – odezwał się Szaman, podnosząc ręce w uspokajającym geście.

– Nie ruszać się. Wszyscy! – Chłopiec nerwowo wodził gnatem od jednego kąta do drugiego. – Ty też, drągalu, dwa kroki do tyłu! Szybko!

– To zwierzak… – Kondor ostrożnie wycofał się ku ścianie.

Gleb wyszczerzył zęby niczym zapędzony w kąt szczur. Pistolet w jego ręce niebezpiecznie podrygiwał. Tymczasem Taran kaszlnął i wydał z siebie jęk.

– Chyba doszedł do siebie. – Szaman z ciekawością obserwował dziwną parę. – Nasz przewodnik, jak się okazało, ukrywa niespodziankę…

– Z godziny na godzinę coraz lepiej. Zabieraj swojego epileptyka! I lepiej, żeby szybko wyzdrowiał. – Kondor z bólem pokręcił głową. – Rano wyruszamy. Z nim albo bez niego. A teraz – wszyscy spać.

Gleb zanurkował pod rękę opiekuna i pomógł mu dokuśtykać do „pokoju”. Nie rozbierając się, padli na łóżka. Chłopiec przyglądał się mokrym smugom na ścianie i starał się uspokoić szalejące myśli.

Zacięta bójka… Nowiny o ekspedycji… W żaden sposób nie wychodziły mu z głowy słowa Iszkarija o zagadkowym świetle. Bardzo chciał, żeby okazały się prawdą. Gleb spróbował wyobrazić sobie, że stoi na pokładzie ogromnego statku, który zabiera go ku tajemniczym ziemiom z czystymi jeziorami i świeżym powietrzem. Może to właśnie o takim miejscu opowiadali mu rodzice… Rozmarzony chłopiec zamknął oczy i wtedy nagle usłyszał:

– Dziękuję… Gleb.

Te słowa zabrzmiały nieomal nierealnie, ledwo poruszając ciszę. Na stole miarowo tykał chronometr Tarana. Skroplona para ściekała po krzywym suficie, jej krople kapały na mokrą podłogę. W głowie chłopca szalała prawdziwa burza.

– Taran… A jak pan ma na imię?

Chłopiec zamarł i czekał. Nie wiedzieć czemu nagle bardzo zapragnął usłyszeć odpowiedź. Jeśli pozna imię stalkera, może nie będzie już czuł niewytłumaczalnego strachu przed nim i przestanie go nienawidzić…

– Jakie to teraz ma znaczenie? Moje imię zostało w poprzednim życiu. Jestem Taran. Śpij…

•••

W chodniku, pokrytym grubą warstwą kurzu, panował straszny hałas. Potężny wentylator z największym wysiłkiem, zgrzytając przenikliwie, tłoczył powietrze do wnętrza stacji. Umorusany technik popatrywał z troską na trzęsącą się od wibracji oś starego mechanizmu. Ostatniej działającej dmuchawy strzegli jak źrenicy oka. Powietrze Fabryki Kirowa z każdym dniem było coraz bardziej nasycone spalinami agregatów Diesla, które przedostawały się na stację. Utrata wentylatora uczyniłaby to miejsce niezdatnym do zamieszkania.

Po zakończeniu rutynowej procedury przeglądu technik wycierał zabrudzone ręce w szmatę, kiedy wydało mu się, że w szybie wentylacyjnym widzi słabe purpurowe światło. Pochylił się nad

maszyną, zajrzał do wnętrza szybu i zamarł. Na wewnętrznej ściance wyciągu do technika mrugało maleńkie czerwone światełko ładunku wybuchowego. Biedak zdążył tylko przełknąć ślinę, kiedy dioda przestała migać i zaświeciła równym blaskiem. Jeszcze ułamek sekundy i pochłonął go oślepiający błysk. Ognista fala wybuchu przetoczyła się przez korytarz i, wpadając do tunelu, „oblizała" wychodzących właśnie na stację mieszkańców.

Huk eksplozji i spazmy płonących ludzi, którzy z przeraźliwym krzykiem wpadli na stację, wywołały powszechną panikę. Stacja Fabryka Kirowa zakotłowała się jak rozkopane mrowisko.

•••

I znów wściekłe walenie w drzwi wyrwało Gleba z królestwa snu. Z korytarza dochodziły przytłumione krzyki staruszka. Recepcjonista wpadł w końcu do pokoiku i zaczął trajkotać, wściekle przewracając oczami:

– Macie przechlapane, chłopcy! Zwiewajcie stąd! Jakieś ścierwo wysadziło wentylator! Herszt szaleje! Mówi, że to niby Taran z kolesiami! Nikt inny!

– Pakuj manele, żywo! – Taran rzucił chłopcu plecak.

Zaczęli się krzątać, zbierając się w gorączkowym pośpiechu.

– Wiem przecież, że nie mógłbyś nam zrobić takiego świństwa! – ciągnął stary. – Herszt zbiera swoich chłopców! Mówi, że skalpy zedrze! Jak to usłyszałem, to zaraz tu przybiegłem!

W korytarzu wpadli na grupę Kondora.

– Już wszystko słyszałem – rzucił w biegu dowódca. – Żebym tylko wiedział, co za sukinsyn nas tak wrobił…

Wszyscy razem pobiegli przez korytarze i magazyny, mijając rozwrzeszczanych mieszkańców i góry zbitego szkła. Taran wyskoczył na peron i od razu zrozumiał, że do schodów ruchomych już się nie przebiją. Wyjście zagradzał im tłum opojów z obrzynami i karabinami. Wojacy z nich byli żadni, ale przewaga liczebna nie dawała stalkerom szans.

Taran pociągnął Gleba za rękaw i zeskoczył na tor.

– Tam są! Ukatrupić frajerów!

Zagrzmiały wystrzały. Ludzie dookoła miotali się i krzyczeli, a hałastra wciąż waliła do oddziału. Żołnierze Kondora rozbiegli się po peronie, położyli się za górami śmieci, ostrzeliwując się krótkimi seriami. Kilku bandytów padło, skoszonych celnymi strzałami. Kule wzbijały małe fontanny betonowych odłamków niebezpiecznie blisko. Zdawało się, że gwałtowna potyczka zmieni się w prawdziwą katastrofę.

Taran sięgnął do paska na kamizelce, zerwał RGD*** i rzucił go na peron. Wzbił się gęstym dym, odcinając stalkerów od bandytów. Kondor, dostrzegając przyzywające gesty Tarana, zarządził odwrót. Oddział krótkimi skokami dosięgnął krańca peronu i skrył się w tunelu. Kondor zrównał się ze stalkerem.

– Pogięło cię, Taran?! Jesteśmy w pułapce! Przed nami jest Awtowo!

Gleb drgnął. Słyszał o tej porzuconej stacji. Dziadek Pałycz opowiadał, że budowali ją odkrywkowo i do powierzchni jest ledwie czternaście metrów. Kiedyś byli tam nawet mieszkańcy. Dopóki na stację wraz z wodami gruntowymi nie zaczęła się przedostawać radiacja. Teraz jest tam tylko śmierć i spustoszenie.

– Może wolisz wrócić i zdechnąć pod kulami, mądralo?!

Po obręczy tunelu nad ich głowami gwizdnęła kula. Jeszcze jedna.

– Wykrakałeś! Wycofujemy się głębiej!

Stalkerzy, odgryzając się pojedynczymi strzałami, wchodzili coraz dalej w tunel. Bandyci spychali ich chaotyczną, lecz intensywną kanonadą. Farida cisnęło na szyny. Komandos, krzywiąc się z bólu, odczołgał się pod ścianę, obmacał kamizelkę kuloodporną i pokazał gestem: „W porządku”. Dym chciał już ściągnąć z ramienia wielkokalibrowego utiosa, ale Kondor zdążył go powstrzymać.

– Ich tam jest ponad setka! Odwrót, odwrót!

Oddział biegł tunelem, aż zamajaczył przed nimi kwadrat hermetycznej grodzi. O zamkniętą zaporę opierały się luzem arkusze

metalu i inne rupiecie. Tam też stał na szynach zardzewiały wagonik, na którym widocznie cały ten złom tu przywieziono.

– Masz ci los – odezwał się Belg, niewysoki komandos o czarnych jak smoła włosach.

Taran przyjrzał się przeszkodzie. Zerknął na wyświetlacz dozymetru.

– Na razie znośnie.

– Widać po to zamknęli hermetyczną gródź, żeby im nie przenikało promieniowanie z Awtowa. – Kondor kopnął kupę złomu.

– Nie tylko zamknęli, ale jeszcze naznosili ołowiu z fabryki. – Taran chwycił nagle jeden z arkuszy i wrzucił go do wagonika. – Ołów ekranuje promieniowanie! Co tak stoicie!

Kondor jeszcze przez chwilę patrzył tępo na doświadczonego stalkera, a potem nagle się ocknął.

– Belg, Farid – osłaniajcie nas! Szaman, Nata – gródź! Tam jest ręczny napęd! Legitka, Dym – czyścimy przejazd!

Oddział rozbiegł się na wyznaczone miejsca. Ścianki i dno sporego wagonika wyłożyli kilkoma warstwami ołowiu. Dodatkowe arkusze umieścili z boku – na improwizowany daszek. Mutant, obracając ogromnymi łapskami, wkrótce uwolnił zaporę od reszty rupieci. Jęknął mechanizm i gródź powoli zaczęła się podnosić.

– Żywo, do wózka!

Brat Iszkarij, rozglądając się zaszczutym wzrokiem, z ochotą dał nura do środka. Stalkerzy zebrali się wokół wagonika, popychając stary mechanizm. Koła ruszyły z miejsca, wagonik potoczył się, nabierając prędkości. Taran złapał Gleba za kołnierz i wrzucił do środka. Stalkerzy niczym bobsleiści po kolei wskakiwali do „pojazdu”. Wózek się rozpędzał.

– Poziom radiacji wzrasta! Maski włóż! Dymie, wskakuj!

Ogromny mutant szarpnął i przyspieszył kroku. Mięśnie potężnych niczym pnie drzew nóg nabrzmiały, ogromna klatka piersiowa nadymała się jak miech kowalski. Wagonik pędził już z niezłą prędkością.

– Przekroczysz dawkę! Właź, niech cię szlag! – wrzeszczał Kondor.

Dym zaryczał, przebiegł jeszcze kilka metrów, mocno się odepchnął i wskoczył do wagonika. Gleb usłyszał, jak na górze szczęknął arkusz ołowiu, przykrywając nadwozie. Żelazna trumna na kółkach z szaloną prędkością toczyła się po torach. Od przenikliwego pisku kół, wzmaganego w tunelu przez echo, bolały uszy. Po paru sekundach okropny dźwięk oddalił się, rozpłynął w rozległej przestrzeni. Przygnieciony ciałami stalkerów, Gleb nic nie widział. Ale lepiej nie patrzeć: pozostało im pewnie tylko kilka sekund życia. Chłopiec czuł nieopisany strach; zacisnął oczy i prawie przestał oddychać.

Wszyty w skafander dozymetr przenikliwie zaskrzeczał. Wędrowcy dotarli do Awtowa.

* Stacja metra Bałtijska (przyp. autora).
** Kronsztadzki Zakład Morski Orderu Lenina (przyp. autora).
*** Ręczny granat dymny (przyp. autora).

Rozdział 5: SZYBKI MARSZ

Gleb słabo pamiętał moment upadku. Terkot dozymetrów, niosące się echem uderzenia wagonika o przeróżne śmieci na stacyjnym torze, ostre przekleństwa stalkerów stłoczonych w wagoniku jak śledzie w beczce… Kakofonia dźwięków gwałtownie się urwała. Wagonik z przeciągłym „bammm!" wpadł na kolejną przeszkodę i wywrócił się. Stalkerzy wylecieli na tory jak z procy. Upadając, chłopiec dotkliwie walnął głową o szynę. Zatrzęsło nim. Hełm zsunął się na bok. Przed oczyma zatańczyły mu jasne plamki.

Ciemność przecięły smugi światła latarek. Okazało się, że wagonik przetoczył się prawie przez cały peron i leżał teraz żałośnie na boku niedaleko tunelu. Gleb obejrzał się ukradkiem, ale nie mógł dojrzeć szczegółów pogrążonej w mroku stacji. „A Pałycz opowiadał, że jest najpiękniejsza w metrze…" – przemknęła spóźniona myśl.

– Wstawać, mięczaki! Szybko! Szybko! Spadamy stąd! – Kondor zaczął rozdzielać kopniaki, popędzając oddział.

Taran pomknął naprzód, rozchlapując wodę stojącą na torach. I znowu tunel. Wędrowcy biegli, sapiąc rytmicznie przez filtry masek przeciwgazowych. Mijali tubing za tubingiem. Dym beztrosko palił papierosa. Widząc spojrzenie Gleba, mutant wesoło do niego mrugnął.

– Pan się nie przejmuje, damy radę. Pański kolega to ma głowę nie od parady! Sprytnie to wymyślił z tym wózkiem!

– Giennadiju, a dlaczego pan nie zakłada maski przeciwgazowej? – Chłopiec odważył się zacząć rozmowę.

Mutant wypuścił chmurę dymu, uśmiechnął się półgębkiem.

– A spróbuj, mały, znaleźć taki namordnik, żeby mu wlazł na gębę – wtrącił się Legitka.

Stalkerzy zarżeli ze śmiechu.

– No i za późno już, żeby się chronić – mruknął Belg. – Nasz Krokodyl Giena już złapał wszystko, co mógł. Nie bez powodu taki zielony…

Nowy wybuch śmiechu. Napięcie wiszące w powietrzu ulatniało się z każdym krokiem oddalającym wędrowców od Awtowa.

– Belg, pan jest katastrofalnie nietaktowny! – Dym zgasił papierosa na hełmie kolegi.

– A dlaczego Belg? – zainteresował się Gleb.

Komandos, zamiast odpowiedzieć, wyciągnął swój karabin, podstawiając go pod światło latarki.

– To FN F2000, belgijski – szepnął Legitka. – Prawdopodobnie jedyny taki w całym metrze.

– Gaduły! – urwał Kondor. – No, robimy postój.

Oddział się zatrzymał. Kondor wyjął dozymetr, powoli obszedł wszystkich, mierząc poziom promieniowania.

– Da się wytrzymać. Tym razem nam się udało. Taran, słyszałeś o Lenińskim?

– Na dole nie byłem. A od góry wyjście jest zakorkowane. Całkiem spory kawałek ulicy się tam zawalił. Nie widzę też sensu, by iść do Weteranów. Głębokość obu stacji to jakieś osiem–dziewięć metrów. Znów będzie promieniowanie, nie unikniemy tego. Trzeba wyjść na górę.

– Jak?

– Za Awtowem jest bocznica do zajezdni naziemnej.

– Trzeba będzie wracać. Do rozwidlenia.

– Nie trzeba. Idziemy już właściwym tunelem. Wyjście jest przed nami.

Kondor cicho zaklął. Spojrzał na Tarana spode łba.

– A to chytry czort z ciebie. Prowadź.

Oddział ruszył za Taranem. Gleb poczuł przyjemne łaskotanie: znów zobaczy światło dzienne! A w towarzystwie uzbrojonych po zęby stalkerów czuł się niemal bezpieczny. Ciekawe, co by powiedział ojciec, gdyby zobaczył swojego syna spacerującego na powierzchni

w towarzystwie dzielnych wojaków? Gleb szedł i uśmiechał się do swoich myśli… na szczęście w ciemności nikt tego nie widział.

Po jakimś czasie stalkerzy ostrożnie podkradli się do wyjścia. Tunel się tu kończył, a szyny biegły dalej, do zajezdni. Kawałek pochmurnego nieba sprawił, że serce Gleba zabiło mocniej. Powierzchnia… Tuż obok. Tak kusząca, lecz niebezpieczna i zdradliwa. Przypominały o tym kości i strzępy skóry, walające się tu i tam na ziemi.

Kątem oka chłopiec zauważył, jak Taran rzucił się naprzód, zbijając z nóg Belga. Mocna podcinka i obaj zwalili się na ziemię.

– A ty co, stary, całkiem ci odbi…

– NIE RUSZAJ SIĘ!

Zamarli przy samym wyjściu. Dopiero teraz Gleb dostrzegł jakąś przezroczystą substancję zwisającą z betonowego daszka. Jak gdyby ktoś rozwiesił tu szal z najcieńszej przędzy. Iluzoryczna zasłona delikatnie kołysała się na wietrze, skrajem niemal dotykając leżących na torach stalkerów. Taran poczekał na chwilę, kiedy substancja była wychylona do tyłu, mocno odepchnął się od podkładu między szynami i pociągnął za sobą komandosa. Tajemnicza „zasłona”, spóźniona, ruszyła w ślad za nimi, ale szybko opadła.

– To coś jest żywe, czy jak? – Belg skrzywił się z obrzydzeniem, adrenalina z opóźnieniem zagrała mu we krwi. – Co to w ogóle jest za cholerstwo!

Taran rozejrzał się dookoła. Podniósł spod ściany na wpół rozłożonego trupka szczura i rzucił naprzód. Truchło, zdawało się, bez przeszkód wyleciało na zewnątrz, jednak „tkanina” zerwała się z daszka i błyskawicznie omotała zdobycz kilkoma warstwami.

– Można iść – burknął przewodnik, rzucając spojrzenie Kondorowi.

Ten skinął głową w milczeniu.

Wędrowcy wyszli na powierzchnię i oddział natychmiast przeszedł błyskawiczną transformację. Komandosi przykucnęli, wyciągnęli broń i sprawnie rozmieścili się dookoła, przejmując poszczególne sektory do obserwacji. Żarty się skończyły. Rozmowy ucichły.

Tylko cisza i maksymalna koncentracja.

Gleb zerknął na stojącego obok i przestępującego z nogi na nogę Iszkarija. Sekciarz wyraźnie czuł się nieswojo. Rozglądał się przerażonym wzrokiem, cały czas poprawiając maskę przeciwgazową.

Taran stał jakąś minutę, jakby wsłuchując się w wewnętrzny głos, i nagle zdecydowanie ruszył naprzód. Pozostali podążyli za nim. Z terenu zajezdni wyszli wprost przez wysokie betonowe ogrodzenie, podsadzając się nawzajem. Jakieś sto metrów w lewo w murze widniała szeroka wyrwa – może przejść tamtędy? Ale opiekun Gleba miał swoją, zrozumiałą tylko dla niego, logikę. Nie zatrzymując się ani na chwilę, Taran popędził oddział dalej – obok rozległego otwartego placu, pełnego przegniłych wraków furgonetek, obok jakiejś gigantycznej budowli z zawalonym dachem, dalej i dalej – póki oczom chłopca nie ukazał się naprawdę oszałamiający widok. Ogromny fragment pustki, niekończąca się, ginąca w oddali łysina między domami z jednej strony a ścianą olbrzymich drzew z drugiej.

– Prospekt Strajków? – odezwał się Kondor. – Wykończymy się na otwartej przestrzeni. Trzeba iść podwórkami.

– Tu jest pełno wilkołaków – rzucił Taran, nie zatrzymując się. – Na podwórkach obchodzą ze wszystkich stron i koniec. A jak wejdziemy na prospekt, to je odstraszymy. Jest nas dużo.

Stalkerzy sapiąc, w skupieniu biegli truchtem po resztkach asfaltu wzdłuż wrosłych w ziemię samochodów, przekrzywionych billboardów i zerwanych linii elektrycznych. O dawnej potędze ludzi przypominały teraz tylko porzucone, ponure wieżowce. Wśród zawiłych tropów nieznanych zwierząt, ekskrementów i bujnej roślinności szkielety budynków wyglądały nienaturalnie i nie na miejscu. Gleb wciąż nie mógł uwierzyć, że kiedyś niepodzielnie panował tu człowiek. A już tym trudniej było sobie wyobrazić, że zbiorniki wodne były tak czyste, że można się było w nich kąpać, a w miejskich parkach zamiast bezlitosnych drapieżnych stworów

przechadzały się zakochane pary… A może to wszystko były wymysły Pałycza?

Przed nimi ukazała się zarosła gęstymi kolczastymi krzakami równina, gdzie schodziło się kilka szerokich, asfaltowych ulic.

– Plac Kronsztadzki, tak przy okazji. – Kondor sprawdził mapę. – Dobry znak! Tak, ani się obejrzymy, a tu do samego Kronsztadu doczłapiemy.

– Żebyś nie napytał nam biedy, dowódco – odezwał się siwy Szaman.

Przechodząc obok powyginanego pudełka Maksidomu, stalker o ksywce Okoń przystanął.

– Tego… Może by zbadać, jak już tędy przechodzimy. Pewnie zostało tam coś użytecznego…

– Nie – lakonicznie uciął Taran.

Kondor spojrzał ze złością na przewodnika i odwrócił się w stronę hipermarketu.

– Zajrzymy.

– Gdzie tu sens?

– ZAJRZYMY. – Ręka komandosa nerwowo zacisnęła się na automacie.

Wymiana ciężkich spojrzeń ciągnęła się przez kilka chwil. Tym razem Taran ustąpił, uznawszy widocznie, że nie będzie podważał autorytetu upartego Kondora. Stalkerzy ruszyli w stronę sfatygowanego budynku, oplecionego wijącymi się brunatnymi lianami. Uwadze Gleba nie uszło, że Taran przysunął bliżej swój AK-74, nie spuszczając wzroku z czarnej gardzieli wejścia. Ostrożnie posuwając się między chaotycznie porozrzucanymi wózkami, stalkerzy włączyli czołówki. Jasne smugi światła wychwytywały z ciemności sterty zwalonych regałów, opakowań, pudełek, folii… Wszystko to pokrywała gruba warstwa białawego brudu. Przyjrzawszy się lepiej, Gleb zauważył, że pokrywa nie jest jednorodna i składa się z milionów kawałków… Jak guano w klatce,

w której jego przyjaciółka, Nata z Moskiewskiej, trzymała swojego pupila – malutkiego szarego wróbelka…

Straszne przypuszczenie sprawiło, że chłopiec skierował smugę światła w sufit. Przewodnik widocznie doszedł do tych samych wniosków, gdyż zadarł swoją latarkę do góry jednocześnie z Glebem. Wysoko nad ich głowami jak jeden ruszający się dywan kołysało się morze połyskliwych, czarnych jak smoła ciał.

Taran zaczął zaciekle gestykulować, ściągając uwagę stalkerów. Przestraszeni komandosi zaczęli się wycofywać – bezszelestnie, w milczeniu… Do wyjścia pozostało jakieś kilka metrów, kiedy ciszę rozerwał przerażony krzyk Iszkarija.

Ułamek sekundy później rozpętało się istne piekło. Skrzydlata armia nietoperzy nagle zleciała ze swoich grzęd i gęstą chmarą runęła na zewnątrz. Stalkerzy pognali jak najdalej od sklepu. Z czeluści wyjścia zbitą, rozedrganą masą wytryskał potok skrzydlatych ciał, kierując się w górę. Zapanował straszny harmider. Czarna jak atrament plama błyskawicznie rozlała się po niebie. Komandosi, chaotycznie się ostrzeliwując, uciekali jak najdalej od strasznego lęgowiska.

Nietoperze jeden za drugim pikowały na oddział.

Żylaste ciała krwiopijców utworzyły gęstą, szarą zasłonę. Od potężnego uderzenia Gleb poleciał na ziemię. Odepchnięty zębaty pysk na chwilę zasłonił mu niebo. Taran brutalnym kopniakiem zrzucił stwora z chłopca i zastrzelił go z przyłożenia.

– Nie przysypiaj, młody! Chodu! Chodu!

Chłopiec zerwał się na nogi i rzucił pędem za opiekunem. Grube przekleństwa i kanonada dookoła nie cichły ani na sekundę.

– Wracamy! Wracamy, mówię! Pod ściany!

Stalkerzy, co zaskakujące, posłuchali. Oddział rzucił się z powrotem do hipermarketu, obiegając budynek dookoła. Czarne ciała migały im nad głowami, ale, nie mając miejsca do manewru, chrobotały tylko błoniastymi skrzydłami o blaszany szkielet ścian. Nie zatrzymując się, komandosi pomknęli wzdłuż budynku Okrętówki*. Sądząc po

licznych śladach spalenizny na murach, w budynku uczelni szalał niegdyś wielki pożar. Teraz w zwęglonym szkielecie hulał tylko wiatr. Ale również po swojej „śmierci" budynek wyświadczył ludziom dużą przysługę. Oddział przekradł się wzdłuż ścian i oddalił od gniazda nietoperzy na sporą odległość. Stalkerzy mogli odetchnąć.

Natura świata na powierzchni przypomniała natychmiast, że nie można się tu rozluźnić ani na chwilę. Parę szczególnie natarczywych stworów wyfrunęło z pustego otworu okiennego i wyrwało Natę z szyku, ciągnąc wierzgającą dziewczynę po asfalcie. Kilka kolejnych nietoperzy, widząc zdobycz, niczym kamienie runęło na nią z powietrza. Dym i Kondor rzucili się na pomoc, a pozostali otworzyli ogień do pikujących celów. Gleb otrząsnął się wreszcie z odrętwienia i teraz strzelał razem ze wszystkimi. Od huku wystrzałów zatykały się uszy. Belg, przyciśnięty do ściany obok chłopca, przyrósł do okularu celownika i walił ze swojego cudownego karabinu skąpymi, celnymi seriami. Farid i Okoń nie pozostawali w tyle, ładując do chmary z wypróbowanych kałachów. Szaman trzymał tyły, wodząc lufą wzdłuż okien uczelni.

W końcu stwory zaczęły się chaotycznie miotać. Około dziesięciu wampirów leżało już na ziemi, zdychając. Atak z powietrza się załamał. Gleb obejrzał się z przejęciem. Kondor wyciągnął dziewczynę ze zwaliska ciał, które powstało wokół szarżującego mutanta. Dym wirował jak bąk, rzucając mutantami o asfalt, głucho porykując i rozrywając pokryte szczeciną ciała gołymi rękami.

– Nie stać w miejscu! Chodu! Chodu! Chodu!!! – Taran popędził stalkerów dalej.

Po dziesięciu minutach biegu wędrowcy zwolnili. Nietoperze w końcu się odczepiły, zostały gdzieś w tyle. Jeszcze przez jakiś czas dobiegały ich przenikliwe krzyki rozwścieczonych bestii. Potem i one ucichły, pozostawiając zmęczonych i roztrzęsionych stalkerów samych.

Kondor już się nie „wychylał", podążając za przewodnikiem. Taran, zerkając na wskazania dozymetru, prowadził drużynę coraz dalej,

mijając gęstwinę Parku Poleżajewskiego, mijając ruiny Perły Bałtyku – nieukończonego w swoim czasie petersburskiego Chinatown, mijając żrące opary stawów dzielnicy Siergijewska Słoboda. Drzewa przedstawiały dziwny widok. Jakaś straszna siła powykrzywiała, poskręcała sękate pnie. Ani jednego listka na martwych gałęziach, ani skrawka zieleni wokół. Obrazu dopełniała gęsta szarożółta mgła, ścieląca się nisko nad skażoną ziemią. I z samego serca tego obrzydliwego kawałka ziemi, z zasnutego mrokiem stawu, dobiegł nagle niski, głuchy i wibrujący ryk…

Taran obejrzał się z niepokojem.

Dziwne znamię trądu na powierzchni miasta stalkerzy obeszli z daleka i wyszli na szosę Sanktpetersburską, akurat naprzeciw pustego miejsca, pośrodku którego, dumny i samotny, stał imponujący budynek.

Gleb nie wytrzymał i pociągnął opiekuna za rękaw.

– Makarowka – wyjaśnił Taran. – Akademia Morska.

Znów dobiegł ich głuchy ryk i Gleba – podobnie zresztą jak wszystkich pozostałych członków oddziału – przeszły ciarki.

– Chodźmy może się gdzieś schować – postanowił Taran, wskazując budynek akademii. – Na razie przeczekamy… Bo jeszcze tamto wylezie…

– W oknach widzę ruch. – Belg obserwował budynek przez lunetę swojego FN F 2000. – Nijak nie mogę mu się przyjrzeć. Jakby człowiek…

– Ludzi się nie boję.

Taran zdjął z ramienia kałacha i krótkimi podbiegami ruszył w stronę budynku. Stalkerzy podążyli za nim. W połowie drogi małomówny Tadżyk, Farid, nagle odskoczył w bok.

– Eeej, do diabła! Dowódco, cho no tu. Patrz!

Z ziemi sterczała strzała. Długa, z końcówką z piór, najprawdziwsza na świecie strzała.

– Indianie, czy jak? – Legitka wystrzelił serię w stronę Akademii.

– Nie marnuj nabojów! – Kondor utemperował żołnierza. – Idziemy. Dokładniutko…

Ubezpieczając się wzajemnie, stalkerzy dotarli do holu. Ich oczom ukazał się typowy obrazek – zapuszczenie i chaos, sterty śmieci, odrapane ściany. W ponurej ciszy wyraźnie dał się słyszeć szelest. Kondor i Szaman, słysząc ten dźwięk, rzucili się do korytarza, wskoczyli w otwarte drzwi i znaleźli się na klatce schodowej. Na stopniach, wśród grud błota, widniały ślady bosych ludzkich stóp. Krótkie zejście w dół kończyło się kolejnym korytarzem. Potem przejście prowadziło do pomieszczeń piwnicznych, lecz wzrok stalkerów przykuła przymknięta hermetyczna gródź. Kondor pokazał gestami pozostałym, żeby zaczekali na zewnątrz, i razem z Szamanem zniknął w środku.

Gleb i Taran wrócili do holu, żeby obserwować okolicę. Chłopiec poprawił aparat oddechowy. Spocona skóra pod gumową maską okropnie swędziała. Ponury krajobraz za wybitym oknem nie budził już w nim wcześniejszego entuzjazmu. Po tym intensywnym marszu nogi miał jak z ołowiu, a w pustym brzuchu burczało.

– Jak się masz, synu? – Brat Iszkarij przysiadł obok niego, rozmasowując zmęczone łydki.

– Dobrze – burknął Gleb.

Nie ciągnęło go do rozmów z na wpół szalonym sekciarzem. Chłopca bardziej zajmował teraz tajemniczy nieznajomy, który skrył się na dole. Jednak Iszkarij, jak się zdawało, nie zauważył gburowatego tonu Gleba, pogrzebał w fałdach swojego płaszcza i podał mu zabrudzoną fotografię. Chłopiec nie zdołał powstrzymać okrzyku zdziwienia. Na obrazku była woda. Bardzo dużo wody. Po sam horyzont… Morze… Albo nawet ocean… A pośród fal dumnie unosił się ogromny stalowy okręt z wielkim białym numerem „101” na burcie.

– To krążownik rakietowy „Wariag” – wyszeptał nabożnie Iszkarij. – Okręt flagowy rosyjskiej Floty Oceanu Spokojnego. To właśnie ta arka, która zabierze nas do ziemi obiecanej.

– Taran mówi, że i tak już wszyscy jesteśmy martwi. I nie ma co mieć nadziei… Naprawdę pan wierzy, że gdzieś daleko, w innych miastach jest życie? – Chłopiec spojrzał na sekciarza z przejęciem.

– Wierzę, synu. Exodus jest nazywany zbieraniną ślepych fanatyków, którzy nie chcą przejrzeć na oczy i zaakceptować twardej rzeczywistości. Tak, stoimy mocno przy naszej wierze! – Iszkarij zbliżył się do Gleba, patrząc mu uważnie w oczy, i ciągnął dalej szeptem: – I wiara nasza jest poparta faktami. Brud radiacji i zniszczenia, spowodowany przez człowieka, uczynił ziemię niezdatną do życia. Jednak są jeszcze miejsca, gdzie nie dotarły chciwe objęcia chaosu! Są! Exodus wie! Exodus wierzy! Uwierz i ty, synu!

Taran przerwał namiętną przemowę Iszkarija, odganiając sekciarza w drugi kąt holu. Pożółkła fotografia pozostała w rękach Gleba. Chłopiec ukradkiem schował kawałek papieru do kieszeni kamizelki. Słowa sekciarza brzmiały w głowie Gleba jak dzwony – „…są jeszcze miejsca, gdzie nie dotarły chciwe objęcia chaosu… są jeszcze miejsca… SĄ JESZCZE MIEJSCA…”.

Gleb sam chciał w to wierzyć.

Muszą być miejsca na ziemi, gdzie ludzie mogą żyć bez masek przeciwgazowych, bez dozymetrów, żyć na powierzchni, pod słońcem, żyć tak jak kiedyś! Gdzie jest trawa, zielona i miękka jak na obrazkach w książeczkach dla dzieci, i gdzie niebo jest niebieskie, jest dużo jedzenia i czystej wody… Gdzieś musi być taki świat, o którym Glebowi opowiadała mama, kładąc go – jeszcze jako zupełnego malucha – do snu.

– Muszę znaleźć to miejsce… – Gleb nie zauważył, że powiedział to na głos.

– Co? – Taran odwrócił się do swojego ucznia. – Co powiedziałeś?

Chłopiec zawstydził się i potrząsnął przecząco głową.

Tymczasem z korytarza wyłoniła się procesja stalkerów. Kondor i Szaman ciągnęli opierającego się człowieka w brudnych łachmanach. Nieznajomy beczał i obnażał zęby. Na biodrach biedaka

wisiała wytłuszczona wilcza skóra. Na szyi – wiązka zeschniętych szczurzych ogonów. Niskie czoło i nienaturalnie wąsko osadzone oczy dopełniały osobliwego wyglądu dzikusa.

– Widziałeś kiedyś takich, Taranie?

– Pierwszy raz widzę człowieka z powierzchni. Niby to bracia w rozumie…

– To jakiś mutant, czy co? – palnął Legitka, ale zorientował się i spojrzał z poczuciem winy na Dyma.

– Krótko mówiąc, na dole jest splądrowany schron bombowy. Kości, skóry, suszone mięso… Tam musi mieszkać cały tłum takich jak on. – Kondor szturchnął nieznajomego w bok. – Tylko coś nie da się z naszego neandertalczyka wyciągnąć, gdzie się urwali jego kumple.

– Według mnie on was po prostu nie rozumie.

Przewodnik podszedł blisko do nieznajomego. Popatrzył mu w oczy, jakby zaglądał w jego duszę. Dzikus przestał beczeć.

– Chcesz jeść?

Pokraczny człowiek ożywił się. W oczach zapaliło mu się zainteresowanie. Taran podał mu opakowanie wojskowych sucharów z indywidualnych racji żywnościowych. Dzikus szybko rozerwał zębami opakowanie i z przyjemnością pożarł poczęstunek. Stalker wyciągnął jeszcze jedną paczkę, ale nie spieszył się z jej oddawaniem. Nieznajomy bojaźliwie wyciągnął brudną rękę i z okropnym trudem przypominając sobie ludzką mowę, wydusił z siebie zaledwie jedno słowo:

– Dddaj…

– No proszę, jest kontakt! – Kondor pochylił się nad obszarpańcem. – GDZIE. INNI. TACY JAK TY.

– Nie… – Dzikus zamyślił się, z trudem dobierając słowa. – Poooszli… dawno… Ja sam… dawno…

Taran wetknął biedakowi opakowanie sucharków.

– Wypuśćcie go. Jest nieszkodliwy. Za jakieś piętnaście lat sami się w coś takiego przerodzimy.

– Ugryź się w język!

Rozczochrany oberwaniec został wypuszczony. Stalkerzy gwizdali i krzyczeli, udając Indian, obserwując, jak półgoły człowiek odchodzi, śmiesznie zadzierając krótkie guzowate nogi. Przeciągłe histeryczne wycie zatrzęsło okolicą. Bagno zabulgotało i wypuściło trujące opary.

– Może zanocujemy tu, na dole? – Szaman przeżegnał się. – Coś nie mam ochoty tłuc się po ciemku jak ślepe kocięta…

– Nie podoba mi się to miejsce. Niedaleko stąd jest Pałac Konstantinowski. Piwnice ma z hydroizolacją. Powinno być sucho. Tam się zatrzymamy. – Taran wyszedł na deszcz.

– No, czego stoicie? Naprzód!

Poganiani przez Kondora stalkerzy opuścili Makarowkę. Gleb szedł za opiekunem. Po spotkaniu z dzikusem w duszy został mu nieprzyjemny ślad. Co, jeśli mieszkańców dalekiego miasta spotkał ten sam los? Co, jeśli zamiast dawnych mieszkańców w opuszczonych gęstwinach żyją niedorozwinięte, zwyrodniałe dzikusy? Chłopiec dręczył się domysłami.

Lecz w kieszeni – razem z zapalniczką – miał teraz starą fotografię. I domagała się ona od Gleba, by kontynuował poszukiwania.

* Ros. Korabelka, nieoficjalna nazwa Petersburskiego Morskiego Państwowego Uniwersytetu Technicznego (przyp. red.).

Rozdział 6: SYMBIONT

Pałac Konstantinowski powitał gości lodowatą obojętnością. Chłodne piwnice, choć chroniły przed niepogodą, to w porównaniu z „tropikami" metra bynajmniej nie sprzyjały spokojnemu odpoczynkowi. Kuląc się z zimna, Gleb z ciekawością przysłuchiwał się niespiesznemu dialogowi dorosłych.

– No i właśnie ten facet przed Katastrofą pracował jako budowniczy metra – opowiadał Legitka. – Jak był na bani, to takich rzeczy mi naplótł… Że niby właśnie tutaj, pod Konstantinowskim budował bunkier rządowy! Opowiadał, że zagnali tam mnóstwo ludzi. Kopali chodniki na trzy zmiany. Bez przerwy. A szefował im…

– Blagier z tego twojego znajomka, jak się okazało! – przerwał opowiadającemu Kondor. – Nie ma tu żadnego schronu. Jak wrócimy, to osobiście znajdę tego twojego bajkopisarza i nauczę go rozumu. Żeby nie paplał bez sensu…

– No to przecież mówię, łże jak pies… – Legitka speszył się i szybko zmienił temat. – Powiedz mi lepiej, dowódco, czy nie dałoby się poszukać jakiejś łódki? Żeby się obyło bez całej tej szarpaniny! Wsiadamy, odpalamy silnik i hop! Już jesteśmy w Kronsztadzie!

– No więc nie dałoby się. – Szaman postawił na kuchence polowej puszkę z tuszonką. – Myślisz, że tylko ty jesteś taki sprytny? Wychodziliśmy kilka razy, ale wszystko na nic. Sama rdza i zgnilizna… Chcieliśmy poszperać w suchych dokach. Doszliśmy już do Stoczni Północnej, a tam żadnych doków, wszędzie wypalona ziemia. Nie znajdziesz miejsca ze śladami życia, jakby przeszło stado nosorożców. Nie wiem już, co tam wtedy pierdyknęło, ale nie ma tam już nic do roboty.

– Trzeba było iść do „Admirała" – wtrącił autorytatywnie Legitka.

– Ugryź się w język, smarkaczu! – Szaman się szarpnął. – Stocznia Admiralska to miejsce zakazane, przeklęte. Tylu sensownych chłopaków tam zginęło! A najważniejsze, że nadal nie jest jasne dlaczego.

– Mówią, że zaczyna człowiekowi odbijać, starczy tylko przejść przez portiernię… – Twarz Kondora migotała tajemniczo w świetle kuchenki.

– A ty, Taran, przypadkiem czegoś nie słyszałeś?

Gleb spojrzał na swojego opiekuna. Ten półleżał oparty o ścianę, z zamkniętymi oczami. Milczał przez chwilę, po czym odpowiedział:

– Tam jest gniazdo „mentali”…

Zapadła cisza. Stalkerzy spoglądali z zakłopotaniem na przewodnika. Nata nie wytrzymała pierwsza:

– Że jak? „Mentale”? Pierwszy raz o czymś takim słyszę.

– I daj Boże, żeby ostatni… – Taran odwrócił się, układając się do spania.

•••

Tej nocy Gleb po raz pierwszy w życiu objął wartę. Kondor uznał, że z „małoletniego balastu” powinien być jakiś pożytek i kazał chłopcu zmienić Okonia. Gleb umościł się na zardzewiałym grzejniku i okropnie ziewał. Wachta nosiła charakter czysto nominalny, ponieważ wejście na poziom piwnicy stalkerzy przezornie zabarykadowali, odgradzając się od świata zewnętrznego. Gleb nie miał nic do roboty, postanowił więc przespacerować się po najbliższych pomieszczeniach. Nie wytrzymał i wziął z sobą cudzy noktowizor. Drogocenna zabawka należała do dowódcy komandosów, ale Gleb za nic na świecie nie poprosiłby go o pokazanie mu magicznej maszynki – Kondor wciąż uparcie nazywał małego Zwierzakiem.

Gleb założył noktowizor i zagłębił się w labirynt płytkich piwnic pałacu. Pod butami chrzęściły mu kawałki zbitego szkła. Odłamki butelek zaścielały większą część podziemi. Pod ścianami stały

pochylone, na wpół zgniłe regały z przegródkami. Stały też tu luzem popękane drewniane beczki i wiązki zeschłej brunatnej słomy. Taran wieczorem opowiadał o jakichś piwniczkach z „winami", ale nie podjął się wyjaśniania Glebowi znaczenia słowa „wino". Podniósł tylko wzrok i zmrużył oczy, jakby wspominając coś strasznie przyjemnego.

Gleb dotarł do ostatniego pomieszczenia. Tak samo jak przy pierwszym obchodzie piwnicy w kącie samotnie stała szpula z kablem. Na przeciwległej ścianie wydrapany był prymitywny obrazek – czaszka z zamazanymi czymś czarnym oczodołami. Kondor wysunął wtedy przypuszczenie, że musiały tu przychodzić dzikusy, takie jak ten, którego spotkali w Makarowce. W noktowizorze zobaczył ciekawy widok, którego wędrowcy nie zauważyli wcześniej w wąskiej smudze światła latarki. Przy krawędzi szpuli kabla na betonowej posadzce Gleb dojrzał krawędź szczeliny. Zaintrygowany chłopiec złapał za bok masywnej szpuli, napiął mięśnie i odsunął ją na bok…

Teraz już wyraźnie widać było kontur okrągłego włazu i podkówkę metalowego uchwytu. Zżerany przez ciekawość, Gleb chwycił za skobel i co sił pociągnął go do siebie. Sapiąc z wysiłku, podniósł pokrywę. W podłodze ziała czeluść pionowego szybu. Światło latarki padło na pokryte rdzą szczeble drabiny. Chłopiec zawisł nad otworem, ale, choćby nie wiadomo jak się wysilał, nie mógł dojrzeć dna. Ze środka dochodziła ledwie wyczuwalna woń rozkładu. Wtem ogarnął go niepojęty paraliżujący strach. W tyle głowy ukłuło go ukryte poczucie nieznanego niebezpieczeństwa.

Trzeba wracać do pozostałych, obudzić stalkerów i ich uprzedzić… Nawet jeśli zdoła teraz zamknąć właz, pewnie zostaną też inne wejścia… Tu nie jest bezpiecznie!

Gleb był już pewny, że chce wracać, gdy nagle z kieszeni na piersi wypadła mu zapalniczka. Spróbował ją złapać, ale palce prześlizgnęły się tylko po metalowym korpusie. Zapalniczka brzęknęła o krawędź luku i zniknęła w mrokach szybu. Zrozpaczony,

zamarł nad otworem. Po chwili z dołu dobiegł daleki dźwięk. Zapalniczka spadła na dno. Chłopiec omal nie zawył. Wszystko, tylko nie to!

Na rozmyślaniach upłynęła mu równo minuta. Ponownie założył noktowizor i aparat oddechowy i ostrożnie wsunął się do szybu. Serce mu zamarło, ręce zdradziecko drżały, ale Gleb uparcie posuwał się w dół. Kiedy prawie dosięgnął celu, przerdzewiały na wylot szczebel rozsypał się pod ciężarem jego ciała i chłopiec, zanim zdążył się porządnie przestraszyć, runął w dół szybu.

Upadek okazał się niezbyt przyjemny. Od uderzenia Gleb stracił dech i zamiast spóźnionego krzyku z gardła wyrwało mu się tylko żałosne chrypienie. Chłopiec podniósł się i zaczął gorączkowo macać po betonie w poszukiwaniu zapalniczki. Jest! Schował swój skarb, potarł stłuczony łokieć i ruszył w drogę powrotną. W którymś momencie zamiast na kolejny szczebel ręka trafiła w pustkę. Kiedy z grubsza obliczył odległość do następnego szczebla, zrozumiał, że droga na górę jest odcięta. Bardzo nie chciał wołać o pomoc, ale innego wyjścia nie było. Zadarł głowę i już miał krzyknąć, kiedy na górze głośno zazgrzytała ciężka pokrywa. Właz się zatrzasnął.

„A chciałem go przecież czymś podeprzeć!" – przemknęła mu przez głowę spóźniona myśl. Gleb uspokajał się tym, że wcześniej czy później zorientują się i go znajdą. W końcu wyjście z piwnicy jest zabarykadowane, więc szukać będą w środku. Ale wcale nie zrobiło mu się od tego lżej. Stłumił jednak atak paniki, zszedł na dno szybu, odbezpieczył piernacza, podkręcił noktowizor i uważnie rozejrzał się dookoła…

Przed jego wzrokiem ukazał się długi, prostokątny chodnik, ciągnący się w dwie strony. Cisza… Żadnych szelestów ani przeciągu jak w tunelach… Nic… Absolutny mrok i nagi betonowy korytarz prowadzący nie wiadomo dokąd.

Nie miał ochoty siedzieć w miejscu i pokornie czekać na pomoc. Może uda mu się znaleźć inne wyjście… Gleb obiema rękami uniósł przed sobą pistolet i ruszył naprzód. Dziesięć metrów…

dwadzieścia… ślepy zaułek. Masywne żelazne drzwi. Oszklone okienko miało zardzewiałą metalową kratkę. Po drugiej stronie nie dało się nic dojrzeć. Kółko obsługujące zasuwę się nie poddaje… Tych drzwi wyraźnie od dawna nikt nie otwierał.

Chłopiec bezszelestnie wrócił do szybu i ruszył dalej. Po dziesięciu metrach korytarz łagodnie skręcał, ukazując kilka rozwidleń. Zachowując wszelkie środki ostrożności, Gleb metodycznie obszedł niewielki kompleks składający się z kilku sal zawalonych rupieciami oraz szeregu mniejszych pomieszczeń. Nie licząc odpadów budowlanych rozrzuconych chaotycznie po podłodze, wszędzie było pusto. Pod jedną ze ścian samotnie walało się jakieś wielkiej mocy narzędzie budowlane… Wiertarka? Młot pneumatyczny? Gruby kabel ciągnął się od sprzętu przez cały pokój i znikał na korytarzu.

Pod sufitem zwisały rozciągnięte niedbale po całym kompleksie girlandy z rzadka rozmieszczonych żarówek. Wnioskując z prowizorycznego oświetlenia i braku kabli elektrycznych na ścianach, obiekt ewidentnie był nieukończony. Ale w takim razie skąd brali prąd? Gleb poszedł wzdłuż kabla, ciągnącego się przez cały korytarz i ginącego w końcu za rogiem. W niewielkiej niszy, za przepierzeniem, stał agregat Diesla… a za nim, zaraz za beczkami z olejem napędowym, zaczynał się niski pochyły korytarz…

Rząd nierównych schodków prowadził w dół. Zresztą okazało się, że nie było ich zbyt wiele.

Z dołu dobiegały niepojęte dźwięki.

Chłopiec przysiadł, powoli zajrzał do odkrytej sali… i wzdrygnął się. Obraz, który ukazał się jego oczom, nie poddawał się żadnemu opisowi. Niedorzeczna, koszmarna fantazja, która zamieniła się w rzeczywistość… Zastygł w stuporze, nie mając sił, by się odwrócić, i patrzył…

Patrzył na tych… a raczej na to, czym stali się zaginieni pobratymcy dzikusa z Makarowki. Pośród licznych skrzynek i worków, wydając mlaskające dźwięki, niespiesznie krzątali się pół ludzie, pół trupy z nieproporcjonalnie rozdętymi brzuchami. Ich twarze wykrzywiał

obłęd. Niezgrabnie operując poharatanymi do krwi palcami, grubasy w szale pożerały tuszonkę, jakieś rozkładające się kasze, kawałki zwilgotniałej substancji… najprawdopodobniej mąki. Gleba zgięło z obrzydzenia, ale dalej obserwował, jak jeden z nieszczęśników napycha sobie usta zbutwiałym ryżem, wymacując jednocześnie na stercie kolejną konserwę i próbując rozbić ją o róg żelaznej skrzyni.

Co za obłęd ogarnął tych ludzi w magazynie z żywnością, leżącą tu widocznie jeszcze od czasów przedwojennych? Chłopiec próbował zachować zimną krew, obserwując poruszające się w mroku człekopodobne istoty, ale coraz bardziej ogarniał go irracjonalny strach. Noktowizor nie dawał dokładnego obrazu.

Gleb dojrzał jakieś migotanie w sali… pokręcił gałką strojenia. I tu noktowizor padł.

Chłopiec włączył czołówkę… Smuga światła wyłapała z ciemności opuchniętą, mieniącą się sino twarz najbliższego człowieka. Ten zmrużył oczy, potem, pokonując ból, otworzył je i na moment jego twarz przybrała rozumny wyraz.

– Aaa… eee! – zabeczał grubas. W wybałuszonych oczach dało się wyczytać cierpienie. – Zaaa… mieee!!! Zaaabbbiiijjj! Mieeee…

„Zabij mnie – domyślił się Gleb. – On chce umrzeć… Boże!”

Gleb skierował światło w głąb sali i w końcu zobaczył TO… Kilka ciemnobrązowych węży ciągnęło się z szerokiej szczeliny w podłodze pomieszczenia, niknąc w ciałach nieszczęśników. Z rzadka po mackach przechodził skurcz i widać było, jak impulsami płynie nimi krew z ciał ofiar. Nieznany stwór w ten wyrafinowany sposób taktował ludzi, niczym dojne krowy, przyssawszy się do nich, zatopiwszy zakończenia nerwowe w mózgach nieszczęśników, trzymając ich na swoistej „smyczy”, stymulując ich ośrodki sytości i głodu. I „ludzie” żarli… Żarli, dławili się zgnilizną, ślepo macając po podłodze w poszukiwaniu czegoś jadalnego, balansując na granicy życia i śmierci, ale nie będąc już istotami rozumnymi.

Zanim zdążył o czymkolwiek pomyśleć, prawie nie celując, chłopiec wystrzelił w nieszczęsnego grubasa, który cały czas coś błagalnie

bełkotał. Ciało drgnęło i ciężko opadło na podłogę.

Niepojęty, nieprawdopodobny przypadek… Dziki, odpychający, ale sądząc z wszelkich oznak, skuteczny… Jak to się nazywa? Symbioza…

FERMA…

Dopiero teraz chłopiec zauważył zdechłe szczury, którymi usłana była przestrzeń wokół. Trupy tłustych, przeżartych szczurów z ziejącymi ranami na bokach… Szczurów, porzuconych przez diabolicznego stwora dla większej zdobyczy. Od razu stał się jasny sens rysunku w piwnicy. Ostrzeżenie pozostawione przez ocalałego dzikusa…

Od całego tego nierealnego obrazu Gleba zemdliło. Chciał jak najszybciej uciec z tego strasznego miejsca…

Uderzenie w szczękę było błyskawiczne i mocne. Chłopca odrzuciło na schodki. Piernacz wyleciał mu z rąk i zniknął w ciemności. Czołówka z brzękiem rozbiła się o kant schodka.

„Chwała Bogu, po masce… – przemknęło mu przez głowę. – Zęby całe…”

Ułamek sekundy później maskę pociągnęło gdzieś w bok.

„Latarka w kieszonce na piersi… Szybko!”

Światło wychwyciło z ciemności, tuż przed oczami chłopca, wilgotną mackę, przyssaną na amen do przezroczystego plastiku. Tracąc dech ze strachu, Gleb gorączkowo zerwał maskę z głowy. Napiął się przewód powietrza. Trzeba było odciąć go nożem. Chłopiec wymacał upuszczony pistolet i wgramolił się tyłem po stopniach. Drugi atak nie nastąpił. Gleb rzucił się do góry, wrzeszcząc ze strachu… Strachu, że zostanie w nieprzeniknionym mroku sam na sam z nieznanym stworem.

Co dziwne, właśnie to uczucie sprawiło, że mózg zaczął mu pracować właściwie.

„Tylko żeby się udało… Żeby się udało… Dawaj, stary gracie, zapuszczaj!”

Długie wachty w „maszynowni” ojczystej Moskiewskiej nie poszły na marne. Chłopiec mógłby uruchomić diesla z zamkniętymi oczami.

Teraz te nawyki okazały się bardzo *à propos*. To niewiarygodne, ale stary agregat zadziałał. Stękał kilka sekund w głębi zardzewiałych wnętrzności, drgnął i zaczął sapać. Blade światło, jaśniejąc stopniowo, rozproszyło ciemność korytarza. Gleb zamarł. Obok niego kołysał się jeden z grubasów i z chciwie rozwartą śmierdzącą paszczą wyciągał do niego ręce. W głowie rozbłysły lekcje opiekuna. Chłopiec odskoczył, odruchowo naciskając na spust. Huk wystrzałów rozległ się głośno w całym kompleksie. Kule rozszarpały grubasowi bok. Jak z rozerwanego worka na ziemię wypadły brunatne jelita razem z kawałkami przełkniętego jedzenia. Nieszczęśnik stał, patrząc tępo na swój brzuch. Po twarzy błąkał mu się głupi uśmiech. Wyszczerzył się idiotycznie, zaczerpnął z rany garść własnych flaków i podniósł do ust…

– Ty nie jesteś człowiekiem… – Gleb powiedział to na głos, żeby odegnać przerażenie, rozproszyć tę diabelską grozę. – Nie jesteś…

Drugi wystrzał rozwalił grubasowi czaszkę na kawałki. Macka natychmiast odczepiła się od trupa i została wciągnięta do legowiska stwora. Przezwyciężywszy strach, chłopiec rzucił się za nią. Oglądając się na pęknięcie w podłodze, podniósł broń. Piernacz ożył w jego rękach, obdarowując spokojem duszy pozostałe żywe trupy.

Dopiero gdy skończył z ostatnim z nich, Gleb uświadomił sobie, że owych ni to macek, ni to kiszek nigdzie nie było widać. W przeklętej szczelinie też nic się nie ruszało.

Za to z głównego korytarza dobiegło przenikliwe skrzeczenie… Gleb powoli odwrócił się i zobaczył go… stwora.

To coś wisiało na suficie, przysysając się mackami do betonu. Odpychające, niemożliwe, niewiarygodne zwierzę… Potwór. Skrzyżowanie ośmiornicy z modliszką. Z jakiego bagna ten stwór przypełzł do bunkra? Co było impulsem do pojawienia się na świecie podobnego nieporozumienia?

Szczęki w pysku stwora poruszały się powoli, wypukłe ciemne oczy patrzyły nieruchomo na chłopca… Umysł odmawiał postrzegania tego mutanta jako czegoś realnego…

Bestia nie zamierzała jednak znikać. Wisiała nieruchomo pośrodku korytarza, roztaczając wokół siebie nieznośny, mdlący odór.

Gleb stał jak wryty, nie mając siły ruszyć się z miejsca. Stał w odrętwieniu, spoglądając w twarz własnej śmierci. Na nodze poczuł ciepłą wilgoć. Pistolet wypadł z trzęsącej się ręki. Zdradziecka ociężałość w mięśniach sprawiła, że padł na kolana. Z rezygnacją opuścił głowę na pierś…

– Na ziemię!

Taran wynurzył się zza rogu niczym diabeł z pudełka. Podniósł kałacha, naciskając spust. Plujący ogniem automat został mu jednak wytrącony z ręki, pociski chybiły. Potwór okazał się nad podziw zręcznym i bystrym przeciwnikiem, rozumiejąc, jakie zagrożenie kryje się w broni. Taran cofnął się. „Władca marionetek" niespiesznie ruszył za nim, wprawnie posługując się przyssawkami. Automat był poza zasięgiem.

Wywabiając mutanta jak najdalej od składu, stalker popędził korytarzem. Kolejnego ataku stwora nie zauważył… poczuł tylko uderzenie w nogi i padł jak długi na ziemię. „Władca marionetek" przygotował się… i uderzył znowu. Macka walnęła o goły beton – człowiek zdążył już przeturlać się na bok. Taran przemieścił się i dał nura w otwór drzwiowy, rzucając za siebie granat. Rozległ się wybuch. Przytkało mu uszy. Poczuł w boku ból od uderzenia kawałkiem betonu, który rykoszetem przeszył powietrze. Z korytarza biły gęste kłęby dymu wymieszanego z pyłem.

Stalker odetchnął, podniósł się na łokciu i wymacał rewolwer. Wśród dymu, czepiając się framugi, do pomieszczenia wpełzł „władca marionetek". Ciało bestii było miejscami zwęglone. Kilka macek zwisało bez życia jak dymiące pędy, jeszcze więcej było oderwanych. Taran otworzył ogień. Ścianę oświetliły ostre rozbłyski. Dziewięciomilimetrowe pociski miotane przez rewolwer Nosorog niemiłosiernie młóciły beton, wzbijając fontanny kamiennych odłamków. Monstrum nie miało szans przeżyć w tym piekle… nie miało… gdyby nie ruszało się z miejsca. Mknący cień stalker

zauważył zbyt późno. Dymiące cielsko zbiło go z nóg, przeciwnicy potoczyli się po posadzce, wściekle rycząc. Uchylając się przed kłapiącą paszczą, Taran odrzucił rozładowany rewolwer, sięgnął po nóż i z całej siły wbił ostrze w cielsko „władcy marionetek". Żywotny stwór kompletnie nie zareagował, czepiając się ofiary resztkami macek i próbując dostać się do gardła. Stalker uderzył jeszcze raz… i jeszcze. Spróbował przebić czaszkę potwora, ale ostrze ześlizgnęło się bezsilnie, haratając tylko głowę drapieżnika. Taranowi szybko topniały siły. Paszcza niecierpliwie kłapała przy samej jego twarzy. Mdląca woń mąciła mu świadomość.

Trzęsąc się ze strachu, na odsiecz przypełzł Gleb. Ledwo ciągnął nogi po ziemi. Ciało odmawiało posłuszeństwa, ale chłopiec, zrywając sobie paznokcie, rozpaczliwie pełzł w kierunku opiekuna. Zapomniany piernacz został gdzieś z tyłu.

Taran wytężył siły, jęknął z wysiłku i przerzucił bestię przez głowę. Kiedy znalazł się na wierzchu, uderzył nożem w skowyczący kawał ciała… jeszcze raz… i jeszcze… Stwór nie chciał zdychać… Smagał kikutami macek po kamizelce kuloodpornej, kłapał paszczą. Uchyliwszy się przed kolejnym atakiem, stalker poślizgnął się w kałuży krwi i natychmiast znów został zbity z nóg. Ręka dotknęła chłodnego plastiku… Z wykrzywioną strachem, zapłakaną twarzą Gleb wepchnął w dłoń opiekuna wiertarkę… Zapomniany, porzucony przez dawnych budowniczych mechanizm. Opatrzność? Fortuna? Szczęście? Nie było czasu, by wróżyć.

Taran przyciągnął wiertarkę do siebie, z jakiegoś powodu silnie wierząc, że narzędzie zadziała. Zebrał ostatki sił, przycisnął wierzgającego stwora do ściany i nacisnął spust. Wiertarka zawyła, rozpędzając długie, wielkośrednicowe wiertło. Stwór szarpnął się, próbując się uwolnić, ale wiertło weszło już w pysk, rozbryzgując strzępy mięsa, wkręcając się w mózg.

– Zdychaj! Zdychaj! Zdychaj! – wrzeszczał stalker, mrużąc oczy przed krwawym deszczem. – ZDYCHAJ!!!

…

Potem leżeli. Po prostu leżeli, milcząc, bez sił. Leżeli, z nieobecnymi twarzami przyglądając się sufitowi. Chłopiec się trząsł. Cicho pochlipując, zwinął się w kłębek, przytulony do ramienia dorosłego i po prostu zanurzał się w ogarniającym go poczuciu bezpieczeństwa. Uświadomił sobie, że w jego stosunkach ze stalkerem coś się zmieniło. Napięcie, przez cały ten czas trzymające chłopca jak w imadle, zniknęło. Wyparowało… Taran już nie budził w nim strachu i niechęci.

Część II: STRATY

Rozdział 7: DŻUNGLE

– Czy ty rozumiesz, że opuściłeś stanowisko? – Kondor przechadzał się wzdłuż szeregu żołnierzy, niebezpiecznie przymilnym głosem besztając „bohatera". – Przez ciebie, Zwierzaczku, wszyscy tu mogliśmy odwalić kitę!

– Zbiorowa mogiła! – szepnął Okoń do Farida i wyszczerzył zęby.

– Krypta rodzinna! – wtórował mu Legitka z drugiego końca.

– Wy tam, dyskutanci! – Kondor stanął naprzeciw Gleba. – Więc tak, dzieciaku… Nie będę powtarzał. Jeszcze raz nie posłuchasz rozkazu, to osobiście odstrzelę ci łeb! Ręka mi nie zadrży.

Przed twarzą chłopca zamajaczyła pokaźnych rozmiarów pięść. Gleb zerknął z nadzieją na opiekuna i ten nie dał na siebie czekać.

– A ja zebrane resztki odstrzelę jeszcze raz…

Poranny ochrzan nie zepsuł zanadto nastroju chłopca. Przecież ocalił skórę, co było cholernie fajne. A śliwa pod okiem zejdzie. W końcu mógł gorzej oberwać za zepsuty noktowizor…

Po zakończeniu przygotowań oddział kontynuował przemarsz szosą Sankt Petersburską. Lekki wietrzyk przesuwał po resztkach asfaltu nagromadzone opadłe liście i najdrobniejszy piasek. Stalkerzy w równym szyku przemieszczali się w głąb dzikich, nieuczęszczanych przez człowieka terytoriów. Roślinność dookoła stawała się coraz gęstsza. Rozłożyste zielone giganty przeplatały się z bujnymi zaroślami zmutowanych krzaków, z głębi których do wędrowców co jakiś czas dochodziły krzyki nieznanych drapieżników. Bliżej dawnego Parku Michajłowskiego Taran sprowadził oddział ze ścieżki – nazywać pozostałości szosy na tym odcinku ulicą byłoby przesadą. Dozymetry terkotały niespokojnie, dlatego przewodnik zbaczał coraz bardziej w lewo, póki oddział nie wyszedł na szereg dwupiętrowych domków zatopionych w dywanie gęstej, wysokiej trawy.

– Michajłowka. Elitarne osiedle. – Przewodnik sprawdził mapę. – Przejdziemy na przełaj. Dalej jest pusto, urządzali tam klub golfowy.

Stalkerzy ostrożnie minęli zbiorowisko pochylonych domków. Gleb spróbował wyobrazić sobie, co to za siła mogła zerwać dachy z solidnych zdawałoby się domów. Stojące samotnie, dziwaczne konstrukcje zadziwiły chłopca. W metrze najbardziej zorganizowane i bezpieczne życie było na ludnych stacjach centralnych, bliżej jedzenia i ochrony. Na porzuconych i podmiejskich stacjach mieszkali przeważnie ci, którzy nie mogli sobie pozwolić na życie w centrum. Widocznie w tym miejscu mieszkali bardzo ubodzy ludzie, skoro osiedlili się tak daleko od miasta…

„Muszę pamiętać, żeby dopytać, co to znaczy »elitarne«” – pomyślał Gleb.

Tak rozmyślając, nie zauważył, jak osiedle zostało w tyle. Na rozległym terenie rozpościerało się pole, gęsto zarosłe trawą. Zza chmur na kilka chwil wyszło oślepiające słońce, zalewając okolicę jasnymi, długo wyczekiwanymi promieniami. Wędrowcy patrzyli dookoła oszołomieni, rozkoszując się nieziemsko pięknym, kojącym serce pejzażem.

– Co powiesz, Taran? – przerwał ciszę Kondor.

– Złe miejsce. Za spokojnie…

Jako pierwszy pas przeoranej ziemi dostrzegł Farid. Taran natychmiast zatrzymał oddział. Komandosi stali, obserwując w napięciu przewodnika. Ten postał jakąś minutę, uklęknął i przytknął ucho do ziemi.

– Wycofujemy się. Poszukamy innej drogi.

– Co ty, stalkerze? Jakiej innej? I tak już oddaliliśmy się od brzegu. – Kondor ruszył naprzód. – Przecież nikogo tu nie ma, sam popatrz.

– Wycofujemy się!

– Nie histeryzuj, Taran. Jesteś oczywiście łebski facet, ale czasem za bar…

Nikt nie zdążył sensownie zareagować, kiedy nagle ziemia się wybrzuszyła i na światło dzienne wylazł ogromny, stożkowaty pysk,

pokryty lśniącą szarą skórą. Wtórując krzykom odskakujących na boki stalkerów, zaterkotał kałach Farida. Dym wściekle szarpał zablokowaną taśmę z amunicją. Kondor klął i wykrzykiwał rozkazy.

– Co to za cholerstwo?! Co to za cholerstwo?! – krzyczał Legitka, rozglądając się na boki.

Ziemia dookoła wybuchała fontannami błota, stawała dęba w strasznych spazmach. Gdzieś spod ziemi słychać było narastający miarowy szum.

– Krety!!! – Przewodnik zdzierał sobie głos przez maskę przeciwgazową. – Wszyscy stać! Nie wiercić się! Stać, mówię!

Stalkerzy opamiętali się wreszcie i znieruchomieli. Z dziury w ziemi, jakieś siedem metrów od grupy, rozgrzebując glebę wyposażonymi w pazury łapami, żywo wyłaziło imponujące cielsko żarłocznego drapieżnika. Zwierzę obróciło podłużny pysk w stronę przybyszy i głośno wciągnęło powietrze. I jeszcze raz. Ślepo macając nosem ziemię przed sobą, niczym sondą, kret gigant pojedynczymi szarpnięciami zaczął pełznąć naprzód.

– Nie strzelać. Nie ruszać się. One są ślepe.

Drapieżnik zatrzymał się w odległości paru metrów od Belga, wodząc niepewnie pyskiem z boku na bok. Stalker stał półżywy ze strachu. Karabin w jego rękach lekko drżał.

– Nie ulęknę się mroku w sercu moim… – mamrotał gorączkowo brat Iszkarij, ściskając w drżących rękach modlitewnik. – I uniknie napaści sługa Exodusu. Albowiem wierzę…

Rozsuwając krzak burzanu, na polanę wypełzł jeszcze jeden kret. Pierwszy, gdy poczuł konkurenta, wydał krótki ryk i wyszczerzył zęby. Belg nie wytrzymał. Podniósł broń i puścił serię. Kule zabębniły o pokryty szczeciną pysk, łamiąc rogowe narośla. Kret zaryczał, rzucił się w bok. Za to drugi gigant ślepo podążył za hałasem. Dym uskoczył, rozmijając się ze żwawym stworem o kilka centymetrów. Ciężki utios w jego łapach zatrząsł się niczym młot pneumatyczny, rozdzierając masywne cielsko bezlitosnymi uderzeniami pocisków przeciwpancerno-zapalających.

– Nie! Nie strzelać! – Taran próbował krzyczeć do stalkerów, ale jego głos ginął w ogłuszającym huku wystrzałów. Oddział walił do wyłażących na powierzchnię stworów.

Przez parę minut grupie udawało się powstrzymywać napór rozjuszonych potworów, lecz nagle ziemia zaczęła zapadać im się pod nogami, pokrywając się pajęczyną pęknięć. Stalkerzy rzucili się do ucieczki. Nad ziemią unosiła się gęsta zasłona pyłu. Gleb pędził za opiekunem, omijając gigantyczne dziury. Po jego lewej biegł Belg. Zdawało się, że jeszcze przed chwilą był obok, gdy nagle ziemia uciekła mu spod nóg. Komandos wpadł do głębokiego dołu, wypuścił karabin. Stwór wynurzył się tuż obok niego. Energicznie rozgrzebując łapami miękki grunt, kret zbliżał się do ofiary.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Podczas gdy Gleb wołał stalkerów, wyciągając piernacza, Belg wydobył z ziemi swojego FN F2000. Kliknął mechanizm spustowy. Skomplikowany karabin, „najedzony" ziemią, nie zadziałał. Mignęła uzbrojona w pazury łapa, zbijając komandosa z nóg. Zgrzytnęły ogromne szczęki, błyskawicznie przegryzając stalkera na pół.

– Sania! SAAANIA!!!

Okoń podbiegł i natychmiast rzucił się do leja, ale Dym zdążył złapać komandosa na samym skraju zapadliska. Dosłownie wyciągnął Okonia na górę i mocno przycisnął, nie dając mu się wyrwać:

– Już, bracie, już! Daj spokój! Już mu nie pomożesz!

Okoń rzucał się w potężnych objęciach mutanta, a potem nagle zgasł, bezsilnie opadł na ziemię, zawodząc.

– Mówiłem mu przecież, idiocie, zostaw to cacko z importu. Kałach jest poręczniejszy… A ten gad się uparł…

Tylko że chłopiec już tego nie widział i nie słyszał. Kiedy olbrzymie cielsko w dole pożerało zdobycz, Gleb wrzeszczał coś ze złością i bezładnie strzelał, rozumiejąc, że nic już nie zmieni. Strzelał, bo nagle poczuł zapomniane uczucie utraty bliskiego człowieka, chociaż

znał Belga zaledwie kilka dni. Potem zza zasłony pyłu wynurzył się opiekun i wyciągnął stamtąd chłopca.

– Spadamy stąd, chodu!

•••

Wrócili na szosę już bliżej Peterhofu. Oddział poruszał się w całkowitej ciszy. Nawet zwykle gadatliwy Legitka przymknął „dziób". Między Kondorem i Taranem doszło do jeszcze jednej nieprzyjemnej rozmowy. Gleb przygotowywał w głowie gorące riposty i jak zawsze dotknęły go twarde słowa opiekuna:

„Gdyby robił to, co mówię, żyłby dalej. Nie chciał – jego wola. Pozostali będą mądrzejsi".

Okrutne. Ale sprawiedliwe… Może właśnie dlatego przygaszeni stalkerzy wypełniali teraz precyzyjnie polecenia przewodnika. Na podejściu do miasta trzeba było przyspieszyć. Przez około kilometr biegli wąską przesieką wzdłuż ścian gęstego lasu. Między odłamkami asfaltu wybrzuszały się węzłowate korzenie drzew. Wściekle zielone gałęzie smagały ich po hełmach. W gęstych zaroślach cały czas coś się ruszało, migały dziwne cienie. Gleb poczuł się nieswojo. Przecisnął się bliżej opiekuna, nie zapominając, by rozglądać się na boki.

W końcu pojawiły się przed nimi zabudowania. A raczej to, co z nich zostało. Roślinność napierała ze wszystkich stron i miasto wyglądało teraz zupełnie jak obrazki z książki o Majach i ich świątyniach, którą miała kulawa przyjaciółka Gleba z Moskiewskiej. W pewnym momencie Taran odłączył się od oddziału, dając nura w najbliższą bramę. Posłuszni otrzymanym instrukcjom, wędrowcy niespiesznie ruszyli dalej. Po paru minutach chłopiec dostrzegł opiekuna na dachu. Stalker przykręcał do karabinu snajperskiego podłużny cylinder tłumika. Gleb zaczął się rozglądać, ale nie zauważył dookoła niczego niebezpiecznego. Z dachu sąsiedniego budynku dobiegł hałas, zmuszając komandosów do podniesienia

automatów. Pod nogi brata Iszkarija runęło ciało zastrzelonego wilkołaka. Sekciarz pisnął i odskoczył z przerażeniem.

Chłopiec odwrócił się. Taran znów w coś celował. Ogromny karabin drgnął raz, drugi… Stalker odkleił oko od celownika i zniknął w oknie poddasza. Podczas gdy wędrowcy przedostawali się na drugą stronę głębokiego rowu przecinającego prospekt, przewodnik dogonił oddział.

– Stały na czatach… – wyjaśnił Kondorowi. – Jak się ich nie sprzątnie, zbiega się całe stado. A tak, może przelecimy po cichu.

Ruszyli dalej, aż po lewej stronie ukazała się dziwaczna wysoka budowla, wznosząca się dumnie nad bujną roślinnością. Gleb po raz pierwszy widział podobne cudo. Cztery wieżyczki okalały centralną, największą. Na szczytach trzech z nich zachowały się nawet makówki kopuł z pociemniałą przez upływ czasu pozłotą. Pomimo brudnoszarego nalotu na ścianach, odświętne czerwono-zielone zabarwienie budowli przyciągało wzrok.

– Sobór Świętych Apostołów Piotra i Pawła. – Taran spojrzał w górę ze czcią. – Przetrwał wojnę z Niemcami. Przetrwał Katastrofę. Naprawdę święte miejsce…

– Kto to są apostołowie? – spytał cicho Gleb.

Iszkarij ożywił się, wystąpił naprzód.

– Brat Sawielij jest apostołem nowej wiary, wiary Exodusu w…

– Zamknij swój paskudny pysk, bluźnierco! – Taran wybuchł, złapał sekciarza za klapy i podniósł w górę.

Pod uważnym wzrokiem Kondora przewodnik opuścił Iszkarija na ziemię. Sekciarz czmychnął za plecy stalkerów.

– A ten sobór naprawdę jest taki starożytny? – Nata spróbowała zmienić temat.

– Budowę rozpoczęto jeszcze w carskich czasach. – Przewodnik znów spoglądał na budowlę. – Oberwało mu się w czasie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Celowali specjalnie w sobór, kiedy niemiecki obserwator wlazł na górę i patrzył na nasze okręty… I na Kronsztad.

Zapadło długie milczenie. Potem Kondor i Taran jednocześnie spojrzeli po sobie i bez słów poszli w stronę wejścia. Gleb poszedł ich śladem, a pozostałym Kondor nakazał czekać na dole.

Dość łatwo udało im się odnaleźć schody wiodące na kolumnadę. Krata, która kiedyś przegradzała korytarz, poniewierała się żałośnie na zakurzonych stopniach. Wspinając się coraz wyżej, Gleb ostrożnie dotykał palcami ścian wspaniałej świątyni. Budowla prawie namacalnie emanowała dawną siłą. Jakie tajemnice kryją te ściany? Niemym świadkiem jakich jeszcze ludzkich namiętności stanie się sobór? Na jednej ze ścian, na fragmencie oczyszczonym z popękanego tynku, Gleb zauważył tekst nakreślony drobnymi krzywymi literami:

„…nastąpiło wielkie trzęsienie ziemi i słońce stało się czarne jak włosiany wór, a księżyc stał się jak krew.

Gwiazdy niebieskie spadły na ziemię, podobnie jak drzewo figowe zrzuca niedojrzałe figi, gdy potrząśnie nim gwałtowny wiatr.

I niebo ustąpiło jako zwój zrolowany, a każda góra i wyspa ruszyły się ze swoich miejsc.

A królowie ziemscy i możnowładcy, i bogacze, i wodzowie, i mocarze, i każdy niewolnik, i każdy wolny ukryli się w jaskiniach i skałach górskich.”*

Dalszych słów nie dało się odczytać. Choćby chłopiec nie wiadomo jak długo wpatrywał się w chropowatą powierzchnię ściany, próbując dowiedzieć się czegoś jeszcze o tych strasznych dniach Katastrofy, nic więcej sobór mu nie odsłonił. Gleb nieraz próbował wypytywać Pałycza, jak stało się TAMTO. Stary zawsze milczał i raz tylko wydusił z siebie kilka skąpych fraz o wyciu syren, krzykach, panice, tłoku podczas ewakuacji, głodzie i wyrzeczeniach pierwszych miesięcy pod ziemią… Pałycz nie lubił tego wspominać. Czy tęsknił za utraconą rodziną, czy też jeszcze coś innego… Częściej mówił o ludziach. O tych, którzy swoimi sporami i ambicjami doprowadzili świat do Katastrofy, i tych, którzy w panice po głowach innych czołgali się do zbawczego łona kolejki podziemnej… Mówił twardo, ze złością. Jakby

krył urazę do całego świata. A po tych rozmowach zawsze szedł do swojego kąta, pić gorzałę.

Taran zawołał ucznia. Gleb, przeskakując po dwa stopnie, wbiegł wyżej, do stalkerów. Chłopcu zaparło dech od oszałamiającego widoku, jaki otwierał się ze szczytu wieży. Oglądając panoramę porzuconego świata, Gleb czuł zarówno zachwyt bezkresem rozciełającej się wokół przestrzeni, jak i gorycz z powodu jej zaniedbania i pozbawienia życia. Chłopiec nie mógł zrozumieć, jak wielka musiała być ludzka nienawiść i nierozwaga, aby poświęcić wszystko, co żywe: naturę… wodę… ziemię…

Gleb spojrzał w drugą stronę i zamarł. Dokładnie takie jak w jego śnie, za drzewami rozpościerało się…

– Morze…

– No, prawie. Zatoka Fińska. A tamten pasek ziemi to właśnie Kronsztad. – Taran wskazał ręką w dal.

Kondor wyjął lornetkę i zabrał się do uważnego studiowania odległego brzegu.

– No i co, widać coś?

– Cisza i spokój… Sygnałów też nie zaobserwowałem.

Kiedy Gleb napatrzył się do woli na iskrzący się wodny przestwór, przeszedł wzdłuż galerii na przeciwną stronę. W dole rozpościerało się zabagnione jezioro. Na mulistej powierzchni bulgotały pęcherzyki powietrza. Białawe opary unosiły się znad wody, osnuwając dwie wysepki zarosłe krzakami. Chłopiec przyjrzał się, zauważył tam jakiś ruch i wezwał opiekuna.

„A może tam są ludzie! – pomyślał Gleb. – To się na Moskiewskiej zdziwią, jak się dowiedzą, że to właśnie ja…”

– Aha. – Doświadczonemu stalkerowi starczyło jednego spojrzenia przez celownik karabinu. – Starzy znajomi. Staw Olgi sobie upatrzyli.

Podbiegł Kondor. Spojrzał w lornetkę i zaklął. Gleb, płonąc z ciekawości, dość bezceremonialnie wyrwał mu przyrząd z rąk i przylgnął do okularu. W przybrzeżnej roślinności migały szare głowy wilkołaków. Przez chwilę Glebowi wydało się, że jedna z mord

spojrzała wprost na niego. Mutant zadarł głowę i przeciągle zawył. Wśród zarośli poruszyły się szerokie, garbate plecy jego pobratymców. I odpowiadając na wezwanie, cała szara masa nagle ruszyła z miejsca i pobiegła w stronę mostku, który łączył wysepki.

– Co robimy, stalkerze? Czekamy? Kryjemy się? – zaterkotał Kondor, obserwując, jak wilkołaki długimi susami pędzą po drugiej wyspie. Najbardziej rącze stwory wyskoczyły już na most łączący wyspy z lądem.

– Trzeba zwiewać…

Zbiegli po schodach. Pozostali podnieśli broń z asfaltu i pobiegli za nimi.

•••

Miarowy stukot ciężkich buciorów nieco uspokajał nerwy. Mokra pod gumą masek przeciwgazowych skóra nieprzyjemnie swędziała.

– Ciągle biegamy i biegamy jak suhaki po stepie… – odezwał się Dym. – Powalilibyśmy ciut do piesków i by się skończyło.

– Mało ci Belga, Giena? Jeszcze się nie nabawiłeś? – odgryzł się dowódca. – Żywiej, żywiej, Nata!

– Do parku! – warknął Taran.

Dym, nie zatrzymując się, na pełnym gazie wyrżnął w kutą bramę. Wrota żałośnie brzęknęły i rozwarły się na oścież. Jedno ze skrzydeł, nie wytrzymując naporu mutanta, wyleciało z zawiasów. Stalkerzy przebiegli przez zewnętrzny park, ominęli ruiny pałacu i zbiegli wzdłuż szerokich stopni Wielkiej Kaskady. Pogoni na razie nie było.

Na dole Gleb zobaczył posąg: nagi muskularny człowiek walczył wręcz z osobliwym stworem.

– Kto to jest? – Chłopiec nie mógł powstrzymać pytania.

– Samson.

– On też jest stalkerem?

– Jeszcze jakim! – zawołał Legitka. – Tylko skafandra nie nosił. Taką miał zasadę.

Ponurzy komandosi nie zareagowali na żart. Zbyt świeże było jeszcze wspomnienie śmierci Belga. Jedynie brat Iszkarij nie wytrzymał i głupio zachichotał. Ale i jego śmiech się urwał, kiedy oddział zbliżył się do posągu. Wyschnięty basen, który otaczał rzeźbę, był po brzegi wypełniony ludzkimi szczątkami. Pociemniałe od pyłu i upływu czasu kości z przylepionymi do nich skrawkami zetlałych ubrań… Straszne, wyszczerzone zęby czaszek…

– Ożeż w mordę! Jak trzeba życia nienawidzić, żeby coś takiego… – Usta Szamana drżały.

Chłopcu zdarzało się już widzieć trupy. Raz widział nawet ludzki szkielet. Rok wcześniej pewien dziwak z Moskiewskiej, porządnie nawalony, zasnął w bocznym tunelu niedaleko stacji. Znaleźli go po paru dniach: pozostały tylko kości, obgryzione do czysta przez szczury…

Ale żeby aż tak… Co musiało się stać ze świadomością ludzi, którzy w ciągu godziny zmienili się w… Taran nazywał takich wyrodkami.

– Dlaczego ludzie to robili? Dlaczego zabijali się nawzajem? – Chłopiec zwrócił się do opiekuna, który właśnie podszedł. – Tu się stało coś strasznego…

– Nienawiść ludzka ma wiele masek. Widzisz właśnie jedną z nich. – Zamiast stalkera odpowiedział przeciągle brat Iszkarij.

– To nienormalne. Tak nie może być wszędzie…

– Skąd ta pewność, Glebie? W tym świecie już od dwudziestu lat wszystko jest nienormalne – pokręcił głową Taran.

– Nie wiem… Po prostu chciałbym myśleć, że powinno być coś innego… Dobrego. Normalni ludzie, czysta ziemia… – Chłopiec przymknął oczy rozmarzony. – Gdyby tylko znaleźć miejsce, w którym wszystko jest inaczej!

– Więc w czym problem? Szukaj! – Stalker uśmiechnął się.

– Ale gdzie mam szukać? Jak? – Gleb patrzył z przejęciem na opiekuna.

– Nieważne jak. Jeśli postanowiłeś coś zrobić, zrób pierwszy krok. I nie bój się robić następnego. – Taran nie wiedzieć czemu stał się

nagle krańcowo poważny, pouczając podopiecznego. – Bój się bezczynności. Wyznacz sobie cel i wyrzuć z głowy całą resztę.

Słowa stalkera poruszyły w sercu chłopca ukryte struny. Nieraz wyobrażał sobie w marzeniach, jak wyglądały miasta przed Katastrofą. Teraz jasno uświadomił sobie, czego chce ponad wszystko. Będzie szukał ocalałych lądów, póki będzie miał siłę. Choćby w hołdzie dla rodziców, którzy marzyli o nich i do zachłyśnięcia opowiadali kiedyś zadziwiające rzeczy o utraconym świecie…

– Dziękuję… – Gleb patrzył Taranowi prosto w oczy.

– Za co? – spytał nieco ironicznie opiekun.

– Za to, że wybrał pan mnie…

– O, zaczął kojarzyć – mruknął stalker, odwracając się od ucznia. – Niebezpiecznie tak tu sterczeć. Trzeba ruszać – rzucił do Kondora.

Kondor skinął głową.

– No, co tak stoicie, żołnierze! Kości nie widzieliście? Idziemy!

•••

I znów szybki marsz. Podążając za przewodnikiem, oddział brnął coraz dalej, przebijając się przez nadbrzeżne dżungle i obchodząc ogniska promieniowania.

– To Niżnia Droga. – Taran, idąc, pokazywał Kondorowi plan. – Potem przeskoczymy oczyszczalnię i wejdziemy na szosę Oranienbaumską. I tutaj skręcimy w kierunku brzegu. A tam mamy już tylko jakieś pięćset metrów do Gromu.

Gleb usłyszał kolejne nieznajome słowo i zanotował je w pamięci. Sądząc ze wszystkich oznak, dzisiejszy odcinek dobiegał końca. Myśląc o postoju, Gleb nagle zdał sobie sprawę, jak się zmęczył w ciągu tego dnia. Chłopiec biegł, chcąc tylko jednego – żeby nic więcej nie stanęło im na drodze.

Wrogi świat zewnętrzny, jak się zdawało, postanowił dać nieznajomym przybyszom chwilę oddechu. Oddział przemknął bez przeszkód wyznaczoną trasą. Zza koron powykrzywianych drzew

wyglądał wierzchołek wysokiej żelaznej wieży. Im bliżej wędrowcy podchodzili do brzegu Zatoki Fińskiej, tym masywniejsza i bardziej imponująca stawała się czerwono-szara metalowa baszta. W górnej części konstrukcja rozszerzała się. Cylindryczne zgrubienie na całym obwodzie opasywały okna obserwacyjne. U podstawy wieży, na metalowej ścianie wyraźnie odróżniały się głębokie równoległe bruzdy, jak gdyby autograf nieznanego drapieżnika.

– Co to za wieża? – spytał Okoń przewodnika.

– Grom. Centrum zarządzania ruchem statków. Jeśli gdzieś zachował się sprzęt radiolokacyjny, to tylko tam. Warto spróbować wybadać, co słychać w eterze.

– Chcesz powiedzieć…

– Chcę powiedzieć – Taran rzucił szybkie spojrzenie na Gleba – że, być może, już teraz uda nam się otrzymać odpowiedzi na niektóre pytania.

* *Objawienie świętego Jana Apostoła*, 6,12–15, tłum. za: *Uwspółcześniona Biblia Gdańska*, Toruń 2009 (przyp. autora i tłumacza).

Rozdział 8: GROM

Nadzieja to dziwne uczucie. Antypody zdrowego rozsądku. Czasem dodaje sił, innym razem po prostu przeszkadza w trzeźwym spojrzeniu na istotę rzeczy. Korzystamy z niej, by usprawiedliwić nieprzemyślane czyny, i przeganiamy precz, kiedy może się stać rozstrzygającym argumentem w podjęciu poważnej decyzji. Można rozsądnie ocenić iluzoryczność szans, że coś się wydarzy, lecz nie przestawać wierzyć. A można na przykład utracić nadzieję na cokolwiek, poddać się, tylko po to, by chwilę później to „cokolwiek" osiągnąć. Dlaczego mamy nadzieję? I dlaczego jednych utrata nadziei prowadzi do rozpaczy, a dla innych to droga do przejrzenia na oczy? Czy siła naszej nadziei wpływa na pewność tego, że nasze życzenie się spełni? Zbyt wiele pytań. Każdy odpowiada na nie, opierając się na własnych doświadczeniach. Jedno można powiedzieć: nadzieja to dziwne uczucie.

•••

Gleb szedł za opiekunem, lustrując wnętrza dwupiętrowego budynku obok wieży, i zgadywał, czy uda im się przechwycić sygnały radiowe wysyłane przez ludzi z Kronsztadu. Co sprawia, że Exodus tak ślepo wierzy i ma nadzieję na pomoc ze strony mitycznego ocalałego miasta? A na co liczył Alians Primorski, wysyłając ich na tak niebezpieczną ekspedycję?

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł łoskot mebli i stłumione przekleństwa Legitki.

– Nie ma niczego ciekawego! Tutaj też pusto! Zero! – raportowali komandosi z różnych krańców budowli.

W końcu wszyscy zgromadzili się w wiszącym na poziomie pierwszego piętra łączniku między budynkiem a wieżą. Korytarz

kończył się żelaznymi drzwiami z niepozorną szparą zamka pośrodku.

– Jakieś pomysły? – Kondor zainteresował się.

– A nad czym się tu zastanawiać… – Giennadij chrząknął i z rozmachem przywalił w drzwi nogą w ogromnym sapogu z kirzy.

Dźwięczne „bammm" przetoczyło się po łączniku. Konstrukcja wytrzymała uderzenie z godnością.

– Nie szalej, Dymie. Zaraz podłubiemy przy zameczku i…

Mutant nie dosłuchał do końca. Obrażony spojrzał spode łba na drzwi, cofnął się, zrobił krótki rozbieg, wystawił ramię naprzód i wyrżnął w żelazne drzwi całą swoją dwustukilogramową masą. Nie wytrzymując nacisku, konstrukcja zawaliła się do środka razem z kwadratową futryną.

W powietrze wzbił się biały pył. Ukazały się oderwane kawałki betonowej ściany.

– Może by tak trochę delikatniej, esteto cholerny… – Kondor przestąpił przez ciało leżącego giganta i spojrzał w górę, ku szczytowi szybu. – Farid, wyciągaj kotwiczkę. Będzie trochę alpinizmu.

Gleb zajrzał z ciekawością do wnętrza wieży. Jeśli nawet były tu kiedyś jakieś schody, to teraz skorupa budowli była po brzegi zawalona kawałami betonu ze sterczącymi na różne strony zardzewiałymi drutami zbrojeniowymi. Powstawało wrażenie, że ktoś włożył niemało sił i starań, tylko po to, by przeszkodzić nieproszonym gościom w dotarciu do górnych pomieszczeń wieży.

Farid rozwinął tymczasem cienką linkę z przywiązanymi do jej końca hakami, potem wyłowił z plecaka pomysłowe urządzenie podobne do kuszy. Sucho szczęknął mechanizm naciągu, wystrzeliwując kotwiczkę ku ziejącej w wysokim suficie dziurze. Farid pociągnął linę parę razy, zaczepił na niej duraluminiowe bloczki wspinaczkowe i zręcznie ruszył w górę.

– Okoń, Legitka, cofnijcie się do budynku. Miejcie baczenie na okolicę. Dym, pomóż. – Kondor zarzucił pieczeniega na plecy i ruszył za Tadżykiem.

Wejście na górę z wykorzystaniem zmyślnego sprzętu alpinistycznego okazało się niezbyt trudne. Gleb złapał oddech i rozejrzał się dookoła. Przestronne okrągłe pomieszczenie gęsto pokrywał białawy mech. Był wszędzie. Wyścielał podłogę gęstym dywanem, wspinał się na ściany, niczym zaspy leżał na stołach i jednolitą warstwą pokrywał panele z oprzyrządowaniem. Okna okrągłej sali były starannie zabite materiałami, jakie znalazły się pod ręką – blatami stołów, deskami, kawałkami zerwanego z posadzki linoleum. Pod schodkami prowadzącymi na wąski taras obserwacyjny walała się samotnie strzelba myśliwska. Na długim kawałku kabla przerzuconym przez belkę sufitu wisiał zeschnięty, zmumifikowany trup. Widocznie ktoś kiedyś się tu zainstalował i któregoś pięknego dnia pożegnał się z życiem. Może pewnego razu po prostu stracił… nadzieję.

– Taran, to jest niebezpieczne? – Nata zainteresowała się, wskazując puszysty mech.

– Poza metrem wszystko jak z kawalerem, kochaniutka. Nie jesteś pewna, zabezpiecz się. Nie znasz czegoś, nie spiesz się, żeby to poznać.

Amazonka prychnęła, ale mimo to cofnęła rękę jak najdalej od podejrzanych porostów. Tymczasem Szaman z pałającymi oczami miotał się po sali w poszukiwaniu ocalałego sprzętu.

– Wszędzie ten mech! – narzekał. – No, wszystko zapaskudzone! Jak jakaś hodowla!

Siwowłosy stalker chwycił za resztki szczotki i zabrał się za oczyszczanie szaf, zdzierając z nich całe pokłady białawego świństwa. Spod warstwy mchu ukazywały się coraz to nowe bloki sprzętu, plastikowe skrzynki z mnóstwem zagadkowych przycisków i gałek, laminowane mapy, zetlałe księgi locji…

Gleb obserwował przez chwilę krzątaninę Szamana, po czym ruszył w głąb sali. Zmęczeni komandosi z rozkoszą zdejmowali z mokrych głów maski przeciwgazowe. Ogromny Dym usadowił się pod ścianą i robił przegląd swojego cekaemu. Uwagę chłopca przyciągnął

pewien ciekawy mechanizm. Żelazna rama, dwa koła z częstokołem cienkich prętów, kable… Obok agregatu stał akumulator. To akurat chłopiec rozpoznał od razu. Podobna rzecz stała na Moskiewskiej, w maszynowni. Kiedy mazuty odcinały elektryczność, w maszynowni włączała się lampa zasilana podobnym akumulatorem. Przy świetle tej lampy Karpat i reszta godzinami pracowali nad generatorem, reanimując zmurszałą maszynę.

– Popatrz no, dynamo! Z roweru! No proszę! – mruknął Szaman. – Ten wisielec nieźle się tu urządził! Jakby zrobić trochę reakcji chemicznych z elektrolitem…

Z dalszego mamrotania starego mechanika Gleb nie zrozumiał ani słowa. Zwrócił się do Naty.

– On nie jest przypadkiem mazutem?

– Nie, Gleb. – Nata uśmiechnęła się. – Po prostu wszystko, co jest związane z maszynami, to jego królestwo. W technice czuje się jak ryba w wodzie. Tacy jak on są teraz w Aliansie na wagę złota. Czasem zmajstruje coś takiego, że nikt nie może zrozumieć, skąd mu to przyszło do głowy. Krótko mówiąc, szaman…

Farid oczyścił w centrum sali okrągły kawałek podłogi, zwalniając miejsce na nocleg. Nad koślawą kuchenką zaczęła parować blaszanka z wrzątkiem – Nata zaparzyła herbatę.

Chwilę później z warty wrócili Legitka i Okoń. Kondor rozstrzygnął, że na górze oddział będzie wystarczająco chroniony, i uznał, że obejdą się bez nocnych dyżurów.

Szczątki poprzedniego lokatora zdjęli ze stryczka i zrzucili z balkonu. Było to oczywiście brutalne, ale w tej sytuacji do przyjęcia. Nie czas na sentymenty. Na pewno nie w metrze.

W czasie gdy komandosi urządzali pomieszczenie, Szaman zdążył wszystkich podporządkować swoim poleceniom. Najpierw zachciało mu się anteny i Farid, kryty przez Dyma, właził na najwyższy poziom wieży, żeby zamocować długi przewód. Potem dostało się też sekciarzowi. Szaman nieomal kopniakami zapędził brata Iszkarija na rower, do ładowania akumulatora. Biedaczysko ze stoickim spokojem

zniósł trudy tego zadania i całkiem żwawo pedałował, póki mechanik się nad nim nie zlitował.

Wędrowcy rozłożyli się wokół ognia. Od słowa do słowa i potoczyła się niespieszna konwersacja. Szaman, ignorując ciepło i towarzystwo, wciąż z poświęceniem dłubał przy resztkach aparatury.

Gleb wyciągnął zmęczone nogi obok Tarana. Zapomniał o puszce parującej tuszonki z powodu opowieści, które snuli stalkerzy. Gdy złowił wieloznaczne spojrzenie opiekuna, Pospiesznie chwycił łyżkę i zabrał się do jedzenia, nie zapominając śledzić przebiegu dyskusji.

– Była jeszcze taka historia… – Legitka jak zwykle ćwiczył się w krasomówstwie. – Poszliśmy wtedy z Sieriogą Domkratem na wyprawę po pisemka.

– Po pisemka?

– No tak. Po PISEMKA. Dziewczyny można policzyć na palcach jednej ręki, a serce w potrzebie…

Okoń parsknął śmiechem, rozlewając herbatę. Nata skrzywiła się z obrzydzeniem, ale powstrzymała uszczypliwy komentarz, nim ten wyrwał jej się z ust.

– Sprawdziliśmy w magazynie księgarni, wypchaliśmy plecaki po brzegi i chodu z powrotem. Wejście do metra już niedaleko, ale patrzymy, a tu na skrzyżowaniu stoi jakiś typek w chałacie do samej ziemi. Na samym środku drogi stoi jak słup i ani drgnie. Pod kapturem, choć oko wykol, nic nie widać. Zawołaliśmy do niego. Pytamy, z jakiej jesteś stacji, bracie? A ten milczy jak grób! No, to co robić… Obeszliśmy go dookoła i zeszliśmy do metra. Szedłem jako ostatni. No i licho mnie podkusiło, żeby się obejrzeć. A ten dziwny facet na moich oczach jak nie śmignie na dach!

– Daruj sobie takie ściemy!

– Przysięgam! – Legitka pochylił się w przód, szaleńczo gestykulując. – Lekko przykucnął, a potem jak nie skoczy! Przeskoczył na drugą stronę i tyle go widziałem!

– Brednie…

– A niech mnie choroba popromienna! Jak nie wierzycie, to spytajcie Tarana! Słyszysz, stalker, widziałeś może takiego dziwoląga?

– Nie widziałem – odparł przewodnik po chwili milczenia.

Okoń uśmiechnął się ironicznie. Nata zmrużyła oczy i pokiwała głową – dawaj, chłopaku, zalewaj dalej. Legitka rozindyczył się nie na żarty. Reakcja towarzyszy broni dotknęła komandosa.

– A co wy w ogóle rozumiecie! O mało wtedy w spodnie nie narobiłem ze strachu. Mimo że metro było tuż obok… A i ten facet się nas nie czepiał… – Legitka patrzył zagubionym wzrokiem przez rozmówców. W jego spojrzeniu dało się odczytać popłoch. – Stał sobie i nagle jak nie skoczy… Groza.

Stalkerzy przycichli, spoglądając na maleńki płomyk kuchenki.

– Taran, a tobie się zdarza czuć strach? – spytała nieoczekiwanie Nata.

Zdawało się, że stalker śpi. Ale nie. Poruszył się. Podniósł głowę. Popatrzył na dziewczynę ze znużeniem i jakimś… napięciem.

– Zdarza. W tym życiu trzeba być idiotą, żeby się nie bać.

– A kiedy bałeś się najbardziej?

Gleb zamarł, przygotowany, by łowić każde słowo. Opiekun milczał, wpatrzony w jeden punkt. Palce rąk co jakiś czas mu drżały, zdradzając napięcie. Chłopiec zdał sobie sprawę, że stalker zaraz najzwyczajniej w świecie wyśle dziewczynę z jej pytaniami do diabła. Lecz Taran zadziwił Gleba, zaczynając ociężałą, niespieszną opowieść.

– W tamtym roku skończyłem akurat służbę wojskową. Wróciłem do mojego rodzinnego Pitera. Znajomi i przyjaciele zaciągali mnie w gości. W końcu to zaszczyt mieć za kumpla żołnierza zawodowego, który dopiero co wrócił z „punktu zapalnego”. Mocno się zabawialiśmy… Pieniądze, które zarobiłem przez pięć lat służby, szybko się rozeszły. Rzuciłem się do szukania pracy, ale kto by mnie potrzebował bez doświadczenia. Zaczepiłem się w szpitalu jako ochroniarz. Dostawałem jakieś kopiejki. Ledwo starczało na

wynajęcie mieszkania. A tu ordynator zaproponował mi chałturę – żebym doprowadził do porządku szpitalny schron. No to zaczęliśmy remont. Z początku byłem nienawykły, potem się wciągnąłem. Nauczyłem się tynkowania, malowania, stolarki. Skończyliśmy wszystko z sukcesem, skompletowaliśmy meble. Ordynator tak się przejął, że pozwolił mi tam zamieszkać, póki nie zaoszczędzę trochę forsy. A potem sam szpital też zamknęli na remont. A ja tak jakby dalej byłem w nim stróżem.

Stalker przerwał na chwilę, łyknął z manierki i ciężko westchnął.

– Miałem przyjaciółkę, piękną. Jak ty, Nata. Tego dnia postanowiliśmy pojechać do centrum, pospacerować po Newskim Prospekcie. Stoję pod Moskiewską, czekam. Słońce świeci, ptaszki śpiewają. Pięknie… A potem ni z tego, ni z owego zawyła syrena. Pewnie widzieliście głośniki na domach? Włączyli je na cały regulator. Ludzie stoją, patrzą po sobie. Młodzież żartuje, chichocze. A syrena ryczy non stop. Żarty żartami, ale kiedy jedna babuleńka, szybciutko, jęcząc i stękając, dała nogę do przejścia podziemnego, wszyscy zaczęli się denerwować. Najpierw pojedynczo, potem grupkami, ludzie ruszyli do metra. Samochód drogówki zatrzymał się przy wejściu. Gliny wyskoczyły z gabloty i też na dół. I tu naród jakby się obudził. Z krzykami i wrzaskami runął do środka.

Łapię za komórkę… za telefon – żeby zadzwonić do Oksany. Czekając na odpowiedź, napatrzyłem się na takie rzeczy… Ludzie biegną do wejść do metra ze wszystkich stron. Kierowcy dają po hamulcach, ludzi na jezdni jak karaluchów. Jeden autobus szarpnął w bok i z impetem wbił się w kwiaciarnię. Obie sprzedawczynie na śmierć… Dookoła zgiełk, wrzaski… Pędzą wszyscy, łamią sobie nogi na schodach. Straszny tłok przy wejściach. Dzieci piszczą, płaczą. A ludzie wokół jakby oszaleli. Lezą, tłoczą się, biją. W ruch poszły butelki. Każdemu nagle zachciało się żyć… Jakiś facet wyciągnął z tłumu dziewczynę. Nieprzytomną. Myślę – brawo, ratuje ją. A ten, wyrodek, rzucił ją na trawę i zdziera z niej ubranie… Wtedy wpadłem w furię. Pamiętam tylko, że katowałem go, aż mi ręka zdrętwiała.

Potem dostrzegłem Oksanę. Biegnie, biedactwo, utyka na złamanym obcasie. Taka potargana. Oczy miała przerażone jak dwa spodki. Zobaczyła mnie, pomachała mi radośnie… I tu nakrył ją tłum… Powlókł ją po asfalcie. Przeciągnął… Zadeptał.

Nie pamiętam, jak się do niej przebiłem. Wokół leżą ciała. Ranni jęczą. Trotuar jest śliski od krwi. I to wszystko w kilka minut… A moja dziewczynka leży z otwartymi oczami, patrzy w niebo. Martwa…

Wyniosłem ją z tego chaosu, tylko nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Jak stałem, tak padłem na asfalt. Nie pamiętam, ile przesiedziałem. Siedziałem i patrzyłem na nią. Taką bezradną. Kruchą. Jej zdziwioną twarz mam przed oczami po dziś dzień. Myślałem, że siedzę tam długo. Zdawało mi się, że minęła cała wieczność. Tak naprawdę jakieś pięć minut, nie więcej.

Z dołu zaczęły dobiegać krzyki: „Podnieśli zaporę!”, „Nie wejdziemy na stację!”.

Gdzieś w oddali błysnęło. I to tak jasno, że ci, którzy patrzyli w tamtą stronę, złapali się za twarze. Trą oczy, wiją się z bólu. I nagle poczułem taki strach, że zapomniałem o całym świecie. I o ludziach, i o ukochanej…

Kiedy biegłem do szpitala, błysnęło jeszcze kilka razy. Ale, chwała Bogu, gdzieś bardzo daleko. Lecę, a naprzeciw mnie biegną ludzie. Spieszą się do metra. Jakaś kobieta ciągnie dwoje dzieci, wlecze prawie po ziemi. A one, biedne, nie nadążają za nią, potykają się. Płaczą…

A ja mijam ich w biegu… I nie przyszło mi nawet do głowy, że mogę ich uratować. Oszalałem w końcu ze strachu. Biegłem, co sił. Ratowałem swoją skórę. Kiedy otwierałem zamek do piwnicy, za mną zaczęło huczeć. Na początku cicho. Daleko. Potem coraz głośniej. A mnie się ręce trzęsą – nie mogę trafić kluczem do dziurki. Zbiegłem do schronu, zamknąłem gródź na głucho i dopiero wtedy mnie puściło. Na górze huczy, wszystko się trzęsie. Tynk leci ze ścian. A ja leżę na podłodze i ryczę, nie mogę przestać…

Taran pociągnął łyk z manierki, umilkł. Wszyscy milczeli. Nata siedziała blada, bez sił, by kontynuować rozmowę. Gleb, wstrząśnięty, wytrzeszczał oczy na opiekuna. Chłopiec po raz pierwszy słyszał z jego ust taką długą przemowę.

– Miałem wtedy tylko dwa lata… – przerwał ciszę Kondor. – Nic nie pamiętam. Ciągle potem próbowałem dowiedzieć się od taty, wypytać go o ten straszny dzień… Głupi byłem…

– Te próby są nam zsyłane z góry – odezwał się nieśmiało Iszkarij. – I tylko silni duchem osiągną zbawienie. Powinniśmy wszyscy razem uwierzyć w…

– Zamknij się! – rozległo się natychmiast kilka głosów.

W całkowitym milczeniu komandosi ponuro patrzyli w ogień. Rozmowa dobiegła końca.

Nagle z zakurzonych głośników, ustawionych przez Szamana na stercie skrzynek, dobiegł ich szum. Stalkerzy jak jeden mąż odwrócili głowy w tamtą stronę. Mechanik, szary od pyłu i nieruchomy niczym posąg, zasiadał pośród nagromadzenia porozkręcanej aparatury, oplątany siecią przewodów.

– No jak tam, Kulibin*? Jest życie na Marsie?

Szaman nie zareagował. Natomiast chrypienie z głośników stało się głośniejsze. Na moment szum gwałtownie się urwał i w dźwięczącej ciszy wyraźnie zabrzmiało: „Przestań eter zaśmiecać!”.

Potem odbiornik znów zasyczał i zabulgotał.

– Stój! Stój! Kręć z powrotem! Zrób głośniej! – zawołali naraz komandosi, rzucając się w stronę aparatury.

Szaman zastygł przy pulpicie, wczepiony mokrymi rękami w regulatory strojenia. Z czoła wielkimi kroplami ściekał mu pot. Wzrok bacznie obserwował drgające wskazówki skal.

– Dawaj, Szamanek, dawaj! – Nata podskakiwała za plecami mechanika.

– Z powrotem kręć, mówię ci! – darł mu się nad uchem Legitka.

– Cicho wszyscy! Zamknijcie się, bydlaki!

Szaman ryknął na błyskawicznie ucichłych komandosów i znów pochylił się nad przyrządami.

Poprzez szum zakłóceń zaczął się przebijać czyjś głos. Gleb, urzeczony, wsłuchiwał się w ochrypłe mamrotanie, ale pomimo wysiłków nie mógł zrozumieć ani słowa. Szaman nie przestawał dłubać w aparaturze. Pewny siebie głos na granicy słyszalności wciąż monotonnie mamrotał, ale co dokładnie…

Wtem na dach dyspozytorni spadło silne uderzenie, potem jeszcze jedno. Ohydny zgrzyt metalu natarł na ich uszy. Naraz cała konstrukcja się zatrzęsła. Z góry doleciał ich przeciągły, głuchy ryk.

– Wyłączyć latarki! Zgasić kuchenkę!

Wędrowcy ucichli, nasłuchując. Nieznany olbrzym obrócił się, przestępując gigantycznymi łapami po pochyłym dachu dyspozytorni. Jeden z blatów przybitych do okna został z hukiem wysadzony i w dziurze ukazał się półtorametrowy zagięty szpon.

– Miał czym walić… – Legitka wlazł pod panel kontrolny.

Farid zaczął szeptać modlitwy do swojego Allaha. Kondor gorączkowo spuszczał linę do szybu. Taran wyciągnął się na plecach i skierował lufę automatu w sufit. Dym nerwowo gryzł niezapalonego papierosa.

Chłopiec leżał półżywy i wpatrywał się z przerażeniem w sufit, na którym pokazały się już zygzaki potężnych szczelin. Gdyby znał odpowiednie słowa, zacząłby się teraz modlić razem z Faridem. Strach przejmował go do szpiku kości. Nie pomagała nawet bliskość opiekuna.

Coś wyraźnie brzęknęło, wieżą zakołysało, dobiegł ich szelest olbrzymich skrzydeł. Potwór odleciał.

Przerażeni stalkerzy jeszcze przez jakiś czas leżeli w absolutnej ciszy, póki nie zabrzmiał poirytowany głos Szamana:

– A to bydlę! Zerwała antenę, opierzona świnia!

Stalker doskoczył do odbiornika, pokręcił gałkami, pogrzebał w rozbebeszonych wnętrznościach, ale wszystko na próżno. Głośniki chrypiały, ale zagadkowy głos bezpowrotnie przepadł.

– Idziemy. – Taran poderwał plecak z podłogi.

– Co ty, stalkerze, upadłeś na głowę? Noc się zbliża, gdzie się podziejemy?! – Legitka niepewnie podniósł się z ziemi.

– On ma rację, trzeba stąd spadać. – Kondor przysłuchiwał się czemuś, trzymając linę. – Czujesz wibracje?

Jakby na potwierdzenie jego słów, z dołu dobiegł niezapowiadający niczego dobrego hałas. Wieża drgnęła. Dźwięk narastał.

– Zaraz się zawali – podsumował cicho Dym. Zielonoskóry mutant pobladł ze zdenerwowania i kolorem przypominał teraz liść zmokłej kapusty.

Komandosi jeden za drugim pospiesznie zjeżdżali na linie. W otworze mignął płaszcz brata Iszkarija. Kondor chciał już zjechać za nim, ale w porę dostrzegł Szamana. Mechanik potrząsał głową przecząco i wciąż gorączkowo grzebał w przewodach.

– Szaman, na dół, szybko! Zmiażdży nas!

– Nie, nie – mamrotał tamten. – Muszę to nastroić… trzeba złapać sygnał…

Kondor podbiegł do mechanika i na siłę zaciągnął go do dziury. Razem z Taranem udało im się wepchnąć opierającego się stalkera do szybu. Kiedy ostatni członkowie oddziału wyskakiwali z budynku, konstrukcja trzęsła się już w przedśmiertnej agonii. Jeszcze chwila i żelazny walec przechylił się i ze strasznym łoskotem zwalił na ziemię, rozrzucając dookoła tony przybrzeżnego błota.

Kondor długo patrzył na skutki tej lokalnej apokalipsy, potem splunął i soczyście zaklął.

– Maski włóż! Sprawdzić broń! Naprzód marsz!

•••

Nadzieja przypomina odbicie w wodzie. Raz jest i nagle znika, przykryta migotaniem coraz to nowych wydarzeń. Szybko niknąc, pozostawia jednak po sobie ledwie wyczuwalny aromat, tli się gdzieś w głębinach świadomości, i po jakimś czasie na spokojnej powierzchni uśpionych emocji znów pojawia się jej nietrwały

wizerunek. W takich momentach pojawia się zadziwiające uczucie odzyskania czegoś dawno utraconego. Czegoś, co w każdej chwili możesz znów stracić. I tak bez końca.

Gleb obejrzał się wreszcie na ruiny Gromu, z żalem myśląc o pogrzebanym odbiorniku, lecz serce drżało mu od radosnego odkrycia: „Nie jesteśmy sami…”.

Nadzieja to dziwne uczucie.

* Iwan Pietrowicz Kulibin (1735–1818) – sławny rosyjski mechanik i wynalazca (przyp. tłumacza).

Rozdział 9: NA JEDNEGO SIĘ NIE CZEKA

Natura potrzebowała paru dziesiątków lat, żeby odzyskać terytoria zawłaszczone kiedyś przez człowieka. Człowiekowi wystarczyło parę godzin, żeby zburzyć i stracić wszystkie swoje zdobycze, wszystkie osiągnięcia gromadzone przez tysiąclecia. W krótkiej chwili starł to wszystko, poddając się jednej z najniebezpieczniejszych przywar ludzkiej duszy: chciwości. W wielowiekowej historii płonęły przez nią miasta, ginęły cywilizacje. Lecz człowieka nigdy to nie powstrzymywało. Metodycznie dokarmiał, uprawiał i pielęgnował swoją główną wadę, nie chcąc przyznać się do winy… nie potrafiąc się dzielić… lecz nauczywszy się zazdrościć… Chciwość przesłoniła człowiekowi wzrok tego pamiętnego dnia. Chciwość pozostanie u boku obgryzionego trupa ludzkości tak długo, jak długo tlić się będzie życie w norach metra.

•••

Skrywszy się za horyzontem, zmęczone słońce pozostawiło nadbrzeże zatoki do dyspozycji jego nocnych mieszkańców. Ostygłe powietrze przeszyły krzyki zgłodniałych drapieżników, które wychynęły na polowanie. Dziś rytm ich nieskomplikowanego, regularnego życia zakłócili obcy, którzy pojawili się w lesie. Nietypowo pachnący, jeszcze bardziej nietypowo poruszający się na dwóch kończynach i całkiem bezczelnie prujący przez dawno podzielone tereny łowieckie. Jednym słowem – obcy.

Dziesięć niepozornych figurek ostrożnie szło przez las pod osłoną nocy. Pochód zamykał osobnik wyraźnie odróżniający się od pozostałych wielkimi gabarytami. Co jakiś czas zatrzymywał się,

oglądając się za siebie i czujnie wodząc lufą cekaemu po przydrożnych zaroślach.

– Nic nie rozumiem… – Dym skrzywił twarz. – Jakby dawało padliną.

– Śmierdzi… – przytaknął Legitka. – Jakby coś tu zdechło.

I rzeczywiście, przez filtry coraz silniej przebijał się odór zgnilizny. Gleb skrzywił się i starał się wdychać powietrze co drugi raz. Nie wyszło. Od mdlącej woni zakręciło mu się w głowie.

– Dowódco, sprawdź, co tam jest według mapy? – Szaman patrzył uważnie naprzód.

Kondor rozsunął mapnik.

– Park Siergiejewka. Jest jeszcze ręczny dopisek: INBB…

– Instytut Naukowo-Badawczy Biologii. – Taran, nie zwracając uwagi na smród, żwawo kroczył po wąskim pasie asfaltu. – Zaraz powinna być przesieka, a z lewej, na wzgórzu, korpus instytutu.

– No, tak to jest na mapie. – Legitka rozglądał się nerwowo. – Tylko że przez tyle lat, to tam…

Komandos zamarł w pół słowa. Las nagle się urywał, otwierając przed ich oczami dość nieoczekiwany widok. Szeroka przesieka rzeczywiście ciągnęła się w poprzek drogi, z prawej schodząc w stronę brzegu Zatoki Fińskiej, a z lewej wychodząc na szkielet starej budowli. Gleb sporo się takich ruin naoglądał podczas niedługiej wyprawy. Ale to nie one przykuły uwagę wędrowców. Cały obszar przesieki był gęsto usiany dziwnymi tworami – szarożółtymi strączkami wysokości dłoni z wąskimi kapelusikami, z których sączył się brunatny śluz. Wypełniały całą przestrzeń – od jednej krawędzi lasu do drugiej. Przez chwilę Glebowi wydało się nawet, że ohydne pędy ledwo zauważalnie się poruszają.

– *Mutinus caninus*, bez dwóch zdań. – Dziewczyna przykucnęła, przyglądając się z bliska nietypowemu znalezisku.

– Że co?

– Takie grzyby. Niejadalne. Identyczne jak na obrazku. Tylko ciut większe.

– Grzyby? – Legitka kucnął obok. – Nie wiedziałem, że się bawisz w takie rzeczy?

– Spokojnie. Co poradzę, że w naszej rodzinie była tylko jedna książka, i to encyklopedia flory. – Nata dalej studiowała cuchnące szkarady wypełniające polanę.

– A nie są przypadkiem halucynogenne? Może opchniemy parę kilo „ogryzkom”?

– Okoń, gdybyś mógł, to byś własną duszę sprzedał! – Farid się uśmiechnął.

– No, zależy za ile… – Okoń puścił oko do przyjaciela. – Czyli to od grzybów ten odór…

– One się tak rozmnażają. – Nata kopnęła najbliższy grzyb czubkiem buta. – Przyciągają zapachem muchy, głównych roznosicieli zarodników.

– Co za świństwo! – Legitka skrzywił się.

Tymczasem Taran ruszył naprzód po asfalcie, przyglądając się grzybom.

– Dobrze, jeśli tylko muchy. Tylko coś mi się zdaje, że…

Na potwierdzenie jego domysłów nad grzybami podniosła się lekka mgiełka. Nad przesieką powoli narastało nieprzyjemne brzęczenie. Powietrze przed wschodem słońca zmętniało od miriadów maleńkich owadów.

– Diabły błotne – westchnął z rezygnacją przewodnik.

Komandosi wpatrzyli się pytająco w stalkera. Ten cofał się powoli, nie potrafiąc oderwać wzroku od gęstniejącej nad polaną chmary moskitów. Gleb opamiętał się jako pierwszy. Wyskoczył na drogę i pociągając opiekuna za sobą, popędził w stronę przeciwległej ściany lasu. Pozostali rzucili się za nimi.

– To już nawet nie jest śmieszne! – basował w biegu Giennadij. – Czy ja mam *déjà vu*, czy znowu biegamy?! To nie jest wyprawa, tylko jakiś maraton!

Komandosi przekroczyli granicę lasu, dopiero teraz dostrzegając stratę. Odwrócili się i zobaczyli sekciarza. Iszkarij wciąż jeszcze stał

po przeciwnej stronie polany i lekko drżał, obserwując jak urzeczony rój groźnych muszek.

– Czego tak stoisz, idioto! Biegnij do nas! Szybko!

Brat Iszkarij nie reagował. Opuścił tylko wzrok na modlitewnik, który nie wiadomo skąd pojawił się w jego drżących rękach.

Taran już chciał rzucić się z powrotem, ale zza jego pleców dał się słyszeć surowy okrzyk.

– Nie waż się! – Ręka Kondora spadła mu na ramię.

– Dla mnie to bez różnicy, i tak już zostałem ukąszony!

– Nie waż się! Ich tam są miliony! Wyssą z ciebie krew w jednej chwili! – Komandos wczepił się w Tarana obiema rękami. – Jesteś zbyt ważny dla oddziału, żeby ryzykować z powodu tego… przygłupa.

Tymczasem na polanie działo się coś dziwnego. Iszkarij ściągnął maskę przeciwgazową, pokornie złożył ręce i zaczął się żarliwie modlić. Głos sekciarza z każdą chwilą krzepł i stawał się pewniejszy.

– Chwała niech będzie Exodusowi! Chwała niech będzie miłosierdziu twojemu! Niech nie ulęknie się syn łona twojego marności ziemskiej! Niech z dala ominą napaści i nędze sługę twojego, wierzę bowiem w ciebie, Exodusie! Wierzę w wybawienie! Prawdziwa jest wiara cierpiącego!

Sekciarz wciąż mówił i przestrzeń wokół niego niewiarygodnie pozostawała czysta. Gleb ze zdziwieniem śledził, jak odszczepieniec powoli brnie drogą przez chmurę moskitów. Wokół Iszkarija, niczym aureola nad głową świętego, utworzył się i nie znikał nimb pustej przestrzeni, która z jakiegoś powodu stała się dla groźnych insektów przeszkodą nie do pokonania.

Pod spojrzeniami urzeczonych stalkerów sekciarz przeciął ostatnią część przesieki, zbliżając się do oddziału. Fala moskitów natychmiast zniknęła, jakby nie chcąc porzucać terytorium, na którym rosły grzyby. Iszkarij jak gdyby nigdy nic schował swoją świętą księgę, nieustannie szepcząc słowa wdzięczności do swojego uwielbionego Exodusu.

– Tak… Załóż z powrotem maskę. – Kondor ruszył jakby niechętnie, spoglądając z obawą na Iszkarija. – Co tak stoicie? Idziemy.

•••

W ciągu kilku dni niedługiej wyprawy Gleb znienawidził szybkie marsze. Zdawało się, że Taran czerpie niezdrową przyjemność z samej możliwości pogonienia kogoś. Chociaż na zdrowy rozum, im szybciej oddział się posuwa, tym trudniej jest miejscowej faunie otoczyć i zaatakować dziwnych gości, a nie ma też takich skafandrów ochronnych, które pozwalałyby na długie wakacje na powierzchni. Więc również teraz komandosi mknęli za przewodnikiem, omijając pogięte wraki samochodów i przeskakując obalone słupy linii wysokiego napięcia.

Przebiegli obok stacji benzynowej. Na pordzewiałym daszku wciąż jeszcze widniało koślawo namalowane słowo: „RATUJCIE”. Gleb chciał już zwolnić, ale Taran machnął tylko ręką.

– Nie ma tam kogo ratować… Już od dwudziestu lat.

Z krzaków naprzeciwko stacji wyskoczył wilk. Dla zwierzęcia spotkanie z ludźmi było całkowitym zaskoczeniem. Okoń już chciał podnieść automat, ale Dym zatrzymał komandosa.

– Nie trzeba. Zwyczajne zwierzę. No, może trochę większe.

– Skórę by z niego zdjąć… Nieźle się można obłowić. W metrze idą jak ciepłe bułeczki.

– Nie warto. Mało zostało takich jak on. Czystych. A naboje zachowaj na mutanty.

– Czyli na ciebie, zielony? – Legitka nie wytrzymał.

Komandosi parsknęli śmiechem. Dym pokazał żartownisiowi swoją ogromną pięść. Wilk przypadł brzuchem do ziemi, odprowadził wędrowców czujnym spojrzeniem, wyczuł moment i czmychnął w gęstwinę.

Tymczasem okolica się zmieniała. Coraz częściej zamiast krzaczastych, jadowicie zielonych drzew zaczęły się trafiać skamieniałe, zwęglone pnie. Ślady szalejącego tu kiedyś pożaru

ukazały się też na ziemi. Z rzadka rozrzucone, czarne, wypalone miejsca szybko ustąpiły pola jednolitej spieczonej skorupie pokrytej siatką pęknięć. Widocznie to dlatego roślinność trzymała się z daleka od ogromnej skazy.

Oddział zbliżał się do miejscowości Łomonosow. Od razu dało się zauważyć, że w czasie Katastrofy miasto porządnie oberwało. W miejscu większości domów zostały jedynie fundamenty. Pośród zwałów betonu, pokrytych rzadką szczeciną trawy, stał samotnie kamienny łuk, ocalały wbrew zdrowemu rozsądkowi i prawom fizyki.

– Brama wjazdowa – wyjaśnił Taran. – Nie znajdziemy niczego odpowiedniejszego, przenocujmy tutaj.

Jednak los okazał się dla nich łaskawy. Taran mimochodem przeczytał tabliczkę i skręcił w ulicę Kronsztadzką.

– Napotkaliśmy już plac Kronsztadzki. – Kondor nie mógł się powstrzymać. – A teraz taka sama ulica. Dobry znak.

Stalkerzy podeszli do dworca kolejowego. Zdawało się, że budynek zachował się lepiej niż wszystkie pozostałe. I chociaż na górnym piętrze ziały ogromne dziury, a części dachu w ogóle brakowało, konstrukcja wróżyła, że będzie niezłym schronieniem na najbliższą noc.

Komandosi spojrzeli po sobie i ostrożnie ruszyli do środka. Na przebadanie pustych pomieszczeń trzeba było kilku pełnych napięcia minut. Nie odkryli niczego interesującego, z wyjątkiem zakurzonych szaf z przyciskami w jednym z pomieszczeń piwnicznych.

– Może pójdziemy dalej? – Kondor studiował mapę. – Przed nami powinien być port.

– Dużo nas może kosztować grzebanie się po ciemku. Nocujemy tutaj – uciął Taran.

W czasie gdy komandosi się urządzali, Gleb ostrożnie pociągnął opiekuna za rękaw.

– A co to jest?

– Jednoręcy bandyci. – Taran dostrzegł zdziwienie na twarzy ucznia i wyjaśnił: – Automaty do gier. Była taka zabawa. Gra na pieniądze…

Długo by tłumaczyć.

Gleb, choćby nie wiem jak wytężał umysł, nie mógł pojąć tego poplątanego objaśnienia. Jak żelazna szafa może być bandytą? A przy sformułowaniu „automat do gier” do głowy przychodziły mu tylko zabawkowe drewniane kałachy, z którymi dzieciarnia biegała po Moskiewskiej, bawiąc się w stalkerów.

– A co to są „pieniądze”?

– Takie naboje. Ale nie da się nimi strzelać. Tylko handlować.

– A komu takie naboje potrzebne?

– Przed Katastrofą wszystkim. I nawet sobie nie wyobrażasz, chłopcze, jak bardzo. Za to później przestały istnieć. Natychmiast. Najpierw były różne konserwy. Na niektórych stacjach płaciło się wodą. To był początkowo towar deficytowy… Naturalna wymiana. Barter.

– Barter? A co to takie…

– Koniec, Gleb, starczy tych lekcji. Chcę spać.

Rozmyślając nad słowami opiekuna, chłopiec nie od razu zauważył, jak podszedł do niego brat Iszkarij. Twarz sekciarza promieniała dobrodusznością, a palce bez przerwy szarpały skraj płóciennej torby.

– Mógłbyś mi oddać fotografię, synu? – zwrócił się do niego.

Gleb szybko sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyciągając z niej zatłuszczoną karteczkę. Z żalem spojrzał na majestatyczny okręt po raz ostatni i podał zdjęcie sekciarzowi.

– Dziękuję, Gleb. – Iszkarij oddalił się, przysiadając się do Okonia.

Komandos z żywym zainteresowaniem zaczął przyglądać się obrazkowi. Rozmawiali półgłosem i choć chłopiec bardzo się wsłuchiwał, nie udało mu się zrozumieć tematu dyskusji. Ale o czym mógł mówić sekciarz? O Arce, o Exodusie, o zbawieniu… Każdy z nich słyszał to wszystko niejeden raz. Gleb postał tam jeszcze przez chwilę, zmęczenie wzięło jednak górę. Ułożył się obok opiekuna na chłodnym brezencie i w roztargnieniu, w półśnie, obserwował, jak Kondor wydaje rozkazy.

– Trzymamy wartę po dwie godziny. Szaman, ty i Legitka jako pierwsi. Potem mnie obudzicie. Taran, my będziemy razem. Potem Farid i Legitka. Nata i Dym. Okoń z Iszkarijem kończą. Teraz wszyscy spać.

• • •

Najpierw zakręciło mu się w głowie. Zaschło w ustach. Napił się wody z manierki. Rozlewająca się po przełyku wilgoć na chwilę ostudziła pożar, jaki wybuchł mu w środku. Ale potem w gardle gwałtownie poczuł nudności. Obfity pot, ściekając mu z czoła, zalewał oczy i wielkimi kroplami osiadał na okularach maski przeciwgazowej. Coś okropnego.

Przed nim coś mignęło, znikając w piwnicznym okienku. Przez zapotniałe szkła nie dało się nic dojrzeć. Do tego z każdym krokiem trudniej mu było oddychać.

Szarpnął wąż z filtrem powietrza do góry, odsuwając maskę na bok. Świeże powietrze wypełniło jego rozpalone płuca. Na moment ból głowy ustąpił.

Automat stał się nienormalnie ciężki, zarzucił go sobie na plecy. Chrzanić niebezpieczeństwo. Najważniejsze teraz to nie przestawać iść. Lewa, lewa, raz, dwa, trzy…

Czuł, że jeśli zatrzyma się choć na chwileczkę, zmusić się, by biec dalej, będzie znacznie trudniej.

Woda w manierce się skończyła i pragnienie stało się nieznośnie dotkliwe. Skronie pulsowały od ćmiącego bólu, przeszkadzając w myśleniu. A przecież teraz trzeba było szybko główkować…

• • •

Nad gładką powierzchnią wody unosiła się mgła. Nieprzeniknionym białym całunem zasnuła wszystko wokół, pozwalając dostrzec jedynie maleńki krążek wody. Gleb instynktownie napiął mięśnie, gdyż wiedział już, co będzie dalej. Nadpłynęła fala. Jeszcze jedna. Chłopiec zaczął tonąć. Nie odczuwając ani zimna, ani strachu, po

prostu apatycznie machał nogami, na próżno starając się walczyć z nieodpartą siłą, która nieustępliwie ciągnęła jego ciało w kierunku dna.

Gleb zamknął oczy, ale nawet przez szczelnie zaciśnięte powieki po oczach uderzyło go ostre światło. Ktoś złapał go za rękę i zdecydowanym ruchem pociągnął do góry. Chłopiec uznał już, że to jego opiekun, ale ostatnią rzeczą, jaką udało mu się zobaczyć w topniejącym śnie, była twarz brata Iszkarija. Ten wyglądał na niezmiernie zaniepokojonego i nie przestawał krzyczeć.

– Gdzie on jest? Gdzie on jest?

Gleb usiadł gwałtownie, przetarł oczy i się rozejrzał. Dookoła walały się bezładnie plecaki i puste puszki po konserwach. Sami stalkerzy stłoczyli się wokół dowódcy. Ten przyciskał przerażonego Iszkarija do ściany i brutalnie nim potrząsał.

– Gdzie jest Okoń?! Słyszysz, świętoszku?! Gdzie mój żołnierz?!

Sekciarz trząsł się w rękach Kondora, rozglądając się zaszczutym wzrokiem i niezrozumiale mamrotał.

– Nie słyszę!

– Mówię, że spałem! Nie wiem, gdzie on się podział! – jęczał sekciarz. W przerażeniu z jego języka natychmiast zniknęły napuszone, górnolotne frazy. – Powiedział tylko, żebym się kimnął, a on będzie pilnować.

– Tfu! O czym razem paplaliście wieczorem?!

– O Arce! Powiedział, że w życiu nie widział okrętu. Opowiadałem mu o „Wariagu”!

Kondor opuścił sekciarza na ziemię. Obejrzał się na towarzyszy.

– Poszedł do portu, paser cholerny. Ciągle czegoś szuka, żeby potem opchnąć. Zbieramy się! Może jeszcze go znajdziemy…

– No jasne, znajdziemy… Albo wszyscy tam zdechniemy. Był, ale się zmył… – gderał półgłosem Legitka, zwijając stary śpiwór.

Jego słowa, które wyrwały mu się przypadkiem, wprawiły Kondora we wściekłość.

– Co? Coś ty powiedział?! – Dowódca złapał komandosa za klapy. – Nie dosłyszałem… Przecież to twój kolega! TWÓJ!

– Daj spokój, palnął głupotę. – Szaman doskoczył do nich. – Każdemu się zdarza…

Kondor zaklął ze złością.

– No jasne! – Legitka szarpnął się, wyrywając się z silnych rąk Kondora. – Tylko ochłoń.

Komandosi w napięciu świdrowali się wzrokiem. Koniec końców Legitka opuścił głowę, odwrócił się, nerwowo zabierając się za pakowanie plecaka.

– Belg zostawił w metrze roczną córkę… Okoń żonę z synkiem… Co ja im powiem? Że, wybaczcie, „byli, ale się zmyli”?! Szukajcie sobie nowych mężów! Nowych ojców! – Kondor zaciekle naciągał na plecy gruby kombinezon.

Komandosi pakowali się w milczeniu.

– Pieprzone życie… Pieprzony świat. Gdzie nie spluniesz, wokół tylko śmierć. I do tego najlepszych zabiera, swołocz! A takich, o, wymoczków – Kondor wskazał palcem sekciarza – omija z daleka! Chociaż ani to nie ma siły, ani pomyślunku! Nawet moskity się nim brzydzą…

– Poczekaj no, dowódco, z tym Okoniem. Za wcześnie go pogrzebałeś. Może go jeszcze znajdziemy…

Ale poszukiwania zaginionego komandosa okazały się niepotrzebne. Zaledwie wyszli z budynku dworca, a zza rogu dały się słyszeć niepewne kroki. Ciężko dysząc, Okoń zbliżył się do grupy. Bez maski przeciwgazowej. Bladą twarz stalkera zalewał pot, wstrząsały nim dreszcze. Kondor chciał popędzić do podwładnego, ale Okoń niespodziewanie wycelował w dowódcę automat.

– Do tyłu! Do tyłu, mówię!

– No co ty, Okoń, upadłeś na głowę? – Kondor cofnął się skonfundowany. – Gdzie ty w ogóle polazłeś? Dlaczego bez „trąby”?

Komandos popatrzył na towarzyszy z poczuciem winy, opuścił automat.

– Poszedłem sobie… do portu… Myślałem, że uwinę się szybko, zobaczę, może prom do Kronsztadu jest jeszcze cały. No i pokopię przy okazji, może znajdę coś ciekawego. W magazynach. Taran i tak nie pozwoliłby zboczyć z trasy. Doszedłem tam bez problemu. Okręty… Pięknie… Pokręciłem się trochę. Długo się dziwiłem, że to miejsce jest takie czyste i spokojne. A potem dosłownie, jakby ukłuło mnie w tyle głowy: „Okoń, będzie bieda". Zadzwoniło mi we łbie. Spojrzałem na dozymetr, a ten nie działa. Kiedy zdejmowałem klapkę, do wszystkich bogów zdążyłem się pomodlić. Patrzę, bateryjka się wysunęła. Wcisnąłem z powrotem. Włączyłem. A ten, bydlę, jak nie zaterkocze… Wziąłem nogi za pas, i tutaj… Generalnie już po mnie, dowódco… Czy nie?

Okoń spoglądał z nadzieją na towarzyszy. Potem nagle zgiął się wpół i zwymiotował na asfalt resztki kolacji. Zachwiał się. Nata krzyknęła.

– Po mnie… – podsumował Okoń, ocierając usta rękawem.

– Sierioga… – głos Kondora drżał. – Jak to tak, Sierioga? Jakoś tak głupio…

– Jak długo tam byłeś? – wtrącił Szaman.

– Jakieś półtorej godziny.

Kondor zaklął. Szaman podszedł do komandosa, ignorując jego protesty, i natychmiast wbił mu w ramię strzykawkę.

– Ni cholery mi to coś nie pomoże. Nie ta dawka promieniowania, bracie.

– To jest znieczulenie – odparł martwym głosem Szaman.

•••

Oddział posuwał się szosą Krasnofłotską. Nie tak szybko jak wcześniej. Okoń zamykał kolumnę, starając się nie odstawać. Kiedy komandos wyraził ochotę, by iść razem z grupą, póki starczy sił, Taran tylko wzruszył ramionami. Kondor próbował pomagać Okoniowi, ale ten tylko wyklinał go ze złością i raz za razem odganiał dowódcę. Bał się, że niewidzialna śmierć przeskoczy też na innych.

Do tego wszystkiego las wokół znów zaszumiał, zaczął wydawać wszelkiego rodzaju dźwięki. Drapieżniki nadciągały, jak gdyby poczuły ranne zwierzę.

Gleb coraz częściej oglądał się za siebie. Okonia rzucało z boku na bok. Chrypiał i histerycznie kasłał, ale szedł dalej, ledwie powłócząc nogami. Sytuacja była przygnębiająca. Odgłosy zwierząt wokół stawały się coraz bardziej bezczelne i niecierpliwe. Dym nie wytrzymał jako pierwszy. Odwrócił się, wyminął Okonia i zaczął ostrzeliwać zarośla długimi seriami. Utios w jego rękach podrygiwał miarowo, kosząc całe połacie zieleni.

– A masz! A masz! Żryj! Komu jeszcze spieszno na tamten świat?! Żryjcie, potwory!

To przelało czarę. Nerwy komandosów nie wytrzymały. Do cekaemu mutanta dołączyło terkotanie kałachów. Podniósł się straszny raban. Strzelanina zabrzmiała w głowie Okonia jak salwa honorowa. Salwa ku czci jego głupiego, nieprzemyślanego wypadu… Salwa ku czci ludzkiej chciwości…

W krzaki poleciał granat. Eksplozja. W powietrze wyleciały grudy ziemi i kikuty korzeni. Wtedy strzelanina ucichła. W ciszy, jaka nastąpiła, ledwo słyszalnie szeleściły najmniejsze kawałki ziemi, osypując się na dywan z zeszłorocznych liści.

– Wyżyliście się? – Taran stał z boku z rękami złożonymi na piersi. – Ulżyło?

Podszedł blisko do Okonia i wsunął mu w dłoń chłodną rękojeść nosoroga.

– Tobie, stalkerze, już na pewno nie będzie lepiej. Więc bądź facetem, sam podejmij decyzję. Nie zwalaj tego na barki innych.

– Odwal się od mojego żołnierza! – Kondor złapał Tarana za ramię, ale ten odwrócił się gwałtownie i zmierzyli się z dowódcą spojrzeniami.

Gleb przygotował się na kolejne starcie bezkompromisowych rywali. Twarz Kondora wykrzywiła złość. Lecz Taran z kolei wyglądał

na spokojnego i tylko oczy świeciły mu szczególnym, przejmująco zimnym ogniem.

– Nie trzeba! – odezwał się Okoń. – Przewodnik ma rację. Nie chcę, żeby wszyscy przeze mnie zginęli… I, tego… Dowódco, nie jako przełożony, a jako przyjaciel… Zadbaj o moich, jak wrócicie do domu. Przekaż im, że…

Wzrok zrobił mu się rozbiegany, komandos znieruchomiał, w bólach dobierając słowa. Potem z rezygnacją machnął ręką, odszedł. Kondor chciał coś odpowiedzieć, ale nie umiał. W głowie roiły mu się frazy, słowa pożegnania, ale wszystkie wydawały mu się głupie i fałszywe.

Komandosi milczeli. Nawet brat Iszkarij nie potrafił przynieść pociechy nieszczęsnemu stalkerowi. Bo i co tu mówić. I tak wszystko jest jasne. Już tu nie mieszkasz. Koniec. Zbieraj się.

Okoń odwrócił się i usiadł na obszarpanym asfalcie drogi. Pozostali zaczęli niepewnie odchodzić. Kondor ruszył z miejsca jako ostatni. Powoli. W bólu. Nie wytrzymał i obejrzał się parę razy. Rozsądek gnał go jak najdalej, ale w duszy na stałe uwiązł mu ciężki kamień. Strasznie mu było na sercu.

Odchodzili coraz dalej, aż w prześwicie między drzewami ukazał się zakręt w kierunku grobli. Wiatr bez ustanku gnał po ziemi piasek. Kręcąc się spiralnie, ziarenka opadały na asfalt, tworząc cudaczny wzorek. Kolejny poryw jesiennego wiatru ścierał ulotny twór natury, a miniaturowe trąby powietrzne kontynuowały swój gwałtowny ruch, by opaść znów gdzieś tam, bliżej brzegu zatoki.

Dziewięć niepozornych figurek przedostało się przez ruiny estakady i zamarło przy pasie przyboju. Na tle bezgranicznej, gładkiej powierzchni wody wydawali się nędznymi, niepasującymi do reszty szczegółami wspaniałego obrazu. Stalkerzy patrzyli na grę fal, pogrążeni w ciężkim milczeniu. Rozstania zawsze są trudne. A takie rozstania… Wędrowcy drgnęli – do ich uszu dobiegł odgłos wystrzału.

Rozdział 10: PRZEPRAWA

Równa linia drogi ciągnęła się w dal, ostrym zawijasem przecinając akwen Zatoki Newskiej. Oddział maszerował groblą, spoglądając z obawą na wodę. Przenikliwy wiatr targał ich ubraniami. Spienione fale nieprzerwanie szturmowały stworzoną przez człowieka przeszkodę, wgryzając się w nasyp. Co jakiś czas nad krawędzią mola rozbłyskały fajerwerki spienionych bryzgów. Żywioł szalał, jakby chciał odegnać nieproszonych gości.

•••

Wędrowcy podeszli do dziwacznej konstrukcji przypominającej most. Po lewej stronie, wzdłuż niej, ciągnął się częstokół z prostokątnych wieżyczek, całkowicie pokrytych rdzą.

– Przepust wałowy W1. – Taran sprawdził na mapie. – Przed nami jeszcze jedna taka konstrukcja. A w sumie do wyspy jeszcze jakieś siedem kilometrów wzdłuż grobli. Mówisz, że skąd dochodziło światło?

– A czort go wie… Gdzieś z Kronsztadu. – Kondor obrzucił konstrukcję wzrokiem. – Więc tak, żołnierze. Poczynając od tego miejsca, zwracamy uwagę na każdy drobiazg. Ci, którzy chcieli się z nami skontaktować, mogą być niedaleko. Może i ten „grzebień" przeczeszmy. Jak myślisz, stalkerze?

Taran wzruszył ramionami. Komandosi ruszyli betonowym grzbietem przepustu, zaglądając we wszystkie szczeliny i zakamarki. Podnieśli zwyczajny luk kanalizacyjny i zeszli do środka konstrukcji. Ciemność, wilgoć i szum wody, przepływającej w dole rwącym potokiem, okazały się jedynymi odkryciami stalkerów w czasie ich ostrożnej wycieczki po wnętrznościach żelbetowego grzebienia. Wychodząc już na zewnątrz, natknęli się na pomieszczenie socjalne

pełne zbutwiałych rupieci. Puste kanistry, klucze nastawne, szpule z kablami…

Rozglądając się wokół, Gleb nastąpił na coś miękkiego i sprężystego. Spod nóg dobiegł gwałtowny syk. Taran zareagował błyskawicznie, szarpnął chłopca do tyłu i skierował w podłogę lufę automatu. W świetle latarki zobaczyli gumowego węża, zakończonego czarną półkulą.

Stalker zaklął cicho, opuszczając kałacha.

– Patrz częściej pod nogi. To nie spacer.

– Co tam jest? – Gleb wyglądał z przestrachem zza pleców opiekuna.

– Co, bracie, nie widziałeś czegoś takiego? Pompka. O, tak naciskasz nogą, a wąż pompuje powietrze.

Pompa – czy to nie była taka maszyna, którą odciąga się wodę ze stacji? Chłopiec obejrzał znalezisko z zainteresowaniem. Od razu mu się przypomniało, jaki wysiłek trzeba było włożyć w rozpalenie starej kozy na Moskiewskiej. A z takim urządzeniem węgiel rozżarzałby się szybciej i nie trzeba by było zginać pleców. Przydatne rzeczy robili kiedyś ludzie…

Oddział znów ruszył w drogę. Do kolejnego przepustu doszli spokojnie. Tylko Farid wciąż zerkał na wodę, aż potknął się kilka razy na równej drodze.

– Czego tak tam wypatrujesz? – Legitka po prostu nie potrafił długo milczeć.

– Ech… – Tadżyk ciężko westchnął i machnął głową w stronę budynków, teraz już ledwie widocznych na linii horyzontu. – Tam jest metro. Dom…

– Czyżby? Wydawało mi się, że twój dom jest nieco dalej niż Piter.

– Mało żiłem tam, nie pamiętam. Tu – dużo. Tu jest mój dom.

– Jak w ogóle znalazłeś się w Piterze?

– Dzeszencz lat miałem. Przyjechałem do wujka w goszczy. Obejrzecz miasto. Ech, ładne to było miasto… – Farid zaciął się na

chwilę. – Potem Szajtan zaczął ziemią trząszcz. Strasznie… Ojciec umarł, wujek umarł, a ja nie.

Taran, który szedł na czele oddziału, zwolnił kroku. Widoczność się pogarszała. Nad groblą powoli gęstniała mgła. Droga przed nimi ginęła w siwych oparach. Wędrowcy powoli szli wzdłuż znajomych już ostrokątnych wieżyczek przepustu, gdy dozymetr zaczął niespokojnie terkotać.

– Aha. Wzrósł poziom. Bardzo kiepski moment.

– Na razie jest znośnie. – Taran rzucił okiem na wyświetlacz. – No dobra, powolutku…

Z wolna posuwali się coraz dalej, aż z mgły wyłoniła się nierówna krawędź asfaltu. Droga niespodziewanie się urywała, zamieniając się w pionową przepaść. W dole, jakieś dziewięć metrów niżej, pluskała woda. Żelbetowe segmenty konstrukcji były tu wykrzywione, rozerwane nieznaną siłą, która wybiła w budowli ogromną dziurę. Przeciwległy kraniec wyrwy ginął gdzieś daleko przed nimi, skryty przed ich wzrokiem za ścianą gęstej mgły.

– No to jesteśmy… – Kondor pochylił się nad skrajem przepaści, zaglądając w dół. – Ciekawe, co tu tak walnęło. Pewnie bombardowali.

– Wątpię. – Taran wskazał wygięte końce belek oporowych. – Widzisz kierunek fali uderzeniowej? Zaminowano filary. Najprawdopodobniej wybuch. Resztę zrobiła woda.

– Dywersja? Ciekawe, komu to było potrzebne?

– Teraz już się nie dowiemy.

– Co dalej, Taran?

– Jak to co… Będziemy się przeprawiać.

Kondor, jakby nie wierząc słowom przewodnika, znów spojrzał na wodę.

– Jak to?

– Wpław. Wszyscy potrafią?

Komandosi gapili się na Tarana jak na wariata. Gleb wzdrygnął się, przypomniawszy sobie swoje nocne koszmary.

– Aha. W metrze uczyliśmy się pływać… No co ty, stalkerze?

– Ja potrafię – powiedział cicho Farid. – Dawno pływałem, ale pamiętam.

– Ja też… potrafię – powtórzył jak echo Szaman.

– No cóż… Marnie. – Taran obrzucił drużynę sceptycznym spojrzeniem. Jego wzrok błądził po automatach, kamizelkach taktycznych z nabitymi kieszeniami, plecakach stalkerów. – Jak to się mówi, lipa…

Przechadzając się wzdłuż urwiska, zawołał nagle Gleba.

– Daj no tutaj tę zabawkę. – Opiekun wyjął z plecaka chłopca pompkę. – Też sobie zabrałeś pamiątkę…

Gleb spiął się już, oczekując połajanki, ale stalker nie spieszył się, by strofować ucznia.

– Powiedz no, Gleb, a nie widziałeś obok tej pompki takiego wieeelkiego plecaka? – Taran komicznie rozpostarł ręce na boki. – Albo wora, jakiejś torby…

– Był plecak. – Chłopiec patrzył z obawą na opiekuna. – I dwie łopaty z boku sterczały.

– Jest! Zuch z ciebie, młody. Należy ci się pochwała za spostrzegawczość. – Taran klepnął ucznia po plecach i wrócił do Kondora. – Wracamy do pierwszego przepustu. Skoro nie chcecie się nauczyć pływać.

•••

– Dawaj, dawaj, nie obijaj się. – Szaman znów zaprzągł do roboty Iszkarija.

Sekciarz, łypiąc z niezadowoleniem na mechanika, pompował ponton. Pompka miarowo tłoczyła powietrze, a burty łodzi stopniowo się zaokrąglały. Od wilgotnej, pokrytej plamami pleśni gumy tchnęło stęchlizną, ale Szaman, jak się zdawało, nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Oczy mu płonęły, zresztą jak zawsze, kiedy chodziło o przedwojenną technologię.

– A to, młody człowieku, nie są żadne łopaty! – Szaman, zachwycony, biegał wokół pontonu, co chwila przywołując Gleba. – To są wiosła! Do wiosłowania. Czyżbyś nigdy czegoś takiego nie widział? A to są dulki. Żeby te wiosła umocować.

– Ależ odczep się od niego. – Dym usilnie starał się zapalić kolejnego papierosa. – Nie widzisz, chłopak i tak jest biały jak kreda.

Gleb nie mógł oderwać wzroku od ciemnej powierzchni wody, która nieprzerwanym strumieniem przepływała obok grobli. Uczucie duszności w niepojęty sposób przeniosło się ze snu do rzeczywistości. Miał ochotę zerwać maskę przeciwgazową i oddychać z szeroko otwartymi ustami. Chwytać, połykać, upajać się chłodnym morskim powietrzem. Między łopatkami pociekła mu strużka potu. Ziemia dookoła się zachwiała…

– Eeej, ostrożnie! – Taran złapał ucznia wpół, odciągając go od krawędzi. – No, usiądź sobie, oddychaj spokojniej. O tak, dobrze. Patrz na ziemię. Gdzie maskę ściągasz? Zakładaj z powrotem. Tak. Oddychasz? Wolniej, wolniej. Wdech… wydech… Dobrze.

Przestało mu się kręcić w głowie. Gleb zapanował nad drżeniem i stanął na nogi. Było mu wstyd z powodu tej chwilowej słabości. Tym bardziej, że okazał ją na oczach stalkerów. Zerknął na opiekuna. Który to raz Taran był zmuszony niańczyć go jak bezradnego szczeniaka. Chłopiec przypomniał sobie, jak zmoczył się wtedy w bunkrze i jak Legitka stroił sobie potem z niego żarty…

– Lepiej ci?

– Tak. – Gleb zaciekle tarł szkła maski przeciwgazowej.

– Nie przejmuj się. To z nieprzyzwyczajenia. Po metrze wszystko jest dziwne. – Taran ruszył w stronę pozostałych. – Idziemy. Czekają na nas.

Stalkerzy spuścili już ponton na wodę. Farid siedział w środku, trzymając koniec liny.

– Nie utrzyma więcej niż trzy osoby naraz. – Kondor zsunął się w dół. – Taran, płyniesz z nami w pierwszej partii.

– Weź Gleba.

– Nie. Jesteś przewodnikiem, więc płyń ze mną. Będziesz mi tam potrzebny.

Taran zniknął za skrajem przepaści w ślad za Kondorem. Gleb ostrożnie kucnął przy krawędzi i patrzył, jak stalkerzy spuszczają się w dół po linie. Łódka ugięła się pod ciężarem trzech potężnych ciał, ale dość pewnie kołysała się na falach. Chwilę później jej sylwetka rozpłynęła się w mlecznej mgle.

Ci, którzy pozostali na grobli, czekali i przysłuchiwali się w napięciu. Zdawało się, że powietrze dookoła zgęstniało. Stało się dziwnie spoiste i lepkie. Osnuwało ich i dusiło.

– Jakoś tak strasznie… – Legitka skulił się, przyciągnął bliżej swój automat. – Lepiej już byśmy z brzegu odbili. Tam było jakby mniej mgły i nie trzeba było łazić po jakichś blaszakach.

– Brzegi są zabagnione – wyjaśnił mechanik. – Wszystko tam zarosło jakimś świństwem. Czy to wodorosty, czy jeszcze coś innego… Taran powiedział, że lepiej nie podchodzić.

Z dołu doszedł ich okrzyk Farida. Złapał linę i machał do nich ręką z pontonu.

– Zdaje się, że się przeprawili. – Szaman zaczął schodzić. – Nata, weź potrzymaj mi kałacha. Zsuwa mi się, zaraza.

Wyszło tak, że Nata musiała wziąć jego automat, i stąd to ona była następna. Gleb, który przestępował obok z nogi na nogę, nie zabrał się również na ten rejs. Potem okazało się, że Dym był pilnie potrzebny po drugiej stronie przeprawy z jego wzrostem i siłą. Nie mogli tam czegoś przymocować – chłopiec nic w końcu nie zrozumiał z nieskładnych wyjaśnień Farida. Wytrzeszczając oczy, Giennadij rozciągnął się na całej powierzchni łódki, bojąc się ruszyć. Tadżyk wcisnął się jakoś obok i wziął się do wioseł. Przeciążony pontonik znów zniknął we mgle.

Pozostali we trójkę. Gleb popatrywał z niepokojem na Legitkę. U tego dziwnego kolesia nastrój zmieniał się trzydzieści razy dziennie. To gawędził, to nagle zaczynał warczeć. Chłopiec nie wiedział w końcu, jak ma się odnosić do jego wybryków, więc

instynktownie zbliżył się do brata Iszkarija. Po nim przynajmniej wiadomo, czego się spodziewać…

– No, wreszcie! – Widząc łódkę, Legitka pospiesznie zsunął się w dół. – Słuchaj, sługo Exodusu, chodź za mną.

– A ja? – Gleb chwycił już za linę.

– Ej, dzieciaku, co ty? On przecież nie ma broni. Poczekaj chwilę.

Sekciarz, spazmatycznie sapiąc, zniknął za krawędzią. Chłopiec został sam. Świadomość tego faktu pojawiła się nie od razu, niczym chłód wpełzający pod zsuniętą kołdrę. Strach wlewał się w niego nieubłaganie, wypełniał mu umysł pomimo prób odegnania wstydliwego uczucia. Zdawałoby się, że nie ma się czego bać. Gleb obejrzał się za siebie. Cóż, mgła, droga. Dookoła ani żywej duszy. Cisza i spokój… I tu poryw wiatru rozrzucił kłęby białej mgły, ukazując na ułamek sekundy dziwną samotną sylwetkę stojącą nieruchomo na asfalcie nieco dalej.

Gleb gorączkowo złapał za pistolet i wycelował. Własny oddech był w jego uszach głośny niczym grzmot. Serce mu waliło.

Pamięć usłużnie podsunęła mu straszną opowieść Legitki: „…na skrzyżowaniu stoi jakiś typek w chałacie do samej ziemi. Na samym środku drogi stoi jak słup i ani drgnie. Pod kapturem, choć oko wykol, nic nie widać. Potem lekko przykucnął i jak nie śmignie na dach! Przeskoczył na drugą stronę i tyle go widziałem…”.

Chłopiec zadrżał. Palce zacisnęły mu się na rękojeści, ale rozsądek w porę stłumił atak paniki. Myśli miotały mu się w głowie jak w kalejdoskopie. „A może mu się wydawało? Czy nie? Figa z makiem. Drugi raz nie dam się nabrać”. Gleb wodził lufą pistoletu z boku na bok, wpatrując się w napięciu w przestrzeń przed sobą. Pusto…

Z tyłu dobiegł plusk wioseł. Chłopiec cofnął się do skraju przepaści, potem gorączkowo schował broń, złapał za linę i skoczył. Odpychając się nogami od zardzewiałych belek, zaczął zsuwać się w dół. Szum wody od razu się nasilił. W głowie znów mu się zakręciło. Starannie przestępując przez sterczące ze ściany pręty

zbrojeniowe, Gleb rzucił szybkie spojrzenie do góry. Krawędź była już daleko i ginęła we mgle. Czy to nierówny skraj asfaltu tak dziwacznie zwisał nad przepaścią, czy chłopiec jeszcze raz zobaczył TO. Pochylony nad urwiskiem, nieznajomy w kapturze obserwował Gleba.

Ręce na moment mu osłabły, lina wyślizgnęła się z dłoni i przed oczami, gwałtownie mknąc do góry, mignęła popękana powierzchnia betonowej ściany. Uderzenie. Bryzgi lodowatej wody. Gleb otworzył oczy. Po bokach otaczały go napompowane burty łódki.

– Szajtan! Ty zupełnie zgłupiałesz?! Czego skakałesz?! Czego mnie straszysz?! – Farid patrzył gniewnie ze swojego miejsca.

– Przepraszam. – Gleb podniósł się z dna pontonu i usadowił wygodniej. – Potknąłem się.

Tadżyk wziął się do wioseł. Dulki zaskrzypiały miarowo, łódka płynnie ruszyła po wodzie. Gleb po raz ostatni popatrzył w górę. Czy ktoś tam był, czy nie – to teraz nieważne. Chłopiec nie chciał nic opowiadać Faridowi. Będą sobie z niego żarty stroić, i to tylko w najlepszym przypadku.

Na środku przesmyku prąd się nasilił. Tu komandos mocniej pracował lewym wiosłem. Im bardziej oddalali się od tamtego brzegu przeprawy, tym lżej robiło się Glebowi na duszy. Strach odpuścił. Kiedy chłopiec, ukojony szelestem fal, rozluźnił się i oparł o burtę, coś silnie uderzyło w niego od spodu, przez miękkie dno łódki. Gleb podskoczył jak oparzony. W tym samym momencie coś jednym gwałtownym szarpnięciem wyrwało z rąk Farida wiosło, które zniknęło pod wodą razem z wyrwaną dulką.

Tadżyk jak oszalały wytrzeszczał oczy – burty uczepiła się ciemnozielona trójpalczasta łapa. Farid krzyknął i odruchowo walnął w łapę drugim wiosłem. Ta znikła w ciemnej wodzie, pozostawiając na burcie ślad śluzu. Tadżyk przeszedł na dziób i zaczął zaciekle machać ocalałym wiosłem. Woda wokół zakipiała, spieniła się. Na sekundę na powierzchni zamajaczył granatowozielony garb nieznanego stworzenia. Chłopiec spanikował i do bólu zacisnął dłonie

na linkach relingu, który ciągnął się wzdłuż burt. Z odrętwienia wyrwał go ostry okrzyk Farida:

– Nie śpij, młody! Strzelaj!

Gleb podniósł piernacza. Huknęły wystrzały. Wzbijając małe fontanny wody, kule jedna za drugą przeszywały warstwę wody i jakby w odpowiedzi jej powierzchnia zagotowała się, rozdymając od podłużnych, gibkich ciał miotających się dookoła. Podnosząc bryzgi wody, w powietrze wzbił się straszny stwór, nieco przypominający człowieka. Chłopcu nie udało się dobrze mu przyjrzeć. W świetle latarki błysnęły tylko długie, podobne do płetw kończyny. Gleb wystrzelił praktycznie z przyłożenia. Płaza odrzuciło do tyłu. Ciało mutanta plusnęło w wodę, zostawiając na powierzchni ciemnobrunatne smugi krwi.

– Za tobą! – ryknął Farid, w porę oglądając się za siebie.

Gleb instynktownie padł na dno pontonu i osłonił głowę. Coś zgrzytnęło na hełmie, przez chwilę mignęła mu przed oczami szeroko rozdziawiona paszcza z mnóstwem maleńkich ostrych zębów, a obślizgłe cielsko chybiło i zwaliło się do wody po drugiej stronie łodzi. Chłopiec wystrzelił w ślad za nim i klęknął, rozglądając się dookoła.

Z mgły wyłonił się przeciwległy kraniec ruin śluzy. Obok niego, dnem do góry, kołysał się na falach wrak niewielkiego stateczku. Na zardzewiałym grzbiecie stali Nata i Taran. Oboje spokojnie celowali w zbliżający się ponton. Wystarczyło, by kolejny pokraczny łeb pokazał się na powierzchni, dwa synchroniczne wystrzały z obu luf roznosiły go na kawałki. Potem także z góry zaczął dochodzić huk wystrzałów. Stalkerzy walili w mutanty ze skraju urwiska. Widok opiekuna podniósł Gleba na duchu. Już blisko, jeszcze tylko kawałeczek…

Jeszcze jeden płaz wzbił się w powietrze i spadł na plecy Farida. Komandos wrzasnął, starając się zrzucić drapieżnego stwora. Wiosło odpłynęło. Chłopiec odrzucił pistolet i skoczył na ratunek. Oderwanie śliskiego cielska od Tadżyka okazało się niełatwym zadaniem. Gleb

wyciągnął nóż, przymierzył i wbił ostrze w pokryte łuską ciało. Płaz syknął, szarpnął się i wyskoczył za burtę. Farid padł wyczerpany na dno pontonu. Z pleców stalkera przez rozdarty w kilku miejscach kombinezon sączyła się krew.

Silny prąd szybko znosił łódkę w bok.

– Łap!

Z góry, rozwijając się w powietrzu, spadła końcówka liny. Gleb, cudem nie wpadając do wody, złapał ją i przywiązał do uchwytu na dziobie. Pontonem szarpnęło i zaczął płynąć w stronę brzegu. Harmider panujący dookoła nie milkł. Stalkerzy strzelali w niespokojną powierzchnię wody, nie dając mutantom wysunąć nosa. Woda dookoła zrobiła się purpurowa. Tu i tam na wierzch wypływały szpetne, pokryte łuską truchła.

Farid jęczał, próbując się podnieść na kolana. Gleb wyciągnął piernacza z dna pontonu i gorączkowo zaczął go przeładowywać. Tymczasem dziób łódki uderzył w dno podtopionego kutra. Nata pomogła chłopcu podźwignąć chwiejącego się Tadżyka.

– Na górę, żywo! – Taran walił krótkimi seriami w wodę, która zamieniła się w gęstą zupę rybną.

Podciągnęli Farida do spiętrzenia zawalonych brył betonu. Nata zaczepiła karabińczyk za pas komandosa i szarpnęła liną. Ciało rannego zaczęło sunąć do góry.

– Teraz ty! – Nata popchnęła Gleba w stronę pozostałości konstrukcji. – O tam, z prawej jest krata! Wspinaj się po niej! Będę cię ubezpieczać!

Chłopiec wgramolił się po odłamkach płyt i wskoczył na długą kratę z prętów zbrojeniowych. Nata ruszyła w ślad za nim. Krata wibrowała i kołysała się pod nogami. Gleb znieruchomiał na chwilę, ale dziewczyna pogoniła go dosyć szorstkimi okrzykami. Kątem oka chłopiec dostrzegł opiekuna. Ten przypiął się już karabińczykiem do spuszczonej z góry liny. Rannego Farida odciągali od krawędzi urwiska. W końcu nad Glebem ukazała się czyjaś ręka, złapała chłopca za kołnierz i dosyć bezceremonialnie wciągnęła go na górę.

Chwilę później coś gruchnęło, wzbiła się chmura pyłu i kratownica z ohydnym zgrzytem, jakby w zwolnionym tempie, odsunęła się od ściany. Na dole rozległ się przerażony krzyk. Dziewczyna wisiała pośrodku kraty, wijąc się rozpaczliwie.

– Nata! – wrzasnął dowódca. – Schodź z powrotem na dół!

Kratownica zatrzęsła się, osuwając się jeszcze niżej. Przebierając rękami, dziewczyna szybko zeszła na dół. Ogromna krata przewracała się coraz szybciej i tylko cudem nie spadła na Natę. Dziewczyna zeskoczyła na beton, przekoziołkowała w bok. Wzbijając wysokie fontanny wody i kawałków betonu, kawał zbrojenia ostatecznie się zawalił.

– Do pontonu, Nata! Do pontonu!

W kłębach pyłu nie dało się dojrzeć, co się dzieje na dole, ale wkrótce samotna postać wynurzyła się z mętnej chmury i wskoczyła na łódkę.

– Ciągnij! – ryknął Kondor.

Dym złapał za koniec liny, obwiązał ją sobie parę razy wokół potężnej pięści i mocno pociągnął. Ponton szybko pojechał po betonie, wyrwał do góry. Nata rozpaczliwie wczepiła się obiema rękami w deseczkę siedzenia.

– Tam! Tam są! – pisnął Gleb, wpatrując się w wodę.

Na powierzchni zatoki znów się zakotłowało. Z odmętów błyskawicznie wyskakiwały zwinne ciała, całą swoją masą spadając na łódkę. Płazy jeden za drugim leciały w dół, odpadając od sprężystych burt pontonu, ale niektóre zawisły niebezpiecznie blisko Naty, wgryzając się w gumowe poszycie. Jedna z burt zasyczała, wypuszczając powietrze. Łódka przypominała teraz raczej kiść winogron. Stwory oblepiły ją ze wszystkich stron. Pod ciężarem miotających się ciał, łódką targnęło w dół. Dym nabrał powietrza, zaryczał i orząc w ziemi długie bruzdy, powstrzymał upadek. Szarpnął linę do siebie.

– Co tak stoicie, pomagajcie! – wydzierał się Kondor.

Komandosi przyskoczyli do liny i ślizgając się, pociągnęli ponton do góry. Wtem sznur pękł, trafiwszy na ostrą krawędź betonowej belki. Stalkerzy poturlali się po asfalcie. Łódka runęła na zwały betonu, wlokąc za sobą skupisko skomlących stworów. Dym zerwał się na nogi, wydał z siebie straszny ryk, wziął rozbieg i rzucił się w przepaść. Gleb patrzył niczym oszalały, jak ogromny mutant leci w dół, przebierając nogami w powietrzu. Serce mu zamarło, kiedy dwustukilogramowe ciało grzmotnęło na wystające ponad wodę dno kutra. Kadłub głośno zadzwonił. Chłopiec zamknął oczy, jednak ciekawość zwyciężyła. Dym podnosił się powoli. To nieprawdopodobne, ale kości mutanta wytrzymały uderzenie. Giennadij wyciągnął z pochwy ogromny tasak i rzucił się ku szczątkom pontonu. Ziemno-wodne stwory wiły się pod bezlitosnymi ciosami. Odcięte ogony i łapy leciały we wszystkie strony. Rozrzucając śliskie ciała, Dym miotał się wzdłuż brzegu wody, lecz dziewczyny nigdzie nie było. Znów wskoczył na wrak kutra, wpatrując się w mętną wodę.

– DYM!!!

Mutant zobaczył wreszcie Natę i odetchnął z ulgą. Przyciśnięta do ściany, dziewczyna stała na żelaznym gzymsie, jakieś cztery metry nad ziemią. Nikt nie zauważył, kiedy zdążyła zeskoczyć tam z łódki. Taran już wypatrzył ją z góry i teraz szybko zjeżdżał do niej na linie.

Dym ryknął zwycięsko, wzniósł ogromne ręce do nieba i tu zardzewiały kuter pod jego stopami drgnął i zaczął błyskawicznie pogrążać się w wodzie. Ze wszystkich stron na komandosa rzuciły się szkaradne stwory. Stalkerzy otworzyli huraganowy ogień, ale wszystko było daremne. Pogrzebany pod kłębem śliskich ciał, mutant w mgnieniu oka poszedł pod wodę. Gleb do bólu zacisnął pięści i wrzeszczał razem ze wszystkimi. Strzelanina się urwała. Stalkerzy wpatrywali się z przerażeniem w kipiącą powierzchnię wody i wyli z bezsilności.

Nad krawędzią pokazała się głowa Tarana. Przewodnik podciągnął się i wypełzł na górę. Na jego plecach, uczepiona rękami i nogami,

wisiała Nata. Dziewczyna zsunęła się na chropowaty beton i zaczęła szlochać.

– No już, już… Już nic nie zmienisz… Nie ma co… – Kondor ogarnął ją ramionami, próbując uspokoić, chociaż sam też nie czuł się lepiej.

Legitka ordynarnie zaklął. W dół poleciał granat. Zabrzmiała eksplozja i w powietrze wzniosła się ogromna fontanna wody.

– Stop!!! – Kondor zerwał się, obrzucając oddział surowym wzrokiem. – Otrzeć łzy! Podnieście Farida, idziemy dalej. Taran, prowadź.

•••

Równa linia drogi ciągnęła się w dal, zdecydowanym łukiem przecinając akwen Zatoki Newskiej. Oddział kroczył po grobli, rozciągnięty w nieregularny łańcuszek. Przenikliwy wiatr targał ubraniami stalkerów. Spienione fale nieprzerwanie szturmowały stworzoną przez człowieka przeszkodę, wgryzając się w nasyp z przybrzeżnych głazów. Żywioł oddawał honory pienistymi bryzgami, pozdrawiając szczodrych gości. Podarunek został przyjęty.

Rozdział 11: RUBIKON

Czy coś bardziej motywuje niż strach? Co równie silnie wpływa na nasze czyny? Czym jest strach dla każdego z nas? Jest zmienny i wielopostaciowy. Pomysłowy i przebiegły. Często wyczynia z nami dziwne rzeczy. Sprawia, że płaczemy i się śmiejemy, ulegamy i zdradzamy, wstydzimy się i nienawidzimy. Kłamliwie nazywamy wszystkich dookoła panikarzami, a swoje własne emocje przedstawiamy jako rozsądną ostrożność.

Czy powinniśmy wstydzić się strachu? Walczyć z nim? A może mu się sprzeciwić? Strach ma naprawdę niesamowitą siłę. Bez niego jest zbyt spokojnie, a czasem wręcz nudno, ale jego obecność często jest nie do zniesienia. Może uczynić życie wyblakłym i niepełnowartościowym – i odwrotnie, żywym i nasyconym. W jakiej postaci się zjawi – zależy tylko od niego. Lecz jest zasada, jednakowo prawdziwa dla wszystkich ludzi – strach nie powinien być częstym gościem. Lepiej go przywoływać. Nie otwierać przed nim serca. Dlatego że gry ze strachem są niebezpieczne. A stawka w takiej grze jest czasem zbyt wysoka.

...

– Długo jeszcze?

– Prawie jesteśmy. Za tym zakrętem droga wchodzi do tunelu. Jeśli nie jest zatopiony, możesz uznać, że dotarliśmy na wyspę. – Taran rzucił okiem na mapę.

– A co jest tam, na górze? – Legitka przyglądał się nieufnie wymyślnym konstrukcjom.

– Na górze jest przepust dla statków S1. A te potężne pałąki sterczące nad ziemią to pontonowe przegrody dla statków. Grodzili nimi kanał podczas powodzi.

– Tak… Myśl inżynierska była na wysokim poziomie. – Mechanik patrzył urzeczony na wyrastające przed nim technologiczne arcydzieło. – Myślę, że warto zajrzeć do tych budynków. Może to z nich świecili.

Kondor spojrzał z ukosa na Farida. Komandos trzymał się dzielnie, choć było widać, że z trudem mu się to udaje. Potrzebował przerwy na odpoczynek.

– Zrobimy tak. Szaman, ty i ja przelecimy po górnych poziomach, pozostali zbadają tunel. Jeśli wszędzie jest czysto, staniemy na popas.

– Jak to, pod wodą będziemy nocować? – Legitka się zjeżył.

– A co, boisz się nogi zamoczyć? – uciął nagle Taran. – Jakoś twój kolega się nie przestraszył.

– Się nie przestraszył! – przedrzeźniał go Legitka. – Dlatego, że myślał nie tą częścią ciała, co trzeba. Romantyk za dychę…

Nata obróciła się na pięcie i uderzyła go ze złością, na odlew. Komandos padł na ziemię, dotykając rozbitej wargi. Zerknął na dziewczynę spode łba.

– Zamknij… swój… dziób. – Dziewczyna pobladła. Nozdrza gniewnie jej się rozdymały.

– No wiesz… Nie ma dymu bez ognia!

Kondor oderwał oczy od lornetki, popatrzył na komandosa nieobecnym wzrokiem, schował przyrząd do ładownicy. Legitka pod spojrzeniem dowódcy nagle skulił się i odwrócił.

– Tu masz rację. Nie ma Dyma… I już nie będzie.

Stalkerzy się rozeszli. Szaman i Kondor zniknęli za ogrodzeniem. Taran powiódł swoją grupę do dawnego tunelu dla samochodów. Łagodny spadek pochylni kończył się dwoma szerokimi otworami. Droga prowadziła tu w głąb ziemi, ginąc w ciemnościach tuneli. Na granicy światła i ciemności przewodnik zwolnił.

– Sprawdźcie broń. Włączcie latarki.

Iszkarij nagle padł na kolana, zadrżał na całym ciele i zaczął żarliwie mamrotać swoją chińszczyznę. Nata próbowała podnieść

sekciarza, ale ten machnął tylko ręką, rzucając jej oburzone spojrzenie.

– Zajrzyj w swoją duszę, niewiasto, i odpowiedz: jesteś gotowa przekroczyć Rubikon? Zadajcie sobie pytanie, bracia, czy w sercach waszych nie ma marności tego świata, albowiem tylko silni duchem i umysłem osiągną zbawienie, słabych czeka zaś zapomnienie…

Stalkerzy patrzyli na siebie z niepewnymi minami, zerkając na gęsty mrok wewnątrz.

– Kończ to strzępienie ozora, wielebny. – Niewiele myśląc, Taran wskazał na prawy wjazd. – Wejdziemy tutaj.

– Co, stalkerze, ruch prawostronny czągle obowiązuje? – Tadżyk uśmiechnął się przez zaciśnięte z bólu zęby.

– Przyzwyczajenie to straszna rzecz, Farid. – Przewodnik uśmiechnął się półgębkiem w odpowiedzi. – Tysiąc lat nie siedziałem za kierownicą, a drogówka do tej pory mi się śni.

Weszli do środka, czujnie nasłuchując. Za nimi dreptał Iszkarij – strach przed pozostaniem samemu przeważył. Dźwięki kroków głośnym echem poniosły się wzdłuż betonowego sklepienia tunelu, ginąc w mroku. Pod ich stopami zachrzęścił piasek. Z ciemności wynurzył się zwęglony wózek dziecięcy. Nieco dalej, na boku leżał wrak dżipa z otwartymi drzwiami. Były tu rozsypane kości. Wszelkie oznaki wskazywały, że ludzkie. Stalkerzy ostrożnie posuwali się naprzód. Im głębiej docierali, tym więcej napotykali wpółzgniłych samochodów. Gleb wyobraził sobie, jak ludzie w panice zjeżdżali tu, widząc oślepiający błysk na niebie. Jak wpychali się do środka tego betonowego rękawa w nadziei na ratunek. Przyglądając się ponurym fragmentom minionej epoki, Gleb poczuł smutek. Miejsce to było przesiąknięte opuszczeniem i grobowym zimnem.

– To jakiś grobowiec… – Legitka jakby odgadł jego myśli. – Martwe miejsce. Trzeba stąd spadać.

– Nie chrzań. – Taran kontynuował zejście, rozglądając się na boki.

Tymczasem spadek się skończył. Gleb domyślił się, że dotarli do środkowej części tunelu. I gdzieś tam, nad betonowym sklepieniem,

jest gruba warstwa wody. Chłopiec skulił się. Do głowy przychodziły mu koszmarne myśli. Ściany wokół przestały budzić zaufanie. Teraz Gleb rozumiał Legitkę, który narzekał na miejsce noclegu.

Przewodnik zatrzymał się naprzeciwko prostokątnych nisz z bocznymi odnogami.

Z lewej jest łącznik z równoległym tunelem. Za to z prawej może być to, czego potrzebujemy.

Mała klitka prowadziła do komory transformatorowej. Nieco dalej znajdował się potężny wentylator i komora dopływu powietrza. Taran wymienił spojrzenia ze stalkerami. Ci zrozumieli bez słów. Z westchnieniem ulgi Farid usiadł pod ścianą. Legitka zrzucił automat, obszedł z dozymetrem każdy kąt i z rozkoszą ściągnął maskę przeciwgazową. Nata zaczęła grzebać w plecaku, wyławiając opakowania sucharów i konserwy.

– Zaraza z ciebie, Natka. – Legitka w skupieniu wodził językiem po opuchniętym dziąśle. – Ząb mi wybiłaś.

– Szkoda, że nie wszystkie – odgryzła się dziewczyna. – Następnym razem pomyślisz, zanim otworzysz gębę.

Gleb zauważył, że Tadżyk męczy się z kombinezonem. Przyskoczył do niego i pomógł ściągnąć nieustępliwą ogumowaną powłokę. Dziewczyna rozłożyła na podłodze apteczkę.

– Ostrożnie… O, tak. Co my tu mamy? – Nata zdjęła przesiąknięty krwią opatrunek i obejrzała plecy Tadżyka. – Nie jest tak źle. Trochę zaschło. Przy rankach niemal brak stanu zapalnego. Udało ci się, Faridzie.

Tadżyk uśmiechnął się. Puścił oko Glebowi. Dziewczyna zrobiła rannemu zastrzyk przeciwtężcowy, rozwinęła swoją matę, zakutała się w śpiwór i odwróciła do ściany. Nikt nie zdecydował się na rozpoczęcie rozmowy. Kiedy szli, mieli co innego na głowie – w trasie nie ma czasu na rozmyślania – teraz jednak wszyscy wspominali śmierć Dyma. Właśnie takich, ponurych i milczących, zastali ich Kondor i Szaman, kiedy wrócili ze zwiadu.

Przewodnik, słysząc echo kroków w tunelu, wyszedł komandosom naprzeciw i doprowadził ich do komórki. Po krótkiej naradzie Taran i Kondor zablokowali wejście ciężkim transformatorem.

– Pusto. – Mechanik przysiadł obok Farida, widząc nieme pytanie w spojrzeniu przyjaciela. – Ani żywej duszy dookoła. Nawet szczury się pochowały.

Stalkerzy ucichli, wpadli w otępienie. Rozbłysnął płomyk kuchenki. Tadżyk krzątał się przy kociołku, parząc herbatę.

– Faridzie, jak się czujesz?

– W porządku, dowódco. Zagoi szę. Tylko szkoda kombinezona! Zniszczył mi, szajtan! Trzeba zaszycz.

– Załatamy ci ubranko. I ciebie też załatamy, nie bój się. Do wesela się zagoi! – Kondor próbował rozruszać posmutniałą drużynę. – Masz kogoś na oku?

Tadżyk speszył się. Zadzwoniły kubki. Uśmiechnął się do swoich myśli.

– Mam… Postanowiłem, jak wróczimy z wyprawy, będę szę żenicz.

– Jeśli wrócimy… – Legitka wziął podany mu kubek herbaty, upił łyk, oparzył się. – Na razie nie bardzo chce się wierzyć.

– Nie kracz – ożywił się Kondor. – Doszliśmy aż tutaj, to znaczy, że i dalej damy radę. Żebyśmy tylko znaleźli tych „sygnalistów”.

– Światło Arki nie każdy zdoła ujrzeć i jedynie przed wybranymi otworzy się droga do ziemi obiecanej.

Gleb ożywił się, słysząc przejmujące słowa, ale sekciarz ucichł, urywając swoją przemowę. Nietypowa sytuacja widocznie działała i na niego.

– Nata, chodź na herbatę. – Kondor zastygł z wyciągniętym kubkiem.

– Nie ruszaj jej, dowódco. Niech sobie pośpi. Musi dojść do siebie.

Kondor podsunął kubek Iszkarijowi. Ten siedział, obejmując rękami kolana, i drżał z zimna. Odmówił herbaty, przecząco kręcąc głową.

– Pij, wielebny. Musisz się ogrzać. I nabrać sił. Też się musiałeś zmordować, tak biegając za nami. Pij, mówię. Uznaj to za rozkaz.

Sekciarz niechętnie siorbnął gorącego napoju. W gęstym mroku znów zapadła cisza.

Rozmowa się nie kleiła. Tylko od strony Naty z rzadka dobiegały ciche szlochy. Zdaje się, że dziewczyna płakała we śnie.

– Złe miejsce. Czuć śmierć. Strasznie tu – odezwał się w końcu Legitka. Zastanowił się i wyjął zza pazuchy płaską manierkę. – No nic. Wódka i promieniowanie zmywa, i nastrój poprawia.

– Zostaw – warknął Kondor. – Zabierz mi to z oczu. Albo nie. Oddaj ją lepiej… Zwierzaczkowi. U niego nic się jej nie stanie.

Legitka skrzywił się, ale posłuchał rozkazu i podał manierkę chłopcu. Splunął z irytacją, zawijając się w poły wiatrówki.

– Urządzilibyśmy warty…

– Nie ma sensu. I tak usłyszymy, jak ktoś wejdzie do tunelu. Powiedz mi lepiej – Kondor obejrzał się na dziewczynę i pochylił się w stronę Legitki, przechodząc na szept – po jaką cholerę rzuciłeś granat?!

– No, przecież one go zeżarły! Złość mnie wzięła! Myślałem, że chociaż na koniec im odpłacę…

– Myślałeś… – przerwał mu dowódca. – Ni cholery nie myślałeś! A jeśli ten wybuch go rozwalił?

Legitka ucichł zaskoczony. Oskarżenie spadło na niego znienacka.

– Myślisz, że mogłem go…

– Mogłeś, nie mogłeś… Najpierw trzeba włączać myślenie, a potem dopiero odruchy! Zapamiętaj, Legitka, jeszcze jeden podobny wyskok i pogonię cię na cztery wiatry! Potrzebuję drużyny, a nie psychopatów z gnatami!

Gleb nieobecnym wzrokiem obserwował kłótnię stalkerów. Myśli w jego głowie krążyły ciężko i niespiesznie. Widocznie odbijało się na nim napięcie nerwowe minionego dnia. Obrócił się niezgrabnie i zaczepił nogą o kubek z herbatą. Parujący napój rozlał się po podłodze. Legitka zerknął tylko przelotnie, uspokajająco machając ręką. Chłopiec odetchnął z ulgą.

– Te próby są nam zsyłane z góry. – Brat Iszkarij znów włączył tę samą płytę. – Poprzez wyrzeczenia i nieszczęścia jedynie silni duchem osiągną zbawienie, słabi zaś i błądzący pogrążą się w grzechu i zabijaniu…

– O czym ty mówisz, sekciarzu? – Legitka ożywił się, wyzywająco wpatrując się w Iszkarija. – To jakaś aluzja do mnie, czy jak? W jakim niby grzechu?

– Słaby duchem jest słaby umysłem. I czyny jego, jak nic innego, wpływają na losy bliźnich. – Sekciarz wieszczył dalej, nie zwracając uwagi na zaczepki komandosa. – Rubikon przekroczą ci, którzy są tego godni, pozostałych czeka zaś marność i popiół… Popiół i zapomnienie.

Tym razem nikt już nie próbował uspokoić szalonego sługi Exodusu. Nie mieli siły. Przy wtórze jego monotonnego, hipnotyzującego głosu Gleb popadł w apatię. Powieki zrobiły się ciężkie, zaczęły się kleić. Kuchenka zgasła, ale nikt się nie poruszył. Komórka pogrążyła się w ciemności. Sekciarz przestał mamrotać i ciężko westchnął. Zza drzwi dochodziło ciche wycie wiatru w tunelu. Przez moment chłopcu wydało się, że w szeleście liści wleczonych po asfalcie rodzą się słowa, frazy. „Szept", ledwo słyszalny, na granicy percepcji, dławił psychikę i nie pozwalał trzeźwo myśleć.

– To ja jestem wszystkiemu winny… – Usłyszał jak gdyby z daleka głos Legitki. – Tylko ja. Przecież tak zazdrościłem Belgowi… Cały czas chwaliłem jego karabin, mówiłem, żeby wyrzucił kałacha, kiedy ma w rękach taką maszynkę! I posłuchał. Wyrzucił.

– Nie wymyślaj – wtrącił Kondor. – To była jego decyzja. Nikt nie jest chroniony od niewypałów.

– Nie, nie… – Słowa dowódcy nie przekonały Legitki. – Okoń też zginął przeze mnie. Przecież ciągle go podpuszczałem. Biedny jak mysz kościelna, mówię, a tu rodzinę miałbyś zakładać. A on zawsze się śmiał, a w środku, widać, mu to utkwiło. No to poszedł zarobić… Iszkarij ma rację. Słowa mają wielką siłę.

– Bzdura… – rzucił ledwo słyszalnie Kondor, ziewając, i przewrócił się na drugi bok. Tyle musiało wystarczyć. Stalker wyłączył się i zasnął.

Gleb zamarł, starając się niczym nie przyciągnąć uwagi Legitki. Nie to, żeby się bał impulsywnego komandosa, po prostu nie miał ochoty zostać jego jedynym rozmówcą. Legitka sapał gdzieś tam, pod przeciwległą ścianą, potem nagle jego oddech stał się nieregularny, podeszwy butów zaszurały o podłogę.

– Ej? Kto… tam jest? Dlaczego… Ja nie wiedziałem! Ja nie chciałem!

Chłopiec przysłuchiwał się, półdrzemiąc. Legitka szeptał z kimś, wciąż kogoś odpędzał. Biedakowi, zdaje się, całkiem odbiło…

Gleb nie miał siły, by w to wnikać, i sam już mało co kojarzył. Słysząc regularne oddechy stalkerów, on też poddał się fali znużenia, która spadła na wszystkich po ciężkim dniu. Chłopiec zaczął oddychać wolniej i głębiej. Granica między snem a jawą rozpływała się we mgle, osnuwającej świadomość i usuwającej ból z umęczonych mięśni. Jego ciało stopniowo stawało się lekkie i nieważkie, i nagle zdał sobie sprawę, że sen już przyszedł. Dziwiąc się, że jego świadomość pozostała przy tym krystalicznie czysta, Gleb wsłuchał się w nowe uczucie. Potem spróbował poruszyć jedną ręką, drugą. Ostrożnie stanął na nogi, nie czując normalnej ciężkości, i spojrzał w dół. Nóg nie było. Tak jak nie było całego ciała. Unosił się pośrodku pomieszczenia, wiedząc, że nie może widzieć w absolutnym mroku, niemniej wyraźnie odróżniał kształty śpiących stalkerów. Chłopiec rozejrzał się i zatrzymał wzrok na drzwiach, spod których bił cienki pasek światła.

„To wszystko się dzieje we śnie…" – uspokoił się Gleb i podpłynął do wyjścia, nie odczuwając żadnego dyskomfortu w swoim nowym stanie. Uczucie absolutnej swobody upajało. Bez cienia lęku Gleb przeniknął przez drzwi i wpłynął do tunelu. Nierówne światło padało z korytarza naprzeciwko. Chłopiec dotarł do przeciwległej ściany, przepłynął przez wąski łącznik i znalazł się w lewym tunelu.

Dźwięki spadły na niego niespodziewanie. Nerwowy szept, szloch, przekleństwa… Dookoła byli ludzie. Wielu ludzi. Jasno oświetlony tunel był nimi wypełniony po brzegi. Wysypali się z samochodów i stali, wsłuchując się w napięciu w uderzenia gromu. Gleb szybował nad ich głowami, wpatrując się w przerażone, blade twarze. Jego wzrok zatrzymał się na kobiecie z małą dziewczynką na rękach. Matka rozglądała się struchlałym wzrokiem, mocno przyciskając do siebie swoje dziecko. W jej oczach była panika. Dziewczynka tak samo zawzięcie przytulała do piersi pluszowego misia i nie przestawała płakać.

Od strony dalekich wyjazdów rozbłysło jasne światło. Tunelem zatrzęsło. Ludzie padli na asfalt. Rozległy się przerażone krzyki. Lampy zamrugały i zgasły. Włączyło się blade oświetlenie awaryjne. Przerażone twarze pogrążyły się w półmroku. Zaraz potem zadudniło jeszcze mocniej, zerwał się wiatr. Wyjąc przeraźliwie, w mig wypełnił przestrzeń mieszanką piasku i śmieci. Niektórzy próbowali zasłonić twarze połami kurtek, inni wsiedli do samochodów, ratując się przed mknącym przez tunel piaszczystym wichrem. Gleb poczuł ciepło. Wiatr z każdą chwilą był coraz gorętszy i już parzył skórę. Krzyki nagle zlały się w straszną, niekończącą się kakofonię. Gdzieś w oddali rozbłysło jasne światło. Stało się nieznośnie gorąco. Ludzie zaczęli się rzucać i wyć. Niektórzy pomknęli ku wyjściu. Huk narastał z każdą sekundą. Tunel coraz silniej wibrował. Z sufitu spadały kolejne warstwy tynku.

Kobieta w rozpaczliwej próbie uratowania córki wepchnęła ją przez okno najbliższego dżipa. Ludzie, którzy siedzieli w środku, przyjęli dziecko i podnieśli szybę. Dziewczynka pukała w okno, spoglądając na matkę, lecz ta stała, nieobecna, ostatni raz patrząc na swoje dziecko i uśmiechając się. Chciała wierzyć, że ten desperacki krok uchroni je przed nadciągającą katastrofą…

Twarz kobiety rozświetliły płomienie – tunelem pędziła fala ognia. Jeszcze przez chwilę stała przy samochodzie, potem jej uśmiech zawrzał i zaczął się topić. Krzyki nagle się urwały, tonąc w ryku

płomieni. Fala uderzeniowa powybijała szyby, obróciła samochody w powietrzu, gniotąc je, wbijając w ściany.

Przetoczywszy się po tunelu bezlitosną, wszystko pochłaniającą falą, ogień w jednej chwili połknął ludzi z ich lękami, błaganiami i dotychczasowymi problemami.

W ciągu kilku szaleńczo długich minut wszystko było skończone. Ryk płomieni ucichł, ściana ognia wycofała się, opadła. Cała przestrzeń od ziemi do sufitu była zasnuta czarnym, gryzącym dymem. Ściany pokryły się równą warstwą sadzy. Wraki samochodów poszczękiwały, stygnąc powoli. Od poskręcanych głowni, które jeszcze przed chwilą były ludźmi, bił żar.

Gleb chciał się obudzić. Spróbował otworzyć oczy, potem zacisnąć je – zrobić cokolwiek, byleby tylko nie widzieć więcej tych strasznych rzeczy, ale przed jego oczami wciąż jeszcze widniał, i nie znikał, szalony obraz tragedii, która niegdyś się rozegrała. Chłopiec rzucił się z powrotem w poszukiwaniu tajemnego przejścia, ale ściana tunelu pozostawała monolitem bez żadnych szczelin.

W ogłuszającej, dzwoniącej ciszy skrzypnęły drzwi. Gleb odwrócił się. Z najbliższego dżipa osypały się czarne płaty spalenizny. Drzwi kabiny otworzyły się, na ziemi stanęła dziecięca nóżka w jaskrawym sandałku w kwiatki. Mignęła świąteczna sukieneczka. Z kłębów dymu wyłoniła się ta sama dziewczynka – bez śladów oparzeń na ciele, bez sadzy na rumianej twarzyczce… Ściskając w rękach dymiący węgielek, który kiedyś był pluszowym misiem, przeszła przez języki dogorywających płomieni, pociągając Gleba za sobą. Chłopiec jakby w transie kroczył za nią długim tunelem. Przy samym wyjściu zatrzymali się. Dziewczynka podniosła do góry pulchną rączkę, wskazała na stertę stopionych bezkształtnych szczątków i uśmiechnęła się. Gleb patrzył w zdumieniu na zwęglonego trupa, dopóki nie dostrzegł przyprószonego popiołem kawałka metalu. W promieniach zachodzącego słońca błysnął relief z dwugłowym orłem. Zapalniczka…

– My już od dwudziestu lat jesteśmy martwi. Zakopaliśmy się w ziemi i włóczymy się bez celu. Czegoś szukamy… – wygłosiła dziewczynka głosem Tarana. – Ale to wszystko na próżno. Jesteśmy martwi. Nie ma nas…

– Nie, nie, to niemożliwe… – Gleb cofnął się, potrząsnął głową, nie chcąc widzieć, nie chcąc słyszeć, nie chcąc wierzyć. – To niemożliwe, NIEMOŻLIWE!

Świat dookoła zakręcił się jak szalona karuzela, obraz rozmazał się, rozpłynął. Gleb ocknął się w nieprzeniknionych ciemnościach. Namacał zapalniczkę, szczęknął kółkiem. W świetle płomyczka zobaczył obok zaniepokojoną twarz Naty.

– Co tam mamroczesz? Masz koszmary? – Dziewczyna przeciągnęła się sennie, włączyła latarkę, zbliżyła do zegarka. – Całkiem nieźle! Co to, wszyscy kimają? Już południe dochodzi!

Nata zerwała się, budząc komandosów. Ci podnosili się ciężko, jakby po potężnej imprezie. W klitce panowała odurzająca duchota. Czym prędzej chcieli wyjść na zewnątrz.

– O matko i córko, jak mi huczy w głowie! – Szaman usiadł, kołysząc się.

Gleb gorączkowo sznurował buty.

– Nachuchaliśmy przez noc… – Kondor podniósł się ociężale. – Nie ma przewiewu, nie ma powietrza. Sam dwutlenek węgla. Zwierzaku, jesteś gotowy? Zbieramy się, zasiedzieliśmy się tutaj.

Stalkerzy zachrzęścili ekwipunkiem. W ogólnym zamieszaniu nikt nawet nie zwrócił uwagi na odblokowane drzwi. Szafa transformatora walała się z boku.

– Gdzie Legitka?

Światło latarek omiotło betonowe ściany, oświetlając opustoszałe pudełko pomieszczenia.

– Niech to szlag… Zmówili się wszyscy, czy jak?! – Kondor zerwał z ramienia karabin, wyskoczył do tunelu.

Stalkerzy ruszyli za nim. Gleb dreptał za opiekunem, dręczony złymi przeczuciami. Teraz było trudniej iść, tunel płynnie podnosił się

w górę. W prostokąt dalekiego wyjścia wlewało się światło dzienne. Na tle szarego nieba odcinała się sylwetka siedzącego na ziemi człowieka. Oddział ostrożnie podszedł do samotnej postaci. Legitka siedział nieruchomo pod ścianą z głową obróconą w stronę wyjścia. Ręce leżały luźno na kolanach.

– Powstań, stalkerze. – Głos Kondora drżał. – Powiedziałem, powstań!

Gleb patrzył w odrętwieniu na zakrwawiony nóż porzucony na asfalcie. Kiedy zauważył na nadgarstkach komandosa głębokie rany, odwrócił wzrok.

– Wstawaj! – Kondor dygotał.

– Uspokój się. – Mechanik pochylił się, starając się nie wejść w kałużę zgęstniałej krwi, odwrócił Legitce głowę.

Szklisty wzrok. Zaciśnięte w równą linię, pozbawione krwi wargi.

– Co cię podkusiło z tym granatem? – Szaman spojrzał na dowódcę krytycznie. – Chłopak i bez tego miał nie po kolei w głowie… Ciągle coś mamrotał w nocy, błagał o wybaczenie jakichś grzechów.

– Przecież to niemożliwe, żeby Legitce odbiło od takiej bzdury! Bywaliśmy razem w gorszych opałach. – Zaciskając pięści, Kondor wciąż świdrował wzrokiem sztywne ciało komandosa, jakby nie wierzył własnym oczom. – Bracie, jak to tak?

– Słaby duchem jest słaby umysłem – westchnął Iszkarij. – Tunel go zabrał.

– Tunel… – Kondor pochylił się nad ciałem towarzysza i ostrożnie zamknął mu oczy. – Nie wiem, co ci przyszło do głowy, ale pomyliłeś się, Legitko. Bardzo się pomyliłeś. Żegnaj.

– Można by pochować… – odezwał się Farid.

– Wasza sprawa. Ja stanę na warcie. – Taran naciągnął kaptur na maskę przeciwgazową, poprawił automat i wdrapał się na szczyt piaszczystego nasypu obok wyjazdu z tunelu.

Przezorny Szaman wyciągnął składaną saperkę. Razem z Faridem i Natą wybrali spokojne miejsce w dole zbocza i robiąc zmiany, zabrali się do kopania grobu. Po kilku godzinach było po wszystkim.

Niezgrabna scena pożegnania, lakoniczne frazy komandosów… Tylko Kondor nie powiedział już ani słowa. Gleb zauważył, jak dowódca posunął się w ciągu ostatnich kilku dni. Każdą nową stratę znosił coraz gorzej.

Przetrzebiony oddział opuścił tunel, powoli sunąc wzdłuż piaszczystych wzgórz. Gleb miał przed oczami przerażoną twarz Legitki. Chmury burzowe zaciągnęły niebo gęstą, nieprzeniknioną pokrywą. Z rzadka przez zasłonę obłoków przebijały się jasne błyski światła – zwiastuny zbliżającej się burzy. Ludzi dobiegły pierwsze grzmoty. Wiatr naraz ucichł. Powietrze jakby sprasowane, zgęstniało. Natura zamarła w oczekiwaniu na oszalały żywioł.

Niespokojnie zerkając na ołowiane niebo, stalkerzy weszli na piaszczysty nasyp. Przed nimi rozpościerała się wyspa Kotlin. Gdzieś prosto i po prawej majaczyły ruiny Kronsztadu. Lecz spojrzenia wędrowców był skierowane w inną stronę. W przybrzeżnych wodach, po lewej stronie od grobli, przez gęstą mgłę przebijały się kontury ogromnego okrętu.

Rozdział 12: ARKA

Widząc sylwetkę żelaznego giganta, stalkerzy przyspieszyli kroku. Nikt nie krzyczał, nie okazywał radości, bojąc się spłoszyć szczęście. Ich spojrzenia były przykute do drapieżnych kształtów wojskowego krążownika, który unosił się dumnie na wodach zatoki. Nogi same niosły wędrowców ku przedziwnemu znalezisku. Stalkerzy nie wytrzymali i razem z bratem Iszkarijem zaczęli biec. Pędzili wzdłuż przybrzeżnego pasa wody, zapominając o zmęczeniu.

Gleb chciał już pomknąć za nimi, ale opiekun przytrzymał go za rękaw.

– Gdzie tak lecisz z wywalonym ozorem? Zapomniałeś, co ci wbijałem do głowy?

Taran trzymał w gotowości swój AK-74, bez przerwy obserwując strefę przybrzeżną. Razem z uczniem niespiesznie ruszył wzdłuż brzegu, uważnie rozglądając się na boki. Pomimo okrzyków opiekuna, chłopiec co chwila zagapiał się na rosnący w oczach okręt. Jak na złość, kłęby mgły skrywały większą jego część, utrudniając ocenę rzeczywistych rozmiarów i wspaniałości.

Gleba przepełniała radość. Wszystkie trudy i wyrzeczenia niebezpiecznej ekspedycji były warte tego, żeby wreszcie ją zobaczyć – Arkę, która zabierze ich do ziemi obiecanej. Krocząc obok opiekuna, chłopiec myślał o tym, jak fajnie będzie przejść się tak we dwóch po szerokich alejach bezpiecznego miasta, odetchnąć pełną piersią krystalicznie czystym powietrzem, zapomnieć o maskach przeciwgazowych… Szkoda, że rodzice tego nie widzą. Na pewno by im się spodobało. Gleb uśmiechnął się do własnych myśli.

Stalkerzy oddalili się na sporą odległość. Teraz stali w milczeniu nad wodą, dokładnie naprzeciwko okrętu, lecz z jakiegoś powodu nie

próbowali nawet przyciągnąć uwagi jego załogi. Kondor znieruchomiał i przylgnął do lornetki.

W miarę jak Gleb ze swoim opiekunem zbliżali się do pozostałych, przed ich wzrokiem odsłaniały się coraz to nowe szczegóły. Zauważalny stał się niewielki przechył – krążownik stał na mieliźnie. Bok miał niczym trądem pokryty kleksami rdzy, a najważniejsze było to, że na lewej burcie, wcześniej skrytej przed ich oczami, ziała potężnych rozmiarów dziura, przez którą do wnętrza okrętu jak do portu monotonnie napływały spienione grzywacze. Wzdłuż całej burty nagromadziła się falująca czarna masa wodorostów, zbutwiałych belek i ciemnopomarańczowej piany. Wszystko wskazywało na to, że krążownik został porzucony na mieliźnie wiele lat temu. Jeszcze jeden pomnik minionej epoki… Tej właśnie, w której człowiek postanowił zmienić świat dla swoich interesów za pośrednictwem niszczycielskiej broni. Świat się zmienił. Aczkolwiek nie tak, jak chciał tego człowiek. Dlaczego chciwość i pycha zawsze biorą górę nad zdrowym rozsądkiem, a najbardziej niedorzeczne decyzje i czyny ukrywa się za słowami o dobru ludzkości?

Wędrowcy nadal tępo wpatrywali się w okręt.

Oczywiście w bajeczki Exodusu trudno było uwierzyć, jednak skrycie każdy miał nadzieję na cud.

– No co, braciszku, niby to jest ta twoja Arka? – Szaman spojrzał z ukosa na sekciarza.

Iszkarij powoli opadł na ziemię, zachowując milczenie. W jego oczach był niepokój i… Nie, rozczarowania w nich nie było. Raczej niedowierzanie, niechęć, by uwierzyć w to, co się dzieje. I wreszcie zmęczenie. Iszkarij ciężko westchnął.

Gleb czuł się niewiele lepiej od sekciarza. Kiedy nadzieja po raz setny nęci, by potem nagle stopnieć w oczach, ciężko się pogodzić z kolejnym rozczarowaniem. Szczególnie trudno było teraz, kiedy upragniony cel znajdował się tak blisko. Wyciągasz rękę i… chwytasz pustkę. Wizje cudownego miasta natychmiast się ulotniły, ustępując miejsca ponuremu pejzażowi przybrzeżnego pustkowia.

– Trzeba by obejrzeć… – Kondor podszedł do przewodnika.

– Wątpię, by światło pochodziło z okrętu. – Taran podsunął komandosowi mapę. – Patrz, wtedy wprost na drodze reflektora jest Kronsztad. Nierealne.

– Musimy się upewnić. Trzeba obejrzeć.

Kondor się zawahał. Straty rosły z każdym dniem i nie chciał ryzykować na próżno życia swoich ludzi. Widząc męki stalkera, Taran podjął decyzję.

– Pójdę na zwiady. Czekajcie tutaj.

Nie dając Kondorowi możliwości zaoponowania, Taran zdjął plecak, broń i kamizelkę taktyczną. Zerknął na dozymetr, ściągnął maskę przeciwgazową, zrzucił kombinezon ochronny, ubranie. Gleb ukradkiem popatrywał na opiekuna. Przez całe jego plecy biegła ohydna szrama. Na lewej łydce – ślady zębów. Na przedramieniu wręcz dziura, ściągnięta zabliźnioną skórą – najwyraźniej kawałek mięśnia został wyrwany w jednym z licznych starć.

– Chyba nie zamierzasz włazić do wody, stalkerze? Poszukajmy lepiej czegoś, na czym można dopłynąć…

– Dawno się nie kąpałem. Będzie ze dwadzieścia lat. – Taran wrzucił ubranie do grubej plastikowej torby, przeczepił ją sobie do pasa i zarzucił na plecy automat. – Nie wiadomo, kiedy będę miał znów okazję…

– Napromieniuje cię!

– Nie zdąży… – Taran zamocował nóż i wszedł do wody.

– Świr… – burknął Kondor, zdejmując z ramienia pieczeniega.

Stalkerzy śledzili w napięciu oddalającą się postać. Robiąc niespieszne, silne wymachy, przewodnik już prawie dotarł do przebitej burty i na tle krążownika wydawał się nędzną pchełką. Jeszcze chwila i zniknął we wnętrznościach giganta.

– Zdaje się, że się przedostał. Ma, cholera, farta! – Kondor z ulgą opuścił broń.

…

Taran podciągnął się na rękach, sadowiąc ciało na metalowej pochylni. Drżąc z zimna, rozwiązał worek, założył ubranie. Szybkie spojrzenie na dozymetr – w normie. Od razu zrobiło mu się lżej na duszy. Kliknęła latarka, oświetlając zardzewiałe wnętrze wypełnionej wodą ładowni. Stalker założył aparat oddechowy, rozejrzał się i ruszył wzdłuż przegrody. Schody przed nim nie budziły zaufania, ale nie było innej drogi. Taran wszedł ostrożnie po przegniłych stopniach i znalazł się w obszernej sali maszynowni. Panowała tu atmosfera opustoszenia. Zardzewiałe szafy urządzeń, pomarańczowe kałuże skondensowanej pary na metalowej podłodze, obwisłe przewody w strzępach pajęczyn… Statek widmo.

Stalker dość szybko odszukał wyjście na górne pokłady ogromnego okrętu. Niezbyt długa wycieczka po kajutach mieszkalnych nie przyniosła żadnych rezultatów. Wszędzie ten sam obraz: porozrzucane rzeczy, ciśnięte w nieładzie, na wpół zetlała bielizna, ramki z wyblakłymi fotografiami…

Krótkie przeszukanie kapitańskiej kajuty także zakończyło się niepowodzeniem. Wyglądało na to, że wszystkie dokumenty zostały celowo zniszczone. Stalker próbował przejść, po schodach prowadzących w górę, na mostek bojowy, ale luk był zaklinowany na amen. Trzeba było wyjść przez okno na pokład krążownika.

Poryw kłującego wiatru uderzył go w twarz. Rozglądając się na boki, Taran przekradł się wzdłuż galerii zewnętrznych przejść i schodów, aż wreszcie dotarł do mostka. Gdzie się podziała załoga? Kiedy ten okręt zawinął na tutejsze wody? Czy mogła to być ta właśnie „arka”, o której truli sekciarze? W poszukiwaniu jakichkolwiek punktów zaczepienia przetrząsnął wszystkie klitki i szafki, lecz nie udało mu się odnaleźć ani jednego opisu losów okrętu – czy to dziennika pokładowego, czy wydruków.

Poczuł łaskotanie na karku: stalker wyczuwa obce spojrzenie plecami, przez skórę.

Taran podniósł automat, gwałtownie się obrócił. W kajucie było pusto, ale przez ochlapany bryzgami słonej wody iluminator stalker

dostrzegł szkaradną figurę. Pteranodon…

Mutant siedział na relingu okalającym platformę sygnalizacyjną i uważnie obserwował ruchy człowieka. Taran błyskawicznie ukrył się w cieniu, nie tracąc drapieżnika z pola widzenia. Niezadowolony z tego rodzaju sąsiedztwa, pteranodon wydał ostrzegawczy krzyk i rozpostarł wyposażone w pazury skrzydła.

– No, no, kolego, będziesz musiał poszukać sobie innego miejsca…

Podniósł kałacha, otworzył iluminator i wystrzelił kilka krótkich serii. Kule wznieciły iskry, odbijając się od kraty relingu. Mutant podskoczył z przestrachem, rozdziawił długi dziób, zaklekotał z oburzeniem.

– Dobra, dobra, spadaj stąd!

Potwór w końcu ustąpił – machnął błoniastymi skrzydłami i ciężko poderwał się z „grzędy". Na pożegnanie przenikliwie krzyknął i odleciał w stronę grobli.

– Tak lepiej…

Gdy tylko stwór zniknął z zasięgu wzroku, uwagę Tarana przykuła platforma sygnalizacyjna. Niby nic interesującego, ale coś w otwierającym się przed jego oczami obrazku było nie tak. Jakby brakowało jakiegoś bardzo ważnego detalu. Stalker znów wyjrzał przez iluminator i zdał sobie sprawę, w czym rzecz. Zdecydowanie warto by było tam wpaść. Wyznaczywszy ostatni punkt wycieczki, wyszedł na zewnątrz.

•••

Farid i Szaman wciąż obserwowali kępę nadbrzeżnej roślinności, wodząc wzdłuż krzewów lufami kałachów. Nata przechadzała się nad samą wodą, kopiąc muszelki. Rzuciła spojrzenie dowódcy i uśmiechnęła się. Ten, próbując zabić czas, wyciągnął swój ulubiony nóż i starannie wodził nim po osełce.

Gleb przysiadł nieopodal, obok rzeczy opiekuna, przyglądając się okrętowi.

– To przecież nie jest „Wariag"? – zapytał Iszkarija.

– Nie, synu. Arkę ujrzą jedynie ci, którzy przejdą próbę bez lęku. Znieśliśmy wiele, ale widocznie za mało, by dowieść Exodusowi swej wiary i dążenia do…

– Za mało? – przerwała Nata, odwracając się. – Powiedziałeś „za mało”?

– Jedynie poprzez trudy i wyrzeczenia umacnia się duch, ofiary są zaś nie do uniknięcia… Są one jedynie zapłatą za wybawienie godnych tego…

– Zapłatą? – W dziewczynie powoli rosło wzburzenie. – Czyli według ciebie Okoń, Belg, Legitka, Dym to zapłata? Wychodzi na to, że ty jesteś najbardziej godny…

Nata gniewnie napierała na sekciarza. Ten cofnął się, ale wciąż patrzył wyzywająco na oponentkę.

– Uwierz, a zostaniesz uratowana! Inaczej dołączysz do grona męczenników, którzy zapłacili życiem za wybawienie wybrańców!

– Ach, wybrańców…

Nata była gotowa rzucić się na sekciarza, kiedy usadził ją dowódca.

– Starczy już! Jakbyś pierwszy raz słyszała te brednie…

– To nie są brednie, lecz nauki sługi Exodusu! Mówisz herezje! Opamiętaj się, inaczej zgnijesz jak wasi towarzysze!

Kondor nie zdążył niczego zrobić. Poruszył się, ale dziewczyna okazała się szybsza. Przyskoczyła do sekciarza i rzuciła się na niego. Iszkarij zawył z przerażenia, jednak zamierzał do końca bronić swoich zasad. Maski przeciwgazowe poleciały na ziemię. Wywiązała się bójka. Sekciarz odebrał od dziewczyny kilka mocnych ciosów pięścią i runął na piasek. Pod okiem zaczął mu nabrzmiewać siniak. Jego mina straciła nieco wyraz pewności, ale skrzywione z bólu usta wciąż powtarzały szeptem słowa obłąkanych modlitw.

– Ty konusie, nie jesteś wart nawet ich palca! Więc zamknij ten swój ohydny pysk, śmierdzi ci z niego!

Brat Iszkarij spojrzał przestraszonym wzrokiem na pochylającą się nad nim dziewczynę i nagle, z okrzykiem „Exodus ze mną!”, całym swym ciężarem wbił się jej w brzuch. Poturlali się po piasku,

podcinając Kondora. Ten runął; klnąc, spróbował wstać. Wywiązała się chaotyczna szarpanina. Dowódcy udało się wreszcie stanąć na nogi i rozdzielić walczących, rozrzucając ich na boki. Dopiero teraz komandos zdał sobie sprawę, że podczas szarpaniny zgubił nóż. Rozejrzał się. Na płaszczu Iszkarija czerwieniła się plama krwi. Sekciarz podniósł się z ziemi, obmacując się z przestrachem.

Nie, krew nie należała do niego. Iszkarij westchnął z ulgą i spojrzał niepewnie na Kondora. Ten z przerażeniem przerzucił wzrok na dziewczynę.

Nata leżała obok, zwinięta w kłębek. Cicho rzęziła, zaciskając sobie ręce na szyi. Ale takiego krwotoku nie dało się zatamować… Jaskrawoczerwona krew sączyła się przez palce, wylewała na ziemię.

Jak?!

Nieco powyżej obojczyka Naty sterczała rękojeść noża.

– Nie… – Łapiąc się za głowę, komandos przyskoczył do dziewczyny, padł na kolana i objął ją. – Jak to? Ja nie chciałem… Nie mogłem… Nie zdążyłem zabrać…

Ciałem Naty wstrząsnął spazm. Po kilku chwilach ucichła. W oczach dziewczyny zastygło zdziwienie. Stalkerzy śledzili tragedię w odrętwieniu.

Kondor zawył. Przeciągle, zwierzęco. Jego rozpaczliwy krzyk był pełen smutku i beznadziei. Kołysząc martwe ciało na rękach, dowódca zaszlochał. Iszkarij leżał kawałek dalej. Usta mu się trzęsły, a z oczu płynęły wielkie łzy – nerwy sekciarza wreszcie nie wytrzymały.

Kondor odczekał chwilę, zerwał się i z krzykiem rzucił na Iszkarija.

– To ty, ty jesteś wszystkiemu winny! To wszystko przez ciebie!

Sekciarz osłonił głowę rękami i pokornie leżał, skulony pod ciosami oszalałego z rozpaczy stalkera. Nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby do dowódcy nie podbiegł Szaman i ostro nie odepchnął go na bok.

– Starczy! Powiedziałem, starczy! Weź się w garść!

Kondor wpatrywał się w ziemię niewidzącym wzrokiem. Rozluźnił poobijane do krwi pięści.

Wtem z okrętu dobiegły odgłosy wystrzałów. Gleb popatrzył z paniką w stronę zatoki, na próżno starając się dojrzeć na krążowniku sylwetkę przewodnika. Nagle zdał sobie sprawę, jak słaby jest oddział bez Tarana. I że nieszczęścia przydarzają się akurat wtedy, gdy przewodnika z nimi nie ma.

Niepowodzenia i kłopoty prześladowały oddział przez całą drogę, wystarczyło tylko wyjść z metra. Porzucony świat, leżący na powierzchni, nie chciał przyjąć ludzi z powrotem. Mamiące wszystkich tajemnicze światło zgasło, skryło się jak widmo, jak bagienny ognik. Czy znajdą drogę do światła, do nadziei, poprzez wszystkie niebezpieczeństwa świata zewnętrznego? Ilu wędrowców dotrze tam żywych?

Może jeden. Może nikt.

– Trzeba było jeszcze fajerwerki odpalić. – Taran podszedł do ogniska, które stalkerzy rozpalili nad samym brzegiem. – Na wiorstę was widać.

Gleb rzucił się w stronę opiekuna. Kiedy ten wyszedł z wody, chłopiec poczuł ogromną ulgę. Taran wyciągnął ręce do ognia i dopiero teraz zauważył przykryte kocem ciało. Zastygł na moment, powiódł wzrokiem po wszystkich i nagle się zgarbił, opuścił głowę.

– Jak?

Kondor spojrzał ze złością na przewodnika, już chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i odwrócił się.

– To się stało przypadkiem… – odezwał się mechanik. – Nadziała się na nóż.

W czasie gdy opowiadał, Taran nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku. Gleb przez cały czas starał się dojrzeć oczy opiekuna pod kapturem. Lecz stalker naciągnął go jeszcze głębiej na głowę, kryjąc twarz. Kiedy Szaman umilkł, stalker wydał z siebie tylko jedno przeciągłe westchnięcie.

Kondor zerwał się na nogi, stanął naprzeciw przewodnika.

– No, co chcesz powiedzieć? Co?! Tak, zabiłem ją!

– Zabiłeś. – Taran podniósł się, patrząc w oczy dowódcy spode łba. – Nazywasz mojego dzieciaka Zwierzakiem… Przecież wy sami jesteście całkiem jak zwierzęta. Pozagryzacie się nawzajem, zanim dojdziemy do celu.

– Już?! To wszystko?! – eksplodował Kondor.

– Najęto mnie, żebym doprowadził was do celu – odpowiedział głucho stalker. – Wykonuję swoją pracę. I mówię o tym, co dotyczy mojej pracy. A za dziewczynę… – milczał przez chwilę, wpatrując się w twarz Kondora – ukarzesz się sam.

– Posłuchaj, dowódco – wmieszał się Szaman. – Masz rację. Powinniśmy wypełnić misję. I… uważam, że… Tak w ogóle, to Taran powinien przejąć dowodzenie oddziałem.

Kondor, słysząc to, drgnął, jednak się nie sprzeciwił.

Jeszcze kilka dni wcześniej, widząc po raz pierwszy dzielnego stalkera, Gleb za nic w świecie nie pomyślałby, że może wyglądać na tak bezradnego i przybitego.

– Idźcie do diabła – powiedział w końcu, nie podnosząc wzroku.

– Moje warunki są wam znane. – Taran rozrzucał butem węgle, gasząc ognisko. – Będziecie bez szemrania robić wszystko, co powiem, to nikt więcej nie zginie. Jasne?

Stalkerzy pokiwali głowami. Przewodnik podszedł do sekciarza siedzącego nieopodal.

– A tobie, dziwaku, radzę naprawdę się przymknąć ze swoimi kazaniami. Jeszcze raz otworzysz gębę bez mojej wiedzy, to rozwalę ci łeb. Kapujesz?

Iszkarij próbował jeszcze oponować, ale Taran niedwuznacznie skierował w jego stronę lufę automatu. Zerkając z przestrachem na kałacha, sekciarz gorliwie pokiwał głową. Taran wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął z niej plik zdjęć, rzucił je sekciarzowi na kolana. Wokół Iszkarija rozsypały się karteczki z podobiznami wszelkich możliwych okrętów.

– To dla ciebie, do kolekcji. Znalazłem na krążowniku. W końcu pasjonujesz się „arkami”…

Taran podszedł do Farida, podał mu kawałek paskudnie cuchnącej szarej substancji.

– Żuj, podczas marszu nie potrzebuję takich, co nie nadążają. To taki mech, naturalnie pobudza. Lepszy od chemii, którą w siebie wstrzykujecie.

Tadżyk bez sprzeciwu wziął „poczęstunek” do ust, skrzywił się, ale zaczął żuć.

– No, a teraz o krążowniku. Światło nie pochodziło stamtąd, ale teraz przynajmniej wiadomo, czego szukać. Z okrętu zdemontowano reflektor sygnalizacyjny, przy czym ślady wskazują na to, że całkiem niedawno. Ktoś tu przed nami był, tak więc sugeruję, żeby się nie ociągać. Są pytania?

Stalkerzy milczeli.

– W takim razie ruszamy. Następny przystanek w Kronsztadzie.

Oddział ruszył z miejsca i tylko Kondor wciąż stał przy ciele dziewczyny.

– Nie mogę tak po prostu… jej tu zostawić.

– Nasz kolega pomoże ci się zdecydować. – Taran wpatrywał się uważnie w ciemniejące burzowe niebo. – Szybko, chowajmy się!

Wędrowcy pobiegli pod osłonę niskopiennych drzew, których nienaturalnie powyginane gałęzie opadały do samej ziemi. Po chwili wahania Kondor poszedł w ich ślady. Komandosi zamarli, starając się zlać z tłem. Z nieba gwałtownie pikował ogromny cień. Kuląc się w trawie, Gleb nie śmiał podnieść głowy, lecz ciekawość jednak przeważyła. Wzdłuż pasa przybrzeżnego, wzbijając w powietrze tumany pyłu i piasku, przemknęło olbrzymich rozmiarów stworzenie. Potężne machnięcie przypominających ekrany skrzydeł posłało w stronę stalkerów silny strumień powietrza, na piasku zachrzęściły ogromne, uzbrojone w pazury łapy. Tworząc wokół siebie prawdziwe tornado z gałązek, liści i piasku, niesamowity gigant wzbił się w górę, majestatycznie zawrócił i odleciał na północ. Ciało

dziewczyny zniknęło. Tylko kilka głębokich bruzd na ziemi wskazywało teraz miejsce utarczki.

– Święty, święty… Chyba nam się udało – szepnął Szaman.

– Jak to tak… Nata… – Kondor załkał cicho, żałośnie. – To nie po ludzku…

– Chodźmy, stary. – Taran klepnął go po plecach. – W tym świecie nic nie jest po ludzku.

Pomaszerowali po wysuszonej wiatrami ziemi, spoglądając z niepokojem w niebo. Straszny stwór więcej się nie pokazał, jednak natura przygotowała im inną niespodziankę.

Nad ich głowami po raz kolejny błysnęło, oświetlając okolicę nieznośnie jasnym światłem. Ogłuszający grzmot sprawił, że wędrowcy instynktownie schowali głowy w ramionach. Pierwsze krople deszczu zabębniły o ziemię, tworząc maleńkie fontanny. Potem wszystko naraz zaszeleściło, zahuczało. Miarowy szum narastał, tłumiąc ludzkie okrzyki niezadowolenia. Nie było się gdzie skryć. Niebo spadło ulewnym deszczem, oblewając wędrowców potokami wody.

Żywioł szalał. Porywisty przeciwny wiatr raz za razem atakował idących, na próżno starając się ich powstrzymać. Pochyliwszy głowy, wędrowcy uparcie szli za Taranem. Zdawało się, że niestrudzony stalker nie zauważał niepogody, wciąż, bez ustanku udeptując wojskowymi buciorami błoto drogi.

Ścierając ze szkieł maski strugi wody, Gleb człapał za opiekunem, bezmyślnie przestawiając nogi. Raz, dwa, raz, dwa… Nie udawało się jednak oderwać od rzeczywistości. W głowie krążyła tylko jedna myśl: „Żeby jak najszybciej się to wszystko skończyło”. Był zmęczony. I fizycznie, i psychicznie. Zmęczony nadzieją, zmęczony zamieraniem w oczekiwaniu na cud, zmęczony rozczarowaniami, zmęczony strachem. Teraz nie pomagały nawet fantazje o ziemi wybawienia. Pozostało tylko tępe zmęczenie, obojętność i kawałek mokrej drogi pod stopami.

Raz, dwa… Gleb odwrócił się ukradkiem, wypatrzył Farida. Komandos chwiał się, nogi mu się plątały, ale uparcie szedł naprzód. I, jak wydało się chłopcu, nawet puścił do niego oko, jakby mówił: „Nie bój się, damy radę!”. Zrobiło mu się wstyd. Znów zaczął kwękać, podczas gdy innym było teraz trudniej niż jemu. Farid jest ranny, Kondor obwinia się za głupią śmierć Naty, Iszkarij jest załamany rozbitym w drzazgi mitem o Arce…

– Tata mi opowiadał – powiedział nagle głośno chłopiec, ze zdziwieniem słysząc własny głos – że na świecie jest wiele miejsc podobnych do naszego metra. W innych miastach, na całym świecie. I tam też ludzie się uratowali! I że przyjdzie czas, kiedy wszyscy oni będą umieli się z sobą skontaktować, a potem się odwiedzać, handlować!

– Oby Bóg usłyszał twoje słowa – odparł Szaman.

– W Moskwie metro jest największe na szwiecze – oznajmił autorytatywnie Tadżyk, ożywiając się. – Wujek mi opowiadał.

– A o Londynie ci nie opowiadał? – Taran włączył się do rozmowy. – To tam jest „największe na świecie”.

– Dlaczego o Londynie? Wujek w Moskwie handlował. Potem w Piterze.

– Mało to ludzie się nakopali w naszej matuli Ziemi na całym świecie? Może i ktoś przeżył – orzekł mechanik, odwracając się do Iszkarija. – A ty, czego milczysz, nasz gaduło?

– A bo Taran obiecał, że mu rozwali łeb. – Tadżyk uśmiechnął się. – To i milczy.

Stalkerzy ryknęli śmiechem. Napięcie nieco opadło.

– Za inne kraje nie ręczę, ale naszych w eterze jednak złapaliśmy! – Szaman westchnął z rozmarzeniem. – Dochodził słaby sygnał. Najprawdopodobniej nadajnik jest gdzieś niedaleko. Tak więc cała nadzieja w Kronsztadzie. Jak uważasz, Taran, jest światełko w tunelu?

Przewodnik nie odpowiedział od razu, zamyślił się. Chrząknął tylko wieloznacznie, podciągając pasek automatu.

– Nie lubię zgadywać. Pożyjemy, zobaczymy. Pożyjemy, Glebie?

– Pożyjemy!

Chłopiec uśmiechnął się z zapałem. Pozostali podchwycili ogólny nastrój i też zaczęli kroczyć żywiej. Nie na darmo Legitka mówił, że słowa mają wielką siłę. Szkoda go… A siły jeszcze im się przydadzą. Wprost na ich kursie rozpościerało się miasto. Gleb jakimś szóstym zmysłem czuł, że znajdą tam odpowiedzi. I odpowiedzi te ich nie rozczarują. Taka już jest natura człowieka – choćby było nie wiem jak źle, ma nadzieję, że będzie lepiej.

Rozdział 13: NEKROPOLIA

Dozymetr zaczął się odzywać, kiedy tylko zbliżyli się do terminalu kontenerowego i zamilkł dopiero po tym, jak oddział ominął niebezpieczne miejsce szerokim łukiem. Przez lornetkę wyraźnie widać było stosy podłużnych żelaznych boksów i miejsce, w którym towarowe kontenery rozsypały się niczym klocki, w chaotycznym bezładzie, przegradzając pomost cumowniczy. Gleb wyobraził sobie siłę fali uderzeniowej, która kiedyś się tędy przetoczyła, i skrzywił się.

Do osiedla dziewiętnastego, z jego wysokimi blokami mieszkalnymi, weszli od północnego zachodu. Budynki nieźle się zachowały, jedynie elewacje ucierpiały pod naporem szlifującego je od wielu lat wiatru. Betonowe studnie podwórek gęsto porosły burzanem. Domy wyglądały na opuszczone, tak samo jak w Piterze. Taran zlustrował otwierającą się przed nimi panoramę uważnym wzrokiem i poprowadził oddział po obwodzie nowego osiedla.

Wkrótce zabudowa stała się rzadsza. Przed wędrowcami otwierało się dwukilometrowe przejście po spękanym asfalcie prostej jak struna drogi. Ponura okolica na razie nie przyniosła im ani jednej niespodzianki, chociaż Szaman nie omieszkał podzielić się swoimi obserwacjami.

– Był plac, była ulica, a teraz jest szosa Kronsztadzka. Znowu znak, słyszysz, Kondorze? Tylko żeby to człowiek wiedział, dobry czy zły?

Kondor milczał. Z każdym krokiem popadał w coraz głębszą apatię, czy to przeżywając śmierć Naty, czy to swoją nagłą dymisję. Teraz zamykał pochód i nawet nie próbował pilnować tyłów. Kiedy Taran to zauważył, odesłał na ogon Szamana.

Deszcz tymczasem się uspokoił, przechodząc w drobną mżawkę. Droga rozmiękła. W licznych kałużach odbijały się rozświetlone

obłoki. Nawet wiatr stracił swoją siłę i ustał, jak gdyby wybawił się do woli.

– Co za wilgoć… Widać Kotlin nas nie lubi. – Mechanik się skulił.

– A skąd się wzięła taka nazwa? – Gleb się ożywił, zaczynając rozmowę.

– Jezioro Kotlino. Nie słyszałeś? Kotlina, w której środku znajduje się ta wyspa. Od dawna tak się nazywa.

– Jest jeszcze legenda – włączył się Taran. – Kiedyś ponoć siedzieli tu Szwedzi. Oddział wartowniczy, ostrzegawczy.

– Szwedzi? – dopytywał uczeń.

– No… To jak Weganie, tylko… – Przewodnik zaplątał się, dobierając słowa. – No, krótko mówiąc, obcy. Kiedy car Piotr podprowadził rosyjskie okręty do wyspy, Szwedzi zmyli się, gdzie pieprz rośnie. I to tak szybko, że nawet ogniska nie zdążyli zgasić. A nad ogniskiem wisiał kocioł z żarłem. No i wtedy postanowili nazwać wyspę Kotlin.

– Tu by się ten kociołek nadał… – powiedział z rozmarzeniem Farid.

Na rozmowach minęła większa część nie obfitującego w wydarzenia przemarszu. Wędrowcy pomyślnie zakończyli marszobieg i weszli do starej części miasta. Opustoszałe ulice przywitały ich milczeniem. Nienaturalna cisza budziła niepokój. Nie było słychać szelestu listowia ani krzyków drapieżnych zwierząt. Czas jakby się tu zatrzymał, nie mając władzy nad wiecznym snem opuszczonego miasta.

Gleb zauważył, że fauna wyspy nie spieszyła im na spotkanie. Wszystko wymarło, czy co? Może mutanty w ogóle nie potrafią się tu dostać? W końcu nie wiadomo jeszcze, w jakim stanie jest północna część grobli…

Zostawiając w tyle kwartał za kwartałem, oddział zagłębił się w labiryncie porosłych chwastami ruin. Stare, ponure domy robiły nieprzyjemne wrażenie. Pustka i zapomnienie stały się tu pełnoprawnymi gospodarzami. Strasznie było iść milczącymi, opuszczonymi ulicami. Okna zabite deskami… Ciemne czeluści

zawilgoconych klatek schodowych… Co tam teraz jest, we wnętrznościach wyziębionych domów? Gleb stąpał po zawianej piaskiem jezdni, co chwila dotykając palcami rękojeści pistoletu. Dziwne uczucie, że z boku ktoś na nich patrzył, nie opuszczało go ani na sekundę. Widocznie to samo czuł też jego opiekun, rozglądając się z niepokojem i przyglądając omszałym dachom.

– Nie traćcie koncentracji. – Taran przyspieszył kroku.

Gdzieś niedaleko rozległo się przeciągłe skrzypnięcie. Stalkerzy drgnęli, chwytając za broń. Przewodnik przekradł się szybko wzdłuż ściany domu, ale alarm okazał się fałszywy. Wkrótce wszyscy zobaczyli drzwi, którymi miotał porywisty wiatr. Zardzewiałe zawiasy straszliwie jęczały, ponurą muzyką witając niespodziewanych gości.

– Zatrzymamy się na ognisko? – Taran wskazał na drzwi.

– Dlaczego właśnie tutaj? – Mechanik nieufnie spoglądał na mroczne wejście do budynku.

– A dlaczego by nie? Potrzebujemy jakichkolwiek informacji. A i Faridowi nie zaszkodziłaby zmiana opatrunków.

Tadżyk kiwnął głową z wdzięcznością. Wędrowcy weszli do środka. Pokonali kilka pięter i pchnęli pierwsze nadarzające się drzwi. Chłopiec z zaciekawieniem zaczął oglądać dawne ludzkie mieszkanie. Krótki przedpokój. Parkiet na podłodze zbutwiał, aż zrobił się czarny. Pod warstwą pleśni na ścianach z trudem można było się domyślić strzępów tapety. W pokojach to samo. Tylko więcej mebli. W sypialni przekrzywione łóżko, resztki szafy na ubrania. Szarozielone plamy na zawilgotniałym przez długie lata suficie. W szczelinach przegniłego na wskroś parapetu roją się stonogi…

Niezbyt przytulnie. Gleb z nostalgią wspomniał swoją starannie przykrytą kocem z grubej flaneli leżankę we wspólnym kącie gościnnym, na rodzimej Moskiewskiej. Do głowy natychmiast przyszły mu wspomnienia o wieczornych posiadówkach przy ognisku, zabawach w „stalkerów” z dziećmi sąsiadów, nieczęstych wartach na posterunkach, dniach targowych, kiedy na stację przychodziły karawany straganiarzy… Teraz te obrazy pozacierały się i zdawały

bardzo dalekie. Wiele się zmieniło. Przemiany dotyczyły jego życia, ale Gleb bardzo chciał, by dotknęły wszystkich tych, którzy teraz czekają w kolejce podziemnej i mają nadzieję na udany powrót ich ekspedycji. Gleb próbował wyobrazić sobie, jak ucieszy się wujek Nikanor, Pałycz i wszyscy pozostali, kiedy się dowiedzą, że… Ale w następnej chwili wzrok chłopca natrafił na coś, co błyskawicznie przywróciło go ze świata snów do zimnych ruin w środku Kronsztadu.

Na chybotliwym stoliku leżał cudem ocalały porcelanowy talerzyk z panoramą nocnego miasta. Zalany światłem port, otoczony równymi rzędami przybrzeżnych domów… Ciepłe światło płynie z okien… Przepiękne statki, zamarłe na powierzchni zatoczki… Pod kolorowym rysunkiem było wydrukowane jedno jedyne, lecz tak ważne i poruszające słowo: „WŁADYWOSTOK”.

Gleb zamarł z otwartymi ustami. Nagle zabrakło mu tchu, a usta same wyszeptały:

– Ziemia obiecana…

Iszkarij przysiadł obok niego, drżącą ręką wskazując na obrazek.

– No co, bracia w rozumie, znaleźliście swój „raj”? – Taran uśmiechnął się. – Szaman, chodźmy, sprawdzimy mieszkanie naprzeciwko. Farid, masz bandaże?

Stalkerzy poszli do wyjścia. Chłopiec znalazł się sam na sam z sekciarzem. Obaj milczeli, wciąż chciwie przyglądając się obrazkowi. Gleb bał się nawet odetchnąć, by nie zakłócić ciszy. Iszkarij skinął głową i wskazał chłopcu wzrokiem talerz. Gleb ostrożnie wziął do ręki kruchy przedmiot, odczekał chwilę i podał go Iszkarijowi. Sekciarz podniósł na chłopca wdzięczny wzrok, ale nie spieszył się z przyjęciem drogocennego znaleziska.

– Ujrzałeś to samo co i ja… Znak z góry. Jesteśmy na właściwej drodze.

– To chyba powinno należeć do Exodusu?

– Zostaw go sobie, synu. Widzę w twojej duszy wątpliwości, a ten przedmiot umocni twą wiarę. I wtedy, być może, wstąpisz jeszcze do

miasta marzeń.

Chłopiec skinął głową, troskliwie przyciskając talerz do piersi, potem zdjął z ramienia plecak, zawinął znalezisko w sweter z włóczki i schował głęboko.

– Gleb, idziemy! – dobiegł głos Tarana.

Wyskoczyli na schody, doganiając stalkerów. Chłopiec uśmiechał się, przed oczami wciąż jeszcze miał widoczek dalekiego miasta. W głowie mu się nie mieściło, że takie piękno mogłoby zniknąć. Nie. Ocalałe, nieskalane katastrofą ziemie muszą istnieć. I jeśli rzeczywiście gdzieś są, to on je znajdzie. Koniecznie. Dlatego że to nienaturalne dla człowieka – gnić w wilgotnych podziemiach, zarzynać sąsiada za ostatnie okruchy jedzenia, bać się wysunąć nos na powierzchnię. I niech sobie Taran będzie przekonany, że tylko to ocalało. Gleb udowodni, że jego opiekun się myli. Że mylą się wszyscy ci, którzy porzucili nadzieję.

Będzie wierzył do ostatka, tak jak wierzyli jego rodzice.

•••

Stalkerzy, starając się nie hałasować, kroczyli gęsiego. „Prospekt Lenina” – przeczytał chłopiec tabliczkę na kolejnej zniszczonej przez wichry ścianie. Tu przewodnik zatrzymał się, studiując mapę. Gleb zaszedł go z boku, usiłując zajrzeć do wytartego arkusza papieru w jego rękach.

– Jesteśmy teraz tutaj, przy zaułku Bezimiennym – wyjaśnił przewodnik, wodząc palcem wzdłuż poblakłych linii. – Można iść do przystani albo spróbować…

Chłopiec nie dosłuchał do końca. Jego uwagę przykuł dziwny odblask na ziemi. Gleb podszedł bliżej do zagadkowego znaleziska, przyjrzał się, przesunął podeszwą buta po gładkiej powierzchni, odgarniając na bok stertę liści i mokry piasek. Potem opadł na kolana i spiesznie oczyścił rękami parę metrów przestrzeni. Przed jego oczami ukazała się granitowa płyta, wmurowana wprost w bruk jezdni. Najprawdopodobniej był to plan tej właśnie wyspy, która

teraz niechętnie odkrywała przed nimi swoje tajemnice. Jego domysł potwierdziła kamienna gwiazda z czterema ramionami, oznaczającymi widocznie strony świata. Tablicę okalało niskie ogrodzenie w postaci litych metalowych kul i grubego łańcucha, do połowy zagłębionego w ziemi.

Jednak najciekawszą rzecz Gleb zauważył nie od razu. Na jednym z segmentów planu był ledwie widoczny dziwny znak, namalowany wyblakłą przez te długie lata farbą. Zafascynowany znaleziskiem, dopiero po jakimś czasie dostrzegł, jak z tyłu podeszli stalkerzy.

– Mrok nam się rozjaśnia… – Taran zerknął na tablicę. – Znak wskazuje na KMOLZ.

– Zdaje się, chłopcze, że pokazałeś nam dalszą drogę. – Szaman krytycznie porównał granitowy plan z papierowym. – Właśnie tak, trzeba kierować się na fabrykę.

Rozentuzjazmowany swoim odkryciem, Gleb pospieszył za pozostałymi. Poprawił maskę, uśmiechnął się do swoich myśli. Przyjemnie być w centrum uwagi doświadczonych stalkerów i okazać się dla nich użytecznym! Chociaż troszkę!

Gdy zostawili za sobą zaułek, wyszli nad długi, szeroki rów pełen gęstej zupy z gnijących wodorostów. Pod powierzchnią wody, zaciągniętą zielonkawą rzęsą, odbywał się nieprzerwany ruch. Gleb skrzywił się. Raz miał okazję zobaczyć, jak ludzie leczą się pijawkami. Widok nie należał do przyjemnych… Tu widocznie żyło coś podobnego.

– Kanał odprowadzający wodę – rzucił Taran, nie zatrzymując się.

Chłopiec uznał, że opiekun poprowadzi ich w kierunku mostu, który widniał w oddali, lecz Taran pewnym krokiem ruszył w stronę zapory przegradzającej kanał. Z wody sterczały nieforemne sterty żwiru wymieszanego z kawałkami betonowych płyt. Nikt już nie próbował komentować decyzji przewodnika. Oddział przekonał się już nieraz – co do wyboru trasy Taran zawsze ma rację.

Sforsowanie wodnej przeszkody okazało się mniej skomplikowane, niż wydawało się Glebowi na początku. Po minięciu imponującego

rozmiarami hangaru z zawalonym dachem, oddział zatrzymał się na granicy Doku Pietrowskiego. Tak nazwał to miejsce opiekun i chłopiec już miał go zapytać o znaczenie niezrozumiałego słowa, gdy ten uprzedził go i wyjaśnił:

– Tutaj przypływały statki na remont części podwodnej. A potem spuszczano wodę, która spływała do specjalnego basenu, wykopany jest tam dalej. Nawiasem mówiąc, dok jest historyczny, ufundował go jeszcze Piotr Pierwszy.

Gleb spoglądał na dno kanału wyłożonego ciosanym kamieniem i wciąż nie mógł zrozumieć, z jakiego powodu jego twardy jak stal opiekun zaczął nagle mówić z taką czcią. Po prostu dwa poprzeczne rowy z głębokim dołem pośrodku. W metrze nie takie rzeczy wykopali.

Stalkerzy ostrożnie zeszli na dno kanału. Resztki kamiennej okładziny gęsto porosły trawą. Na środku basenu widniał otwór studni – widocznie dla odpływu wody. Z jakiegoś powodu chłopiec nie chciał zbliżać się do tej dziury, dlatego okrążył dziwne miejsce, trzymając się na pełen respektu dystans.

Podczas obchodu doku tu i tam natrafiali na zwały zgniłych korzeni i siana. Wszędzie wzrok napotykał zeschłe ekskrementy. I odór zgnilizny, który przenikał przez filtry.

– Toż to ktoś trzymał tu bydło, jak matkę kocham! – oznajmił bezapelacyjnie Szaman. – A co, wygodnie! I paść nie trzeba, i pełno trawy.

– Tylko by tak pasterzy znaleźć… – Taran dokładnie studiował zarośla na brzegach kanału. – Nieprzyjemnie tu. Idziemy dalej.

Pośród drzew mignęła kopuła soboru. Gleb miał wielką ochotę podejść bliżej do wspaniałej budowli, ale opiekun, jak na złość, skręcił w drugą stronę. Omijając rumowiska, wyszli w końcu na ulicę Pietrowską.

– Teraz prosto. Zakład jest o rzut beretem.

Chłopiec wyciągnął szyję, próbując wypatrzyć, co jest przed nimi. I znowu po raz któryś poczuł na sobie badawczy wzrok skądś z boku. Taran najwyraźniej też to poczuł, gdyż bez ostrzeżenia pomknął jezdnią, przebiegł na drugą stronę ulicy i skrył się w bramie domu. Wędrowcy pospieszyli za nim. Stalker wyskoczył na podwórko i zamarł, nasłuchując. Cisza. Jeszcze jedna betonowa studnia i opustoszałe budynki dookoła. Taran już miał ruszyć w głąb zarośli, gdy za nimi rozległ się rozpaczliwy krzyk. Wędrowcy rzucili się z powrotem, widząc przerażonego sekciarza. Brat Iszkarij siedział na asfalcie, wskazywał palcem w stronę najbliższych krzaków i bezładnie mamrotał:

– Tam coś… jest… Widziałem! To… to pokazało się i… zniknęło!

– Czekajcie tutaj! – Taran zniknął w gęstwinie.

– Co widziałeś? – zwrócił się do sekciarza Szaman.

Ale ten, zdaje się, stracił zmysły ze strachu. Wciąż siedział z podwiniętymi nogami i bełkotał coś niezrozumiale.

– Tfu! Pożytku z ciebie tyle, co z walonka bez pary. I nosić się nie da, i wyrzucić szkoda…

Tymczasem wrócił przewodnik. Bez nowin.

Oddział ruszył dalej, co prawda, rozglądając się teraz cały czas na boki przez celowniki automatów. Przed nimi ukazał się przysadzisty dwupiętrowy budynek z wielkimi literami na dachu: „ZAKŁAD MORSKI”.

– Portiernia…

Stalkerzy przecięli niewielki hol, zawalony śmieciami i zbitym szkłem, wyszli na zewnątrz i znaleźli się na terenie zakładu.

– Dokąd teraz?

– Pojęcia nie mam. – Taran rozejrzał się ponuro. – W KMOLZ-ie byłem tylko raz. Tu jest od groma różności. Doki, przystań… Spróbujemy przebiec się po halach. Może znajdziemy złote runo…

Ruszyli wzdłuż zmurszałych bloków fabrycznych, których część w ogóle zamieniła się w ruiny. Gdziekolwiek zaglądali stalkerzy, wszędzie witało ich jedno i to samo: zwały porozbijanych cegieł,

zardzewiałe szkielety warsztatów, przejścia pokryte grubą warstwą pyłu. I nagle w jednej ze stróżówek, wprost na blaszanej podłodze, odkryli świeże, jeszcze nieostygłe palenisko. W węglowym pyle można było dostrzec wyraźny ślad buta. A na trójnogu z kołków wisiał poczerniały od sadzy kociołek.

– Coś gospodarze nie spieszą się z witaniem gości. Pochowali się jak karaluchy…

– Są i takie karaluchy, co by cię wciągnęły nosem – rzucił cicho mechanik.

Oddział ruszył dalej, zbaczając do wschodniej części zakładu. W napięciu minęło już kilka godzin. Przeciągające się poszukiwania były coraz bardziej męczące.

– I nie ma ani tabliczek, ani tuneli wentylacyjnych… – mamrotał półgłosem Szaman. Przewodnik kiwał głową, szperając wzrokiem dookoła.

– Na mape był znak – zauważył Tadżyk, bawiąc się muzułmańskim różańcem. – Czeba szukacz.

– A może to nie był żaden znak! – W głosie mechanika było słychać narastające rozdrażnienie. – To nie do życia miejsce, chłopy… Niepotrzebnie tu przyleźliśmy.

Budynek po budynku przeczesali większą część fabryki, gdy ich uwagę przyciągnął jeden z zaułków utworzonych przez ściany hal. Miejsce to całe usiane było rozmaitymi gratami – pustymi szpulami, powyginanymi szafkami na ubrania, spawanymi żelaznymi konstrukcjami. Gleb od razu wyobraził sobie olbrzyma rozrzucającego ciężkie skrzynie niczym dziecko zabawki. Sprawiało to wrażenie, że ktoś uparcie znosił tu rupiecie z całej fabryki, a potem rozmyślił się i porzucił bezsensowne zajęcie.

Okazało się, że jeszcze więcej gratów jest za rogiem – tam, gdzie uliczka kończyła się ślepo. Niczym stragan handlarza starzyzną całe to miejsce było zawalone stosami złomu i zardzewiałymi fragmentami rozmaitej maszynerii.

– Złomowisko? – wyraził przypuszczenie Farid.

– No, nie do końca… Raczej znaleźliśmy jednak schron przeciwbombowy – podsumował Taran, wpatrując się w wielkie litery, które nie od razu rzuciły im się w oczy.

Ogromny napis na ścianie nad górą metalu głosił: „SPALCIE SIĘ W PIEKLE, WYRODKI!”. Gleb ze zdziwieniem przyglądał się starannie wzniesionej barykadzie. Wszystko wskazywało na to, że znajdowała się tu od bardzo dawna – zardzewiałe kratownice były zasypane piaskiem i porosły rozłożystymi ostami. Komu zależało na zawaleniu wejścia? Od kogo ludzie chcieli się odgrodzić? Kogo nie chcieli wypuścić na zewnątrz? I znów to słowo – „wyrodki”. Choć prześladowało Gleba od pierwszego dnia wyprawy, nie rozumiał do końca, co znaczy. Wyrodzić się… Zamienić się w coś… W potwory?

– W pierwszych tygodniach po Katastrofie widziałem takie rzeczy – wyjaśnił Taran. – Ci nieszczęśnicy, którzy nie zdążyli dostać się do metra, czekali na ekspedycje wychodzące na powierzchnię. Najpierw błagali, żeby wziąć ich do środka, a potem zaczęli je atakować. A Park Pobiedy próbowali zablokować. Szyb schodów ruchomych zasypywali różnymi rupieciami. Biedacy. Czego człowiek nie zrobi z rozpaczy…

– Czyli twoim zdaniem nie ma tu na co polować? – Szaman kopnął najbliższy kawał żelastwa.

– To już nie mnie decydować. Ja swoje zrobiłem. Jesteśmy w Kronsztadzie. – Taran popatrzył pytająco na Kondora.

Kondor powoli, jakby niechętnie wyszedł naprzód.

– Schron to jedyna wersja Aliansu. Nawet jeśli jest tam pusto, musimy koniecznie się upewnić. I wybadać sprawę zasobów.

– W takim razie nie ma na co czekać… – Mechanik zrzucił plecak. – Farid, wyciągaj materiał wybuchowy, będziemy otwierać.

•••

– Podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, w czasie nalotu, bomba lotnicza trafiła prosto w schron. Kto się chował po rowach i piwnicach, ten przeżył, pozostali zginęli od wybuchu. –

Uświadamiając ucznia, Taran nie zapominał o obserwacji okolicy. – Potem schron przebudowano. Z uwzględnieniem wcześniejszych błędów. Tak więc nie wiem nawet, co pod tą stertą żelastwa zobaczymy.

Zerknęli na barykadę. Szaman i Farid kończyli już zakładać cenne ładunki. Licząc miarą kolejki podziemnej, takie wysadzenie kosztowało majątek. Materiał wybuchowy to rzadka rzecz. W swoim czasie prawie całe zapasy przekazano na utworzenie nowych sztolni, aby powiększyć przestrzeń życiową stacji. Nawet w składzie Tarana kryło się tyle, co nic – ledwie kilka lasek dynamitu.

– Gotowe! – Mechanik rozwinął przewód i stanął za rogiem uliczki. – Można zaczynać.

Stalkerzy przylgnęli do ceglanej ściany i zamarli w oczekiwaniu.

– Zatkaj uszy rękami, otwórz usta.

Gleb zrobił pospiesznie wszystko, co mu kazał opiekun. W następnej sekundzie rozległ się ogłuszający huk. Ziemia zatrzęsła się im pod nogami. W uszach zadzwoniło. Zza rogu wyleciał tuman pyłu i fragmenty żelaza. Po asfalcie zastukały kawałki prętów zbrojeniowych. Pomarańczowy dym zasnuł cały zaułek.

– Ooo, Szajtan! Ale walnęło, co?! – Farid jako pierwszy wyskoczył za róg, kryjąc się w kłębach pyłu.

Pozostali ruszyli za nim. Dym powoli się rozpraszał, otwierając przed stalkerami obraz zniszczeń. Metalowy złom rozrzuciło po całej uliczce. W miejscu, gdzie przypuszczalnie znajdowało się wejście, ziała dziura w ścianie. Fragmenty wyrwanej z zawiasów bramy walały się nieco dalej.

Kiedy stalkerzy podeszli bliżej, zobaczyli długi korytarz prowadzący w dół, pod ziemię. Na grubych betonowych ścianach widniały szramy i zagłębienia. Ktoś rozpaczliwie próbował wydostać się ze schronu. Jednak na próżno. Stalkerzy zeszli po schodach i znaleźli się na wąskiej platformie wychodzącej na otwarte na oścież hermetyczne drzwi ze śladami głębokich rys i wgnieceń.

– Zdaje się, że miałeś rację, stalkerze. – Mechanik poświecił na zaporę, wodząc palcami po powyginanym metalu. – Ci, którzy nie zdążyli, dobijali się do środka. A potem na odwrót. Słowem, dołożyli sobie nawzajem, jak mogli. Teraz to już nie wiem, czy jest sens tam schodzić…

Taran poprawił mocowanie kamizelki kuloodpornej, podniósł automat, obrzucił wzrokiem drużynę.

– Sprawdzić broń, latarki. Wchodzimy.

Rozdział 14: PIEKŁO

Smugi światła latarek przecięły ciemność, oświetlając wnętrze śluzy dezaktywacyjnej. Ciężkie kroki wojskowych buciorów wydały pierwsze dźwięki od wielu lat, które naruszyły spokój tego mrocznego, zapomnianego przez Boga miejsca. Wzbijając w powietrze obłoczki pyłu, stalkerzy wkroczyli do królestwa mroku. Za śluzą ukazał im się jeszcze jeden pochyły korytarz. Tu grupa natknęła się na pierwsze znaleziska. Pod mokrymi, ociekającymi wilgocią ścianami spoczywały ludzkie szczątki. Kilka szkieletów w zetlałych ubraniach. Farid zaczepił niechcący o jeden z nich i odskoczył. Ten rozpadł się niczym domek z kart.

– Kondor, zasuń gródź. Nie lubię, kiedy tył jest nieprzykryty. – Taran ruszył na dół.

– Lepiej przedobrzyć, niż potem żałować… – Komandos skinął głową ze zrozumieniem i wrócił do śluzy.

Zgrzytnęła zapora, odcinając wędrowców od powierzchni. Teraz byli izolowani od niebezpieczeństw zewnętrznego świata. Jednak Gleb nie znalazł upragnionego spokoju. Przeciwnie, z powodu niskich sufitów schronu i nieprzeniknionych ciemności czuł się przytłoczony i zaniepokojony.

Przed nimi ukazało się pierwsze obszerne pomieszczenie bunkra. Brud, śmieci i wszelkie nieczystości mieszały się tu z na wpół rozłożonymi ludzkimi szczątkami. Bardziej przypominało to grobowiec niż schron. Ostrożnie przechodząc nad bielejącymi w świetle latarki kośćmi, Gleb sunął za Taranem i już żałował, że nie zgłosił się do warty na górze. Teraz było za późno na marudzenie. Jedyne, czego chłopiec w tej chwili chciał, to nie poddać się mdlącemu strachowi, jak wtedy w podziemiach szpitala… Lecz plecy opiekuna majaczyły tuż obok i panika ustąpiła.

Posuwając się wzdłuż zielonych od pleśni ścian, oddział wytrwale penetrował mroczne katakumby. Jeszcze jedna sala przed nimi. Dwupiętrowe prycze, ławy, umywalka – wszystko pokrywał grzyb. Pleśni z każdym krokiem było coraz więcej. W omszałych, ciemnozielonych wzgórkach na ziemi ledwie dało się rozpoznać ludzkie ciała. Do tego wszystkiego część pomieszczeń okazała się podtopiona. Brnąc po kostki w czarnej oleistej brei, stalkerzy natknęli się na resztki składu. Puste półki, kompletnie zbutwiałe skrzynki, porozrzucane bezładnie w mętnej wodzie maski przeciwgazowe…

– Co oni tu gotowali? – Szaman ze zdumieniem przyglądał się zardzewiałemu piecykowi, na którym spoczywał zakopcony kociołek. Na ziemi nieopodal walała się sprzączka od paska, podeszwa pociętego buta, oparcie wypatroszonego fotela…

– Rozgotowywali skórę. – Taranowi wystarczyło jedno spojrzenie. – Tu panował głód.

Gleb wzdrygnął się, słysząc słowa opiekuna. Na Moskiewskiej też były czasy głodu. I o tym chłopiec wolał nie pamiętać. Kiedy w pustym żołądku nie ma nic, oprócz kłucia, a jedynym sposobem zagłuszenia wypalającego ci wnętrzności uczucia i oszukania protestującego organizmu jest nałykanie się wody, życie w takich chwilach traci wszelki sens.

Im głębiej schodzili, tym widok stawał się straszniejszy.

Schron okazał się całkiem pojemny. I, sądząc z ilości szczątków, zdążył przyjąć do swojego wnętrza całkiem sporo ludzi. Inna sprawa, jak tutaj, na terenie zakładu, tego feralnego dnia znalazło się tak wielu ludzi? Taran opowiadał, że fabryka przed Katastrofą miała już od kilku lat przestoje… Chłopiec zamyślił się i w następnej chwili potknął o coś i omal nie runął na betonową podłogę. Latarka oświetliła jeszcze jedno martwe ciało. Od uderzenia szkielet z cichym stukotem rozpadł się na kawałki. Spod sterty przegniłych szmat wystawał róg brudnej foliowej paczki.

Coś przyciągnęło Gleba do tego zawiniątka. To chyba coś cennego, jeśli właściciel nie rozstawał się z tym aż do samej śmierci…

Poddając się ciekawości, chłopiec ostrożnie wyciągnął paczuszkę ze stosu szczątków. Książka? Gleb przerwał taśmę z tworzywa sztucznego, przedarł mokrą folię… „TERMINARZ” – głosił tłoczony napis na popękanej okładce. Pożółkłe stronice w środku były upstrzone gęstym pismem. Chłopiec podniósł na chwilę głowę i rozejrzał się. Stalkerzy porozchodzili się po schronie, z rzadka przerzucając się krótkimi zdaniami. Światło ich latarek pobłyskiwało w korytarzach. Korzystając z chwili przerwy, Gleb skierował latarkę na rękopis i zaczął wodzić palcem po równych wersach.

…Niech będzie przeklęty dzień, kiedy zapisałem się na tę awanturę. Chociaż teraz, analizując wydarzenia minionych lat, nawet nie wiem, jaki koniec byłby lepszy – zdechnąć na powierzchni, szybko wykitować od promieniowania, czy przez wszystkie te lata powoli gnić żywcem dziesięć metrów pod ziemią z gromadą takich samych nieszczęśników… Dzień po dniu patrzeć im w oczy i łgać…

A zaczęło się od kuszącej propozycji Sawuszki – mojego najlepszego kumpla. Pamiętam, bardzo się przyjaźniliśmy jeszcze w szkolnej ławie. Potem nasze drogi się rozeszły. Po skończeniu akademii wojskowej Pietia Sawiełow pojechał na północ. Coś mu nie wyszło z dziewczyną. No i w końcu wyjechał od niej na drugi koniec świata.

Ja miałem trochę problemów z nauką. Rzuciłem studia. Nie znalazłem żadnej sensownej roboty. Klepałem biedę, dorabiałem sobie… A potem, pewnego pięknego dnia, Sawuszka wrócił. Pamiętam, że mocno pobalowaliśmy. Uczciliśmy spotkanie. Przy butelce wódki zaczęły się rozmowy o życiu. Pietia opowiadał mi o morzu, o okrętach, o północnych przestworach… Tak ciekawie… A ja coś tam wyjąkałem, naopowiadałem trochę głupot… Że niby jest tak i tak. Że żyję sobie powolutku, no i dobrze… A co miałem mówić, jak nie było się nawet czym pochwalić?

Sawuszka to był taktowny chłopak. Nie brał mnie na spytki. Siedział sobie i dłubał w zębach. Miał taki nałóg. Zapuścił sobie nawet po to dłuższy paznokieć na małym palcu. Popatrzył wtedy na mnie, zamyślił się. A ja widzę – ukrywa coś przede mną, nie mówi wszystkiego. W sumie zaproponował mi pewną chałturę. Mówi, że sprawa jest poważna, ale surowo zabronił o tym gadać. Już się zestresowałem, myślałem, że to jakiś kryminał… Ale uspokoił

mnie. Powiedział, że można pozasuwać dla resortu obrony. Pieniądze nie aż takie wielkie, ale roboty po uszy i karmią trzy razy dziennie. Trzeba tylko będzie podpisać zobowiązanie. Że zachowa się tajemnicę.

Nie zastanawiałem się długo. I tak nie miałem nic do stracenia. Nie zdobyłem w życiu niczego, co mógłbym stracić… Krótko mówiąc, zgodziłem się. Następnego dnia przyjechałem do Kronsztadu. Jak zobaczyłem stocznię, od razu przyszły mi do głowy różne domysły. Uznałem, że będziemy budować tajny okręt podwodny. A wszystko okazało się znacznie prostsze. Remont schronu bombowego. Gastarbeiterów nie wpuszczali do obiektu, a ode mnie i jeszcze wielu takich jak ja rzeczywiście wzięli podpis. Schron zasadniczo odnawiali wojskowi. Jakieś wojska inżynieryjne… Żołnierzyki biegają, noszą skrzynie tu i tam. Nawieźli całą masę sprzętu. Wszystko w pośpiechu, krzątaninie… Karmili nas na miejscu, w obiekcie – z kuchni polowej.

Zacząłem też rozumieć, że z tym schronem to nie jest taka prosta sprawa. Jako pierwsze postawili hermetyczne grodzie. Takie konkretne… Tylko akurat nie przy wejściu, tylko odwrotnie – w najdalszym zaułku schronu. A co było za nimi – nie wiadomo. Surowo zabraniano nam tam wchodzić. Strażnik, który zawsze trzymał tam wartę, też nie był zbyt rozmowny.

Mijały dni chaotycznej pracy. Sawuszkę widywałem rzadko. Dlatego że pracował za tymi właśnie grodziami, za które wstęp był zwykłym śmiertelnikom zakazany. W krótkich chwilach spotkań też pomijał milczeniem pewne kwestie, tylko raz w naszej rozmowie padło słowo „kompleks". Nie wiedziałem wtedy, choć się domyślałem, że wojskowi jeszcze na długo, zanim to wszystko się stało, zaczęli zakopywać się w ziemi po uszy. Czy to centrum dowodzenia, czy to jeszcze co innego… A schron był tylko wierzchołkiem góry lodowej…

– Jeszcze jedne czwi! – Gdzieś z daleka dobiegł głos Farida. – Chodź tu!

Gleb zatrzasnął dziennik, troskliwie schował go za pazuchę.

Przed kwadratową masywną zaporą zebrali się już wszyscy członkowie oddziału. Gleb chciał powiedzieć o swoim znalezisku, ale od razu zdał sobie sprawę, że nie ma za bardzo o czym. Drzwi i tak się znalazły.

Szaman pedantycznie obejrzał nową przeszkodę, bezskutecznie szarpnął koło mechanizmu blokującego.

– Trzeba będzie wysadzić.

– Nie zawali się?

– Przeczekamy na górze.

I znów zaczęły się przygotowania. Tym razem mechanik czarował krócej. Obeszło się nawet bez pomocy Farida. Tadżyk siedział w milczeniu na stronie i przesuwał paciorki różańca.

Znów huknęło. Z pyłem, z kawałkami betonu – wszystko jak powinno być. Wybuch rozwalił zasuwę, a drzwi otworzyły się ociupinkę i w końcu stanęły na amen, wykrzywione. Trzeba było zdejmować plecaki i przeciskać się przez szczelinę niczym karaluchy. Widocznie oddział znalazł się teraz wewnątrz tego właśnie „kompleksu", o którym była mowa w dzienniku. Pobieżne oględziny wykazały, że zbudowano go z rozmachem. Ukazały się schody prowadzące kilka pięter w dół. Dolne poziomy były całkowicie zalane wodą. Za to na górnych znalazło się sporo ciekawych rzeczy. Stalkerzy natrafili na przestronną salę zastawioną pulpitami i monitorami. Na półokrągłej ścianie umieszczono szereg plazmowych ekranów.

– Normalnie jakieś CKLK. – Szaman przeszedł się wzdłuż tablic z aparaturą, studiując porzucone bezładnie foldery.

– CKLK? – spytał chłopiec.

– Centrum Kontroli Lotów Kosmicznych. Tak mi się powiedziało. Czym by tu mieli latać? To oczywiście punkt dowodzenia. Tylko czym i kim tu dowodzili…

Ku żalowi Gleba, Szamanowi nie udało się w końcu reanimować sprzętu. Maszynownia z agregatem okazała się zalana. Zresztą tak jak i kwatery mieszkalne. I nigdzie żadnych trupów ani kości. Stało się jasne, że schron od bardzo dawna był porzucony.

Kiedy stalkerzy badali liczne pomieszczenia bunkra, Gleb usadowił się na zmurszałym fotelu, otworzył tajemniczy dziennik i czytał dalej.

Tego samego dnia przydzielili nas do rozładunku ciężarówki. Który to już raz. Jakby wszyscy się wściekli. Latają wte i wewte z pianą na ustach, tachają

skrzynie i worki. Wyposażenie schronu zostało skompletowane zgodnie z programem. Wszystko jak powinno być. Wentylacja, oświetlenie, zaopatrzenie… W wejściu zamontowali hermetyczne drzwi. Porozwieszali tabliczki, oznakowali, co się dało. Aż lśniło. Farba nie zdążyła nawet wyschnąć.

No, myślę sobie, przygotowują się na odbiór obiektu przez dowództwo. Z początku rzeczywiście wszystko, co się działo w następnych minutach, wyglądało na otwarcie. Nie zdążyliśmy porozstawiać ostatnich skrzynek na regałach, kiedy wpadł nasz brygadzista, cały czerwony jak rak. Lekko odsapnął i zaczął na nas pokrzykiwać – żebyśmy siedzieli cicho i się nie wychylali. Przyjechała komisja. Jakieś szychy z generalicji. No to pozostaliśmy w magazynie – nie zdążyli nas wygonić na zewnątrz. Kątem oka nawet te szychy obejrzałem. Jacyś brzuchacze, ważni jak nie wiem. I za nimi cała świta – kierownictwo firm budowlanych, przedstawiciele wojskowi, jacyś faceci po cywilnemu, ale pod bronią. Jak zrozumiałem, ludzie z FSB. Przeszli przez schron, nie rozglądając się na boki, i od razu na dół, do obiektu.

Zacząłem podejrzewać coś niedobrego, kiedy polazły za nimi kobiety… z dziećmi, z tobołami. Żony, czy co? Powstaje pytanie, po kiego czorta? Ale nie było już czasu na rozmyślania. Zawyła syrena. Tajne grodzie zostały zamknięte. A potem ludzie zwalili się z zewnątrz – widocznie z najbliższej dzielnicy mieszkalnej. Hałas, krzyki, ścisk przy wejściu… Nie zdążyliśmy się opamiętać, gdy jakiś sierżancik zamknął też zewnętrzną zaporę. Ludzie drą się wszyscy naraz, szukają w tłumie znajomych…

I tu zauważyłem Sawuszkę. Przedarł się do mnie przez tłum i pociągnął do tajnych drzwi. Tylko niepotrzebnie bębnił w żelazo. Nie otworzyli. Pamiętam, jak Sawuszka wrzeszczał i przeklinał. Mówił, że generałowie wiedzieli o ataku. Wiedzieli i siedzieli cicho, żeby sami zdążyli się schować. Dlatego tak pospiesznie przywieźli do bunkra zaopatrzenie…

A potem jak walnęło… Ludzie padli na ziemię, światło wysiadło. Zaczęli krzyczeć i jęczeć gorzej niż przedtem. Strach był, groza. Trzęsło jakieś piętnaście minut. Potem łoskot ucichł. Światło znów się zapaliło. Ni stąd, ni zowąd pojawili się wojskowi. Zaczęli zaprowadzać porządek. Zamknęli na amen drzwi wyjściowe. Koło mechanizmu podnoszącego zablokowali łańcuchem. Z kłódką. Żeby nikt głupio nie wylazł na zewnątrz. W końcu niektórzy mieli na to ochotę… Jednego krewni zostali na górze, drugi chciał otworzyć z litości. Dla tych, którzy dobijali się na zewnątrz…

Przez pierwsze kilka dni walenie do drzwi nie ustawało. To było straszne. Wiedzieć, że ktoś umiera tam, za ścianą. Ci, którzy byli słabsi nerwowo, zaczęli histeryzować. Żądali, żeby wpuścić ocalałych. Ale wojskowi szybko zaprowadzili porządek. Jeden facecik wystąpił naprzód, mały i niepozorny, ale jak tylko zaczął mówić, od razu wszyscy niezadowoleni ucichli. Nie prosił, nie namawiał. Po prostu postawił nas przed faktem, że – jak powiedział – otwarcie drzwi równa się samobójstwu. Zasobów schronu nie starczy dla wszystkich. A kto jest przeciw, ten zostanie zlikwidowany. Sawuszka podszedł do tego facecika, szepnął mu coś, a ten mu tak surowo: „Nie ma mowy!". I poszedł. A mój kumpel zgasł. Widocznie zmartwił się, że nie wpuszczono go do obiektu. Gdzie mu tam. Żadna z niego szycha, wiadomo.

Ogólnie biorąc, ludzie się nieco uspokoili, zaczęli odżywać. Karmili nas sumiennie, trzy razy dziennie, zwłaszcza że skład uginał się od dopiero co przywiezionego zaopatrzenia. Wiele było rozmów, że jak to się stało, a kto pierwszy zaczął wojnę… A jaki był sens o tym dyskutować? I tak się człowiek nie dowie, jak było naprawdę. Nie ma radia ani telewizji. Komórki przestały łapać sygnał już pierwszego dnia.

Wojskowi też milczeli. Po jakimś tygodniu zjawiło się kilku ludzi, ale tylko po to, by przenieść zapasy jedzenia na dół, do bunkra. Wyjaśnili, że przejmują podział żywności pod swoją kontrolę. Parę dni tachali. Ludzie im nie przeszkadzali. Wszyscy jakoś od razu się zgodzili, że u wojskowych będzie większy porządek. Tylko różne niespokojne myśli zaczęły mi przyłazić do głowy: co dalej? Długo mamy tak siedzieć? Co się dzieje na górze? Z początku raz dziennie oficer z dołu zjawiał się u nas i opowiadał – że jest tak i tak, sytuacja jest trudna, pożary, promieniowanie… Mówił, że trzeba się trzymać i czekać… A na co i jak długo – o tym nikt niczego nie mówił.

Im dalej, tym było trudniej. Oficer przychodził coraz rzadziej. Czy to nie było szczególnych nowości, czy to przestali się certolić… Do tego pojawił się problem – grzyb. Nawet regularne sprzątanie nie pomagało. System oczyszczania powietrza nie dawał rady. Z początku zapleśniał sufit w rogach. Potem już i ściany zaczęły się robić zielone. Paskudztwo okazało się żywotne.

Któregoś razu znów zaszczycili nas żołnierze z dołu. W skafandrach ochronnych, maskach przeciwgazowych. Ludzie się ożywili. Uznali, że jeśli zaczęło się chodzenie na zwiady, to już niedługo będziemy musieli tu siedzieć. No i strasznie chcieliśmy usłyszeć jakieś wiadomości. Tylko że nie wszystko

wyszło tak wesoło. Zaporę na dole otworzyli, a drzwi wyjściowych – nijak. Czy to jakiś zawał, czy jeszcze co innego… Jak by nie próbowali, wszystko na nic. Wszyscy spanikowali. I dawaj wypytywać wojskowych. I znów ten naczelnik wystąpił z przemową. Że niby nie należy się denerwować. W obiekcie jest wyjście rezerwowe. Dokładniej, tak jest na mapie. A faktycznie – niedokończony chodnik. Ale można się dokopać do powierzchni, czym oni tam u siebie się zajmą.

Jak sobie teraz przypomnę, to facecik plótł kompletne bzdury. A wtedy – cisza, ludzie uwierzyli. To była jednak stresująca sytuacja. Ludzka psychologia. Wystarczy, że tłum usłyszy, iż ktoś ma sytuację pod kontrolą i tłum się uspokaja. I zamienia się w apatyczne stado.

Mijały miesiące. Ludzie robili się niechlujni, ponurzy. Od bezczynności powoli zaczęli wariować. Wojskowi w porę się połapali, że trzeba ich czymś zająć. Przynieśli kilka pudełek z szachami i warcabami, karty, domino. Zrobiło się trochę weselej. Grali zaciekle, przy czym wszyscy – i starzy, i młodzi. Potem zaczęli grać o stawkę. Żarcie, ubrania. Generalnie, co tam kto miał schowanego – wszystko poszło w ruch. Koniec końców doszło do awantur. Wojskowi znów się wmieszali. Zabrali karty i domino. Szachy i warcaby zostawili, licząc, że dwoje to nie tłum, nie pobiją się. I zabronili gry o stawkę. Bezwzględnie. Amatorów szachów było niewielu. Warcaby też szybko się znudziły. Jeden dziadek zaproponował, żeby pograć w Czapajewa. Zaczęło się. W końcu to ciekawsze od szachów i do tego jeszcze jakaś dynamika. Chłopaki tak się wyrobiły w pstrykaniu warcabami, że aż palce strzelały. Zorganizowali mistrzostwa.

W kulminacyjnym punkcie tego turnieju wyłączyli światło. Kolesie się wzburzyli, dawaj walić w drzwi prowadzące do obiektu. Wtedy diesel już od dawna nie działał – cały olej został zużyty. Byliśmy zasilani prądem z obiektu. Znów ten naczelnik wyszedł „do ludu". Znów z przemową. Powiedział, że zaczęły im się kłopoty z agregatem. I że trzeba oszczędzać zasoby.

Jak trzeba, to trzeba. W ruch poszły lampy naftowe. Dobrze chociaż, że wentylacja na razie działała – widać na to energii z obiektu starczało. Ludzie całkiem przygaśli. Snuli się w ciemnościach jak błędni. Oczywiście były załamania nerwowe. Kilku szczególnie porywczych zaciągnęli do obiektu. Pewnie do izolatki.

Do tego wszystkiego w schronie była coraz większa wilgoć. A od niej bujnie rozkwitła pleśń. Wszystko pozieleniało – stoły, ubrania. Ci słabsi chorowali. Takie osoby zaczęli zabierać do obiektu. Do lazaretu.

Rosło niezadowolenie. Ludzie przebąkiwali, że niby to w obiekcie jest całkiem inne życie – i jasno, i sucho. Co sprytniejsi symulowali chorobę albo jakieś ataki – żeby tylko trafić na dół. Tylko że żołnierze szybko wyczuli pismo nosem. Najbardziej pomysłowym zabrali dobowe racje żywności. Przebiegłe podstępy ustały same z siebie…

Tak minął rok. Potem drugi. Tak sobie myślę, że gdyby nie zasoby obiektu, to dawno byśmy nogi wyciągnęli. A tak nic, trzymaliśmy się. Człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja. Jak się okazało, nawet do czegoś takiego. Na cały schron paliła się teraz jedna lampka – pod tajnymi drzwiami. Bo do ciemności też przywykliśmy. Poruszaliśmy się po omacku. Nauczyliśmy się planu pomieszczeń jak „Ojcze nasz".

W ciemności rozwiązał się też problem z ubraniami… Można było i w bieliźnie chodzić. I tak nic nie było widać. Zresztą nikt nie myślał o konwenansach. Mniej rozmawialiśmy. Tylko z rzadka ktoś się o coś wykłócał…

Gleb nie zdążył doczytać do końca, gdyż Farid odnalazł plan bunkra. Wszyscy zbiegli się i zaczęli studiować stare, rozpadające się kartki. Szaman pochylił się nad stołem i wskazał palcem na schemat.

– O, tutaj jest rezerwowe wyjście na powierzchnię. Wygląda na to, że prowadzi do doków. Jak myślisz, Taran, przejdziemy?

– Ten poziom jest podtopiony. Na pewno lepiej by było wrócić tą samą drogą.

– Boję się, że wtedy z zewnątrz tego wyjścia nie znajdziemy. I tak już cały zakład złaziliśmy. – Mechanik spojrzał na Kondora. – Co powiesz?

Ten tylko wzruszył ramionami.

– Decydujcie sami.

Naradzili się i ruszyli schodami w dół. Zatrzymali się na brzegu wody. Przed nimi stała nieruchoma, ciemna ciecz, zaciągnięta po wierzchu bagienną zielenią.

– No, co? Idziemy. – Taran jako pierwszy wkroczył do czarnej wody, zapadając się od razu po kolana.

Za nim poszedł Szaman, co chwila sprawdzając plan. Pozostali ruszyli w ślad za nimi. Brat Iszkarij długo nie mógł się zdecydować, by wejść do tego „aromatycznego" kisielu, ale mimo wszystko przezwyciężył obrzydzenie i pospieszył za oddziałem. Światła latarek niespokojnie omiatały kołyszący się zielony dywan. Wydeptując w warstwie wodorostów nierówną ścieżkę, stalkerzy minęli kilka takich samych segmentów. Odór idący od mętnej wody przenikał przez filtry, zapychając nos i usta. W gardle czuli drapanie. Po jakimś czasie dotarli do wylotu długiego korytarza, na końcu którego, ledwie rozróżnialne w świetle czołówek, majaczyły przegrody z siatki, zasłaniające szyb windy. Zaczęli iść gęsiego, kiedy za nimi rozległ się ogłuszający zgrzyt. Iszkarij wzdrygnął się, podskoczył w miejscu. Wędrowcy odwrócili się, kierując lufy automatów w stronę źródła dźwięku…

Ale było to tylko ciężkie skrzydło drzwi, które zatrzasnęło się pod własnym ciężarem. Stalkerzy maszerowali dalej. Szaman już któryś raz sprawdzał plan bunkra.

– Na wprost nas jest winda, po lewej drzwi na schody. Nimi, jak rozumiem, też można się wydostać na powierzchnię.

Wędrowcy podeszli do szybu windy. Pod wspólnym naporem zardzewiała krata drzwi poddała się i ze zgrzytem rozjechała na boki, składając się w harmonijkę. Taran zajrzał do środka. Dolna część szybu była wypełniona tą samą zapleśniałą wodą. Na jednej ze ścian ciągnął się rząd szczebli. Gdzieś na górze, jakieś piętnaście metrów nad nimi, widać było pudło windy.

– Tędy wleziemy. – Taran jakimś szóstym zmysłem czuł, że ta droga będzie najbezpieczniejsza.

– Po co się męczyć, kiedy są schody? – Szaman pokazał palcem na schemat. – O, za tymi drzwiami…

– A niech to wszystko diabli! – Iszkarij niespodziewanie dla wszystkich rzucił się do szybu i zaczął energicznie wdrapywać się po

szczeblach.

– Dokąd? Stój, głupcze, potłuczesz się!

– Wtargnęliśmy do królestwa zmarłych! Wszędzie wokół zguba! Marność! Trzeba iść do zbawiennego światła… Do światła…

Bełkot sekciarza oddalił się, ucichł.

– Farid, pomóż otworzyć drzwi. Zardzewiały… – Szaman zaciekle szarpał zasuwę.

Tadżyk przyskoczył z drugiej strony, nacisnął na żelazny rygiel. Obserwując stalkerów, Taran nagle zdał sobie sprawę, co go tak zaniepokoiło. Wzdłuż górnej krawędzi drzwi widniały rdzawe zacieki, jak gdyby…

– Staaać!!! – ryknął, rozumiejąc, że już za późno. Rygiel poddał się z przytłumionym szczęknięciem. W tym samym momencie drzwi otwarły się szeroko pod naporem wody z zatopionej klatki schodowej. Na wędrowców lunął lodowaty potok, zbijając ich z nóg, porywając za sobą korytarzem. Poziom wody błyskawicznie się podnosił.

– Do szybu! – Taran wyrwał Gleba z rwącego potoku, popychając go w stronę wyjścia.

Stalkerzy, brodząc po pas w wodzie, pomknęli w kierunku szybu windy.

– Nie przysypiać, koledzy, nie przysypiać!

Zaczęli włazić po klamrach, ślizgając się i klnąc. Z dołu doganiał ich burzliwy potok. Korytarz zatopiło już po sam sufit. Jeden za drugim stalkerzy spiesznie gramolili się w górę, co chwila ryzykując, że spadną z wątłej drabinki. Nad ich głowami ukazało się w końcu pokryte metalową siatką dno windy. Wąski luk w podłodze kabiny był otwarty – dzięki Bogu, sekciarz miał czas, żeby znaleźć właz. Przewodnik przedostał się przez klatkę windy i jako pierwszy wszedł do górnego przedsionka. Rozejrzał się dookoła. Przed nim widniały hermetyczne drzwi wyjściowe, z prawej wąski chodnik – najpewniej przejście do maszynowni. Iszkarija w przedsionku nie było widać.

Przewodnik odwrócił się, pomagając Szamanowi wleźć na chybotliwą platformę.

Gleb wychodził jako następny. Wisząc nad przepaścią betonowej studni, klatka małej windy trzęsła się i groźnie kołysała. Chłopiec zrobił krok na twardą powierzchnię piętra i westchnął z ulgą.

Faridowi mniej się poszczęściło. Wystarczyło, by pokonał właz, gdy kabina zawibrowała i z ohydnym zgrzytem ruszyła w dół. Jedyne, co Taran zdążył zrobić, to podbiec do szybu i wsunąć lufę kałacha w zwężającą się szczelinę między dolnym progiem piętra a górną futryną windy. Klatka zatrzymała się, ale wyjście z windy okazało się zablokowane.

– Dawaj z powrotem do luku! Po szczeblach i na górę! – krzyczeli komandosi, spoglądając na Tadżyka przez okratowany sufit windy.

Lecz Farid nie zdążył. Wcześniej lufa automatu nie wytrzymała i wygięła się. Coś szczęknęło, winda drgnęła i błyskawicznie zaczęła spadać w dół, do studni pełnej czarnej wody. Karabin poleciał w ślad za nią. Wzbiła się fontanna bryzgów. Klatka tonęła jak kamień, pociągając komandosa na dno szybu.

– Faaarid!!! – Kondor zawisł nad otworem, zaglądając w dół.

Obok niego przeleciało ciało Tarana. Stalker skoczył na główkę i przeciął lustro wody. Wędrowcy zamarli nad krawędzią, wpatrując się w mętny wir pod swoimi stopami. Minęła minuta… druga… W pełnym napięcia oczekiwaniu Gleb zagryzał wargi. Mimowolnie zaciskał pięści.

W końcu na spienionej powierzchni wody pojawiła się znajoma głowa opiekuna. Taran złapał się najbliższego szczebla i pokręcił przecząco głową. Obok ktoś zaklął. Ale Gleb, przeciwnie, westchnął z ulgą. Przynajmniej jego opiekun pozostał przy życiu…

– Nie udało się… Do windy nie można się dostać. Wszystko się powyginało… – Taran ciężko wspiął się po drabince. Chłopiec pomógł mu się wygramolić na piętro, podał zrzuconą w pośpiechu maskę przeciwgazową. Krople wody ściekały po ogumowanym kombinezonie, tworząc na podłodze nierówne kałuże. W dole

szumiała woda. Wędrowcy milczeli. Przed oczami Gleba wciąż jeszcze stały nieco skośne oczy Farida. Zadziwiające, ale strachu w nich nie było.

•••

Iszkarij odnalazł się w sąsiedniej komórce. Zwinięty na ziemi, sekciarz pociągał nosem i nie przestawał bezładnie mamrotać pod nosem.

– Całkiem się nam rozkleił nasz kaznodzieja… – Szaman lekko popchnął biedaka czubkiem buta. – Wstawaj, wielebny, idziemy.

Resztka oddziału wspięła się pochylnią. Skrzypnęły zardzewiałe hermetyczne drzwi. W utworzoną szczelinę wdarło się światło dzienne. Mrużąc oczy, stalkerzy wyszli pod otwarte niebo. Rozejrzeli się. Niepozorne betonowe pudełko wyglądało z zewnątrz zupełnie jak budka stróża. Nic dziwnego, że przegapili to wejście.

– Jak sobie poradzisz bez broni? – spytał Szaman przewodnika.

– To nic. Mam karabin snajperski. – Taran zdjął pokrowiec z broni, sprawnie składając części.

Z cichym szczęknięciem ostatni element wszedł na swoje miejsce. Przewodnik zarzucił groźną broń na plecy.

– Teraz dokąd?

Zamiast odpowiedzieć, Taran przykucnął i zaczął uważnie przyglądać się ścieżce z tłustych plam na asfalcie.

– Zauważyłem to jeszcze na dole. Ktoś niedawno wynosił z bunkra olej napędowy. Wygląda na to, że w wiadrach.

Stalkerzy ruszyli dziwnym śladem. Wkrótce trafili na ogromny dok remontowy. Wzdłuż wysokich, szarych ścian chlupotała woda. Przy cumowisku na falach kołysał się stary, odrapany kuter.

Rozdział 15: DECYZJĄ WIĘKSZOŚCI

Pięć niepozornych figurek, pochylając się do ziemi, krótkimi przeskokami posuwało się wzdłuż pochylni, co chwila kryjąc się za żelaznymi podporami kratownic. Kadłub stateczku był coraz bliżej. Gleb rzucił szybkie spojrzenie na kuter. Pokład wyglądał na opustoszały. W iluminatorach też nie było widać ruchu. Stalkerzy ześlizgnęli się po trapie i wskoczyli na statek. Chłopiec wyciągnął piernacza i podążył za opiekunem do sterówki. Szaman i Iszkarij zeszli pod pokład, by zbadać ładownię.

Światło ledwo przebijało się przez brudne bulaje. W sterówce było duszno. Na pulpicie kontrolnym stała samotnie zapomniana przez kogoś butelka z mętnym płynem, który zalatywał samogonem. W kącie zwalone leżały zatłuszczone szmaty. I znów nikogo.

Wrócili na pokład. Wkrótce pokazał się mechanik z sekciarzem.

– Ani żywego ducha… – Szaman pokręcił głową z rozczarowaniem. – Za to przyjrzałem się silniczkowi. Ta łajba jest na chodzie. I baki ktoś napełnił.

– Niech ich cholera weźmie! Kto się z nami bawi w chowanego? – Kondor w końcu nie wytrzymał. – Arkę załatwiliśmy, bunkier też!

Komandos kopnął w gniewie pusty kanister. Ten dźwięcznie stuknął o reling i plusnął do wody. Kondor wyszedł po pomoście na górę. Wspiął się na podporę żurawia wieżowego, ściągnął maskę i wrzasnął:

– Eeeej! Panowie! Jest tu kto?! Starczy tego certolenia się!

Dźwięk jego głosu przetoczył się po doku, wielokrotnie odbijając się od betonowych ścian. Nad stocznią zawisła cisza. Tylko wszechobecny wiatr wył jak szalony.

– Może my ich tego… podtopiliśmy w bunkrze? – odezwał się Szaman.

– Wątpię. Przecież wszystko tam przeczesaliśmy. – Przewodnik rozłożył mapę. – Można jeszcze przejść się wzdłuż przystani.

– Tak czy owak, gdzież indziej iść… Prowadź, Susaninie*.

Opuścili dok i skierowali się w stronę Leśnej Przystani. Zresztą okolica nie odznaczała się tu różnorodnością – bezludny pirs, porozrzucane bezładnie kausze załadunkowe, zardzewiałe kotwice i szpula przegniłej ze starości liny. Przy cumowisku spalony wrak statku. I znów ani żywej duszy. Wszędzie pustka, chaos i upadek.

Drużyna zatrzymała się, spoglądając z rozczarowaniem na ponury krajobraz. Słowa były zbędne. Wszyscy byli zmęczeni. Nawet Taran wyglądał na zrezygnowanego. Stał nieobecny, podpierając się pod boki. Najgorzej ze wszystkich wyglądał sekciarz. Zupełnie jakby ktoś go podmienił. Zagubiony wzrok, zgarbione ramiona…

– Może jeszcze się znajdzie… – Gleb podszedł do Iszkarija.

– Co się znajdzie?

– Arka…

– Nie ma już gdzie jej szukać… – Głos sekciarza drżał. – Nie ma.

Iszkarij odwrócił się i zatrząsł bezgłośnie, jakby miał jakiś atak. Trudno było rozeznać pod maską, jakie emocje nim zawładnęły. Potem doszedł ich cichy śmiech przechodzący w na poły histeryczny chichot. Stalkerzy zastygli, ze zdziwieniem obserwując sekciarza. Ten wreszcie się uspokoił, podszedł powoli do brzegu przystani, zrobił zamach i wyrzucił w powietrze plik pocztówek. Połyskując w słońcu, fotografie okrętów posypały się do wody i zaczęły kołysać na falach.

– Brednie… Kompletne brednie… Słyszycie? – Iszkarij podniósł głowę. – Nie było żadnej Arki! Jak w ogóle można było w to wierzyć… Światło wybawienia… Uratują się ci, co są tego godni…

Nie wierząc własnym uszom, Gleb wytrzeszczał oczy na sekciarza.

– Jak to, a Exodus? – Chłopiec nie wytrzymał.

– Exodus? – spytał Iszkarij i znów się roześmiał. – Exodus… Banda pogrążonych w marazmie głupców, którzy wymyślili sobie romantyczną historię o wybawieniu! Ślepcy, niechcący widzieć dalej niż koniec własnego nosa! Komu my jesteśmy potrzebni? Kto będzie

nas ratował? Wszystko skończone, słyszycie?! Jakim ja byłem naiwnym idiotą…

Sekciarz zerwał maskę przeciwgazową, otarł pot z czoła i nagle przyskoczył do Tarana.

– Miałeś rację, stalkerze, kiedy mówiłeś, że jesteśmy martwi. Racja! Wszystko, co nam zostało zgotowane, to zgnić do końca pod ziemią.

Zdawało się, że oczy sekciarza zaraz wyskoczą z orbit. Na jego twarzy pojawił się straszny grymas, ni to wściekłości, ni to bezsilności.

– Czyli wyrzekasz się swojej wiary? – Szaman uśmiechnął się.

Sekciarz zamarł na chwilę, jakby nie ważąc się wymówić na głos bluźnierczych słów, pochylił głowę.

– Wyrzekam się…

Zapanowała długa cisza.

Szaman zareagował jako pierwszy, uśmiechając się szyderczo.

– Witamy w prawdziwym świecie, chłopcze.

Sekciarz nie zwrócił na ten gest uwagi. Założył maskę przeciwgazową, popatrzył na pokrytą zmarszczkami fal wodę.

– Wracam do metra. Starczy. Nabiegałem się. Kto idzie ze mną?

– O czym ty mówisz?

– O kutrze. Szaman, przecież sam mówiłeś, że łajba jest na chodzie?

– Nie tak szybko, bracie. Przecież nie znaleźliśmy jeszcze…

– Czego? – przerwał Iszkarij. – Źródła światła?

Sekciarz obrócił się do przewodnika.

– Co widziałeś na krążowniku, Taranie? Jesteś pewien, że trzeba szukać właśnie zaginionego reflektora? – Iszkarij zerknął na Kondora. – Jesteście chociaż pewni, że ktokolwiek kiedykolwiek coś widział?

– Stalkerzy z Primorskiej…

– Przywidziało im się z przepicia! – Sekciarz przerwał mu histerycznie. – Jeśli coś widzieli, to czemu sami nie poszli?! Bo trzeba

być idiotą, żeby kupić te brednie! I proszę, tacy idioci się znaleźli!

Sekciarz ucichł. Odszedł na bok, usiadł na polerze. Stalkerzy milczeli, zastanawiając się nad słowami Iszkarija.

Każdy, jak się zdawało, stanął przed wyborem – bezskutecznie błąkać się dalej po martwej wyspie czy zakończyć poszukiwania i wracać do metra? Czerwienić się przed kierownictwem Aliansu Primorskiego, meldując fiasko misji, jakoś nikt nie chciał, ale teraz to już nie wydawało się takie straszne.

– Ja też nie widzę sensu… – powiedział cicho Kondor, odsuwając wzrok.

– Dowódco, co ty? – zaczął już mechanik, jednak ten dłużej nie słuchał.

– Nie jestem już dowódcą… Szaman, sam przecież znalazłeś mi zastępstwo! – Kondor wskazał na Tarana. – No to miotajcie się sami. A ja spadam.

– A co z odziałem?

Kondor odwrócił się gwałtownie, stanął tuż przed Szamanem.

– Gdzie ty widzisz oddział?! Co?! Legitka, Okoń, Belg… Gdzie oni są? Gdzie Dym, gdzie Farid? Gdzie… – Komandos zaciął się, głos mu drżał. – Nata…

Kondor zarzucił karabin na ramię i zbliżył się do Tarana.

– Nie uchroniłem ich, nie dałem rady… Ja już tak więcej nie mogę. Rozumiesz mnie, stalkerze?

Taran popatrzył na drżące palce komandosa i odwrócił się. Kondor ruszył w kierunku doku, nie oglądając się. Iszkarij wstał, patrząc pytająco na Szamana. Mechanik niespokojnie przesuwał wzrok z przewodnika na oddalającego się towarzysza. Zdawało się, że jest rozdarty między pragnieniem doprowadzenia misji do końca a większą szansą na powrót do metra.

– Zostaję. Jeśli coś znajdę, dam wam znać – rzucił ochryple Taran. – Idź, Szaman, nie męcz się.

Mechanik drgnął, jakby dostał policzek, ale zmilczał. Bo dokonał już wyboru, a przewodnik tylko wypowiedział to głośno.

– Dziękuję, Taranie. Przekażę Aliansowi, że wypełniłeś swoją misję. Tak czy inaczej, do Kronsztadu doszliśmy…

Gleb obserwował reakcję opiekuna. Czy oczekiwał takiego obrotu spraw? Co dalej? Jak długo jeszcze mają szukać szczęścia? Marzenia o czystych ziemiach z każdą minutą stawały się coraz bardziej złudne.

– Idziemy do domu, chłopcze. – Na ramię chłopca spadła ciężka dłoń Szamana.

Gleb drgnął, odwrócił się z zakłopotaniem, przeniósł wzrok na opiekuna.

– On zostaje.

– Zlituj się nad dzieciakiem, Taranie! Zginie tu przecież na próżno!

– To nie twoja sprawa. Lepiej stąd spadaj – wycedził groźnie Taran i machnął lufą karabinu.

– Upadłeś na głowę! I siebie zgubisz, i małego!

Stalker czekał w bezruchu. I nagle opuścił karabin, zgiął się, jakby ktoś uderzył go w splot słoneczny, spazmatycznie wciągnął powietrze… I upadł. Maska przeciwgazowa zjechała mu na bok, oczy się zapadły. Straszne konwulsje wykręciły mu ciało. Taran wydał z siebie stłumiony ryk.

„Atak!” – przeleciało przez głowę chłopca. Gleb rzucił się w stronę opiekuna, w biegu otwierając ładownicę, lecz nagle wpadł na Iszkarija, który zastąpił mu drogę.

– Szaman, pomóż mi. Chociaż jego uratujemy.

– A co z Taranem? – Mechanik chyba wciąż jeszcze miał wątpliwości.

– A co mu się stanie? I tak w końcu dojdzie do siebie. Szybciej!

Chłopiec chciał się szarpnąć, ale sekciarz zatrzymał go na miejscu. Wtem podbiegł Szaman. We dwójkę złapali broniącego się Gleba pod ręce i pociągnęli w stronę doku.

– Dureń! Sam mi potem powiesz „dziękuję”! – Szaman stanął i związał ręce Gleba sznurkiem.

Potem znów go pochwycili i zanieśli na pomost… Gleb poderwał głowę i zdążył kątem oka uchwycić figurę opiekuna, rozpostartego na betonowej płycie.

– Taran! TARAN!!!

Przed oczami chłopca latały buty Szamana, asfalt, drewniane deski pomostu… Potem nastąpiło uderzenie. W głowie mu zadzwoniło, pociemniało w oczach. Do jego uszu doleciał czyjś głos.

– Ostrożniej, walnąłeś go o balustradę!

– Będzie spokojniejszy…

Potem jakby ktoś napchał mu waty do uszu. Głosy się oddaliły. Gleb stracił przytomność.

•••

Światło spływało na niego zewsząd pulsującymi falami, zmuszając, by mrużył oczy i zasłaniał je rękami. Białe opary wypełniały całą przestrzeń, wydając wszechogarniające, odurzające ciepło. Gdzieś na granicy percepcji znieruchomiała zasłona mroku, jakby czekając, aż gość zapatrzy się i wejdzie w jej krąg.

Rozmyta postać przed nim machała przyzywająco. Cierpliwie czekając, człowiek co chwila zatrzymywał się i odwracał, potem znów zaczynał. Nie można było zrozumieć, co znaczy jego nieprzerwany ruch, podobnie zresztą jak nie dało się pozostawać obojętnym wobec natarczywych wezwań. Wydawało się, że nie ma innej możliwości, jak tylko iść za widmową sylwetką.

Wychodzenie ze światła zakończyło się gwałtownie. Jego ciało nagle poczuło twardość ziemi, a widmowa postać przed nim na moment nabrała wyraźnych konturów – jakby ktoś wyregulował ostrość – potem równie szybko się rozmazała, rozpłynęła. Wtedy w wymykającym się obrazie pokazało się coś znajomego. Pewny krok, niespieszne gesty… Niech tylko jeszcze raz się odwróci! Tylko raz! To wystarczy, żeby poznać…

– Ojciec? – Dźwięk jego głosu rozległ się echem po rozmytych granicach mroku, przepadając bez śladu w głębinach absolutnej

nicości.

Nie. Z jakiegoś powodu nabrał dziwnej pewności, że to nie on.

– Kim pan jest? Jak się pan nazywa?

Nieznajomy do końca się nie odwrócił, rozpuszczając się w mlecznobiałej mgle.

Tylko gdzieś z daleka dobiegł przygłuszony i tak znajomy głos:

– Jaka to teraz różnica? Moje imię zostało w poprzednim życiu…

W ślad za tym ziemia zadrżała, pokrywając się siatką pęknięć. Przez najgłębsze z nich już sączyła się woda. Wciąż wzbierała z narastającym szumem, momentalnie zatapiając wszystko wokół. Zrobiło się nieznośnie zimno. Ziemia uciekła mu spod nóg, znikła gdzieś w dole, ustępując naporowi żywiołu. Lodowate, paraliżujące fale stawały się coraz większe…

Nie czekając na dalszy rozwój znanych do bólu wypadków, świadomość wydała krzyk protestu i brutalnie wyciągnęła organizm z niebytu.

•••

Gleb przyszedł do siebie, czując wibracje. Zimna podłoga pod nim drżała. W głowie powoli mu się rozjaśniało. Przed oczami zamajaczył mu poczerniały sufit ładowni. Gdzieś za ścianą huczał z wysiłkiem silnik. Kuter! – przypomniał sobie chłopiec. Szarpnął się, próbując wstać. Głowę przeszywał mu ostry ból, w gardle wzbierały nudności. Próbując poruszyć zdrętwiałymi nadgarstkami, padł z powrotem na ziemię. Związane za plecami ręce straciły czucie i nie słuchały go. W panice odwrócił się na brzuch, podciągnął nogi i w końcu podniósł się na kolana. Rozejrzał się. W oczy wpadł mu zardzewiały gwóźdź sterczący ze ściany naprzeciwko. Chwiejąc się, Gleb stanął na nogi. Zaparł się porządnie o przegrodę, wymacał ostrze. Poszło szybko. Chwilę później sznurek rozleciał się, padł mu pod nogi. Z ulgą roztarł nadgarstki, przekradł się pod drzwi i wyjrzał przez iluminator.

Kuter powolnym ruchem zmierzał w stronę wyjścia z doku. Szary, pokryty mokrymi smugami monolit ściany cumowiska przepływał tuż

obok burty statku. Serce Gleba ścisnęło się radośnie. Jeszcze nie wszystko stracone! Podniósł z ziemi maskę przeciwgazową i zdecydowanym ruchem otworzył drzwi. Silny poryw wiatru uderzył go w piersi, jakby próbując przeszkodzić w desperackim zamiarze. Cofnął się, ale tylko po to, żeby zrobić dłuższy rozbieg. Nie dając sobie chwili na to, by się rozmyślić, rozpędził się, i z całych sił odbił się od śliskiej burty. Na moment pod nogami otworzyła mu się przepaść. W prześwicie mignęły spienione grzywacze fal. W środku wszystko ścisnęło mu się ze strachu… Potem nastąpiło mocne uderzenie w nogi, kolana się pod nim ugięły. Chłopiec przekoziołkował po mokrym asfalcie i wyrżnął w stertę drewnianych skrzynek. Od uderzenia czymś twardym w plecy zaparło mu dech. Znieruchomiał pośród odłamków, gorączkowo wciągając wilgotne morskie powietrze, potem ostrożnie wyjrzał z kryjówki. Zniszczony kuter, kopcąc gryzącym dymem, wychodził z portu. Na pokładzie nie było nikogo. Zdaje się, że jego ucieczka pozostała niezauważona.

Zanim się rozejrzał, minęło kilka chwil. Zmierzchało. Zapominając o potłuczeniach i bólu głowy, chłopiec pomknął w stronę pirsu.

Zakręt, potem jeszcze jeden… Z lewej strony znajoma kotwica… Gdzieś tutaj, gdzieś całkiem blisko… Wbiegł na przystań, rozejrzał się…

„Po prostu wstrzyknij mi to cholerstwo, kiedy znów mnie złapie. Uważaj to za swój główny obowiązek…”

Ale Tarana nigdzie nie było widać. Gdzie on jest, no gdzie?!

Chłopiec podbiegł do miejsca, w którym zaskoczył Tarana napad choroby, potknął się i z rozmachu padł na kolana – ze zdziwienia ugięły się pod nim nogi. Krew… Plamy krwi na płycie betonu, na rozerwanej kamizelce opiekuna. Gleb złapał się za głowę. Z gardła wyrwał mu się krzyk rozpaczy.

Co się z nim mogło stać?! Nie było go przy nim właśnie wtedy, kiedy opiekun tak go potrzebował… Trzeba było coś przedsięwziąć… Gleb zerwał się na nogi, wyciągnął piernacza, odbezpieczył. Pomknął wzdłuż przystani, zaglądając w każdy zakamarek. Łzy piekły go

w oczy, ale to nie był czas, żeby się rozklejać. Może jeszcze nie jest za późno…

I znów dookoła mignęły hale fabryczne, hangary, bramy portu… Pędził, nie patrząc na drogę. Pod butami chlupotało mu błoto, w gardle drapało go od chłodnego, wilgotnego powietrza.

Przedarł się przez zarośla i znalazł na skraju porzuconego, porosłego trawą doku. Niczym olbrzymi wieloryb wyrzucony na brzeg, w wyschłym kanale spoczywał wrak okrętu podwodnego. Chłopiec wiedział z rozmów, że istniały kiedyś statki zdolne do podróży w głębinach wód, i widział taki okręt na obrazku w książce swojej przyjaciółki Naty. Teraz zaś miał stworzonego przez człowieka giganta przed sobą. Chociaż po prawdzie nie tak łatwo go było poznać: części poszycia nie było, w zardzewiałym kadłubie ziały ogromne dziury, przez które widać było przegrody wodoszczelne – szkielet żelaznego mastodonta.

Ile lat przeleżało tutaj to monstrum? Może ten okręt pływał po przybrzeżnych wodach Władywostoku… Chłopiec wyobraził sobie, jak lśniący świeżo pomalowanymi burtami przecina powierzchnię wody. A tam, na mostku, stoi on z opiekunem i patrzą na zbliżający się ląd…

Gleb wrócił do rzeczywistości, uświadamiając sobie, że już od jakiegoś czasu słyszy rytmiczne trzaski wplatające się w melodię wiatru. Kiedy zdał sobie sprawę, że to dozymetr, zamarł, a potem uciekł stamtąd co sił w nogach, cały czas wsłuchując się w terkot urządzenia. Ten prawie natychmiast przestał się odzywać, ale chłopiec jeszcze długo nie mógł się uspokoić – czy nie spotka go los Okonia? Przerażony, ubłocony, biegł jak najdalej, na złamanie karku.

Wreszcie pozbawiony sił runął w trawę obok jakiejś przekrzywionej szopy. Co tam mówił Legitka na temat wódki? Że spłukuje nie tylko radiację, ale też głupie myśli? Być może teraz był najlepszy moment, żeby zadbać i o jedno, i o drugie. Chłopiec pogrzebał w plecaku, znalazł manierkę, którą Legitka oddał mu na przechowanie, odkręcił nakrętkę. Chłodny płyn palił mu gardło, utkwił gdzieś w przełyku.

Zmusił się, by wziąć jeszcze jeden łyk, kaszlnął. Wsłuchał się w swoje odczucia. Głupie myśli nie zniknęły, natomiast w ustach pojawił się paskudny posmak. Gleb kopnął manierkę w krzaki, założył maskę przeciwgazową i ruszył dalej.

* Iwan Susanin, chłopski bohater z czasów Dymitriady (przyp. red.).

Część III: OLŚNIENIA

Rozdział 16: DO ŚWIATŁA

Mało wart jest ten, kto nigdy nie był w rozpaczy. Jedynie doświadczywszy tego dręczącego uczucia, można należycie ocenić całą cudowność pomyślnego życia. Jedynie czując na własnej skórze ciosy spadające na nas raz za razem z ręki losu, testującego naszą wytrzymałość, można z niewzruszoną pewnością rzec: „Jestem silny. Dam radę".

Czasem rozpacz popycha nas ku najbardziej nieoczekiwanym czynom, lecz częściej wrzuca nas w otchłań rezygnacji. Ponieważ pokazuje człowiekowi kres, dając mu niełatwy wybór – opuścić ręce i przyznać się do własnej bezsilności czy podejmować kolejne bolesne próby wydostania się z najbardziej, zdawałoby się, beznadziejnych sytuacji.

Takie chwile, chwile rozpaczy, każdy z nas przechodzi inaczej. Na jednych nie zostawia to śladu, innym gruntownie zmienia życie. Ulec emocjom i popaść w rezygnację jest łatwiej, ale wcześniej warto nieco się rozejrzeć. Często po prostu nie dostrzegamy znaków, które nas otaczają, pokazując możliwe rozstrzygnięcia.

Trudno toczyć walkę z okolicznościami, kiedy szanse na zwycięstwo są zerowe. Ale znaczniej trudniej potem żyć, przyznając się do klęski… Poddając się… Czasem jest to nie do zniesienia, aż życie staje się niechciane, traci sens.

Dlatego rozpacz jest groźna, a częściej – po prostu bezsensowna. Zresztą tak jak życie, w którym nie zaznało się tego uczucia. Choćby raz.

…

Tarana nigdzie nie było. Gleb siedział oparty o ceglaną ścianę i próbował się uspokoić. W głowie mu się nie mieściło, że opiekun

mógł ot tak głupio zginąć… Każdy, tylko nie on. Przed oczami pojawiał mu się natrętny widok gigantycznego latającego stwora, który zabrał ciało dziewczyny. Czyżby stalkera spotkał ten sam los? Chociaż w takim stanie Tarana mogło dopaść dowolne, nawet najsłabsze zwierzę…

Chłopiec siedziałby tak dalej na zimnym popękanym asfalcie, ale olśniło go: przecież został sam! I to nie była samotność, do której przywykł przez całe lata bez rodziców.

Nie.

Na Moskiewskiej zawsze był pod bokiem ktoś, gotów porozmawiać, nakrzyczeć, nawet zwymyślać od najgorszych, ale nie pozostawać obojętnym. A teraz… nie było przy nim nikogo. Absolutnie nikogo…

Pozostał sam na sam ze swoimi lękami i wątpliwościami. Sam przeciw tysiącom niebezpieczeństw zewnętrznego świata.

Czy mógł przypuszczać, że znajomość z drużyną dzielnych żołnierzy i tak fascynująco zapowiadająca się wyprawa zakończy się śmiercią wielu z nich i całkowitym krachem marzeń? Jak teraz zdoła dotrzeć do czystych lądów?

Najcięższą raną była jednak śmierć opiekuna.

Na niskim, zaciągniętym zasłoną chmur niebie znów zagrzmiało, rozbłysły liczne błyskawice. Gleb wtulił się w jezdnię, zgarbił plecy, zasłonił głowę rękami. Próbując zwalczyć strach, starał się przypomnieć sobie coś jasnego, dobrego, od czego zrobiłoby mu się choć odrobinę lepiej. Ale, jak na złość, obrazy, które wyłoniły się z pamięci, nie poprawiały mu nastroju. Na początku był to wycieńczony Pałycz, który wrócił z masakry dokonanej przez Wegan, potem grubas Procha ze swoją zgrają. Przed oczami wyraźnie stała mu uśmiechnięta szyderczo gęba… Tłuste palce, którymi brudził zapalniczkę… Potem naczelnik Nikanor, wymieniający Gleba na świńskie mięso… Zły, pogardliwy wzrok Kondora… Szaman wiążący mu ręce… Wszystkie krzywdy, jedna gorsza od drugiej, ściskały go teraz za gardło, nie dając odetchnąć.

Taran. Jedyny bliski człowiek po śmierci rodziców. Dlaczego koniecznie trzeba kogoś stracić, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo jest ci drogi? Łzy same pociekły mu po policzkach. W tej chwili chłopiec pragnął tylko jednego – zniknąć, zapaść się gdzieś, niczego nie czuć.

Co by mu teraz powiedział Taran, gdyby zobaczyłby go w takim stanie? W głowie same pojawiły się nauki stalkera: „Jeśli coś postanowiłeś, zrób pierwszy krok. I nie bój się zrobić następnego. Bój się bezczynności. Wyznacz sobie cel i wyrzuć z głowy całą resztę…”.

– Bój się bezczynności… – Gleb nie zauważył, że wypowiedział to na głos.

Ręka sama skierowała się w stronę pistoletu. Strugi deszczu bezlitośnie spadały na jego ciało, zmywając z kombinezonu uliczny brud. Razem z błotem spływała skorupa strachu i niezdecydowania. Obrzydłe uczucie litości do samego siebie szalenie go irytowało. Gleb skrzywił się. Teraz czuł do siebie nienawiść.

– Wyznaczyć sobie cel? – Chłopiec przystawił sobie oksydowaną lufę do skroni i zamknął oczy, próbując sobie wyobrazić, co będzie POTEM. Dźwięk odwodzonego bezpiecznika zginął w ogłuszającym uderzeniu gromu. Palec zadrżał mu na spuście.

I nagle przez zamknięte powieki przebił się rozbłysk światła. Gleb otworzył oczy i zobaczył je…

Światło!

Przejmująco jasny snop światła gdzieś tam, ponad ruinami hangarów i masztami przechylonych drobnicowców…

Oślepiający promień w gęstniejących ciemnościach przyciągał wzrok niczym magnes. Nierealny, absolutnie obcy w osnuwającym wyspę półmroku, przecinał przestrzeń, rzucając wyzwanie nocy i wszystkim jej siłom.

– Sygnał… – Wyschłe wargi same wyszeptały najdroższe słowo, chociaż rozsądek wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć w to, co widział. – Sygnał!

Gleb spazmatycznie wypuścił powietrze, zerwał się na nogi, pozbierał. Myśl o samobójstwie wydała mu się nagle strasznym tchórzostwem. Może uda mu się to, co nie udało się innym? Musi spróbować. Doprowadzi ekspedycję do końca, choćby w hołdzie dla poległych członków oddziału.

Odegnał wątpliwości i ruszył, mijając doki cumownicze, mijając ruiny terminalu towarowego. Obszedł wrak ogromnej barki, samotnie rdzewiejącej na płyciźnie tuż przy pirsie, zostawił za sobą wąską przegrodę między Przystanią Leśną i Węglową. Od źródła światła dzieliło teraz chłopca jakieś pół kilometra wzdłuż szerokiego mola wcinającego się w akwen zatoki na podobieństwo gigantycznej prostej klingi.

Wyzbył się strachu. Strach zniknął, ustępując miejsca powstałej upartej nadziei.

– W stronę światła idę zbawiennego – wymamrotał Gleb, wspomniawszy słowa sekciarza. – W stronę światła…

Zza hangaru w jego kierunku błyskawicznie pomknął czarny cień. Ciało chłopca drgnęło, odruchowo podnosząc pistolet. Pomógł mu podświadomy nawyk, zasada, której uczy się każdy mieszkaniec metra: jeśli nieznajomy w ciemności nie sygnalizuje o tym, że się pojawia, to znaczy, że jest wrogiem… Huknął wystrzał. Jeszcze jeden. Coś bezkształtnego padło w błoto jak bezwolny worek. Gleb nie miał możliwości dojrzeć atakującego. Przyspieszył kroku, kierując się ku latarni, upatrując tam ratunku.

– Próby są nam zsyłane z góry. Słaby duchem jest słaby umysłem…

Następna sylwetka oddzieliła się od ściany, ale widząc błysk piernacza w rękach chłopca, zdecydowała się zrejterować. Rozbłyski wystrzałów na sekundę oświetliły niewyraźną postać ni to w łachmanach, ni to w strzępach szarej skóry. Skrzydła? Poły płaszcza? Stworzenie szarpnęło się i padło na wznak…

Ciemność z boku rozdzieliła się na kilka postaci, które rzuciły się na niego. Zamazane ruchy… Czy to garby, czy to kaptury na plecach…

Gleb strzelał w skupieniu, bez paniki, zdając sobie sprawę, że jest sam i nie ma skąd oczekiwać pomocy.

Napaść skończyła się tak nagle, jak się zaczęła. Chłopiec czujnie się przysłuchiwał, wpatrując się z uwagą w sterty połamanych metalowych kratownic. Cicho. Pusto.

Gleb popatrzył przed siebie. Na tle wschodzącego księżyca wyraźnie odcinała się wysoka iglica latarni morskiej. Smuga światła, rozpraszając zasłonę nocnej mgły, skierowana była w stronę Pitera. Nie miał już żadnych wątpliwości. Znalazł ją!

Z każdym krokiem wieża rosła, stawała się coraz wyższa, coraz bardziej imponująca. Latarnia znajdowała się na samym krańcu mola, w narożniku kamiennego nabrzeża. Budowla wyglądała harmonijnie na tle pobłyskującej wody, stanowiła część pejzażu tej surowej wyspy.

Chłopiec zapatrzył się i o mało nie przegapił ruchu na brzegu. Tuż obok rdzewiał żuraw wieżowy, jego podpory porosły burzanem. Gleb rzucił się w jego kierunku, schował się i zaczął obserwować z ukrycia. Blisko brzegu, na falach unosił się kuter. Zdaje się, że ten sam, którym odpłynęli stalkerzy. Czyżby się rozmyślili? Nagły wybuch radości zmienił się w przerażenie. Po chybotliwym trapie, krzywo jak kaczki, schodzili dziwni ludzie w ubraniach, które wiele już widziały. Porwane płaszcze, chaotycznie owinięte wokół tułowia szmaty… Teraz chłopiec nie miał wątpliwości – stworzenia, które zaatakowały go przed chwilą, to byli ludzie. Tacy jak ci obszarpańcy. Gleb przyjrzał się i zauważył przy trapie jakieś tłumoki. Dziwni ludzie z oszpeconymi twarzami całymi w strupach szli wzdłuż nabrzeża, wlokąc po ziemi swoją zdobycz… Chłopiec zapatrzył się i omal nie krzyknął. To były ciała stalkerów. Szamana i Kondora… Ich głowy kiwały się bezwolnie z boku na bok, podskakując na wybojach. W ślad za ciałami ciągnęły się po ziemi smugi krwi.

Gleb patrzył w otępieniu na tę procesję, nie wierząc własnym oczom.

Jeden z obcych przyskoczył nagle do ciała Kondora, wyciągając po drodze rzeźnicki nóż. Błysnęło szerokie ostrze… Chłopiec odwrócił się, nie mogąc patrzeć na to, co się dzieje. Kiedy odważył się jednak znów wyjrzeć, wzrok sam padł mu na ziejącą w boku stalkera ranę.

Człowiek, który zadał cios Kondorowi, przyciskał coś do ust, rozrywał zębami… mięso?!

Przecież… Przecież to ludożercy… Kanibale!

Gleba zemdliło. Zdarzało mu się słyszeć o czymś takim. Ale pierwszy raz dane mu było to zobaczyć… Nudności znowu podeszły mu do gardła. Chłopiec zerwał maskę, pełną piersią wdychając świeże powietrze. Obrzydliwa scena stała mu przed oczami i nie chciała znikać. Świadomość odmawiała wiary w to, co się działo. Nawet w czasie największego głodu na rodzimej Moskiewskiej nie było ludożerstwa. Mieszkańcy napełniali sobie brzuchy wywarem z jadalnej pleśni, ale ani razu nie doszło do czegoś podobnego. To ci dopiero „nawiązanie kontaktu”…

Wszystko okazało się o wiele prostsze i znacznie straszniejsze, niż odmalowywał to sobie Gleb w wyobraźni. Marzenie rozbiło się na małe kawałeczki, ale chłopiec uparcie nie przyznawał się do klęski. Chęć dotarcia do źródła światła stała się nieprzeparta.

Gleb wytężył uwagę. Nagle dostał gęsiej skórki. Ten sam kanibal, który połasił się na „świeże mięsko”, stał teraz nieruchomo, patrząc badawczo w stronę żurawia. Czyżby go zauważył? Zakrwawione usta, rozciągnięte w strasznym, wyszczerzonym uśmiechu, szybki oddech jak u zwierzęcia, które wyczuło ofiarę. W nagłych, nerwowych ruchach nie było nic ludzkiego…

Gleb podniósł pistolet. Jak go uczył Taran? Wydech, wycelować, wychwycić moment między uderzeniami serca i płynnie nacisnąć spust…

– Zajrzyj w swą duszę, wyrodku, i odpowiedz: jesteś gotów przekroczyć Rubikon?

Piernacz podskoczył, szarpiąc dłoń. Głowa kanibala odchyliła się do tyłu, w czole pojawiła się dziura, a potylica rozpadła się fontanną

krwawych bryzgów. Przez chwilę pozostali oberwańcy patrzyli na trupa pobratymcy, a potem wrzasnęli i rzucili się w stronę zarośli. Chłopiec gorączkowo przeczołgał się wzdłuż zardzewiałych kratownic, przedostał się przez zwalisko żelbetowych płyt i popędził wzdłuż ściany przysadzistego hangaru. Błysnęła mu spóźniona myśl, że prześladowcy rozbiegli się po strefie przybrzeżnej, próbując wziąć go w kleszcze.

Gleb potknął się o wystający korzeń i sturlał do głębokiego dołu. Błoto zalepiło mu wizjer, co go zdezorientowało i zbiło z tropu. Chociaż było mu to akurat na rękę. Chłopiec starannie zagrzebał się głębiej w ostro woniejące bagno i zamarł. Słyszał oszalałe bicie swojego serca. Płuca pękały po sprincie w masce przeciwgazowej.

Starając się nie zdradzić swojej obecności, chłopiec powoli podniósł rękę do twarzy i wytarł okulary. Ledwo widoczne w bladym świetle księżyca wnętrze dołu było usiane kośćmi i czaszkami. Ludzkimi… Gleb zawył, szarpnął się, zaczął się szamotać w błocie, usiłując się podnieść. Jak na złość, ręce zapadały się prawie po łokcie, nim natknęły się na coś twardego, pod nogami zaś ohydnie chrzęściło.

Nad głową świsnął mu brukowiec, wbijając się w mętne bagno. Kolejny kamień boleśnie uderzył go w nogę, sprawiając, że znów runął na dno dołu. Kewlarowe wzmocnienie skafandra złagodziło uderzenie, jednak mimo to noga mu zdrętwiała. Na skraju skarpy majaczył kanibal, naciągający długą procę. Ślizgając się, chłopiec dał nura do wnętrza rury, która prowadziła poprzez pagórek w stronę najbliższego hangaru, i popełznął w egipskich ciemnościach. Zmącona woda w kolektorze strasznie cuchnęła. Chłopiec obejrzał się i z ulgą wciągnął powietrze. W wylocie rury dojrzał skrawek nocnego nieba, nie zauważył jednak ludzkich sylwetek. Prześladowcy nie spieszyli się, żeby za nim iść. Albo po prostu stracili go z oczu. Tylko czy na długo?

Wędrówka wnętrzem rury zakończyła się u zagradzającej wyjście kraty. Chciał już wystrzelić do niespodziewanej przeszkody, ale w porę się opamiętał. Starając się nie hałasować, wsunął nóż

w wąską szczelinę u podstawy kratki. Ta poddała się z ledwie słyszalnym szczęknięciem. Po krótkiej szamotaninie uciekinier wydostał się na zewnątrz i znalazł się w wąskiej, betonowej, zakratowanej od góry transzei. Kraty znajdowały się na poziomie podłogi, z czego Gleb wyciągnął wniosek, że znalazł się w odpływie systemu drenażowego którejś z hal. Dojrzeć cokolwiek przez drobne otwory w siatce było niemożliwością.

Od strony wejścia do hangaru dobiegały niezrozumiałe, urywane słowa. Gleb znieruchomiał. Kroki zbliżały się nieubłaganie. Jeszcze chwila i człowiek na górze zatrzymał się. Cień, który rzucała workowata postać, padł na kratę. Chłopiec z całej siły zacisnął palce na rękojeści noża, wstrzymując oddech. Od jego prześladowcy czuć było odór alkoholu i smród niemytego ciała.

Krata nad jego głową zazgrzytała – nieznajomy postawił na niej potężny bosak. Z ostrej końcówki ściekła kropla krwi, spadając na but chłopca. W lepkiej ciszy wyraźnie słychać było chrapliwy oddech kanibala. Nóż w dłoni Gleba drżał, ciało zastygło w pełnym napięcia oczekiwaniu, gotowe wyprostować się jak sprężyna.

Głosy na zewnątrz cichły. Nieznajomy stał jeszcze przez chwilę, odwrócił się i odszedł. Trzasnęły drzwi. Chłopiec odczekał chwilę, odsunął żeliwną kratę i wydostał się z transzei. W oczy od razu rzucił mu się koszmarny wystrój ogromnego pomieszczenia – rzędy żelaznych haków porozwieszanych wzdłuż hali, grudki brązowej substancji na podłodze i ludzkie czaszki poniewierające się bezładnie po całym hangarze. Na wózku zobaczył porąbaną na kawałki ludzką nogę.

Zemdliło go na widok tej potwornej „masarni”. Bojąc się omdlenia, starał się nie patrzeć na boki. Pokonał prześwit i wyskoczył na otwartą przestrzeń. Prześladowców już tam nie było. Ciała stalkerów też zniknęły. Widocznie ludożercy postanowili zadowolić się tą zdobyczą, którą już udało im się upolować.

Gleb rozejrzał się, padł w wysoką trawę i zaczął się czołgać. Do celu pozostało mu tyle co nic – pięćdziesiąt metrów. Gdzieś w oddali

dały się słyszeć okrzyki. W ruinach miasta zamigotał odblask ogniska. Wszystko wskazywało na to, że dziwne plemię rozpoczęło późną kolację. Chłopca skręciło z obrzydzenia, gdy tylko wyobraził sobie szczegóły tej uczty. Od przeżytego wstrząsu cały drżał, zęby mu dzwoniły. Zebrał jednak resztki sił i przeczołgał się po mokrej od rosy trawie ostatnie kilka metrów. Pozostało mu pokonać kawałek wolnej przestrzeni bezpośrednio przed latarnią.

– Nie ulęknę się mroku w sercu moim. Idę do światła…

Nisko pochylony, rzucił się w stronę kamiennego łuku wejścia. Z zamierającym sercem pchnął stare drzwi. Otwarte! Chłopiec spojrzał ostatni raz na ponure zabudowania portu i wślizgnął się do środka.

Rozdział 17: GŁOS Z PRZESZŁOŚCI

Nic tak nie przeobraża człowieka jak instynkt samozachowawczy. W chwilach, gdy działa, wartości moralne odchodzą bowiem na dalszy plan. Nie da się go pozbyć i skrajnie trudno go stłumić. Człowieka obdarzyła nim natura – to tylko kolejny mechanizm ochronny… na równi z odpornością, kaszlem, łzami… Niby takie proste, ale z jakiegoś powodu rzadkie, „napady" tego uczucia najczęściej są niezgodne z naszymi wyobrażeniami o odwadze, sile ducha, moralności i innych efemerydach.

Czy człowiek lęka się przejawów instynktu samozachowawczego, bo obnażają w nim te właśnie niskie potrzeby i ułomności, przed którymi społeczeństwo wszystkimi siłami próbuje nas powstrzymać? Ten instynkt każe człowiekowi biec jak najdalej od źródła zagrożenia, zmusza nas, byśmy nie dostrzegali nieszczęścia bliźniego, sprawia, że kradniemy i zabijamy… I człowiek ucieka, nie dostrzega, kradnie i zabija – wszystko, by dogodzić temu pozbawionemu zasad stworzeniu wewnątrz niego, które krzyczy: „Żyj!". Dopiero potem, kiedy ocaliło się już swoją skórę, przychodzi skrucha i udręka wyrzutów sumienia. Zresztą nie u każdego. Dla wielu męki te przypominają czkawkę po sytym obiedzie.

Czkawka przechodzi, wyrzuty sumienia też z czasem mijają. I znów nie u każdego. Ludzkie dusze są zbyt różne, by wyprowadzić powszechną regułę. Ale jedno można powiedzieć: niektórzy uczą się walczyć z sumieniem, a inni z instynktem samozachowawczym.

•••

Gleb wszedł na hałaśliwą metalową podłogę i rozejrzał się dookoła. Wąskie, wijące się schody wznosiły się spiralnie na sam szczyt latarni. Zardzewiałe stopnie wyglądały bardzo podejrzanie, ale gdzie

miałby pójść? Chłopiec wyciągnął pistolet i ruszył naprzód. Wchodząc coraz wyżej, wpatrywał się w napięciu w wygięcie wąskiego korytarza. Zdawało się, że za kolejnym zakrętem czeka go wróg, ale na razie nie napotkał na drodze żywej duszy. Tylko szczur wyskoczył mu spod nóg, z przenikliwym piskiem kryjąc się w ciemności. Po minięciu kilku pięter, Gleb nieuchronnie zbliżał się do szczytu konstrukcji. Na końcu schodów natknął się na nieoczekiwaną przeszkodę. Przejście zastawione było jakimiś metalowymi skrzyniami, od których po stopniach w górę ciągnął się gruby kabel. Chłopiec przyjrzał się i rozpoznał w dziwnych urządzeniach potężne akumulatory. Coś podobnego stało w maszynowni na Moskiewskiej na wypadek awarii starego diesla. Chociaż te akumulatory były bez porównania większe.

Gleb pokonał zator i wszedł do okrągłego pomieszczenia. Stopnie się tu urywały. W dalszej części pokoju widniała krótka drabinka wychodząca na otaczającą wieżę galerię. Słabe światło latarki pokazało jeszcze kilka baterii akumulatorów porzuconych bezładnie pod ścianą. Tu też, wprost na kamiennej posadzce, ukazały się ślady niedawnego pobytu ludzi – szara plama po ognisku, puste butelki, kości… Chłopiec, starając się nie przyglądać resztkom posiłku, przeszedł w głąb pomieszczenia. Prawie wszystkie meble były tu rozebrane na opał, tylko masywna szafa, pełna butelek, staroci i innych rupieci, samotnie wznosiła się pod ścianą, z rezygnacją czekając na swoją kolej.

Gleb prześledził kierunek, w którym szedł wijący się przez cały pokój kabel, wspiął się po drabince na sam wierzchołek wieży i w końcu wyszedł na galeryjkę. Panorama ogromnego wodnego przestworu otworzyła się przed nim z wysokości, od której kręciło się w głowie. Chłopiec kurczowo uczepił się balustrady i zmrużył oczy. Przenikliwy wiatr wściekle targał jego kapturem. Zdawało się, że wysoka wieża chwieje się pod naporem podmuchów żywiołu.

Były stąd doskonale widoczne zarysy przybrzeżnych wieżowców dzielnicy Wasilieostrowskiej. Gdzieś tam, za wieloma kilometrami

bezkresnej wodnej tafli, tli się życie. Choćby i pod ziemią, choćby bez światła i słońca, ale jednak życie. Gleb poczuł straszną chęć, by znaleźć się w domu. Na Moskiewskiej. Czy choćby w schronie Tarana. Chociaż bez stalkera to miejsce już nigdy nie będzie tak przytulne jak wcześniej. Chłopiec westchnął. Dobrze byłoby zacząć poszukiwania od nowa. Właśnie teraz! Tylko nie wiedzieć nic o metrze… Po prostu iść razem z Taranem i żywymi stalkerami z oddziału Kondora w nadziei odnalezienia nowego domu i w końcu odkryć… piterską kolejkę podziemną z jej przytulnymi stacjami! Wejść na Moskiewską…

Bo przecież w porównaniu ze światem na powierzchni metro to najprawdziwszy raj. Chodzić bez maski przeciwgazowej, nie bać się ataków głodnych drapieżników, pić choćby niezbyt czystą, ale jednak bezpieczną wodę… Czy to nie ziemia obiecana? Czy warto szukać czegoś więcej?

Gleb ze smutkiem patrzył na linię horyzontu, gdzie na tle ponurego ciemnogranatowego nieba można było się domyślić dalekich budynków miasta. Ciężko westchnął i przeniósł wzrok na szczyt wieży. Rozbite w drzazgi płyty odbijające światło wskazywały na to, że lampa latarni już dawno nie była w użyciu i wątpliwe, czy kiedykolwiek znów będzie działać. Natomiast tuż obok, z masywnego statywu ustawionego właśnie na galerii, bił snop oślepiającego światła. To był chyba ten reflektor sygnalizacyjny, o którym wspominał Taran. No cóż. Wiadomość dotarła do adresata. A nawet „adresat” jest już na miejscu. Tylko „nadawców” nie widać. Jednak te dwa fakty jakoś nie łączyły się z sobą – półdzicy kanibale i reflektor na latarni. Choćby nie wiem co.

Od zagadek pękała głowa. Chłopiec zszedł do pomieszczeń z akumulatorami, rozejrzał się i, niewiele myśląc, co sił szarpnął za kabel. Przewody wyskoczyły z zacisków, światło zgasło. Teraz zagadkowy „nadawca” się objawi. Kimkolwiek jest.

Chłopiec przeładował piernacza, usiadł pod ścianą, ostrożnie położył pistolet na zakurzonym betonie i przygotował się na

czekanie. W głowie nie pozostała mu ani jedna myśl, tylko obojętność i jakieś beztroskie oderwanie. Będzie, co ma być. Na drogę do domu nie starczy mu ani sił, ani doświadczenia, ani prowiantu. Więc po co odwlekać to, co nieuniknione? Chłód ściany szybko przeniknął do jego ciała. Chłopiec skulił się i poczuł, jak coś twardego wpiło mu się w brzuch. Dziennik! – przypomniał sobie Gleb.

Gorączkowo rozpiął kombinezon, wyciągnął terminarz i zaczął przerzucać kartki. W zamieszaniu całkiem zapomniał o swoim znalezisku i nie dowiedział się, jak zakończyła się historia więźniów schronu przeciwlotniczego… A teraz czasu miał aż nadto. Nieposłuszne ręce drżały. Słabe światło latarki padło na pożółkłe stronice.

Czas mijał. Wreszcie zjawił się u nas ten sam oficer. Powiedział, że potrzebni są ochotnicy, żeby szybciej wykopać tunel na powierzchnię. I obiecał mieszkanie w obiekcie. Od chętnych nie można się było opędzić. Sawuszka poszedł w pierwszym szeregu. Cały czas mnie wołał, a ja jakoś… nagle się zestrachałem. Oficer jakiś taki nerwowy… Pot na czole, palce mu drżą… Mówi i ucieka wzrokiem. Krótko mówiąc, nie uwierzyłem mu… Miałem niedobre przeczucia. Generalnie, nie poszedłem. Cały czas leżałem i na coś liczyłem. Czekałem, aż wreszcie wykopią ten tunel.

Zegarek wówczas już od dawna mi nie chodził. Czas bez zegara płynie inaczej. Pół dnia – pół nocy, miesiąc – rok, jaka to różnica? Kiedy żyjesz w grobowcu, nie zwracasz uwagi na takie drobnostki. Orientowałem się według posiłków. Racje przynosili teraz dwa razy dziennie. Rano i wieczorem. Śniadanie i obiadokolacja – jak zażartował ten sam staruszek, który rżnął wcześniej w Czapajewa.

Minęło kilka dni od czasu, gdy Sawuszka poszedł do obiektu. I wtedy podczas kolacji zakrztusiłem się czymś dziwnym. Twarde toto, a nie kość. Podszedłem bliżej światła, popatrzyłem. A w ręce mam paznokieć Sawuszki. Z niczym bym go nie pomylił. I tak stoi mi przed oczami Sawuszka i tym paznokciem w zębach sobie dłubie.

Porzygałem się na miejscu. A to ci obiadokolacja! A to ci zapasy z bunkra! Nikomu wtedy nie powiedziałem. Odszedłem do swojego kąta, zacząłem

myśleć. Gdyby wszystkim wygadać o tym, co tam wojskowi „pichcą", ludzie się zbuntują. I tu wszystkich wystrzelają jak kaczki… Nie. Tu trzeba inaczej. Poczułem wtedy taki strach, że aż zacząłem dygotać. Łamałem sobie głowę, jakby tu nie trafić pod nóż. Pojawiła się jedna mała myśl.

Następnym razem, kiedy zgłosili się po ochotników do robót ziemnych, zgłosiłem się i ja. Wzięli jeszcze dwóch. Poprowadzili nas na dół, do obiektu. Idę, a oczy mi łzawią od jasnego światła. Nijak nie przywykniesz. I rzeczywiście – ciepło, jasno, sucho. Prowadzili nas okrężnymi korytarzami, a skądś było słychać dziecięcy śmiech, muzykę… Masz tobie oszczędzanie zasobów. Nieźle się urządzili, gady… Parę razy spotykaliśmy na naszej drodze miejscowych. Całkiem nieźle się mieli… A wzrok zimny, pogardliwy… Dopiero potem skojarzyłem – bo jak inaczej patrzeć na „mięso"?

Nie pamiętam, jak długo szliśmy. Bunkier okazał się całkiem spory. Tylko nagle uświadomiłem sobie, że czas, bym wprowadził swój plan w życie. Dlatego że przed nami dostrzegłem białe kafelki. Czy to kuchnia, czy to… Szepnąłem konwojentowi, że jest tak i tak – sprawa najwyższej wagi. Odpowiedni chłopaczek mi się trafił. Czy się zlitował, czy po prostu postanowił zrzucić problem na cudze barki. Pomyślał, pomyślał, no i zaprowadził mnie do kierownictwa.

Wszedłem do gabinetu. A tam, przy biurku, zasiada ten sam urzędas. W dłoni kieliszek z koniakiem. W zębach papieros. W tłuszcz obrasta, swołocz. Popatrzyłem w te jego maślane oczka i zrozumiałem, że szanse na przeżycie mam praktycznie żadne. Zacząłem trajkotać tak szybko, jak tylko mogłem. Przekonywałem go. Że wiem o mięsie. Że będę milczał i mogę się przydać. Że będę kopał jak szalony, a potem opowiadał pozostałym o sukcesach w tunelu, o odsieczy z Pitera. O czym tylko chcecie… Żeby tylko nie pójść pod nóż…

Grubasek się uśmiechnął. Jaki tunel, pyta? Rezerwowe wyjście z obiektu było od samego początku. I teraz też jest. I już od dawna są organizowane wypady na powierzchnię. Tylko że tu jest na razie bezpieczniej. A i problem zaopatrzenia został rozwiązany, chociaż tylko tymczasowo. A co poradzić, przeżywa silniejszy…

To i owo mi wtedy wygadał – widać opary alkoholu mu w tym pomogły… Z początku, jak zrozumiałem, ludzkim mięsem karmili tylko mieszkańców schronu. Inaczej zapasów jedzenia nie starczyłoby na długo. Kiedy skończyły się mięsne konserwy, elita kapkę pogłodowała, aż w końcu przeszła na

powszechną „dietę”. I tak schron zamienił się w zagrodę dla „bydła”. Kiedy zapytałem o główne wyjście, powiedział, że zablokowali je ci, którzy się spóźnili. Tym lepiej, jak się wyraził. Stanęło na tym, że będę rozpuszczał legendy o rzekomym tunelu. A do tego zbierał informacje. Żeby chorzy, buntownicy i niezadowoleni jako pierwsi szli do utylizacji… Sam siebie znienawidziłem, ale nic nie mogłem zrobić. Kiedy z zatęchłego schronu chodziłem do bunkra składać meldunki, dawali mi kubek soku. I dodatkową rację. I jednak żarłem. Zjadałem wszystko do czysta. Nienawidziłem siebie, a żarłem. A potem z powrotem, do tego piekła i ciemności. I łgałem swoim towarzyszom. Łgałem im w oczy. Bezbożnik.

Jestem grzesznikiem. Grzesznikiem. A przecież wyspowiadać się nie ma komu. Ten zeszyt rąbnąłem prosto z biurka tego mordercy. Modlę się, żeby lampka, jedyna na cały schron, się nie wypaliła. Póki starczy mi ołówka, wyrzucę to chociaż z siebie na papier. Nie mam siły tego wszystkiego znosić.

Tak minęło następne ileś… dni, tygodni, miesięcy? Nie wiem. Czas jakby się zatrzymał. Żal było patrzeć na ludzi. Brudni, w łachmanach… Skomlą w ciemnościach i wypełzają tylko na karmienie. Zresztą raz na dobę. Bo znowu obcięli racje.

Oczywiście nie wszyscy zdziczeli. Ktoś tam się jeszcze trzyma. Ma nadzieję. Tylko ludzi z każdym dniem zostaje coraz mniej. Tak że niedługo nie będzie komu tej nadziei mieć. Kiedy ostatnim razem schodziłem do bunkra, w ucho wpadło mi coś o kurzawce. Zdaje się, że i do tych bydlaków dobrała się woda. W zamieszaniu nikt wtedy nie zauważył, jak złapałem kluczyk z biurka urzędasa. Kluczyk od kłódki blokującej zaporę. Tak czułem, że zaczyna się dziać coś niedobrego. Nasi nadzorcy zaczynali organizować ekspresową przeprowadzkę. Gdzieś na powierzchnię. A nas porzucili…

Dalej notatki się urywały. Gleb przewrócił kilka pustych stron i zobaczył dalszy ciąg. Teraz pismo było niezdarne i krzywe. Litery zachodził na siebie, czytało się to wszystko z trudem.

Piszę na ślepo – lampka zgasła. Minęła doba bez karmienia. Mija druga. Drzwi do kompleksu wciąż się nie otworzyły. Zrozumiałem, że zostawili nas, żebyśmy zgnili żywcem. I wykitowali z głodu. Zebrałem wszystkich, którzy mogli jeszcze stać na nogach i poszliśmy do wyjścia. Odpieczętowaliśmy

zaporę, podeszliśmy schodami do drzwi. Znaleźliśmy narzędzia, które zostały tam jeszcze po pierwszej próbie wydostania się na zewnątrz. Postanowiliśmy, że będziemy się przebijać, póki starczy nam sił. Pracujemy na zmianę. Tylko czuję, że dużo czasu mi nie zostało. Bardzo chce mi się jeść. Pragnienie na razie nas nie męczy – pijemy wodę gruntową z podtopionej sali…

Trzeciego dnia głodu stało się to, co nieuchronnie się dzieje, kiedy rozum ustępuje miejsca instynktom. Obudziły mnie głośne krzyki. Zacząłem się bać. Strasznie bać. Ludzie wokół mnie kompletnie oszaleli. Zaczęli mordować, żeby zaspokoić głód. Pamiętam, że jakoś się podniosłem, poszedłem w stronę krzyków. Mówię: „Opamiętajcie się! Przecież jesteście ludźmi, nie jakimiś zwierzętami!". A ci odpowiadają: „Zamknij się, jak chcesz żreć. Bo i ciebie zeżremy…".

A głód to jest straszna rzecz. Minęło niewiele czasu i pomyślałem, że ponieważ sam nie zabijałem, to nie taki straszny grzech. Jadłem z pozostałymi… Jadłem i myślałem, że teraz to już absolutnie niczym się nie odróżniamy od ludożerców z bunkra. Jesteśmy tacy sami. I gdyby zamienić nas miejscami, nic by się nie zmieniło. Tak samo byśmy kombinowali, tak samo chcielibyśmy przeżyć. A ponieważ wszystkich nas czeka ten sam los… Nie wiem, kto będzie następny. Nie chcę już czekać, bać się. Dłużej nie mogę. Otworzę sobie żyły i tyle…

Mam tylko jedną nadzieję – że nie wszędzie właśnie tak się to skończyło, tak nieludzko. I dlatego piszę, bo liczę na tych, którzy zejdą tu kiedyś i przeczytają… Że zrozumieją i przebaczą… Bóg widzi, że tego nie chciałem… Przedłużać swojego życia na czyjś koszt… I kłamać też nie chciałem… I podnosić na siebie ręki…

Jestem grzesznikiem. Przyznaję. Niech Bóg nam wszystkim wybaczy.

Chłopiec zatrzasnął dziennik, podniósł głowę.

W sercu miał mętlik. Jakby otworzył zepsutą konserwę. Żal było, oczywiście, tego człowieka… Bo jak osądzać czyjeś pragnienie przeżycia?

Przynajmniej sprawa kanibali stała się teraz jasna – to wyrodki z bunkra i ich dzieci.

Z dołu dobiegł hałas – skrzypnęły drzwi wejściowe. Chwilę później Gleb usłyszał niespieszne kroki. Metalowe schody delikatnie dźwięczały. Ktoś powoli wchodził na górę. Zdaje się, że zagadkowy gospodarz latarni jednak się objawił…

Rozdział 18: SPOWIEDŹ

Echo kroków wzmagało się z każdą chwilą, nieprzyjemna wibracja schodków sprawiała, że oczekiwanie było nieznośne. Gleb podniósł piernacza, celując w wyjście ze schodów. Zaraz wszystko się rozstrzygnie. Chłopiec był zdecydowany, by bronić się do końca. W kieszeni miał zachowany ostatni magazynek, a ostatni nabój w nim był dla niego samego. Ale to wszystko później, a na razie… Na razie trzeba koniecznie wziąć się w garść i powstrzymać okropne drżenie kolan. Przecież Taran w swoim czasie nieprzypadkowo wybrał właśnie Gleba. To znaczy, że wszystko się uda. Najważniejsze, to nie panikować.

Tymczasem z dołu zamigotało słabe, drżące światło. W wejściu pojawiła się samotna postać w płaszczu, z naciągniętym na głowę kapturem. W dłoni miała starą naftową latarenkę. Przez kratkę ochronnego klosza widać było języczek płomienia. Bijące od latarki światło pozostawiało twarz nieznajomego w cieniu. Chłopiec usiłował dojrzeć wymykające mu się rysy twarzy sponad celownika, ale mu się to nie udawało. Pistolet zdawał się cięższy niż zwykle, palce na spuście łapały skurcze od napięcia.

Gleb drgnął, gdy człowiek bez twarzy podniósł rękę w ostrzegawczym geście i powiedział:

– Poczekaj… Nie strzelaj! To przecież ja…

Głos przybysza okazał się boleśnie znajomy. Chłopiec nie od razu zdał sobie sprawę, że widział już ten płaszcz mnóstwo razy. Iszkarij zrzucił kaptur, uśmiechnął się.

– Ty żyjesz! Do diabła, żyjesz!

Gleb rzucił pistolet, podbiegł radośnie do sekciarza. Objęli się jak najserdeczniejsi przyjaciele. Chłopiec śmiał się i płakał na przemian.

Tak wspaniale było czuć, że obok jest ktoś, z kim można dzielić trudy i dramaty tej, zdawałoby się, beznadziejnej sytuacji…

– Nawet się nie zorientowałem, kiedy zniknąłeś z kutra!

– Wyskoczyłem! A tobie jak się udało przeżyć? – Gleb otarł łzy radości i cały czas przyglądał się Iszkarijemu, tak jakby się bał, że ten przypadkiem zniknie jak piękny sen.

– Uciekłem! Kiedy te świry zaatakowały, dałem dyla do wody! Musimy uciekać, słyszysz, uciekać!

Sekciarz podniósł z podłogi pistolet i wyciągnął go w kierunku Gleba. Chłopiec już chciał sięgnąć po broń, ale ułamek sekundy później Iszkarij uderzył go na odlew rękojeścią. Oślepiony bólem Gleb runął na ziemię. Z rozciętego policzka popłynęła gorąca krew. Oczy zaszły mu mgłą, sylwetka sekciarza rozmyła się, a podłoga zaczęła się chwiać. Chłopiec spróbował się podnieść, ale znów upadł. Chłód betonowej posadzki sprawił, że po chwili ochłonął i odzyskał przytomność. Do jego uszu dotarły słabo rozróżnialne słowa.

– Nie ruszaj się, szczeniaku. Albo zarobisz kulkę. Z przyjemnością postawię dużą kropkę na końcu heroicznej historii ekspedycji. Jak by nie było, jesteś jedynym, który jeszcze nie zdechł z całej tej bandy nieudaczników.

Sekciarz przeszedł przez pokój, położył latarnię na półce szafy. Przyjrzał się krytycznie stercie akumulatorów, pstryknął niepozornym przełącznikiem, pochylił się nad postrzępionymi przewodami. Podłączył kabel, włączył instalację. Gleb odwrócił się na plecy, oparł o ścianę. Ból nieco zelżał, a pokój przestał się kołysać.

– Ty, młody, rzecz jasna, nie bardzo rozumiesz, o co tu chodzi… Pozwól, że wyjaśnię. – Sekciarz uśmiechnął się półgębkiem. – Spodobał ci się ten mój pomysł z latarnią morską? Tak, mój. Nie spodziewałeś się? Jeszcze nieraz przyjdzie ci się dzisiaj dziwić. Jeśli będziesz siedział grzecznie i bez żadnych sztuczek, to jeszcze trochę pociągniesz. Tak więc rozkoszuj się swoimi ostatnimi chwilami. Mówi się, że śmierć bywa wybawieniem… Bzdura. Wszyscy, których zarzynałem, cały czas błagali o odroczenie tej chwili. Chociaż o kilka

minut. Życie w tym wstrętnym świecie jest niewesołe, bracie, ale nie wiedzieć czemu ludzie czepiają się go jak szaleni.

Sekciarz podszedł do szafy, otworzył wypaczone drzwiczki, wyciągnął zakurzoną butelkę. Potrząsnął mętną zawartością, wziął kilka chciwych łyków, odetchnął.

– Ech… Już od tygodnia nie piłem. Smutno tu bez alkoholu. – Sekciarz otarł usta rękawem. – Więc o czym to ja? Ach, wiem! Latarnia… Należy chyba zacząć od schronu pod zakładem.

– Wiem o nim. – Gleb popchnął dziennik w stronę Iszkarija.

Ten przejrzał kilka stron, przekartkował zawartość, uśmiechnął się po raz któryś.

– Cóż, to ułatwia mi zadanie. Tak, ci biedacy na wyspie to rzeczywiście dawni mieszkańcy obiektu. Tylko nie wszyscy z nich zapuścili się do takiego stanu. – Uśmieszek nagle zniknął z twarzy sekciarza. – Urodziłem się w tym bunkrze. Można przypuszczać, że od najwcześniejszego dzieciństwa żarłem ludzkie mięso. Normalne racje żywnościowe. Co dawali, to jadłem. Nigdy nie próbowałeś? Mięso jak mięso. Lepsze od szczurzego, to na pewno. Słodziutkie.

Sekciarz urwał, ale tylko po to, by wziąć jeszcze jeden chciwy łyk samogonu.

– Kiedy zaczęło podtapiać bunkier, nasi przodkowie postanowili, że przebiją się do miasta. Bo gdzie się podziać? Zostawiliśmy tych gruźlików w schronie, żeby zdechli. Wzgardziliśmy nimi. Z początku żywiliśmy się zwierzętami. No ale tego człowiekowi nie starczy. Wkrótce zeżarliśmy wszystko, co na wyspie dało się zjeść. W początkowym okresie ocaleńcy przychodzili od strony Łomonosowa. Jakoś się nimi opędziliśmy.

Mnóstwo rzeczy się działo… Urządzaliśmy najazdy w poszukiwaniu ocalałych… Potem, co prawda, znaleźli się jacyś gieroje i wysadzili kawałek grobli, żeby zamknąć nas na wyspie. Ale pewnego pięknego dnia mieliśmy szczęście – statek turystyczny zawinął na wyspę. Cały poobijany, odrapany. Ludzi na nim było całkiem sporo. Podczas bombardowania płynęli właśnie przez ocean. No więc przeżyli.

Z tymi gośćmi obeszliśmy się już w bardziej przemyślany sposób. Do tego mieliśmy wtedy, ile dusza zapragnie broni i nabojów, a apetyt też niezły. Zagnaliśmy wszystkich razem do suchego doku, pod strażą. Tego samego, nawiasem mówiąc, przez który prowadził Taran. Teraz jest pusty, dawno wszystkich zjedliśmy. A kiedyś była z tego doskonała zagroda. I miejsca dużo, i nie ma dokąd uciec. Wałęsali się jak owce… Zresztą rozmnażali się też. Człowiek ze swej natury się adaptuje. Gdziekolwiek go rzucić, wszędzie przeżyje. Nawet tam, gdzie szczury zdychają…

Im dłużej mówił Iszkarij, tym bardziej Gleb był przerażony tą lekkością, z jaką sekciarz rzuca te niemieszczące się w głowie frazy.

– I tak byśmy żyli dalej, biedy byśmy nie zaznali. Ale nie. Pomór przeszedł przez miasto. Sporo naszych umarło, no a „bydło" całe pozdychało. Z głodu zaczęliśmy wyrzynać się nawzajem. Potem nasza starszyzna trochę pogłówkowała, no i wymyślili Exodus. Tak, tak, chłopcze… Exodus powstał tutaj, w Kronsztadzie. Ładna bajka o Arce… Po zamontowaniu reflektora kilku ludzi w tajemnicy przeprawiło się do Pitera. I tak w metrze zjawili się kaznodzieje. Ja też pojechałem – głód przeważył. A w kolejce podziemnej jednak łatwiej o żarcie. Chociaż niedobrze mi było w pierwszych dniach od tej waszej świniny. – Sekciarz skrzywił się, pokazując swoje obrzydzenie. – Naiwnych frajerów było w metrze też do woli. Wystarczyło, że latarnia zaczęła działać i zjawili się wierni. Jakby tylko na to czekali. Przygotowaliśmy już pierwszą partię do odprawy, pozostało tylko przyprowadzić kuter, udając wybawców… A tu Alians Primorski objawił się z tą ekspedycją. Wszystko pogmatwał. Okazało się, że byłem najbliżej Technołożki. Zdążyłem przechwycić oddział. Z Exodusem wszyscy się teraz liczą. Wiernych mamy pełno na każdej stacji. Przejęliśmy dowodzenie nad drużyną, choć z trudem.

– Jeśli Exodus to tylko wymysł, to dlaczego diabły błotne cię wtedy nie ruszyły? – zapytał Gleb, chwytając się tego jak tonący brzytwy: potwornie nie chciał rozstawać się z ostatnim, jedynym marzeniem.

– Zwyczajny repelent na komary. Na te moskity też świetnie działa. – Iszkarij zdjął z półki w szafie podłużny flakonik. – To się nazywa ironia losu… Żarcia nie starczało, a tego było w bunkrze do woli… Myślałem, że stalkerzy rzucą mi się na ratunek i im się oberwie. A oni nie ruszyli się z miejsca…

Sekciarz popatrzył na chłopca z ukosa. W oczach zapłonęły mu złe ogniki.

– A przecież to ty miałeś zdechnąć jako pierwszy… Tam, w piwnicy pod Pałacem Konstantinowskim. Myślisz, że właz sam się zatrzasnął? Zapomnij, dzieciaku, nic się nie dzieje samo z siebie. Podziękuj Taranowi, że się połapał, jak się obudził. Nie zdążyłem odblokować wyjścia z podziemi – żeby stworzyć pozory, że uciekłeś na zewnątrz. Więc zaczął cię szukać w podziemiach…

Potem jakoś ciągle nie nadarzała się sposobność, żeby przeszkodzić waszemu oddziałowi. Jednemu tylko pomogłem z karabinem… Mówisz, że jak mu było? No tak, właśnie – Belg. Wsunąłem mu uszkodzony nabój do magazynka. Bo czułem, że prędzej czy później to zadziała. Zresztą tak samo się udało z dozymetrem Okonia. Jak zauważyłem, że jest chciwy, od razu wykombinowałem, że można go sprowokować do samowolki. A o promieniowaniu w porcie w Łomonosowie wszyscy nasi wiedzą. W swoim czasie się oparzyli… Krótko mówiąc, szepnąłem mu o nietkniętych magazynach, o statkach, których jeszcze nie rozgrabiono. I on to kupił. Do tego jeszcze dozymetru nie sprawdził. Wiesz, tam w miejscu, gdzie się wkłada baterię, jest taka sprężynka…

– Sukinsyn! – krzyknął Gleb.

Trząsł się z gniewu. Oto stał przed nim człowiek, który zgubił wszystkich tych niezłych ludzi, i opowiadał takim zwyczajnym tonem, jak ich zabijał. Nie, on nie jest człowiekiem… On jest czymś strasznym…

Sekciarz podniósł pistolet, pokiwał nim przed oczami chłopca.

– Nie przerywaj starszym, dzieciaku. Czyżby nie nauczyli cię manier w tym waszym wielce moralnym metrze? Powinieneś brać przykład

z Dyma. To ci inteligent, jakiego świat nie widział. A przecież też źle skończył. Pewnie nie wiedziałeś, że smali cholewki do Naty? Bo ja od razu zauważyłem. A przecież nawet nie myślałem, że da się złapać na taką głupotę. Szepnąłem mu wtedy, przy przeprawie, że słyszę jej krzyki, a on, idiota, skoczył w dół. A tak, może by i jeszcze pożył… Psychologia to potężna broń, chłopcze. Trzeba się znać na ludziach, uderzać w ich słabe miejsca. Zupełnie jak podczas bójki.

Iszkarij opróżnił butelkę prawie do połowy i już porządnie się wstawił. Oczy zaszły mu mgłą. Ludożerca rozmarzył się, uśmiechnął do siebie…

– Legitka spalił się ze strachu. Okazał się tchórzem. Nie musiałem niemal niczego robić. Kiedy stanęliśmy na nocleg w tunelu pod groblą, dosypałem kwasa do czajnika. Taka halucynogenna pleśń. Rośnie tu niedaleko. Mocna rzecz. Jak weźmiesz dużo – śpisz jak zabity prawie całą dobę, mało – najpierw masz jazdę. Różne wizje. Myślałem, że wszyscy usną i wtedy postawię na waszej ekspedycji krzyżyk. Wcześniej ciągle nie było odpowiedniej chwili. A tu niby się pofarciło. Zdążyłem…

Tylko Kondor się uczepił – pij, mówi. Trzeba było też łyknąć… Legitka, nawiasem mówiąc, nie dostał swojej dawki przez ciebie. Bo przewróciłeś jego kubek, pamiętasz? Trzeba było improwizować. Cisnąć mu psychikę. Legitka szybko się złamał. Kiedy wszyscy odpłynęli, ten wylazł na zewnątrz. Widocznie coś mu się przywidziało. Ja za nim. Podszedłem do niego, a on jakby mnie nie widział. Zakrył twarz, siedzi i coś mamrocze. Nie inaczej, tylko gada ze swoim martwym koleżką. Nieźle odleciał… Stuknąłem biedaka po ciemieniu i otworzyłem mu żyły. Dla niepoznaki. No i posiliłem się przy okazji. Nie mogło się zmarnować.

Potem i mnie zaczęło brać. Do komórki jeszcze jakoś dobrnąłem, ale sił, żeby wyciąć całą waszą ekipę, już mi, niestety, nie starczyło. No i odpłynąłem. W sumie, przeszkodziłeś mi wtedy, szczeniaku. Czyli nie na darmo Taran cię ze sobą ciągał…

Najciekawiej wyszło z dziewczyną. Tam już była czysta improwizacja. Patrzę, wasz dowódca bawi się nożykiem. Sprowokować tę dziewuszkę do bójki, to było jak splunąć. I wepchnąć ją w odpowiedniej chwili na Kondora – to też nie problem. A dalej to już była kwestia techniki. Nóż, dzieciaku, to niebezpieczna rzecz, i nie należy tracić go z oczu. Bo jeśli trafi w doświadczone ręce… – Iszkarij uśmiechnął się krzywo. – Możesz mi wierzyć.

Potem było coraz łatwiej. Wiesz, rodzime ściany pomagają… Myślałem, że Taran nie znajdzie bunkra. Ale nie, wytrwały się okazał, cholera. Sam już chciałem pomóc, ale nie było to potrzebne. To wszystko nic, tylko trochę szybko wspięliście się w tym szybie. Nie zdążyłem w porę dostać się do maszynowni. Kiedy szarpałem się z blokadą windy, wy już wyszliście na górę. Chociaż jeden się utopił – i tak dobrze.

Gleb przypomniał sobie oczy Farida, kiedy winda poleciała w dół i spojrzał z nienawiścią na sekciarza. Ten opróżnił wreszcie butelkę i kopnął ją w kierunku schodów. Puste szkło cudem się nie rozbiło, tylko zazgrzytało o metal i zatrzymało się na kraju stopnia.

– I tak nam życie płynie. Toczy się, toczy… Czasem w górę, czasem w dół. Bywa, że i na krawędzi. A potem zsuwa się nagle w przepaść i leci do diabła… Kiedy podeszliśmy do barki, zrozumiałem, że trzeba rozbić oddział. Bo Taran zaczął już z ukosa na mnie spoglądać. Myślę sobie, przejrzał mnie. Tyko nie mógł nic udowodnić.

Kondor do tego czasu już całkiem sflaczał. Dotkniesz palcem, to się rozpadnie. Wtedy byłem już na sto procent pewny, że nie będzie nalegał. Wystarczyło tylko podrzucić pomysł, od razu zabrał się do domu. Wprawdzie nie pomyślałem, że Szaman się do nas przyczepi, ale ten, jak się zdaje, bez dowódcy ani kroku by nie zrobił.

A potem wszystko poszło prosto. Długo oczekiwane spotkanie z „nadawcami” na przybrzeżnych wodach zatoki, ściskanie rąk, gratulacje… Gdybyś widział, jak Szaman się cieszył, jak szedł się

witać… póki nie zarobił noża w brzuch… Interesujący typ. Cały czas o sygnały w eterze wypytywał…

Gleb zapomniał już o tym urywku komunikatu radiowego, który udało im się złapać w Gromie. Oto jeszcze jedna zagadka się rozwiązała. Oczywiście znaleźć działającej aparatury w obiekcie się nie udało, ale najprawdopodobniej było to dzieło kanibali. Całego Kronsztadu nie da się przeczesać… Tymczasem zmęczony sekciarz przysiadł na skraju skrzyni akumulatora, z ciekawością obejrzał piernacza.

– Dobra maszynka. Taran znał się na broni. Za to można go było szanować. W pozostałych kwestiach był z niego taki sam ograniczony rębajło jak reszta. Chociaż bardziej doświadczony. Co prawda, niezbyt mu to pomogło.

– Co z nim? – Chłopiec z zamarłym sercem obserwował wyraz twarzy sekciarza.

Ten nie spieszył się z odpowiedzią, rozkoszując się przerażeniem w spojrzeniu ofiary. Potem wyszczerzył zęby w obleśnym uśmiechu.

– Zeżarli go, a co myślałeś…

Na Gleba strach było patrzeć. Blady, wymizerowany, z przybitym wzrokiem… Przez głowę z porażającą jasnością przemknęło mu minione kilka dni, które spędził ze stalkerem. Potem nagle z pamięci wyłonił się surowy, ochrypły głos: „ZABIJ!”.

To było jak rozkaz. Chłopiec zerwał się na nogi, wyciągnął nóż desantowy i popatrzył wrogowi prosto w twarz.

– Chcesz walczyć? Godne szacunku! – Iszkarij uśmiechnął się. – Cóż, to będzie ciekawe. Wiesz, przejedli mi się ci wszyscy pozbawieni kręgosłupa. Skomlące mięso… Wieki na to czekałem – dzikie zwierzę, choćby i drobne…

Sekciarz podniósł się z miejsca, wydostał spod fałd ubrania wąski sztylet. W świetle ognia błysnęła ostra klinga. Kanibal zatknął pistolet za pas, zrzucił płaszcz i przyjął pozycję, drapieżnie rozstawiając ręce na boki. Nie przestając się uśmiechać, ruszył naprzód. Drgnął jednak, kiedy zajrzał w pełne zimnego

zdecydowania oczy chłopaka. Gleb, tak jak wcześniej, stał w miejscu, nie cofając się ani o krok. Jakby wrósł nogami w podłogę. Nawet drżenie zniknęło. Nóż ściśnięty w opuszczonej dłoni. Uważne, złe spojrzenie.

Zmylony pasywnym zachowaniem przeciwnika, Iszkarij przegapił moment, kiedy chłopiec skoczył do przodu. Z miejsca, bez żadnego przygotowania, rzucając się prosto na wystawiony nóż. Ostrze sztyletu uwięzło we wzmocnieniu skafandra, lecz cios Gleba okazał się skuteczniejszy.

Nóż spadł na kanibala z góry, ale ze względu na dużą bezwładność podczas skoku chłopiec wyrżnął w przeciwnika i wypolerowana niczym lustro klinga rozpruła mu ubranie na plecach. Iszkarij odepchnął atakującego, złapał się za plecy, przykrywając dłonią ranę na łopatce. Przez ubranie przesiąkła ciemnoczerwona plama.

– Szczeniak! – Sekciarz z niedowierzaniem popatrzył na zakrwawioną dłoń. – Będę cię ciął powoli, kawałek po kawałku…

Zbity z tropu zachowaniem chłopca, podkradał się teraz do ofiary z pewną ostrożnością. Polowanie, które z początku wydawało się interesujące, zaczynało się robić niebezpieczne. Ale nie mógł nawet przypuszczać, w co może się przekształcić kaprys, by zagrać z bezradnym na pierwszy rzut oka nastolatkiem w kotka i myszkę. Zdaje się, że dzieciak postanowił gryźć do samego końca…

Gleb zerwał się na nogi, podnosząc z podłogi ciężki płaszcz sekciarza. Od energicznego machnięcia długimi połami przez pomieszczenie poszedł silny podmuch powietrza. Język płomienia przedpotopowej latarenki zachybotał i zgasł, zostawiając po sobie tylko ulatujący białawy dymek. Pokój pogrążył się w ciemności. Bez światła wychowany w metrze chłopiec czuł się znacznie pewniej.

Z boku sekciarza natychmiast coś trzasnęło, sprawiając, że ten, mrużąc ślepe oczy, odwrócił się w kierunku hałasu. Gleb jednak spadł na przeciwnika z drugiej strony, tnąc go nożem po nodze, a następnym pchnięciem celując w pachwinę. Kanibal uchylił się przed tym ostatnim wypadem, przewidując kierunek uderzenia,

i machnął sztyletem na odlew. Ostra klinga chlasnęła po płytach pancerza, nie robiąc chłopcu krzywdy. Ten znów odskoczył do tyłu. Wtedy dał o sobie znać ostry ból w nodze. Sekciarz niezręcznie stanął na zranionej nodze, cofnął się, zachwiał i runął na wznak. Przeturlał się, przywarł do ziemi i wystawił przed siebie sztylet. Dopiero teraz Iszkarij odkrył zniknięcie pistoletu. W pełnej napięcia ciszy rozległo się wyraźne szczęknięcie. W ślad za nim pomieszczenie rozjaśniły szybkie błyski. W rękach Gleba zaterkotał ustawiony na ogień ciągły piernacz. W rozbłyskach wystrzałów chłopiec dostrzegł wroga, błyskawicznie usuwającego się z linii ognia. Gleb powiódł lufą w ślad za sylwetką sekciarza. Ostra seria rozpruła szafę, która eksplodowała fontanną drzazg, oraz ścianę za nią. Skruszony beton bryznął na wszystkie strony, dało się słyszeć brzęk tłuczonego na kawałki szkła, w powietrze wzbiły się strzępy śmieci.

Magazynek nagle opustoszał. Drogocenne chwile Gleb stracił na przeładowanie pistoletu. Nowy magazynek z wyraźnym kliknięciem znalazł się na miejscu, kiedy sekciarz runął na chłopca całym swoim ciężarem. Przeciwnicy zwalili się na podłogę. Niczym w zwolnionym tempie, Gleb zobaczył, jak z góry spada na niego drapieżne żądło sztyletu. Odruchowy wyrzut ręki pozwolił mu odsunąć uderzenie na bok. Z przeciągłym szczękiem ostra klinga wbiła się w szczelinę między betonowymi płytami. Chłopiec szarpnął się i zaciekle walnął łokciem w sztylet. Wąskie ostrze złamało się przy samej rękojeści.

Kanibal odrzucił bezużyteczną broń i z całej siły uderzył Gleba w twarz.

W oczach chłopca rozbłysły miriady lśniących punktów. Zdawało się, że od dzwonienia w uszach można by ogłuchnąć. Głowa bezwolnie poleciała do tyłu. Chłopiec uderzył potylicą w podłogę i jak przez mgłę znów zobaczył mignięcie pięści.

Skulił się w oczekiwaniu na kolejny cios, jednak ten nie nastąpił. Zamiast tego sekciarz poruszył się, wyciągając spod chłopca pistolet. W tym celu musiał się nieco podnieść. Treningi i wskazówki Tarana nie poszły na marne. Ciało samo zareagowało na śmiertelne

zagrożenie: wystarczyło, że Iszkarij uniósł pistolet do głowy chłopca, by ten gwałtownie obrócił się na plecach, złapał rękę kanibala i zarzucił mu nogi na tułów. Sekciarz próbował strącić dzieciaka z ramienia, ale chłopiec z gwałtownym wydechem wyprostował się, z całych sił pociągając rękę do siebie. Masa ciała pomogła mu wykończyć bolesny chwyt. Kanibal rozpłaszczył się na podłodze twarzą w dół i przeszywająco krzyknął. „Dźwignia łokciowa" zrobiła swoje – pistolet wypadł z osłabionej ręki.

Gleb rzucił się w kierunku broni, palce zamknęły się na chłodnej rękojeści. Miotając przekleństwa, sekciarz skoczył w ślad za nim i spróbował odebrać mu piernacz. Huknęły wystrzały, oświetlając siłujące się w pyle ciała. Kule, jedna za drugą, wbijały się w ścianę, powietrze niebezpiecznie blisko walczących przecinały rykoszety. Wkrótce pistolet umilkł. Sekciarzowi udało się w końcu wyrwać piernacz z rąk nastolatka. Ale naboi już w nim nie było. Kanibal odrzucił niepotrzebną już broń, usiadł na pokonanym przeciwniku i zasypał go gradem chaotycznych uderzeń.

Chłopiec zakrył głowę rękami i starał się na wszelkie sposoby uchylać, ale na próżno. Ciosy spadały jeden za drugim. Wtem poczuł pod plecami coś twardego… „Nóż!" – olśniła go nagła myśl.

Przez zalewającą mu oczy zasłonę krwi, Gleb nie umiał już rozpoznać sylwetki Iszkarija, dlatego gdy tylko namacał nóż, po prostu pchnął nim na chybił trafił. Sekciarz wrzasnął – ostrze weszło głęboko w przedramię. Kanibal zeskoczył z przeciwnika, przycisnął zranioną rękę do piersi i zaczął miotać się po pokoju niczym zwierzę.

Chłopiec poderwał się na kolana, podpełzł do na wpół rozwalonej szafy i, czepiając się półek, stanął na nogi. Chwiał się, huczało mu w głowie, z rozbitej wargi sączyła się krew. Zza pleców dobiegł go wściekły krzyk. Iszkarij wyrwał sobie nóż z ramienia i ponownie rzucił się do ataku. Chłopiec instynktownie chwycił najbliższy przedmiot z półki. Okazała się nim znajoma latarenka.

Wszystko odbyło się bardzo szybko. Lekcje Tarana stanęły mu w pamięci. Gleb nie ruszył się z miejsca. Dopiero gdy kanibal znalazł

się tuż obok, chłopiec rzucił się w bok, nurkując pod ostrzem. Nóż wbił się w rozeschnięte drzwiczki szafy aż po rękojeść, a sekciarz, starając się jednocześnie wyciągnąć broń i przytrzymać przeciwnika, nie zablokował potężnego uderzenia w głowę. Stara latarenka z brzękiem roztrzaskała się na kawałki, obficie oblewając Iszkarija naftą. Mrużąc niewidzące oczy, sekciarz odepchnął chłopca. Po pokoju rozeszła się ostra woń paliwa.

Gleb po raz kolejny upadł na twardą podłogę, czując, że tym razem nie da już rady wstać. Wypluł gęsty skrzep krwi i bezsilnie rozciągnął się na brudnym betonie. Koniec męczarni był bliski.

Policzek dotknął czegoś zimnego. Chłopiec wyciągnął rękę i namacał znajomy metalowy przedmiot. Widocznie wypadła mi podczas walki – przemknęło mu przez głowę. Palec odruchowo pstryknął pokrywkę i potarł kółkiem. Języczek płomienia oświetlił wysoką postać kanibala. Ostatnim świadomym ruchem Gleb rzucił starą zapalniczką we wroga.

Ubranie Iszkarija zajęło się ogniem. Sekciarz w okamgnieniu zamienił się w ogromną żywą pochodnię, przenikliwie wrzasnął i zaczął się miotać po pomieszczeniu, na oślep wpadając na ściany. Oszalały z bólu, wyskoczył na balkon okalający wieżę na całym obwodzie. Przebiegł wzdłuż balustrad, rzucił się w agonii na ścianę, odskoczył, przechylił przez poręcz i kulą ognia poleciał w dół, ku podnóżu latarni.

Chłopiec już tego nie widział. Leżał prawie nieprzytomny, a kiedy świadomość nieco mu się rozjaśniała, odczuwał swoje ciało jak jeden czuły nerw.

Zdawało się, że minęło dużo czasu, nim w końcu udało mu się wstać. Wgramolił się po drabince i wydostał na galeryjkę. W dole, na popękanym asfalcie, tam gdzie upadł Iszkarij, coś się jeszcze tliło. Wstrząsnęło to nim. Zemsta się dokonała. Zwyciężył śmiertelnego wroga. Tylko jakoś nie budziło to jego radości. A i złość niezauważalnie zniknęła. Co prawda, zostało jeszcze coś do zrobienia…

Chwiejąc się z osłabienia, chłopiec pokuśtykał w stronę reflektora. Jego wzrok błądził po galerii w poszukiwaniu czegoś ciężkiego. Zaraz rozbije w cholerę to urządzenie i dojdzie do kropki w historii o świetle… Świetle, które wabi ludzi niczym ćmy. Świetle oferującym śmierć, zamiast ratunku. Świetle kłamliwym.

Jak na złość, nie było pod ręką niczego odpowiedniego. Chłopiec wytężył siły i przewrócił ciężki statyw. Reflektor runął na bok, ale się nie rozbił. Jakby się naśmiewając, uparte urządzenie wciąż działało, posyłając w niebo jasną smugę. Wprawdzie teraz w przeciwnym kierunku. Snop światła bił gdzieś w stronę Bałtyku. Gleb popatrzył zmęczonym wzrokiem na reflektor. A niech go…

Z dołu doleciał gromki odgłos wystrzału. Chłopiec bez specjalnego zainteresowania wyjrzał przez balustradę, domyślając się, co zobaczy… Właśnie. Tak jak przypuszczał, od portu w stronę latarni pędziły ledwo rozróżnialne w szarówce przedświtu figurki kanibali. Znów wystrzał… Jeden z obszarpańców padł trupem. Gleb z niepokojem w sercu spojrzał w drugą stronę – tam, skąd dobiegł dźwięk. Przy nabrzeżu wciąż jeszcze kołysał się na falach wątły kuter, a na pokładzie… Chłopiec wpatrywał się w napięciu w sylwetkę człowieka, bojąc się pomyłki. Mężczyzna szaleńczo machał rękami, starając się przyciągnąć jego uwagę, potem nagle odwrócił się w stronę portu, podnosząc do ramienia ogromny karabin snajperski…

Serce podskoczyło chłopcu w piersi, a usta same wyszeptały jedyne tak drogie mu imię.

– Taran…

Rozdział 19: POŚCIG

– Taran!!!

Chłopiec wychylił się przez balustradę, ryzykując wypadnięcie. Nie było już wątpliwości – to był on! Stalker wołał coś w odpowiedzi, ale Gleb, jakkolwiek się starał, nie mógł zrozumieć słów. W głowie wciąż jeszcze dzwoniło mu po zaciętej walce, a myśli płynęły powoli. Co robić? Biec do opiekuna? Kanibale spieszyli w stronę latarni, rozsypani w nierówną tyralierę. Może nie zdążyć…

„…Bój się bezczynności. Wyznacz sobie cel i wyrzuć z głowy całą resztę…”

Gleb odrzucił wątpliwości i wskoczył do wieży. W półmroku pokoju gorączkowo wymacał porzuconego na ziemi piernacza i ukochaną zapalniczkę. Będąc już przy samych schodach, chłopiec potknął się o coś, o mało nie upadając. Popatrzył pod nogi. Na podłodze walał się płaszcz sekciarza i modlitewnik. Poddając się nagłemu impulsowi, Gleb podniósł trofeum, dołączył je do pozostałych maneli i popędził schodami w dół. Zakręt, jeszcze jeden zakręt… Ściany mknęły z zawrotną prędkością. Przeskakując po kilka stopni naraz, chłopiec ryzykował, że skręci kark, ale biegł dalej. W końcu zza zakrętu ukazały się drzwi. Gleb popchnął je, wyskoczył na zewnątrz, starając się nie stracić orientacji.

Pobiegł nabrzeżem, ślizgając się po kamieniach. Stalker strzelał bez ustanku, ale Glebowi zdawało się, że za plecami, teraz już całkiem blisko, słyszy chrapliwe oddechy prześladowców i ich niecierpliwe krzyki. Jego ciałem wstrząsnął niekontrolowany dreszcz. Opadając z sił, chłopiec przebiegł po przybrzeżnym głazie i wpadł do wody, wzbijając fontannę lodowatych bryzgów. Do kutra miał tyle co nic.

Ostatnie kilka metrów do zardzewiałej burty trzeba było przepłynąć. Gleb nie zdążył się przestraszyć. Po prostu zaczął młócić

wodę rękami i nogami, rozpaczliwie starając się dociągnąć do drabinki sznurowej. Silna ręka wyrwała go z wody w chwili, gdy jego umysł jakby się ocknął i zaczął panikować. Chłopiec przewalił się przez reling i już chciał objąć stalkera, jednak Taran wspiął się po drabince i popchnął go w stronę sterówki.

– Do steru! Szybko!

Dopiero teraz Gleb dostrzegł na piersi opiekuna pociemniały od krwi opatrunek. Stalker schylił się niezgrabnie i podniósł z pokładu karabin.

– Nie stój tak, kurna! Wyprowadzaj kuter na otwarte wody!

Chłopiec wskoczył do kabiny. Kadłub statku lekko drżał. Stary silnik, krztusząc się, pracował na jałowym biegu. Gleb dobiegł do steru i utkwił otępiały wzrok w panelu kontrolnym. Dźwignie, przyciski, gałki… Złapał się za głowę i w panice przerzucał wzrok z jednego przyrządu na drugi, nie wiedząc, od czego ma zacząć…

– Czarna dźwignia! Naciśnij ją!

Chłopiec chwycił rączkę, popchnął dźwignię. Motor zawył, łajba drgnęła i ruszyła naprzód. Gleb wczepił się w koło sterowe i westchnął z ulgą. Uciekli! Żyją! Tylko coś, nie wiedzieć czemu, nie słychać już więcej wystrzałów… Chłopiec niespokojnie wyjrzał przez iluminator: opiekun miotał się po pokładzie, walcząc jednocześnie z kilkoma kanibalami, którzy zdążyli wskoczyć na odbijający kuter. Wymachując długimi tasakami i łańcuchami, wyrodki napierały na rannego stalkera ściskającego w ręku nóż desantowy.

Gleb gorączkowo wyciągnął piernacza, ładując ostatni, przeznaczony dla siebie magazynek. Ułamek sekundy później wyskoczył na zewnątrz. Zagrzmiały rytmiczne wystrzały. Trzech udało mu się położyć. Kolejnego Taran nabił na nóż, gwałtownym ruchem wpychając go w brzuch przeciwnika. Ostatni z prześladowców dopadł do burty i ze straszliwym krzykiem rzucił się do wody.

Gleb przyskoczył do stalkera, podstawił mu ramię, pomógł dokuśtykać do ławki. Chłopiec co chwila popatrywał ukradkiem na

Tarana, jakby nie wierząc w jego nieoczekiwany powrót z zaświatów.

Wtem kadłub przestał wibrować, silnik zgasł.

– To nic, jesteśmy daleko od brzegu. Już nas nie dosięgną – powiedział uspokajająco Taran. – Teraz trochę odsapniemy i zobaczymy, co jeszcze można wycisnąć z tej łajby…

Szarpanina ze zmurszałymi maszynami w pokrytym rdzą wnętrzu kutra wydała się Glebowi najcudowniejszym sposobem spędzania czasu na świecie, a to dlatego, że jego opiekun znów był obok. Opowiadając do zachłyśnięcia o ostatnich wydarzeniach, chłopiec pochwalił się głównym trofeum – modlitewnikiem. Taran odniósł się do jego znaleziska chłodno i pogardliwie popatrzył na zatłuszczony tomik. Chłopiec wzruszył ramionami i postanowił sam zajrzeć do świętej księgi sekciarza z dumnym, jaskrawym napisem „DROGA EXODUSU", jednak po przewróceniu okładki ze zdziwieniem przeczytał: „LOCJA MORZA BAŁTYCKIEGO". Dalej następowały mapy upstrzone niezrozumiałymi symbolami i przesycony morską terminologią tekst, który nijak nie wiązał się z naukami Exodusu.

No jasne. Tutaj też kłamstwo. Cała historia z Exodusem to jedno wielkie zmyślenie.

Gleb chciał to obgadać z Taranem, ale zdał sobie sprawę, że ten ma co innego na głowie. Krzywiąc się z bólu, stalker grzebał w silniku. Przesiąknięty na wskroś opatrunek zsunął się, obnażając świeżą, krwawiącą ranę na piersi.

– Daj, przewiążę cię. – Chłopiec otworzył opakowanie pociemniałych od upływu czasu bandaży.

Niezbyt umiejętnie, ale z wielką gorliwością Gleb opatrzył ranę i założył bandaż.

– Kto ci to zrobił? Opowiesz, co się z tobą działo?

– A co tu opowiadać? W sumie nic specjalnego… Porządnie mnie wtedy wzięło – niechętnie mruknął Taran, dalej naprawiając statek. – Ocknąłem się, kiedy jeden z tych psycholi zaczął mnie szarpać. Znaczy sprawdzał, czy żyję, czy jak. Tylko że ja nie lubię, jak ktoś mnie szturcha nożem. Odpowiedziałem mu. Wtedy nadbiegli inni.

Musiałem wycofać się do miasta. Kiedy się ostrzeliwałem, zauważyłem, jak zaczęli oprawiać swojego towarzysza, od razu tam, na przystani… Nieludzie… A tak w ogóle, to nieźle się w tym Kronsztadzie urządzili. Do tej pory się dziwię, jak my ich przegapiliśmy, kiedy szliśmy z oddziałem…

– A widziałeś nadajnik? – zapytał Gleb niecierpliwie.

Taran zamyślił się, pokręcił głową.

– Niczego takiego nie zauważyłem. Za to znalazłem agregat dieslowski. I jakieś dziady się wokół niego tłoczą, z chciwymi, złymi oczami… Jak zrozumiałem, ładowali tam akumulatory, widocznie do latarni. Diabelskie plemię…

– Starszyzna! – domyślił się chłopiec.

– No nic. Starczy im tego pasienia się. Załatwiłem tych dziadów. I diesla im spaliłem za jednym zamachem… Miejscowym braciszkom się to oczywiście nie spodobało. Gonili za mną prawie przez pół miasta. Napatrzyłem się na tych wyrodków do obrzydzenia… Wszyscy brudni, szkaradni… Z jakimiś naroślami… Tak sobie pomyślałem, że życie na powierzchni z promieniowaniem to nie kaszka z mlekiem. Z radiacją lepiej nie żartować.

Potem zauważyłem kuter w przystani. Kiedy się przebijałem i zdejmowałem strażników, zobaczyłem ogień na latarni. Ładnie gnojek leciał! Skąd miałem wiedzieć, że to zamieszanie to twoja sprawka? Jak cię zauważyłem, myślałem najpierw, że mi się przywidziało. A tu popatrz, co się okazało… Zuch z ciebie, Gleb. Może i nie zdechniesz! – Taran szeroko wyszczerzył zęby i zmierzwił chłopcu włosy.

Gleb uśmiechnął się w odpowiedzi, ciesząc się z niezdarnej pochwały opiekuna. Teraz wszystko będzie dobrze… Nie miał wątpliwości, że dotrą do domu. We dwóch można góry przenosić… A już do metra, i to takim środkiem transportu, to na pewno! Tylko żeby odpalić tego zardzewiałego potwora…

Jakby słysząc nieme błagania, „zardzewiały potwór” drgnął, kaszlnął i zaryczał z wysiłkiem. Wędrowcy poczuli, jak stateczek

zachwiał się i ruszył naprzód.

– Jest! – Chłopiec podniósł ręce w geście triumfu. – Jazda do domu!

W następnej chwili rozległ się ogłuszający łoskot. Coś z metalicznym zgrzytem zabębniło w burtę kutra. Kadłub zadrżał od potężnych uderzeń. W ścianie ładowni powstało kilka otworów.

Taran zwalił ucznia z nóg, przykrywając go własnym ciałem. Jak tylko odgłosy wystrzałów ucichły, stalker pociągnął Gleba na górę. Od strony Portu Węglowego dał się słyszeć ryk motoru. Zza skraju mola ukazała się sylwetka holownika. Kopcąc siwym dymem, idący pełną parą statek starał się przeciąć im drogę. Na dziobie łajby wyraźnie odcinał się kształt groźnego długolufowego działka.

– Ożeż w mordę… Mają MTPU* na pokładzie! Spadajmy!

Taran pomknął wzdłuż burty, podniósł karabin snajperski i położył się na rufie. Chłopiec czmychnął do sterówki, dał całą naprzód, obracając ster. Kuter ledwo zauważalnie przechylił się i, nabierając prędkości, wszedł w skręt. Wodę przy burcie przeszyła seria wielkokalibrowych pocisków, pozostawiając na spienionej powierzchni pióropusze eksplozji. Kolejna trafiła grzywacze fal za rufą statku. Taran strzelał z karabinu, celując w postacie kanibali przy cekaemie. Gleb rozpaczliwie walczył ze sterem, wyciskając z kutra wszystko, do czego był zdolny wątły stateczek.

Żeby nie trafić pod grad pocisków, trzeba było ostro skręcić w prawo. Kanibale podążyli w ślad za nimi, odcinając im drogę do Pitera. Obok przesuwały się znajome kontury nabrzeża. Minęli Port Pietrowski i odpływali coraz dalej. Za nimi został Port Kupiecki, Kabotażowy, a pościg wciąż trwał.

Na razie im się udawało. Parę razy przeciwpancerne pociski przeszyły słaby metal przegród statku, nie trafiając w żaden ważny element. Holownik ścigających był chyba w nie lepszym stanie – dymił jak parowóz, ale doganiał ich, choć nadzwyczaj powoli. Przed nimi zamajaczył przepust. Ciężko sapiąc, łajba zbliżała się do grobli.

Gleb od razu poznał pierścienie gigantycznych pontonowych przegród. Gdzieś tam, w tunelu, stracili Legitkę…

Strzały z holownika rozlegały się coraz rzadziej. Potem w ogóle ucichły. Wkrótce w wejściu do sterówki pokazał się Taran.

– Amunicja im się kończy. Oszczędzają, psubraty. Teraz będą czekać.

– Na co?

– Aż nas dogonią, a na co innego?

– A kiedy to się stanie? – Chłopiec popatrzył z niepokojem na opiekuna.

– Nie pękaj. Może wachy im nie starczy. My mamy prawie pełny bak.

– A jeśli…

– Więc kiedy przyjdzie to „jeśli", to wtedy będziemy się martwić – przerwał stalker.

•••

Wyspa Kotlin została daleko za nimi. Stalker oznajmił, że według jego kalkulacji opuszczają już Zatokę Fińską. Przed nimi rozpościerała się bezbrzeżna tafla Morza Bałtyckiego.

Kanibale uparcie majaczyli za rufą. Teraz jednak ich holownik był znacznie bliżej. Taran nieustannie obserwował ruch na pokładzie nieprzyjacielskiego statku, starając się nie przegapić tego momentu, kiedy podejmą nowy atak.

– Naprawdę tak im dopiekliśmy? – zapytał z rozpaczą Gleb.

– Nie w tym rzecz. Po prostu jeśli rozgłosimy, czym jest Exodus, to koniec z nimi. Nikt już nie będzie się pchał do Kronsztadu i pozdychają z głodu.

– To co zrobimy?

– Będziemy płynąć dalej. Spróbujemy skręcić trochę w lewo, do Zatoki Koporskiej. Jeśli im się urwiemy, pójdziemy piechotą od Sosnowego Boru.

W pewnej chwili Glebowi wydało się, że jednak uda im się zgubić „ogon". Lecz statek ścigających nagle zadymił mocniej i ostro przyspieszył.

Z holownika dobiegły triumfalne okrzyki.

– Zdaje się, że uruchomili jednak drugą śrubę. – Taran zamyślił się na sekundę, potem podjął widocznie decyzję i odwrócił się do chłopca. – Dawaj pistolet. I przygotuj się, zaraz będzie gorąco.

– Ale dlaczego nie strzelasz? Przecież jest karabin?

– Marne kilka nabojów. Jeszcze trochę i zrobią z nas siekane. Tak więc będziemy improwizować. – Taran znów wybiegł na pokład.

Gleb kurczowo uczepił się steru, starał się wziąć w garść. Po chwili odezwał się karabin stalkera – kanibale podeszli do stanowiska cekaemu. Dwóch udało się zdjąć, ale trzeci przedostał się jednak do działka i otworzył huraganowy ogień do kutra. Taran padł na pokład, osłaniając głowę. Chłopiec skulił się na podłodze w sterówce. To było istne piekło. Pociski przeciwpancerne przecinały żelazo poszycia jak papier. Odpryski szalunków leciały na wszystkie strony. Cała rufa w kilka sekund została rozerwana na strzępy. Jakimś cudem stalkerowi udało się odczołgać na dziób statku, tym samym unikając śmierci. Woda trysnęła do ładowni, podziurawiony jak rzeszoto kuter zaczął się przechylać.

– CAŁA WSTECZ! – ryknął Taran.

Gleb podniósł się, chwytając za dźwignię. Kuter zawył, zatrząsł się, szybko tracąc prędkość. Chłopiec nie utrzymał równowagi i boleśnie uderzył zębami w panel sterowania. Stalker zerwał się na nogi, podniósł karabin i szybko wycelował. Huknął strzał. Mordercza broń mocno kopnęła go w ramię. Kanibala w kabinie holownika odrzuciło od steru. W piersi ziała mu dziura.

Pozostali na pokładzie zaczęli ostrzegawczo wrzeszczeć, ale sternik ich już nie słyszał. Holownik płynął pełną parą na statek uciekinierów. Taran porzucił karabin, ścisnął w dłoni piernacz i ruszył po pokładzie. Podniósł pistolet, wystrzelił prawie bez celowania. Kanibal stojący przy MTPU runął z przestrzeloną głową. A potem

holownik z ogłuszającym zgrzytem wbił się w rufę poszarpanego kutra. W chwili uderzenia Taran, który nabrał już prędkości, mocno odbił się od pokładu i przeskoczył na statek ścigających. Pokoziołkował po pokładzie i ślizgał się dalej na plecach, z pozycji leżącej zdejmując najbliższych kanibali.

Dookoła słychać było straszny trzask pękających przegród. Oba statki zatrzęsły się w agonii, woda błyskawicznie wlewała się przez przerażające dziury w rufie kutra. Ślizgając się na mokrym metalu, Taran wywalił resztkę magazynka w obszarpańców, którzy wyskoczyli z ładowni. W ostatniego kanibala poleciał nóż. Jednak, pomimo pokaźnych rozmiarów, napastnik okazał się zwinny i zdążył się uchylić. Ostrze brzęknęło o reling i nóż zniknął w wodzie. Kanibal z rykiem rzucił się na przeciwnika, zamachnąwszy się ogromnym ościeniem. Taran uskoczył w bok. Od potężnego uderzenia poszycie pokładu pękło, ostry hak przebił żelazo niebezpiecznie blisko jego głowy. W tym samym momencie stalker wyprostował się jak sprężyna i uderzył zwalistego kanibala po nogach. Podcięcie się udało, opasły drab runął na mokry pokład. Podnieśli się niemal jednocześnie i z rykiem rzucili na siebie. Taran zanurkował pod grubymi rękami przeciwnika, znalazł się za jego plecami i zacisnął mu ramię na szyi. Ten zaczął się rzucać, tarzać po pokładzie, ale stalker wczepił się w niego śmiertelnym chwytem i nie puszczał. Po jakimś czasie konające ciało znieruchomiało. Stalker odepchnął martwego kanibala, powoli stanął na nogi i obrzucił usiany trupami pokład uważnym spojrzeniem.

Chłopiec nabrał tchu. Przez cały ten czas, znieruchomiały, śledził zaciekłą walkę opiekuna, nie ważąc się porzucić steru kutra. Czując, że łajba zaczyna tonąć, wyskoczył na zewnątrz, chwytając się framugi drzwi. Kuter przeżywał swoje ostatnie chwile. Większa część rufy skryła się już pod wodą. Chłopiec zjechał wzdłuż burty i wgramolił się na pokład nieprzyjacielskiego holownika.

Pomimo zderzenia, statek wciąż jeszcze trzymał się na wodzie, choć zgasł mu silnik. W burtach holownika widniały długie, nierówne

szczeliny. Gdzieniegdzie poszycie rozeszło się w spojeniach.

– Długo nie pociągniemy – orzekł Taran, spychając trupy do wody. – Duży przeciek. Szukaj kamizelek ratunkowych… no albo czegokolwiek, co unosi się na wodzie!

Chłopiec rzucił się do ładowni, gorączkowo rozrzucając na boki stare szmaty, zawilgotniałe liny i inne rupiecie. Jak na złość, nic sensownego nie napotkał. Dno ładowni pokrywała już woda. Gdzieś przy kilu tryskała istna fontanna. Gleb po raz ostatni obrzucił ładownię spojrzeniem i wyszedł na pokład.

– Pusto! – W jego oczach widać było rozpacz.

Taran zaklął:

– To koryto już nigdzie nie popłynie. Silnik zalało.

Zapanowała cisza. Stali w milczeniu, obserwując znikający pod wodą kuter. Obaj zdawali sobie sprawę, że ten sam los czeka wkrótce i drugą łajbę.

– Umrzemy? – zapytał w końcu Gleb.

Nie liczył na słowa pociechy, ale mimo to strasznie chciał je usłyszeć.

– Oczywiście, że umrzemy. – Taran zabrał się do ściągania kamizelki kuloodpornej. – Kiedyś. Ale nie teraz. Zdejmuj buty i ciuchy.

Gleb chciałby wierzyć w słowa opiekuna, ale sytuacja była beznadziejna. Nie było gdzie się podziać. I nie dało się już niczego wymyślić. Chłopiec ściągnął wzmocniony kombinezon i buty, potem schował pod koszulą szczelnie zawiniętą torebkę z tym, co niezbędne. Wsunął tam też naklejkę z Władywostokiem, zerwaną z talerza. Metal pod nogami nieprzyjemnie chłodził mu gołe stopy. Taran położył na pokładzie niepotrzebny karabin – nie było już żadnych naboi.

Chłopiec z żalem spojrzał na swojego piernacza i umieścił go obok. Nie chciał się z nim rozstawać, ale tam, dokąd w krótkim czasie mieli się udać, nie był potrzebny.

– Załóż to. – Stalker rzucił uczniowi płetwy, znalezione na pokładzie.

– Po co to?

– Pomogą ci utrzymać się na wodzie.

Wleźli na dach sterówki i usiedli na skraju, zwieszając nogi. Poprzez mgiełkę wciąż jeszcze przebijało się dalekie, blade światło.

– Co teraz z nimi będzie? – Chłopiec kiwnął w stronę latarni morskiej.

– Pozagryzają się nawzajem i tyle. Jeśli, oczywiście, wcześniej nie wykończy ich promieniowanie…

Gleb wpatrywał się w równą linię horyzontu, starając się zapamiętać świat zewnętrzny właśnie takim – spokojnym, ponurym i majestatycznym. Mgła tymczasem gęstniała, tak że poza obrysem powoli idącego pod wodę pokładu wkrótce trudno było cokolwiek rozpoznać. Mleczna zasłona zasnuła wszystko dookoła. Gdyby nie szum morza, przypominający o realności tego, co się działo, Gleb uznałby, że to kolejny sen. Tyle że teraz wszystko to działo się naprawdę. I czekające na nich fale szumiały tuż obok.

– Dlaczego wybrałeś właśnie mnie? – zapytał nagle chłopiec. Pytanie, które dręczyło go przez dłuższy czas, samo mu się wyrwało.

Opiekun westchnął, pogłaskał chłopaka po głowie, powoli, jakby dobierając słowa, powiedział:

– Dlatego że jesteś taki jak ja… Tylko, w odróżnieniu ode mnie, nie oduczyłeś się jeszcze nadziei… To bardzo rzadka cecha w naszych czasach.

– Jak ty się w końcu nazywasz? – Chłopiec spojrzał w oczy opiekunowi.

Stalker ledwo zauważalnie drgnął, znieruchomiał na moment i całkiem niespodziewanie odwrócił wzrok.

– Gleb Taranow.

Chłopiec zamarł w zakłopotaniu, wpatrując się w biały całun mgły za burtą. Zamyślił się… I tak siedzieli razem, znajdując się w jakimś

nierealnym świecie, pełnym ciszy i spokoju, póki woda nie podniosła się do samego dachu.

Gleb wstał i instynktownie chwycił się opiekuna. Morska bryza oblewała ich słonymi bryzgami, fale niecierpliwie rzucały się na holownik, jak gdyby konkurując, która pierwsza dobierze się do dwóch ledwo zauważalnych ludzkich figurek, z woli losu pogrążających się w bezgranicznym morskim przestworze.

Jeszcze chwila i kolejna fala zalała wierzchołek chwiejnej konstrukcji. Nogi zjechały im z pochyłego dachu i stalker z chłopcem znaleźli się w otrzeźwiająco zimnej wodzie. Kuter poszedł na dno i tylko skupisko baniek, które wypłynęły na powierzchnię, wskazywało miejsce jego zatonięcia.

Świat się wywrócił. Przed oczami zamigotały im na przemian dwa żywioły – powietrze i woda. Nieprzenikniona mgła i podwodny półmrok. Biel i czerń. Zaskoczony Gleb stracił głowę i od razu w pierwszych sekundach nałykał się wody. Zaczął kaszleć.

– Nie szarp się! Pracuj nogami! – Opiekun przytrzymywał chłopca, nie pozwalając mu pójść na dno. – Ruszaj się, ruszaj!

Chłopiec zaczął gorączkowo machać rękami i nogami i dość szybko poczuł zmęczenie.

– Nie szarp się! Spokojnie, mówię! O, tak.

Gleb stopniowo przywykł do wiosłowania płetwami i teraz nerwowo obracał głowę. Wzrok natykał się wszędzie na ten sam obraz – fale i biaława mgła. Jedynie głowa opiekuna majaczyła obok niego. Wzrok miał, co ciekawe, spokojny. Zbyt spokojny… Raczej zrezygnowany. Gleb ze zdwojoną energią zaczął machać nogami w wodzie.

Chłód przenikał go do szpiku kości. Zęby dzwoniły. Kończyny były jak z ołowiu. Mimo pomocy stalkera utrzymywanie się na powierzchni stawało się coraz trudniejsze. Nie było wyjścia.

– Nie chcę! – Gleb spanikował. Łzy same pociekły mu z oczu.

Stalker pociągnął chłopca do siebie za plecy, zmuszając, by złapał go rękami za szyję.

– Niedługo nastąpi wychłodzenie organizmu i nie będę już mógł ci w niczym pomóc… Ale zanim to się stanie, obiecuję, że nie umrzesz w męczarniach.

Chłopiec bezgłośnie zaszlochał, wpatrując się w tył głowy stalkera. Nie wątpił, że opiekun zna tysiąc sposobów zadania szybkiej śmierci. I, jakkolwiek absurdalnie by to zabrzmiało, czuł wobec niego głęboką wdzięczność.

Minął jakiś czas. Pięć minut, dziesięć? Gleb nie wiedział. Poczucie czasu zniknęło. Wszystko jakby stanęło w miejscu. W pewnej chwili chłopiec poczuł nagle, jak ciałem Tarana targnęło, gwałtownie pociągając go pod wodę. Gleb zdążył złapać stalkera za włosy i, wściekle pracując nogami, wyciągnął go na powierzchnię. Oczy opiekuna zapadły się, a na wykrzywionej twarzy zastygł grymas bólu. Kolejny atak… Chłopiec nie pamiętał, jak na oślep walczył z zapięciem kieszeni, jak wstrzyknął surowicę, jak, całkowicie opadając z sił, utrzymywał na falach ciężkie ciało stalkera. Rozpacz czarną zasłoną wypełniła mu umysł i tylko jakiś niedziecięcy upór sprawiał, że ruszał się jeszcze i jeszcze. Nie może stracić Tarana po raz drugi. Tylko nie to!

– Trzymaj się! Trzymaj się, tato! Proszę cię!

* MTPU – morski obrotowy karabin maszynowy kalibru 14,5 mm (przyp. autora).

Rozdział 20: PO TAMTEJ STRONIE ŚWIATŁA

Woda była wszędzie. Gdziekolwiek spojrzeć, wokół tylko woda. Fale lodowatej, paraliżującej wody napływały jedna za drugą, zalewając go całego. Praktycznie nie czuł nóg. Całe jego ciało ogarnęła straszna ociężałość, a usta rozwierały się bezgłośnie jak u ryby, zamiast zbawczego powietrza połykając kolejne porcje wody. Ciężkie ze zmęczenia ręce ostatni raz wypchnęły ciało na powierzchnię, ale nowa fala zdradziecko spadła na niego zza pleców i przebijające się przez warstwę wody światło zaczęło przygasać…

Światło? Jasny snop światła. Latarnia? Nie. Coś innego. A potem nieco z boku – drugie źródło światła. I jeszcze jedno. Teraz już całą powierzchnię wody zalewały oślepiająco białe smugi.

„Do światła idę…”

Gleb szarpnął się, zaczął się rzucać niczym ranne zwierzę, jego usta otwierały się w niemym krzyku, a ręce rozpaczliwie wyciągnęły się w stronę powierzchni. Coś ciemnego poruszyło się obok niego, potem mocno złapało za rękę, wyciągając ciało na powierzchnię, do życiodajnego powietrza. Chłopiec histerycznie kasłał, plując słoną wodą. Kasłał i chrypiał, nie mogąc nabrać powietrza. Kłucie w piersi nieco łagodniało. Mętnym wzrokiem dostrzegł obok bladą twarz Tarana. Stalker śmiał się. Po raz pierwszy, odkąd chłopiec pamiętał. A prosto za nim, poprzez mgłę powoli ukazywała się gigantyczna konstrukcja obwieszona jasnymi światłami.

Potężne reflektory omiatały swym światłem wodę, na licznych pokładach stali ludzie. Dużo ludzi. Zdawało się, że była nimi wypełniona cała przestrzeń olbrzymiego statku.

– To ona? Arka? – zapytał ochryple chłopiec.

– Bardziej przypomina pływającą platformę wiertniczą! – odezwał się Taran, plując wodą. – Ale niech będzie Arka! Nie mam nic przeciwko!

To, co było dalej, słabo utkwiło w pamięci Gleba. Tylko oddzielne fragmenty, niczym kadry fotoreportażu, przemykały mu przed oczami. Tu opiekun chwyta koło ratunkowe, przyciąga je bliżej chłopca… Tu czyjeś ręce wciągają go na śliski trap… Niosą go okutanego w gruby flanelowy koc długim korytarzem, a obok niego przepływają rozlewające ciepłe światło plafony na ścianach… Tu wnoszą go do wypucowanego do białości pomieszczenia, wypełnionego zapachem lekarstw… Potem siły ostatecznie mu się wyczerpały, w oczach gwałtownie pociemniało. Wykończony umysł wyłączył się.

•••

Rodzice stali tuż obok niego. Zdawało się, że można wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Oboje uśmiechali się przytuleni i nieustannie na niego patrzyli. Z promiennych oczu matki toczyły się wielkie łzy. Łzy radości. Gleb próbował się odezwać, ale słowa uwięzły mu w gardle. Były zbędne. To, co można było wyczytać w kochających spojrzeniach rodziców, nie wymagało wyjaśnień. Nagle zrobiło mu się lekko i spokojnie na duszy. Tak bywało, kiedy wszyscy razem siedzieli wieczorami przy ognisku na Moskiewskiej i wpatrywali się w ogień. Takie momenty były szczególnie cenne i chciało się je przeżywać wciąż od nowa… Ale nic nie może trwać wiecznie. Powoli podnosząc ręce w pożegnalnym geście, drogie sercu sylwetki zaczęły topnieć. Chłopiec pomachał im w odpowiedzi, uświadamiając sobie ze smutkiem, że więcej ich nie zobaczy…

•••

– Niech ktoś przyniesie jeszcze spirytusu! Rozcieraj mocniej, Roine! Gdzie jest w końcu ten termofor?!

Ktoś strasznie rozgniewany klął soczyście półgłosem. Skóra swędziała. Po ciele rozlewało się przyjemne, otępiające ciepło. Zlepione powieki zadrżały, Gleb otworzył oczy.

– Zdaje się, że przyszedł do siebie…

Nad głową zawisła opasła sylwetka człowieka w czapce z włóczki i z kusą, rudą bródką. Nie udało się porządnie przyjrzeć nieznajomemu, bo czyjaś ręka bezceremonialnie go odepchnęła. W oczach tymczasem stopniowo mu się rozjaśniało. Chłopiec rozejrzał się. Leżał w wygodnym łóżku, w przestronnym pomieszczeniu o białych, wyłożonych kafelkami ścianach. Wzrok Gleba zsunął się niżej, z obawą dostrzegając igłę sterczącą mu z ręki. Cienka rurka prowadziła w zwojach do stojaka z kroplówką. Jednak uwagę chłopca przyciągnęło coś innego…

No jasne… Bielizna pościelowa… Stara, oczywiście, ale świeżo wyprana i wyprasowana. Prawie biała. Istne królewskie łoże! O podobnych rzeczach dotąd tylko słyszał. Z jego wygniecionym materacem i dziurawą kołdrą, które zostały na Moskiewskiej, nie wypadało nawet tego porównywać.

Z boku ktoś ostrzegawczo kaszlnął. Chłopiec odwrócił głowę, napotykając spojrzenie niezwykłego staruszka w lekarskim kitlu. Z twarzą pełną zmarszczek, dziadek przypominał trochę Pałycza, jednak wyglądał bez porównania bardziej energicznie i żwawo. Na nosie lekarza usadowiły się wygodnie okulary z cienkimi, metalowymi oprawkami. W zębach tkwił dymiący skręt.

– Bardzo nierozważnie z pańskiej strony, młody człowieku, kąpać się w taki ziąb!

Słowa staruszka były tak niespodziewane, że Gleb zastygł z otwartymi ustami, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. Ale tamten w porę przyszedł mu z pomocą, wyciągając suchą, starczą dłoń.

– Paweł Wsiewołodowicz!

– Pałycz? – wypalił odruchowo chłopiec.

– Dokładnie! Jak pan zgadł? – Doktor, zdziwiony, zamarł z wyciągniętą ręką.

– Eee… Przepraszam, jakoś samo mi się wyrwało. – Chłopiec ścisnął rękę. – Gleb.

– Bardzo, bardzo się cieszę, że pana poznałem! Otczestwo mam, sam pan rozumie, dość długie, dlatego wszyscy tak mnie przezywają… Nawet pan sobie nie wyobraża, jakie to szczęście poznać kogoś z metra! Tyle lat pod ziemią! Zwariować można! Wie pan, mam masę pytań dotyczących fizjologii mieszkańców kolejki podziemnej, ale wcześniej chciałbym wykonać kilka testów…

– Gdzie jest Taran? – przerwał mu chłopiec.

Staruszek uciął w pół słowa, zabawnie spojrzał na pacjenta sponad okularów.

– Ależ proszę się nie denerwować, gołąbeczku! Jeśli chodzi panu o pańskiego ojca, to jest teraz u kierownictwa. – Dziadek wieloznacznie wskazał palcem gdzieś w górę.

– Ojca? – dopytał Gleb.

– No tak… – Staruszek spojrzał na pacjenta nierozumiejącym wzrokiem. – Zrobiłem się oczywiście przygłuchy na jedno ucho, ale nie na tyle, żeby jakoś inaczej zrozumieć zdanie: „Zaopiekujcie się moim synem!”.

– Muszę do niego iść. Natychmiast! – Gleb szarpnięciem podniósł się na łóżku, nogi uwięzły mu w fałdach kołdry. W głowie od razu mu zaszumiało. Igła wyskoczyła z ręki.

Staruszek spróbował usadzić niespokojnego pacjenta na miejscu. Zza parawanu wybiegł na pomoc zwalisty rudobrody facet. Gleb w panice czmychnął z łóżka, poturlał się po podłodze i znieruchomiał w kącie, w biegu przewracając stolik, który stanął mu na drodze. Narzędzia chirurgiczne rozsypały się z brzękiem, tworząc tym samym jeszcze większy zamęt.

– Roine, trzymaj go!

Doktor z asystentem, nienaturalnie się uśmiechając, zbliżali się powoli, ale w rękach chłopca nagle groźnie błysnęło ostrze skalpela, sprawiając, że zatrzymali się w połowie drogi.

– Odsunąć się! Powiedziałem, odsunąć się! – Gleb podniósł rękę ze skalpelem wyżej i wyszczerzył zęby.

Pechowi medycy cofnęli się już pod ścianę, kiedy drzwi do pokoju otworzyły się. W progu stał Taran. Ocenił sytuację, uśmiechnął się półgębkiem i puścił oko do Gleba. Ten rzucił skalpel i pognał w stronę stalkera, człapiąc po plastiku bosymi nogami. Podbiegł blisko, niezgrabnie go objął i zamknął oczy.

– No, będzie tego. – Opiekun lakonicznie poklepał dzieciaka po ramieniu. – Nie lubię tych łzawych, romantycznych scen.

Chłopiec odsunął się ze skruchą, lecz oczy błyszczały mu radośnie.

– Ja… – Myśli szaleńczo wirowały mu w głowie. Miał ochotę powiedzieć mnóstwo różnych rzeczy, wyrazić swoje uczucia, omówić ze stalkerem to, co przeżyli, podzielić się z nim zachwytem, że zyskali drugie życie, tylko od czego by tu zacząć…

– Idziemy! – Taran rzucił Glebowi buty. Odwracając się do Pawła Wsiewołodowicza, powiedział: – Tak w ogóle to jest spokojny, jeśli go nie drażnić… Proszę nie brać sobie tego do serca.

Przeszli przez labirynt korytarzy i schodów i wyszli na galerię, a raczej na długi most, przerzucony między ogromnymi, wysokimi jak domy, metalowymi kratownicami tworzącymi trzy masywne wieże. Niżej, w dolinie między ścianami wielopiętrowych nadbudówek i bloków mieszkalnych, rozpościerał się niewielki placyk, po którym bez ustanku chodzili ludzie. Gleb zdumiał się, jak różni byli mieszkańcy tej stworzonej przez człowieka pływającej wyspy. Wysocy, malutcy, ze skośnymi oczami, czarnowłosi, blondyni, z długimi nosami, a nawet trafiło się kilka przedziwnych indywiduów o skórze czarnej jak smoła!

– No jak, podoba ci się nasza wieża Babel? – Obok pojawił się ten sam rudobrody asystent Pałycza.

– Jaka wieża? – zapytał czujnie chłopiec.

– Jest taka historia – włączył się Taran. – Z Biblii. O tym, jak pewnego razu ludzie przestali rozumieć się nawzajem i zaczęli mówić

różnymi językami. Tak Bóg ukarał ich za to, że postanowili zbudować wieżę sięgającą aż do nieba.

– A tych tutaj za co ukarał?

Brodacz dźwięcznie się roześmiał.

– Ależ rzecz nie w karze! Po prostu tutaj też mówi się różnymi językami. Kogo tu tylko nie ma: i Rosjanie, i Norwegowie, i Szwedzi, i Estończycy… Ja, na przykład, jestem Finem. *À propos*, nazywam się Roine.

– Wiem – odparli jednocześnie Gleb i Taran.

– Ta platforma to najcenniejsza rzecz, jaka jest na Moszcznym.

– Moszcznym? – Chłopiec ożywił się, przenosząc wzrok z opiekuna na Fina i z powrotem.

– Ach tak, przecież ty jeszcze nie wiesz! Wyspa Moszczny. Ta na Bałtyku! Widziałeś kiedyś na mapie?

Chłopiec znów spojrzał na Tarana. Ten przytaknął, kiwając głową.

– Słuchaj, słuchaj. Ja już jestem zorientowany, a ciebie jeszcze czeka zdziwienie.

– Rosjanie mieli tam przed Katastrofą posterunek graniczny i tajną bazę obrony przeciwlotniczej. – Roine okazał się bardzo rozmowny i teraz z przyjemnością wtajemniczał gości w szczegóły. – Podczas ataku wyspa nie ucierpiała. Garnizon ocalał w pełnym składzie. A nieco później nawiązał łączność Kaliningrad. Jeszcze przed wojną wprowadzili tam tę właśnie platformę wiertniczą. Do remontu. Aż z Morza Północnego. I ci, którzy ocaleli, ruszyli na niej na wyspę. Na początku było wiele sygnałów. Ludzie ściągali zewsząd. Z czasem, co prawda, coraz rzadziej…

– To znaczy, że tam, na wyspie, nie ma promieniowania i jest czysta woda? – Słuchając w zachwycie, Gleb ośmielił się przerwać Finowi.

– Oczywiście! Nasza ziemia obiecana!

Gleb aż podskoczył, do bólu zaciskając ręce na relingu. Wyglądało na to, że spełniało się jego najskrytsze marzenie…

– Widzę, że strasznie dobrze zasuwasz po rosyjsku jak na Fina… – zauważył Taran.

– Bo od małego mieszkam na wyspie! Rosyjski to dla mnie drugi język.

– Czyli pracujesz na platformie…

– Właśnie! – zawołał z entuzjazmem Roine. – Ta platforma zapewnia wyspie pożywienie, drwa na opał i paliwo. A to ropy podpompujemy, a to zawiniemy na stały ląd, wyciąć trochę lasu, mało to mamy potrzeb gospodarczych? A wczoraj płyniemy – a tu włączyli reflektor z Kronsztadu. Postanowiliśmy podkraść się bliżej, zbadać sprawę. No, i natknęliśmy się na was. Nawiasem mówiąc, to ja was pierwszy dojrzałem. – Fin uśmiechnął się.

– Do Kronsztadu nie wolno, tam są…

– Ale my już wiemy. Taran nam pokrótce opowiedział. A kierownictwu, jak rozumiem, ze szczegółami? – Roine zerknął na stalkera.

– A dlaczego przez ten cały czas nie przypłynęliście do Pitera? – zapytał Gleb.

– Pływa z prądem, sam wiesz co, a my żeglujemy. – Roine jakoś spochmurniał. – Nie mieliśmy stamtąd żadnych sygnałów. Ani razu przez ten cały czas. Nie chcieliśmy ryzykować. Do tego wpychać się na Zatokę Fińską, nie znając locji, to kompletne samobójstwo. Tym bardziej dla takiego kolosa. Nie mówiąc już o Zatoce Newskiej. Tam to w ogóle są takie mielizny, że…

Gleb nie dosłuchał do końca. W mózgu jakby coś mu się przełączyło. Gdzie już słyszał to słowo…

– Gdzie są moje rzeczy? – zapytał Tarana.

– A tu są, w plecaku. – Stalker podał chłopcu zawiniątko z manatkami.

Gleb zaczął gorączkowo grzebać w kupce ubrań, wyciągając w końcu fałszywą księgę Exodusu. Otworzył ją niecierpliwie.

Fin rzucił ciekawe spojrzenie przez ramię chłopca i nagle znieruchomiał. I dopiero po kilku sekundach zawołał zaskoczony:

– Nie może być! To ona? Locja? Ale skąd?

– Długa historia… – Gleb z udawaną nonszalancją podał książkę Finowi.

Ten żywo przyskoczył do chłopca, oglądając się za siebie.

– Schowaj to! Szybko!

– Ale w czym rzecz? – Gleb wsunął książkę z powrotem do torebki.

– Nawet sobie nie wyobrażacie, jaki macie skarb! – szepnął gorąco Roine. – Lepiej, żebyście o tej książce pogadali z kapitanem. Są w niej bezcenne informacje.

Fin znów rozejrzał się dookoła i zaprowadził ich do kajuty kapitana. Po drodze Gleb wciąż gapił się na boki z otwartymi ze zdziwienia oczami. Platforma roiła się od ludzi niczym gigantyczne mrowisko. Jednak, jeśli się przyjrzeć, we wszystkim, co się działo, dawało się zauważyć ład i ścisłą organizację. Każdy zajmował się swoimi sprawami i zdawało się, że zupełnie nie zwracał uwagi na gości. Mocno zbudowani faceci, klnąc, wsypywali do ładowni świeżo złowione ryby. Kilka kobiet w wytartych waciakach zręcznie naprawiało olinowanie. Nieco dalej, przy ogromnym kotle, operowało czerpakiem grube chłopisko w kucharskiej czapce – miejscowy kuk. Gdzieś na górze rozlegały się rytmiczne uderzenia w coś żelaznego – monterzy pracowali przy windzie.

Przed wejściem do kajuty zatrzymał ich wartownik – surowy młodzieniec z przewieszonym przez pierś karabinem wintoriez. Krótko rozmówił się z Finem, kazał czekać i zniknął za drzwiami.

– Tylko nie sprzedajcie tego zbyt tanio – szepnął Roine. – Targujcie się twardo. Bezpieczna droga do Pitera jest wiele warta!

– Nie jesteśmy przekupami – uciął Taran. – W metrze ludzie mrą jak muchy. Głód, promieniowanie, mutanty… Trzeba ich ratować.

Wtedy drzwi się otworzyły, wędrowcy weszli do kajuty. W środku, jak się okazało, było całkiem przytulnie. Mała kanapa, która wiele już przeżyła, regały z mapami, wielki chronometr na ścianie… Za imponującym biurkiem siedział schludnie ubrany mężczyzna w wieku około sześćdziesięciu lat i w skupieniu zapisywał coś w grubej

księdze rachunkowej. Czapka od munduru i wyprasowany uniform zdradzały w nim kapitana platformy.

Odrywając się na chwilę od papierów, kapitan obrzucił gości szybkim spojrzeniem i wskazał na fotele. Wędrowcy rozsiedli się. Zapanowała cisza.

– No, pokażcie, co tam macie – odezwał się w końcu.

Gleb wyciągnął „Locję Morza Bałtyckiego", położył ją przed kapitanem. Ten spojrzał tępo na okładkę, przerzucił kilka stronic. Uwadze chłopca nie uszło, z jakim zainteresowaniem człowiek w mundurze ogląda upstrzone znaczkami mapy. Kapitan wyjął z papierośnicy skręta, zapalił, podniósł wzrok na gości.

– Czego za to chcecie?

Gleb zerknął z ukosa na Tarana, czekając, aż ten się odezwie. Lecz wszystko wskazywało na to, że opiekun nie spieszył się z odpowiedzią, przyglądając się badawczo rozmówcy.

– Żeby ewakuowano ludzi z metra.

Kapitan milczał przez chwilę. Zaciągnął się, strzepnął popiół, popatrzył przez iluminator. Wypuścił smugę siwego dymu.

– Widzicie, absolutnie nie każdy może trafić na Moszczny; dla wszystkich zwyczajnie nie starczy miejsca. Do tego nie potrzebujemy na wyspie byle kogo. Chorych i starych i tak mamy dosyć. Za to nie odmówimy silnym i zdrowym. Tym bardziej że z tą książką – kiwnął głową na locję – przejście do Pitera staje się realne…

– Ale jak zamierzacie selekcjonować tych… godnych? – spytał z naciskiem na ostatnie słowo Taran.

– Niepotrzebnie tak to traktujecie. Wyspa już od wielu lat utrzymuje się przy życiu tylko dzięki surowej dyscyplinie i ciężkiej pracy wszystkich, słyszycie, wszystkich mieszkańców. Wszyscy u nas pracują, i starzy, i młodzi. A darmozjady i inwalidzi nie są nam potrzebni.

Gleb przypomniał sobie kulawą Natę… Czy wychodzi na to, że droga na wyspę jest przed nią zamknięta?

– Mam znajomą w metrze. – Gleb odważył się odezwać. – Jest w porządku, tylko trochę kuleje.

– To nic strasznego – zapewnił kapitan. – Zrobimy wyjątek.

Chłopiec nieco się uspokoił, zastanawiając się, kto jeszcze z jego znajomych może nie dostać się na wyspę.

– A ty, Taranie, przecież też na coś chorujesz? – zapytał nagle człowiek w mundurze.

Chłopiec nie zdążył przestraszyć się o los opiekuna, gdyż kapitan natychmiast kontynuował:

– Chociaż… Jeśli nie jest to choroba zaraźliwa, to z twoim przesiedleniem nie będzie problemów. Nasza społeczność potrzebuje doświadczonych stalkerów, a ty, jak słyszałem, osiągasz w tym fachu wielkie sukcesy…

– Tyle że ja nie potrzebuję społeczności, która sortuje ludzi. Dziękuję oczywiście za tych, których weźmiecie, ale ja mówię pas.

– Jesteś pewien?

– Jak się wybierzecie do Pitera, nie zapomnijcie mnie podrzucić. I tam się rozejdziemy. Kiedy ruszycie w morze?

– Tak od razu ci nie odpowiem. Wiesz, nie możemy ryzykować jedynej jednostki pływającej bez ważkich powodów. Jeden raz już osiedliśmy na mieliźnie, to wystarczyło, żeby platforma na trzy miesiące wyszła z eksploatacji. Na chybcika takich kwestii się nie rozstrzyga, stalkerze. I nie do mnie to należy. Przed wieczorem przybijemy na wyspę. Sam porozmawiasz z kierownictwem… – Kapitan spojrzał z ukosa na chronometr. – Nie będę was zatrzymywał. Roine, pomożesz gościom się urządzić.

•••

Gadatliwy Fin jeszcze przez dobre półtorej godziny pokazywał atrakcje wieży Babel. Jak się okazało, nie była to po prostu przenośnia ich „przewodnika” – nazwa przyjęła się, chociaż w wersji skróconej. Tak czy inaczej, brzmiało to znacznie lepiej niż nudna „pływająca platforma wiertnicza”.

Kiedy Roine przyprowadził ich do ogromnej sterówki, z głośnika stareńkiego radioodbiornika dochodził akurat nosowy głos dalekiego dyspozytora, monotonnie odczytującego komunikat meteorologiczny. Potem przez szum zakłóceń przebił się jeszcze jeden głos. Jakiś żartowniś zaśpiewał w eterze sprośną piosenkę, co rozwścieczyło dyspozytora.

– Wyspa Mała, znów te wasze dowcipasy! Natychmiast opuścić mi częstotliwość!

Taran leciutko trącił Gleba w bok, że niby ma tu swoje sygnały w Gromie.

– A co, macie tam kilka wysp? – Gleb postanowił uściślić.

– Niedaleko Moszcznego jest jeszcze para. Mniejsze oczywiście. – Roine wywrócił oczy w rozmarzeniu. – Na Małej są takie dziewczyny, aż kręci się w głowie!

Wtem nad platformą głośno zawyła syrena. Przenikliwy, urywany ryk sprawił, że ludzie zaczęli się miotać po pokładach. Chłopiec ze stalkerem wybiegli na zewnątrz. Ktoś przenikliwie wołał przez tubę:

– Alarm powietrzny! Alarm powietrzny!

Paniki nie było. Kobiety szybko pochowały się w ładowniach, faceci rozbiegli się po stanowiskach ogniowych, stając przy wieżyczkach karabinów. Gleb spojrzał w niebo. Tam, zasłaniając wyglądające zza chmur słońce, szybko mknął ogromny cień. Wystarczyło jedno spojrzenie na niekończące się, przypominające ekrany skrzydła, by poznać w nurkującym gigancie starego znajomego.

Zgodnie zagrały, zaszczekały liczne sprzężone cekaemy. Cień na niebie drgnął, spojrzał w dół i, owiewając ludzi silnym podmuchem powietrza, przemknął nad platformą, o mało nie zahaczając o wierzchołki wież wiertniczych. Z ogłuszającym zgrzytem wystrzeliła masywna wyrzutnia harpunów. W ślad za bestią pomknęła długa strzała z szeregiem ostrych haczyków. Zaskrzypiał kołowrót z błyskawicznie rozwijającą się stalową liną. Gigant zachwiał się, wygiął długą szyję, próbując dosięgnąć w locie wbite w brzuch ostrze harpuna.

– Włączaj! – krzyknęli przenikliwie Glebowi nad uchem.

Chłopiec z ciekawością popatrzył w dół. Jakiś człowieczek w waciaku energicznie przyskoczył do budki transformatora i pociągnął za wyłącznik nożowy. W powietrzu zabrzęczało, jęknęło od naporu energii skierowanej do liny. Mutant zaczął się miotać całym swoim ogromnym cielskiem, skulił ogarnięte konwulsjami skrzydła.

Elektryk wyłączył prąd. Stwór jak bezsilny worek spadł do morza… Podziurawione jak sito skrzydła uderzyły o wodę, zalewając ludzi słonymi bryzgami. Cekaemy zaczęły młócić prosto w wijące się w agonii cielsko. Woda przy burcie spieniła się, błyskawicznie różowiejąc. Myśliwi tłoczyli się u skraju dolnego pokładu. W ruch poszły bosaki, sieci, haki.

– Do burty go! Zahaczyć go! Ściągać!

Nad skrajem platformy pokazał się szkaradny łeb giganta. Ludzie jęknęli, zakrzyknęli, pierzchli na boki. Znów zaszczekały sprzężone cekaemy, przeszywając wyszczerzony pysk długimi seriami. Mutant ogłuszająco zaryczał po raz ostatni, zatrząsł się w przedśmiertnych konwulsjach i w końcu padł. Przebita pociskami przeciwpancernymi głowa potwora ciężko runęła na pokład, zgrzytając na koniec zakrwawioną szczęką.

Myśliwi wydali radosny okrzyk, obejmując się i klepiąc nawzajem po plecach. Niczym mrówki, ludzie wynurzali się ze schronów, dołączając do tłumu przy burcie. Wszyscy chcieli popatrzeć na pokonanego drapieżnika. Ekscytacja, dość szybko opadła, ustępując miejsca pracowitej krzątaninie. Ludzie rozeszli się po pokładach, wracając do przerwanych prac i jedynie kilku zostało przy burcie, żeby mocniej przywiązać cielsko martwego giganta do platformy.

– I często wam się to zdarza? – zainteresował się Taran.

– Bywa… – odparł niejasno Fin. – Tylko z każdym rokiem coraz rzadziej. Pokapowały się ptaszki, co im się bardziej opłaca… A wyspę to już od dawna omijają z daleka. Na Moszcznym samych tylko wież

strażniczych jest tyle poutykane, że się nie przebijesz. Cekaemy, miotacze płomieni. Poważna ochrona.

Gleb spróbował wyobrazić sobie całą tę potęgę i mimowolnie zadrżał.

– Tak, udane dziś było polowanie! – Roine obserwował krzątaninę przy burcie. Oczy mu pałały. – Nic nie poradzisz. Człowiek jest panem świata! Takie jest jego przeznaczenie: kruszyć, miażdżyć, konsumować… I w tym fachu nie mamy sobie równych!

Gleb spojrzał z ukosa na rozmówcę.

– A jeśli jednak mamy?

– Co mamy? Sobie równych? – Roine machnął ręką. – Bzdura. To nasz świat. A jeśli jakiś stwór jeszcze tego nie zrozumiał, to nasza broń potrafi przekonywać. Prawo silniejszego, chłopcze. Tak to jest.

– Raz już skorzystaliśmy z prawa silniejszego. – Stalker westchnął. – Może nie warto znów podcinać gałęzi, na której się siedzi?

Fin chciał zaprotestować, ale wtem wezwali go do jakichś pilnych spraw. Brodacz pomachał im ręką na pożegnanie i uciekł.

– Chwalipięta… Chciałbym go zobaczyć z „władcą marionetek”… Albo blokadnikiem… Jeden na jednego. – Chłopca przeszył zimny dreszcz. – Po prostu poszczęściło im się, że ocaleli po Katastrofie i znaleźli skrawek czystej ziemi. Według mnie to trochę mało, żeby nazywać się panami świata…

– Nie bierz sobie tego do serca. Człowiek ma to do siebie, że uważa się za najsilniejszego, i w tym jego słabość.

Taran i Gleb wyszli na górny pokład, sadowiąc się przy samej burcie. Babel, majestatycznie prując taflę wody, szedł całą parą w stronę wyspy. Na horyzoncie ukazały się już nierówne zarysy dalekiego lądu. Z zamarłym sercem chłopiec patrzył przed siebie… Tam, gdzie pośród bezkresnych morskich przestworzy krył się niewielki skrawek lądu, który dał ludziom wybawienie i nadzieję, pożywienie i dach nad głową, nowe życie i wiarę w przyszłość.

Im bliżej Babel był Moszcznego, tym wyraźniej widać było szeregi jedno- i dwupiętrowych domków, z których okien sączyło się ciepłe

światło. Przyjemnie będzie pospacerować po wyspie we dwójkę, jak wyobrażał to sobie w snach. Ale w tym miejscu, nie wiedzieć czemu, jego fantazje za każdym razem się urywały. Nad tym, co będzie dalej, Gleb się nie zastanawiał.

•••

Szum przyboju przyjemnie pieścił uszy. Fale, jedna za drugą, niespiesznie napływały na łagodny, pokryty otoczakami brzeg i równie statecznie ustępowały, pozostawiając za sobą tren gęstej, śnieżnobiałej piany.

Nad pasem przybrzeżnym w milczeniu siedziały dwie samotne postacie. Niebo różowiało tuż przed zbliżającym się świtem. Poranny wiatr lekko przesuwał masy powietrza nad ogromnym obszarem wód. Gleb był zachwycony tym wspaniałym widokiem. Oto już kilka dni z rzędu przychodził z Taranem na brzeg wczesnym rankiem, żeby nie opuścić wschodu słońca.

Tydzień pobytu na wyspie niepostrzeżenie minął. Wszystko tu było osobliwe – śmiech kręcących się wszędzie dzieci, starannie zagospodarowane podwórka, brukowane ulice, klomby z kwiatami, liczne knajpki z drażniącymi apetyt zapachami jedzenia, wieczorne zabawy na centralnym placu, przytulnie oświetlonym i wystrojonym…

Chłopiec westchnął. Spacerując po wyspie we dwójkę, on i Taran, spędzili kilka cudownych, szczęśliwych dni. Jednak teraz, kiedy euforia minęła, Gleb zdał sobie nagle sprawę, że stęsknił się za swoją Moskiewską.

– Tato, i co, będę mieszkał u ciebie, kiedy wrócimy do Pitera?

Stalker ledwie zauważalnie uśmiechnął się, patrząc w dal.

– A co z ziemią obiecaną? Marzyłeś przecież o tym, żeby ją znaleźć?

– Znalazłem. Ale siedzieć na tej wyspie… Nuda! Przecież sam mówisz… bój się bezczynności. – Gleb sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął naklejkę z wizerunkiem dalekiego Władywostoku. Zmrużył oczy, porównał obrazek z panoramą wyspy. – A do tego…

Przecież muszą być też inne nieskażone lądy, gdzie można by przenieść chorych z metra. Albo staruszków.

Stalker nie spieszył się z odpowiedzią. Smutno było rozwiewać iluzje tego przedwcześnie dojrzałego dziecka. Jak mu wyjaśnić, że świat się zmienił? Nie do naprawienia. Że mieć nadzieję na coś lepszego w tej nowej rzeczywistości jest nie tylko głupio, ale i niebezpiecznie? Że ludzkość nie ma już żadnych praw do nietkniętych skrawków tego świata… Przecież człowiek zepsuł już wszystko, co zdołał osiągnąć…

– Wiesz, Gleb, zatruty świat to pół biedy. Znacznie straszniejsze są zatrute dusze. Dlatego nie warto zaczynać od czystych miejsc. Trzeba szukać czystych ludzi. Takich jak ty.

EPILOG

Tunelem sunęła dziwna procesja. Wycieńczeni, byle jak ubrani mężczyźni i kobiety nieśli toboły z prymitywnymi manatkami. Ludzie szli w całkowitym milczeniu i tylko ciche szuranie wielu nóg zakłócało przygniatającą ciszę przejścia między stacjami. Na czele procesji szedł mężczyzna w długiej do ziemi szacie. W jednej ręce niósł pochodnię, wznosząc ją wysoko nad głową. W drugiej trzymał ciężką księgę w wytartej okładce.

Przed nimi zamigotało nierówne światło. Tunel rozwidlał się tutaj, jedna z dróg ostro skręcała w bok. Na rozwidleniu, przy ognisku, plecami do nich siedział mężczyzna w wytartym skafandrze. Wyciągał ręce do ognia. O ścianę był oparty automat. Słysząc kroki, mężczyzna niespiesznie wstał i odwrócił się do wędrowców.

– Dokąd to zmierzacie, jeśli to nie tajemnica?

Procesja zatrzymała się. Człowiek w szacie podniósł głowę.

– Trasą wytyczoną przez skromnego sługę Exodusu. Do Arki. – Sekciarz ruszył dalej.

– Poczekaj no, wikary. Do Arki to nie ten tunel. – Ton mężczyzny zmienił się, w jego głosie pojawiła się groźba.

Sekciarz odwrócił się. Prosto w twarz patrzyła mu lufa automatu. Wierni zgromadzili się nieco dalej, czekając, jak zakończy się rozmowa.

– Prowadzę tych cierpiących do ziemi obiecanej i…

– Do Kronsztadu, tak? – przerwał mężczyzna. – Kapkę się spóźniłeś. Załatwiliśmy już tych twoich „braci”. Okazało się, że to ludożercy. Te owieczki, które im prowadzisz, to zaopatrzenie?

Sekciarz zmienił się na twarzy. Wzrok rozbiegał mu się na boki. Ludzie w kolumnie zaszemrali, zaczęli szeptać między sobą. Mesjasz niespodziewanie rzucił pochodnię na ziemię i pobiegł w stronę

rozwidlenia tuneli. Drogę przeciął mu jednak dwumetrowy gigant z automatem, napierając na niego w milczeniu i popychając w stronę wiernych. Mężczyzna w długiej szacie rzucił modlitewnik na ziemię. Przez tłum, do sekciarza szybko zmierzał młody chłopak. Dzieciak podszedł blisko do kanibala i wycelował w niego lufę obrzyna.

– Módl się, wyrodku. Do swojego Exodusu, czy jeszcze do kogoś. Tutaj zakończysz swoje dni.

– Zaczekaj… – Na ramię chłopaka spadła ręka siwego mężczyzny z bladą pomarszczoną twarzą. – Chciałbym coś wyjaśnić. Nie wiem, co to za wrogość jest między wami, ale kiedy on prowadził nas na statek, tej kobiecie zaginęło dziecko…

Mężczyzna wskazał na przygarbioną postać w tłumie. Wierni podtrzymywali kobietę pod ręce.

– Zupełnie małe. Cztery latka. Myśleliśmy, że stwory je porwały podczas postoju. A teraz…

– Powiedz im. – Chłopiec z obrzynem przeniósł wzrok na sekciarza.

Kanibal, drżąc na całym ciele, skulił się pod mnóstwem badawczych spojrzeń. I nagle, gdy uświadomił sobie beznadziejność swojej sytuacji, histerycznie zachichotał.

– Czego wytrzeszcz gały, staruchu? Zeżarłem go, rozumiesz?! ZEŻARŁEM!!!

Jego śmiech i szalone okrzyki utonęły w ryku tłumu. Wierni błyskawicznie odepchnęli chłopaka na bok i rzucili się na sekciarza, obstąpili go, zbili się w masę…

Po jakimś czasie wszystko było skończone. Ludzka fala ustąpiła, pozostawiając na ziemi rozszarpane ciało.

– Zepsułeś chłopaczka, Taranow! Taki się uparty zrobił… – Gigant podszedł, uśmiechając się dobrodusznie.

– Zapomniałem cię spytać…

– Że co? Przecież prosiłem, mów głośniej!

– Mówię, że twoją kontuzję trzeba leczyć, Giena! Na wieży Babel jest dobry lekarz, nazywa się Pałycz.

– Nie potrzebuję lekarzy… Zresztą, tak jak i tej waszej wieży Babel. W ogóle po tym pamiętnym zdarzeniu do „jednostek pływających” odnoszę się z dużą nieufnością. Utonąłbym z tymi diabłami na grzbiecie… Dziękuję Legitce, świeć Panie nad jego duszą, że rzucił ten granat, odstraszył psubratów. Jak ja potem dotarłem do metra, to sam nie pamiętam.

– Ależ już to opowiadałeś – urwał Taran. – Czyli podjąłeś decyzję?

– Jaką decyzję?

– W kwestii wyspy…

– Nie dla mnie takie życie. Nuda. – Dym skrzywił się.

– Gleb mówi to samo.

– Więc dokąd teraz?

– Dokąd? Mamy taką jedną małą myśl… – Stalker rozłożył mapnik, pokazał palcem. – I drogi nie pomylisz, gdy spojrzysz na słoneczko, i spieszyć będziesz tam, gdzie wstaje…

– Czyli na wschód…

– Na wschód. Do światła.

Dmitry Glukhovsky

EWANGELIA WEDŁUG ARTEMA

W twarz lecą mi białe plastikowe torebki.

Odklejam je od wizjera maski przeciwgazowej i wypuszczam – i torebki, pochwycone przez wiatr, płyną w powietrzu dalej, podobne do meduz.

Prawdziwych zwierząt się tu nie spotyka – ani tych zwyczajnych, ani nawet przystosowanych do radiacji potworów.

W promieniu wielu kilometrów nie ma jednego żywego listka, jednego źdźbła trawy…

Tylko sadza i stopiony metal, zwęglone szczątki i betonowy gruz. Jeśli nawet wiatr przywiewa tu nasiona jakichś roślin, to padając na tę przeklętą ziemię, nie mogą przeżyć i wysychają.

I nawet torebki zatrzymują się tu tylko po to, by odpocząć, a potem pędzą dalej.

Przychodzę tu codziennie i dawno już straciłem rachubę dni, które tu spędziłem.

Ubieram się w ciężki skafander ochronny, zakładam maskę przeciwgazową, biorę broń i wyruszam na górę ruchomymi schodami. Z początku odprowadzali mnie dziwnymi spojrzeniami: były w nich jednocześnie pobłażliwość, podziw i szyderstwo. Teraz wszyscy się przyzwyczaili i przestali zwracać na mnie uwagę. I tak jest mi wygodniej.

Nie wiem, czego szukam wśród tych zgliszczy. Może niczego – mówi się przecież, że mordercy lubią wracać na miejsce zbrodni, bo czy nie o to tu chodzi?

Jedno jest pewne: nie znajdę tu ani przebaczenia, ani nadziei.

Grzebię butem w błocie, trącam kijem nadtopione kawały żelaza.

Zamiast przebaczenia – sadza. Zamiast nadziei – pogorzelisko.

•••

Wyszli powitać mnie jak bohatera. Osmaleni, zakrwawieni, obszarpani. Zszedłem z oszpeconej przez bomby betonowej wieży telewizyjnej, ale oni patrzyli na mnie tak, jakbym zstąpił z niebios.

Miałem ochotę zdechnąć i zerwałem z twarzy maskę przeciwgazową. Wdychałem powietrze – zakazane, zatrute – o którym tak długo marzyłem, żeby go spróbować. I nie czułem jego smaku.

Wlokłem się martwą ulicą w nadziei, że coś mnie pożre, nim dojdę do wejścia. Lecz stwory, które jeszcze niedawno pragnęły mojej krwi, teraz się nią brzydziły.

A kiedy dotarłem do metra, czekał tam już na mnie tłum ludzi.

Wyszli na górę, nie zważając na tabu, zabraniające im na własne oczy oglądać ziemię, którą dla ich dzieci wydarłem demonom. I kiedy zdali sobie sprawę, że bez aparatu oddycham ostygłym powietrzem z powierzchni, niektórzy też zaczęli zdejmować gumowe maski. Zdawało im się, że moje zwycięstwo zwróciło im utracony niegdyś świat. Nie wiedzieli, że przed godziną unicestwiłem ich ostatnią szansę ratunku. A ja nic im o tym nie powiedziałem.

Pośród ludzi, którzy wyszli na powierzchnię, by mnie powitać, była kobieta z dzieckiem. Czyżby nie bała się o maleństwo? Na pewno się bała. Lecz przecież jeszcze kilka godzin wcześniej myślała, że zginie. I wszyscy, którzy wyszli na powierzchnię, wszyscy ci wycieńczeni ludzie byli gotowi na śmierć. Zostali na oblężonej stacji, bo nie mieli dokąd uciec, zostali, żeby bronić jej do samego końca – rychłego i nieuniknionego. Czy dopiero co ułaskawieni skazańcy boją się zachorować? Nie, tacy ludzie nie boją się niczego.

Ci ludzie nie wiedzieli, że karę śmierci zamieniłem im jedynie na dożywotnie więzienie.

Chłopczyk, którego matka trzymała na rękach, też zdjął swoją maskę przeciwgazową domowej roboty i pomachał nią do mnie.

– Artem! Artem! Śnieg!

Z nieba powoli opadały tłuste szare płaty, przyprószając błotnistą brunatną ziemię i spękany czarny asfalt. Nadstawiłem dłoń i roztarłem je palcami.

– Hurra! Śnieg! – wołał wciąż chłopiec.

– To jest popiół – powiedziałem do niego.

…

Jestem tchórzem i dlatego będę bohaterem.

Nigdy nie zdecyduję się, by im powiedzieć, co się tak naprawdę wydarzyło. Jeśli im opowiem, nie uwierzą – albo uznają, że czarni zdołali zawładnąć moim umysłem.

Krążą już o mnie legendy i zdaje się, że jakiś staruszek nawet pisze książkę: chłopiec z peryferyjnej stacji wyruszył na wyprawę przez całe metro, aby uratować swój dom i ludzkość przed demonami, które wtargnęły z powierzchni… Zahartował się w bojach, stał się mężczyzną i zdołał odnaleźć pozostawioną nam przez przodków potężną broń, którą unicestwił złe stwory. Broniąc się, zapuściły swoje macki do jego świadomości, lecz chłopiec wytrzymał tę ostatnią próbę, oparł się ostatniej pokusie – wytrwał i zwyciężył…

Nasze dzieci zapomną, jak się pisze, dzieci ich dzieci nie będą pamiętać liter. Książki o metrze nie będzie miał kto czytać, ale dopóki mieszkający w tunelach jaskiniowcy nie oduczą się mówić, będą przekazywać sobie tę legendę – przy ognisku, obgryzając kości swoich wrogów. W mitach dzikich ludożerców na zawsze już pozostanę bohaterem. To kara za tchórzostwo.

Kiedy pytają mnie, od czego się wszystko zaczęło, mówię im: wszystko zaczęło się tego dnia, kiedy otworzyliśmy hermetyczną gródź na stacji Ogród Botaniczny. My – ja i dwóch moich przyjaciół. Byliśmy dziećmi i nie wiedzieliśmy, co robimy. Tak, złamaliśmy zakaz, ale który chłopiec nie łamie zakazów?

Kto wymyślił, żeby wyprawić się na martwą stację, kto podpuszczał pozostałych? Nie pamiętam, odpowiadam im. Może to Witalik-Maruda, może Żeńka.

Kłamię.

Kłamię z łatwością, bo moich słów nikt już nie sprawdzi: nie ma ani Witalika, ani Żeńki. A nawet gdyby żyli, to kryliby mnie. Tak jak i ja zawsze ich kryłem.

Nie, to wszystko nie zaczęło się wcale w tej chwili, kiedy wielotonowe skrzydła grodzi ruszyły z miejsca i sunąc ze zgrzytem, otworzyły nam wrota do piekła, demonom zaś – bramę do metra.

Był całkiem inny dzień: słoneczny i przejrzysty, ciepły i świeży, pełen niesamowitych i cudownych zapachów, których nie mogę sobie przypomnieć, i wiem tylko, że od tamtej pory nie czułem niczego podobnego.

– Artemka! – mama uśmiechnęła się do mnie. – Jak chcesz to pojedziemy dziś na spacer do Ogrodu Botanicznego. Chcesz?

– Chcę! – zawołałem. – Chcę!

Pamiętam, jak jechaliśmy w niemal pustym wagonie: był weekend. Pamiętam, jak krótkimi schodami ruchomymi wyjeżdżaliśmy na górę. Jak wychodziliśmy z przestronnego szklanego pawilonu na pełną zieleni ulicę. Jak lekkie obłoki płynęły nad moją głową po bezkresnym niebie i jak twarz owiewał mi chłodny wietrzyk.

Przy wyjściu z metra dostrzegliśmy budkę z lodami i stanęliśmy w kolejce.

– Chcesz kulkowe w kubeczku czy „Łakomkę" z czekoladą?

– Kulkowe! „Łakomkę"! W kubeczku!

– Musisz wybrać – powiedziała mama. – Nie można wziąć wszystkiego naraz. I tak masz alergię!

– To zróbmy tak, że ty weźmiesz „Łakomkę", a ja w kubeczku! – wykombinowałem. – I spróbuję trochę od ciebie! A ty ode mnie!

– No dobrze – roześmiała się mama.

Nawet gdybym zjadł obie porcje lodów naraz, nic by mi się nie stało. W moim życiu od tamtej pory prawie nie było już słodyczy.

Potem weszliśmy do Ogrodu i do obiadu spacerowaliśmy wijącymi się szerokimi alejami. Zabłądziliśmy i przypadkiem trafiliśmy do zagubionego w jednym z zacisznych zakątków ogromnego parku japońskiego ogrodu. Sadzawka z liliami wodnymi, kruche mostki przerzucone przez wodę i niezwykłe, pomarańczowe ptaki bezgłośnie pływające po ciemnej tafli…

To zadziwiające, ile z tego wszystkiego pamiętam. Ile zbędnych i niepotrzebnych szczegółów. Nigdy jednak nie umiałem przywołać w pamięci najważniejszego: jej twarzy.

Twarzy mojej mamy.

Nie wiem, kto i dlaczego nie pozwala mi zobaczyć znów jej oczu, jej uśmiechu, jej włosów. Ale nigdy nie mogłem się pogodzić z tym zakazem. I odkąd pamiętam, marzyłem o powrocie do tego dnia – do szumiących alei, do pomarańczowych kaczek, do rozgrzanego asfaltu, na który przez dziury w listowiu spływało słońce. Do mamy.

Lecz świat, którego tak potrzebowałem, zginął bezpowrotnie i pociągnął w niebyt moją matkę. Nie pozostało po nim nic oprócz tego dnia i jeszcze dwóch, trzech niewyraźnych szkiców w mojej pamięci: wieczór w naszym mieszkaniu, przyjemne światło lampy, ciepło…

Gdybym tylko zdołał przypomnieć sobie jej twarz. To, jak na mnie patrzyła. Jak szeptała, żebym niczego się nie bał. Jak do mnie mrugała. Byłem gotów oddać za to duszę. Zawsze tak było. I w końcu oddałem.

Nadszedł Sądny Dzień. Wezwano sprawiedliwych i grzeszników, by odpłacić im podług uczynków. A my ukryliśmy się przed Bogiem w metrze, schroniliśmy się przed jego wzrokiem, a jemu nie chciało się wygrzebywać nas z nor. Potem zajął się innymi sprawami albo umarł i zapomniano o nas, pozostawionych na wyniszczonej, samotnej Ziemi. I pomknęliśmy na niej donikąd.

Ludzkość została spisana na straty, a my dwoje znaleźliśmy się wśród tych, którzy dostali odroczenie wyroku. Ona zbyt krótkie, ja – zbyt długie.

Mamę pożarły szczury. Nie pamiętam tamtego dnia. Ale jeśli oszczędzono mi tego wspomnienia w zamian za pamięć o letnim poranku w Ogrodzie Botanicznym, to jestem gotów zamienić się z powrotem. Słyszycie?

Przygarnął mnie człowiek, który chciał mnie usynowić. Tyle że jakoś nie byłem gotowy, by stać się jego synem. Zbliżyliśmy się, ale

pozostaliśmy sobie obcy. Między nami była moja matka, której nie zdążył ochronić przed hordą szczurów. Z którą nie umiałem zginąć. Nigdy mu niczego nie wypominałem, ale nie potrafiłem też wybaczyć.

Byłem jak ułamana gałąź – przywiązywali mnie do innego drzewa, chcąc mnie przeszczepić, ale nie udawało się; przypalili miejsce złamania, a wszystkie żywe komórki na skraju obumarły. Jak długo byś nie przyciskał, nie zrośnie się.

I tak żyliśmy razem: on był starym kawalerem, a ja sierotą.

Nie widziałem jej twarzy nawet we śnie. Ów dzień z pomarańczowymi kaczkami i lodami ukazywał mi się często, a mama nie. Sylwetka, głos, śmiech… Wystarczy wyciągnąć ręce i wymyka się, rozwiewa, ani jej przytulić, ani zatrzymać.

•••

To ja ich namówiłem, żeby pójść na stację Ogród Botaniczny. Oczywiście, że ja. Bałem się iść sam, zresztą nie zdołałbym tam dotrzeć w pojedynkę: ktoś musiał odwracać uwagę wartowników w północnym tunelu, inaczej capnęliby nas za karki od razu na pierwszym posterunku.

Szedłem tam, żeby wyjść na górę. Nie wiem, co miałem nadzieję ujrzeć na powierzchni; przecież nie ten odległy letni dzień, nie niebo błękitne jak pagony na mundurach lotników, nie działającą wciąż, wbrew wszelkim prawom wszechświata, budkę z lodami, ani nie pląsające na chodniku słoneczne zajączki.

Może gdzieś w środku tego dzieciaka, w środku umorusanej, krótko ostrzyżonej matrioszki z zardzewiałą dwururką w dłoniach, siedziała druga matrioszka – szczęśliwy i z łatwością wierzący w cuda trzyletni chłoptaś umazany lodami. I to on miał nadzieję zobaczyć się tam, na górze, ze swoją mamą, która go zostawiła i za którą bardzo tęsknił. Od tamtej pory jedna za drugą przyrosły mi nowe warstwy, niby słoje drzewa. Dzieciak z dwururką wcisnął się w nieśmiałego, pryszczatego mola książkowego, ten w naiwnego i żądnego przygód

młodzieńca, a teraz oni wszyscy ukrywają się wewnątrz szkaradnej matrioszki pokrytego bliznami i wypalonego człowieka w nieokreślonym wieku. Tego ostatniego kokonu już się ze mnie nie zedrze, nie rozłupie i nie rozbije; teraz taki już jestem. Ale wiem, że gdzieś głęboko w środku, wiele słojów głębiej, wciąż jeszcze skrywa się ten trzyletni chłopiec. Skrywa się i ma nadzieję.

Zaproponowałem chłopakom, że pobawimy się w stalkerów, i to wystarczyło, żeby ze mną poszli.

Na stacji Ogród Botaniczny było czarno i pusto, posadzkę przykrywały pozostałości życia jakichś ludzi: porwane namioty, połamane lalki, stłuczone naczynia… Dookoła buszowały szczury, wgryzając się we wszystko, co mogły strawić. W powietrzu unosił się duszący pył, który pochłaniał wszelkie dźwięki, i pachniało beznadzieją. Myślę, że jeśli istnieje piekło – prawdziwe piekło – to z pewnością wygląda tak, jak wyglądał wtedy Ogród Botaniczny.

Tym, który zaproponował, żeby otworzyć zaporę, też byłem ja. Witalika ta przeklęta stacja zdążyła już porządnie przestraszyć; nawet Żeńka zwątpił, kiedy złapałem za dźwignię. Ale byłem zbyt blisko swojego celu: tamtego dnia, tamtego świata, aby się zatrzymać.

Rzecz jasna teraz wciąż powtarzam, że to Żeńka wymyślił, by wyleźć na górę. Jeśli mi nie wierzycie, spytajcie go sami.

Mechanizm opierał się, ale wciąż działał.

– Za mną!

W rękach miałem dwururkę, Żeńka zaś latarkę.

Aby podejść do górnego westybulu stacji po chwiejnych stopniach porosłych falującym mchem, odwagi starczyło jeszcze wszystkim. Ale potem nasz oddział się podzielił. Witalik ostatecznie nie ośmielił się wyjść na zewnątrz. Żeńka zrobił kilka kroków i zamarł. Mnie nogi poniosły naprzód.

Nocne niebo było czyste i lśniło miriadami gwiazd, ale nie dla niego tu przyszedłem.

A więc po co?

Początkowo niepewnie rozglądałem się na boki, konfrontując na wpół zgniłą, oszpeconą Ziemię ze swoimi mglistymi, pięknymi wspomnieniami i jasnymi snami, jak podczas identyfikacji zwłok znajomego po wypadku. Potem wreszcie wychwyciłem jakieś podobieństwo i żwawo ruszyłem naprzód…

…skręciłem za róg…

Po jednej stronie niczym czaszki wielookich mutantów szczerzyły się porzucone wielorodzinne domy. Po drugiej – pół świata podporządkowała sobie rozrastająca się gęstwina Ogrodu Botanicznego, której wojna nuklearna wyszła tylko na zdrowie. Wiatr unosił białe plastikowe torebki. Podobno trzeba pięciuset lat, żeby się rozłożyły… Nieopodal dało się słyszeć przeszywające wycie, jakby palono kogoś żywcem, ale nie miałem teraz do tego głowy.

– Artem! A ty dokąd?! Artem!

Nawet się nie obejrzałem; Żeńka, mój najwierniejszy przyjaciel, bał się pójść za mną.

…jeszcze sto metrów…

I nagle wpadłem na tę samą budkę z lodami – kiedyś pomalowaną we wszystkie kolory tęczy, potem wypłukaną przez okrutne deszcze i poszarzałą, ledwie widoczną w ciemności nocy. Okna były wybite, wnętrze wypatroszone i zapaskudzone. Skuliła się i zgarbiła, przypominając czarodziejski, wielobarwny sezam z mojego dzieciństwa, nie bardziej niż chory na raka przypomina dawnego siebie.

Dotknąłem jej ręką. Zmrużyłem oczy, usiłując wyobrazić sobie, że mama proponuje mi, bym wybrał jedno – „Łakomkę” albo lody w kubeczku. Wyszeptałem: „Proszę–proszę–proszę!”.

I zdałem sobie sprawę, że jej sobie nie przypomnę. Nawet jeśli ruszę w nieprzebytą gęstwinę Ogrodu, odszukam te same alejki, tamtą sadzawkę, tamte mostki – i przeżyję… Nic z tego nie wyjdzie.

I poczułem się tak samotny jak nigdy wcześniej.

Mimo wszystko wciąż stałem pod porzuconą budką, jakbym zwyczajnie czekał, aż nadejdzie moja kolej, by kupić lody. Chociaż

wiedziałem, że nie nadejdzie nigdy.

Byłem sierotą. Byłem sam na całym świecie.

Widocznie odroczenie wyroku, które otrzymałem, kończyło się właśnie teraz. Niczego nie usłyszałem – te stwory poruszały się zadziwiająco bezszelestnie. Zwierzęcą intuicją, którą wyostrza życie w metrze, wyczułem jednak ich obecność i otworzyłem oczy.

Sfora zdziczałych psów, pokrytych wrzodami i bliznami… Byłem otoczony i przyciśnięty do budki, nie miałem dokąd uciekać, zresztą nie zdążyłbym. Patrząc im w oczy, wiedziałem: ani ich nie przestraszę, ani nie oswoję. W tamtym czasie powierzchnia nie kipiała jeszcze od całego tego chorego i potwornego życia, które rozmnożyło się tam teraz. Psy miały szczęście, że mnie zwęszyły. Teraz musiały jak najszybciej mnie pożreć, zanim głód sprawi, że zaczną przegryzać sobie gardła.

– Strzelaj! – zawołał skądś Żeńka. – Masz przecież strzelbę!

Ocknąłem się, wycelowałem dwururkę w największą bestię i pociągnąłem za spust. Iglica cicho stuknęła. Wystrzału nie było. Szarpnąłem za drugi – niewypał. Widocznie naboje zawilgotniały. Przeładować nie było czym.

Jeden z psów odwrócił się w stronę Żeńki.

– Zmykaj! – krzyknąłem. – Tylko nie biegnij, bo zaatakują cię pierwszego…

I Żeńka zaczął się oddalać – tyłem, nie spuszczając oczu z drapieżników. A ja zostałem i patrzyłem na niego.

– Ja zaraz… Wrócę! Z posiłkami! – wpół krzyczał, wpół mamrotał Żeńka.

Było zupełnie jasne, że nie zdąży przyprowadzić żadnych posiłków. Wiedział to on i ja to wiedziałem. Kiedy prosiłem, żeby sobie poszedł, w głowie kołatała mi myśl: a nuż nie ucieknie? A nuż coś wymyśli? A kiedy mnie jednak posłuchał, zrobiło mi się przykro. Zwierzę, któremu zamierzałem rozwalić łeb pociskiem, zrobiło krok naprzód, zadarło pysk ku gwiazdom i ochryple zawyło. Sfora sunęła w moim kierunku, przylegając do asfaltu, gotując się do skoku.

I wtedy nad ciemnym lasem, nad wypatroszonymi domami, nad całą struchlałą planetą rozległo się nagle wycie, które sprawiło, że miało się ochotę nawet nie tyle uciekać, ile paść twarzą do ziemi i leżeć cicho, szeptem błagając o litość. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszałem.

Jeden z psów rzucił się na mnie w ciszy.

•••

Stali na dole, przy grodzi, i dyskutowali. Nie mieli dość odwagi, by wyjrzeć i upewnić się, czy psy rozszarpały mnie na strzępy, ani nie byli aż tak tchórzliwi, by uciec do swoich rodziców na WOGN-ie. Mieli przecież dokąd uciekać.

– Jak to…? – Żeńka wybałuszył na mnie oczy.

Wzruszyłem ramionami.

– Jak długo mnie nie było?

– Jakieś piętnaście minut… Jak…? Jak ty przed nimi…? Artem…

– Nie pamiętam – znów pokręciłem głową. – Tylko piętnaście minut?

Zdawało mi się, że cała nasza wyprawa, rozpadająca się, pordzewiała budka i polujące psy – że to wszystko zdarzyło się wczoraj. Jakbym przespał całą noc.

– Artem! – powtórzył uparcie Żeńka. – Czemu się uśmiechasz?! Co się stało?!

Nie znałem odpowiedzi. Nie pamiętałem.

Przypomniałem sobie dopiero wiele lat później.

•••

Oczywiście nienawidziłem czarnych. Wszyscy nienawidzą czarnych.

Kiedy szedłem przez swoją macierzystą stację, zachlapaną krwią, usłaną jęczącymi szaleńcami ze związanymi rękami i nogami, myślałem tylko o zemście. Kiedy usłyszałem, że zabili Żeńkę, porzuciłem ostatnie wątpliwości. Chciałem zniszczyć ich matecznik

do szczętu. Wypalić razem z Ogrodem Botanicznym, do którego i tak już nigdy nie uda mi się wrócić.

W legendach, które przekazują sobie teraz z ust do ust różne pleciugi, czarnym przypisuje się absolutnie niewiarygodną siłę i zło. Rozszarpują wartowników gołymi rękami, skręcają im karki, tylko patrzeć, jak zaczną pić ludzką krew. Kłamią, wszyscy kłamią. W rzeczywistości wszystko było znacznie bardziej przerażające.

W rzeczywistości czarni nie zabili ani jednego człowieka. Nawet żadnego nie dotknęli. Wszystkie ofiary zginęły z rąk swoich towarzyszy. A ci przez czarnych po prostu oszaleli. Nikt nie jest w stanie pozostać sobą, kiedy zbliżają się czarni. I nikt nie pamięta, kim był, kiedy czarni znajdowali się obok. Oczywiście kiedy atak szaleństwa się kończy i widzisz przyjaciela z wyrwaną grdyką, najprościej i najlogiczniej jest uznać, że zrobił to czarny potwór. Uznać i uwierzyć.

I tak właśnie było. Tyle że ów potwór wyszedł z ciebie, a kiedy już zrobił swoje, z powrotem się schował. O tym lepiej nie wiedzieć. Wszystkich, którzy zdążyli choćby na sekundę spojrzeć mu w oczy, trzeba było potem zapiąć w kaftan bezpieczeństwa.

Znam tylko jednego człowieka, który próbował się bez niego obejść. Myślał, że kamizelka kuloodporna wystarczająco mocno ściśnie ciało i nie pozwoli, by z człowieka wyrwał się potwór. Wierzył, że szczelny tytanowy hełm przeszkodzi komuś obcemu dostać się do jego głowy…

Ale nie o nim teraz mowa.

Nie ma nikogo, kto na widok czarnych nie odczuwałby wstrętu i przerażenia. Stworzenia te były naszym przeciwieństwem. Zobaczyć czarnego to jak zobaczyć przenicowanego człowieka – z pulsującym czerwonym mięsem i drgającymi narządami na zewnątrz. Nie z powodu ich budowy ciała – trupa czarnego śmiało można dotknąć kijem i kopnąć jego martwą głowę bez obawy, że cię zemdli; tu chodzi o coś innego. O ich żywą obecność. Im bliżej do ciebie podchodzą, tym silniejsza jest odraza i przeszywający strach. Zdaje

ci się, że gdy ów szatański pomiot cię dotknie, to razem z tym dotykiem w twojej duszy – nie w mózgu, a właśnie w duszy – pojawi się jakiś pasożyt, liszaj albo grzyb, i że twoja dusza pokryje się ropiejącymi wrzodami, sczernieje i uschnie, ale nie umrze; wciąż będzie karmić sobą pasożyta – dopóki będzie tego chciał… Chociaż różni ludzie myślą sobie różne rzeczy.

Dlatego nie ma nic bardziej naturalnego i normalnego niż pragnienie unicestwienia każdego z tych koszmarnych stworów: to jedyny sposób, by pozbyć się strachu, który inaczej będzie prześladować cię aż po grób.

I kiedy włożono mi w ręce broń zdolną karać, wyjętą z zetlałych, kościstych palców naszych martwych przodków, wiedziałem, co robić. I zrobiłem to, co należało.

Rakiety potrzebowały mniej niż minutę, żeby pokonać odległość między cudownie ocalałą z ostatniej wojny bazą a cudownie zrodzonym na zrujnowanej planecie nowym gatunkiem inteligentnego życia. Ale była jeszcze jedna minuta – zanim rakietowcy dostali współrzędne celu.

Ta minuta stała się dla mnie wiecznością.

•••

– Nie pamiętam – powiedziałem Żeńce. – Odczep się!

Oczywiście kiedy wróciliśmy do domu, wypytywano nas. Ale milczeliśmy.

Żeńka i Witalik zapomnieli o tym, że namówiłem ich do pójścia na stację Ogród Botaniczny, a ja zapomniałem, że stchórzyli i zostawili mnie samego na powierzchni. Nie pytałem już Żeńki, dlaczego mnie posłuchał i zostawił na pożarcie zdziczałym psom, a on mnie – jakim sposobem im umknąłem. I uparcie milczeliśmy o tym, że uciekając co sił w nogach z Botanicznego, zostawiliśmy otwartą zaporę.

Próbowaliśmy zamknąć ją ręcznie, ale szło bardzo ciężko. Potem powiedziałem: „No dobra, do diabła z nią!”. Witalik i Żeńka spojrzeli na mnie jakoś tak dziwnie – ni to z potępieniem, ni to z

wdzięcznością – i porzucili zardzewiałe żelastwo. Wszyscy zostaliśmy wspólnikami tego przestępstwa, ale to ja powiedziałem: „No dobra!”.

Dlaczego?

Może dlatego, że nie wszystko jednak zapomniałem?

Dlatego że wracały do mnie okruchy tego, co się wydarzyło? Próbowały wydostać się z piwnic świadomości, w których je zamknąłem i więziłem, przenikały do moich snów, pojawiając się w formie nieproszonych i niepojętych skojarzeń, znienacka powstających w mojej głowie…

Nie pozwalałem sobie pamiętać, co się wydarzyło, dlatego że było to bardzo dziwne – i z pewnością zakazane. A kiedy już czarni zaczęli schodzić do metra, przechodząc bez przeszkód przez otwartą przez nas zaporę… To wtedy poczułem się naprawdę nieswojo.

Ten staruszek, który rzekomo pisze o mnie książkę… Dość szczegółowo opowiadałem mu o wielu swoich snach, opisywałem niektóre koszmary. Ale nigdy nie mówiłem mu o wizji, która nawiedzała mnie najczęściej. Może dlatego, że podejrzewałem: to nie był sen.

…Olbrzymi pies rzuca się na mnie, celując żółtymi kłami prosto w moje gardło. Pozostałe gotują się, by skoczyć, gdy tylko przywódca stada zbije mnie z nóg. Za moment umrę. Mój czas dobiegł końca.

I nagle lecące w moim kierunku cielsko flaczeje, wprost w powietrzu, i bezwolnie, niczym worek, zwala się na ziemię o krok ode mnie. Sfora podkula ogony, skomle, czołga się do tyłu… Odwracam się i wzdrygam.

Za swoimi plecami widzę ogromny czarny cień. Ogarnia mnie dzikie, nieopisane przerażenie – ale wtedy mojej głowy dotyka… dłoń?

Sekunda, druga – próbuję się wyrwać, ale długie stalowe palce zbyt mocno chwyciły moją czaszkę. Zdaję sobie sprawę: to koniec.

I nagle ból i strach ustępują, rozpuszczają się jak cukier w herbacie.

Psy uciekają; jeden z nich robi pod siebie, drugi ma konwulsje. Ale mnie to już nie interesuje. Nie próbując już uwolnić się z uścisku, powoli podnoszę wzrok na zadziwiające stworzenie, które trzyma mnie za duszę.

Czarny…

Stoi na dwóch nogach i jest o dwie głowy wyższy od najwyższego dorosłego, jakiego kiedykolwiek widziałem. Jego skóra jest czarniejsza niż mrok w tunelach, a w niemrugających okrągłych oczach nie ma białek. Są jednak znacznie bardziej rozumne niż u wielu szczęśliwych posiadaczy białek i migdałowego wykroju oczu.

Nie ma wątpliwości: to nie jest zwierzę, to nie potwór.

Przede mną stoi człowiek.

I swoimi dziwnymi oczami zagląda wprost w głąb mnie. I widzi wszystko: tamten Ogród Botaniczny, do którego chciałem się dostać, i ten, w którym o mało co się nie znalazłem, kolejkę po lody do jeszcze pełnej życia, kolorowej budki i płynące po niebie lekkie obłoczki, i pomarańczowe kaczki na sadzawce, i moją mamę. Widzi jej śmierć i moją tułaczkę po pustych tunelach, i moją tęsknotę, i moją samotność, i niezdolność do oswojenia się z drugim stworzeniem mojego gatunku.

Przed nim stoi czarny. Śmieszny, mały, nieudany i pokraczny. Idiotycznego koloru. Obcy tu, na tej ziemi, i na całym świecie. Porzucony i nieumiejący nikogo się uchwycić. Sierota.

I lituje się nade mną. Lituje i błogosławi.

Przez ułamek sekundy zamiast jego olbrzymiej, ciemnej sylwetki widzę…

Mamę. Uśmiecha się, szepcze mi coś czule i mierzwi mi włosy. Podaje mi lody – w kubeczku. Nad głowami szeleszczą nam liście, po niebie płyną srebrzyste obłoki, ludzie się śmieją… Wszystko tak jak wtedy.

Kiedy doszedłem do siebie, nie zdołałem już sobie przypomnieć jej twarzy i do tej pory nie widziałem jej w żadnych moich snach. Ale wiem na pewno: czarny mi ją pokazał. I wydało mi się wtedy, że nie

odmalowuje mi jej twarzy, nie zakłada sobie jej maski, by mnie pocieszyć, a jakby… jakby wpuszcza na chwilę jej zagubioną istotę, pozwala jej zmaterializować się w nim na kilka sekund – na jedno krótkie widzenie z synem. Tak medium wpuszcza w siebie wzywane duchy.

Poczułem, że zostałem… usynowiony. A potem znów byłem sam. Na pożegnanie usłyszałem: „Ty jesteś pierwszy".

Lecz kiedy wróciłem do swoich, po tym, co zobaczyłem, w pamięci zostało mi nie więcej niż po czarownym śnie w chwili przebudzenia. I bardzo szybko zupełnie ulotniło się to z mojej głowy. Tak mi się zdawało.

– Czemu się uśmiechasz?! – spytał podejrzliwie Żeńka.

A ja sam już nie wiedziałem.

Miałem dwadzieścia cztery lata, kiedy czarni przypomnieli sobie o mnie. Za późno – zostałem już wychowany przez ludzi. Słysząc pierwsze opowieści o tym, jak wdzierające się z powierzchni przerażające stwory żywcem pożerają naszych wartowników – przyjaciół mojego przybranego ojca, ojców moich kolegów – domyśliłem się, że w dzieciństwie rzeczywiście przydarzyło mi się coś niedobrego, zakazanego, wstydliwego. Że te sny, w których czasem przypominali mi o tym, co się stało, trzeba odpędzić jak najdalej; że jeśli czarne demony zdolne są zawładnąć dorosłymi ludźmi niczym marionetkami, to wypatroszenie umysłu dziecka nie nastręczy im żadnych trudności.

Chciałem uciekać z WOGN-u, właśnie dlatego, że urywki, strzępki tej pamiętnej nocy wciąż jeszcze wypływały na powierzchnię mojej świadomości. Dlatego że bałem się, by czarni nie zamienili mnie w marionetkę, nie kazali mi kiedyś wstać z łóżka i nie zmusili, bym zarżnął swoich śpiących przyjaciół czy dowódców stacji.

Hunter uważał, że byłem z natury odporny na oddziaływanie czarnych. Prawda była jednak taka, że w dzieciństwie zostałem zaszczepiony – nosząc w sobie cząstkę ich duszy, przestałem czuć ból i strach, gdy próbowali ze mną rozmawiać. Moja odporność na

nich pojawiła się potem dlatego, że byli we mnie. Gdybym przyznał się do tego Hunterowi, udusiłby mnie na miejscu, mimo długiej i bliskiej przyjaźni z moim ojczymem. Sam bym się na to zdecydował, gdybym był nieco odważniejszy.

Ale byłem tchórzem i uciekłem. Zgodziłem się na propozycję Huntera głównie po to, żeby zniknąć z WOGN-u. Myślałem, że mogę skryć się przed czarnymi, wyrwać się swojemu przeznaczeniu. A kiedy nabrałem odwagi, starczyło mi jej tylko na to, by ich głosy w mojej głowie uciszyć za pomocą wyrzutni rakiet.

Byłem tchórzem i tchórzem pozostałem.

•••

Kanoniczna wersja legendy o Artemie głosi, że czarni próbowali porozumieć się z bohaterem, kiedy rakiety zostały już wystrzelone.

Po co wam to opowiadam?

Żeby zdjąć z siebie odpowiedzialność? Żeby upewnić cały świat, a z nim i samego siebie, że tak czy inaczej nic nie mogłem zrobić? Że, kiedy w końcu wszystko zrozumiałem, było już za późno?

Tak.

Mówią, że we wciąż powtarzane kłamstwo w którymś momencie sam zaczynasz wierzyć…

I na to właśnie liczę. Jak inaczej mam szukać ukojenia?

Przejrzałem na oczy, jeszcze zanim współrzędne „mrowiska” czarnych przekazano bazie. Wiadomo, co oznajmili mi czarni: że szli do nas w pokoju, że jest możliwa symbioza, że chcą, choć nie umieją, znaleźć wspólny język z zapędzonymi do nor niedobitkami ludzkości. Że moim prawdziwym powołaniem było stać się pośrednikiem między dwoma gatunkami i powstrzymać masakrę.

Zwykle używam słów „powstrzymać masakrę” – w ten sposób zakończenie legendy jest otwarte i każdy rozumie je na miarę swojej zawziętości. Większość jest przekonana, że czarni po prostu starali się mną zawładnąć, by zapobiec własnej zagładzie. Wątpiący

dopuszczają, że czarni jednak nie zamierzali pożreć wszystkich bez wyjątku ludzi. A ja… Ja umywam ręce.

Właśnie tak to wyglądało. Ale było jeszcze coś.

Pierwsze, co zobaczyłem tam, na wieży, była jej twarz. Twarz mojej matki.

I jestem przekonany, że wcale nie pokazali mi jej po to, by mnie szantażować. Po prostu… To było jak powitanie… Syn marnotrawny przestał się kryć i opierać, rozluźnił pięści i rodzice otworzyli szeroko ręce. Oto, co się stało. A potem znów urządzili dla mnie tamten odległy w czasie dzień. Lecz teraz pojawił się on nie tylko w okolicy Ogrodu Botanicznego – nastał dla całego świata. Stojąc na tarasie widokowym Wieży Ostankino, rozglądałem się na wszystkie strony w osłupieniu i zachwycie; widziałem nie wyniszczone wojną i zarazą miasto, nie szkielety martwych domów, nie wybebeszone ulice. Patrzyłem na Moskwę żywą, buzującą, zieloną!

I jestem pewien – pokazali mi ją nie dlatego, że marzyłem, by na nią spojrzeć. Chcieli powiedzieć – możemy to wszystko przywrócić do życia, wy i my. Razem.

I wciąż jeszcze miałem szansę wszystko zatrzymać. Pozostała jeszcze minuta. Wyjaśnić wszystko pozostałym członkom oddziału, zrzucić z wieży nadajnik, zrobić cokolwiek!

A ja? Umyłem ręce.

Jedni obliczyli i podali współrzędne celu, inni nacisnęli guziki, wystrzeliwując rakiety… Ja sam nie byłem niczemu winien. Po prostu stałem i patrzyłem. A potem zszedłem z wieży – i powitali mnie jak bohatera.

•••

Już nie potrafię przypomnieć sobie jej twarzy.

Teraz pozostało mi tylko jedno – codziennie wracać na pogorzelisko. Przychodziłem tu wczoraj i przedwczoraj, i dzień wcześniej – i tak cały ostatni rok; brnę tam dzisiaj i jutro też pójdę.

To nie rytuał, to nie moja praca, nie obowiązek.

Po prostu coś w środku popycha mnie każdego poranka, gna mnie jakaś niejasna tęsknota – by zebrać się w sobie, założyć wielokilogramową zbroję skafandra ochronnego, zażądać, by otworzyli mi grodzie, uparcie gramolić się schodami, wydostając się na powierzchnię z głębokości pięćdziesięciu metrów, wlec się po opustoszałych ulicach – wszystko po to, żeby się tam dostać.

Wcześniej to miejsce nazywało się Ogrodem Botanicznym.

Teraz są tu wyłącznie sadza i zgliszcza i tylko plastikowe torebki szybują nad czarną pustynią. Kiedy wszyscy wreszcie pozdychamy – a daję ludzkości najwyżej jakieś dwieście lat – białe torebki jeszcze przez kilka stuleci będą unosić się nad ziemią. Być może wszystko, co pozostanie po naszej cywilizacji, po naszym świecie – to te torebki, nasze niepodlegające rozkładowi ekskrementy. Najlepszy nagrobek dla nas, miernot.

Mam teraz całkiem sporo wolnego czasu, mniej więcej wieczność, starczy mi więc okazji, żeby przemyśleć, jak to wszystko było. Mam swoją teorię: czarni nie byli demonami. Przeciwnie, byli poselstwem aniołów wysłanych nam na ratunek – i na próbę. Gdybyśmy potrafili pokonać w sobie bestię, gdybyśmy umieli dostrzec śnieżnobiałe pióra pod ich czarną skórą, znaleźć sposób, by z nimi rozmawiać mimo bólu i obrzydzenia – przeszlibyśmy próbę i wybłagali przebaczenie za to, że zniszczyliśmy świat, którego nie stworzyliśmy.

A my nie daliśmy rady.

Ja nie dałem. Ja!

I oto ja, jak przeklęty, jak nawiedzony, kroczę po zrujnowanych drogach, idę na swoją wachtę – do Ogrodu Botanicznego. To nie jest ani moja kara, ani moja pokuta. Po prostu nie mogę inaczej, a po co to robię – nie potrafię zrozumieć. Nie chcę wiedzieć.

Grzebię długim kijem w dawno wystygłych popiołach, podnoszę kawałki metalu. Zdaje się, że te pola śmierci przesiałem już całe, a ponieważ niczego nie odkryłem, zabrałem się do pracy po raz drugi. A potem trzeci.

Czego szukam?

Zielonej łodyżki? Czy choćby kości obcego stworzenia, które zechciało mnie – samotnego chłopca – przyjąć, usynowić? Czy może cienia drzew, które rosły tu tego dnia, kiedy mama wzięła mnie na spacer do Ogrodu Botanicznego? Przebaczenia? Nadziei?

Sadza i zgliszcza. Zgliszcza i sadza.

Siadam na ziemi – mam to gdzieś, że grunt promieniuje.

Nad samą ziemią, koziołkując, leci torebka, podfruwa do mnie i oblepia mi twarz. Zasłania okulary maski przeciwgazowej i wisi jak przyrośnięta. Nie zrywam jej – nie mam siły. Nie mam siły żyć.

Ale przychodzi nowy poryw wiatru i unosi torebkę gdzieś w górę i w dal.

Wciąż jeszcze patrzę na swoje wysokie buty.

Dobrze by było się nią udławić.

Wreszcie gromadzę wystarczająco dużo złości i rozpaczy, żeby pójść do domu – słuchać mitów o swoim wyczynie i dorzucać kolejne szczegóły. Taka moja kara.

I…

Boże…

Zamykam i otwieram oczy, próbując uszczypnąć się przez szarą i grubą niczym skóra słonia maskę przeciwgazową… Nie, on nie znika.

Wizjer w mig zaparowuje, więc zrywam maskę w cholerę – tak jak wtedy na wieży.

Tamten wciąż stoi w tym samym miejscu.

I wtedy, zapominając o wszystkim, grzęznąc w moich ciężkich buciorach, niezgrabnie, z trudem biegnę do niego, potykając się o nadtopione żelazne rury, ramy…

Nie wiem, co mu powiedzieć. Nie wiem, jak w ogóle z nim rozmawiać…

Ale poradzę sobie, coś wymyślę!

Żeby to tylko nie był miraż ani halucynacja.

Podchodzę coraz bliżej…

Nie wiem, skąd on się tutaj wziął, i nie chcę pytać, żeby tego cudu nie spłoszyć. Po prostu wierzę w niego, a jeśli się wierzy, nie zadaje

się pytań.

Tamten odwraca się do mnie.

Nieproporcjonalnie długie ręce, ogromne ciemne oczy bez białek, lśniąca czarna skóra… Jest jeszcze całkiem mały, ledwo sięga mi do pasa i patrzy na mnie z dołu. Sprawia wrażenie jakby w oczach miał pustkę, ale…

Ściągam rękawicę i obnażoną dłonią ostrożnie dotykam jego ciemienia. Boję się, że go przestraszę albo sprawię mu ból.

Uświadamiam sobie, że jest sam na świecie.

Ma tylko mnie.

Tytuł oryginału Евангелие от Артема
Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2011
Through Nibbe & Wiedling Literary Agency, www.nibbe-wiedling.de
All rights reserved. The moral law of the author has been asserted.
Przekład z języka rosyjskiego Paweł Podmiotko
Redakcja Danuta i Tomasz Porębscy, Tomasz Brzozowski, Piotr Mocniak
Korekta Dominika Pycińska
Skład i przygotowanie do druku Tomasz Brzozowski
Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2012.
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Uniwersum Metro 2033
Portal miłośników książek z serii Metro 2033
Dołącz do społeczności portalu,
publikuj swoje teksty i grafiki,
oceniaj i komentuj twórczość innych
i bądź na bieżąco z wydarzeniami
związanymi z postapokaliptycznym światem
Dmitrija Glukhovsky'ego.
www.metro2033.pl

insignis

www.insignis.pl
Dołącz do nas na Facebooku
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

aktualności, zapowiedzi, konkursy